

TALERZ Z NAPOLEONEM

HALINA POPLAWSKA
TALERZ Z NAPOLEONEM

Część II
ANTO

— Czy zdajecie sobie sprawę, panowie, jakim przemianom ulegała taktyka wojenna w ciągu wieków? — Pytanie rzucone w przestrzeń wykładowej sali, ponad jasnymi i ciemnymi głowami elewów, było czysto retoryczne, lecz wibrujący głos pułkownika Bruce'a wypowiedział je z odpowiednio dramatyczną intonacją. Słaby promień słońca, który z trudem przebijał się przez mgliste opary, otulające o tej porze roku brzegi Tamizy, dotarł wreszcie do wysokich a wąskich okien i rozjarzył się w czerwieni przepisowego uniformu kadetów Królewskiej Wojskowej Akademii w Woolwich.

Skrzyp ciężkich dębowych drzwi wówczas, gdy brakowało jeszcze kwadransu do końca wykładu, odwrócił uwagę od tematu lekcji zarówno słuchaczy, jak i profesora.

— Co tam?

— Melduję, panie pułkowniku — porucznik Young stanowił niedościgły wzór dla nowo wstępujących do Woolwich — przysłano właśnie po Jego Cesarską Wysokość.

Księżę Ludwik Napoleon, uczeń Królewskiej Akademii, składał pospiesznie rozrzucone na pulpicie notatki. Ręce lekko mu drżały. Za drzwiami, na korytarzu, czekał już hrabia Clary.

— Jego Cesarska Mość bardzo chory. Ojciec bardzo chory!

Jakże zwyczajnie wygląda świat mimo tak strasznych wieści. Wszystko stoi na swoim miejscu, jak co dzień. Pod dotknięciem styczniowego słońca imponujące budynki akademii utraciły nawet nieco z wojskowej sztywności, a zieleń trawników to doprawdy doskonałe tło dla kamienia i cegły.

Zieleń trawników...

Tym razem księżę nie zwraca uwagi na podziwiany zazwyczaj bezmiar szmaragdowych łąk wijących się poprzez Woolwich, a przecież tak świeżej zieleni nie ujrzyś na Kontynencie. Trawa wydaje się tu prężna i soczysta, a jednocześnie puszysta i miękka jak wschodnie dywany. Nigdzie indziej takiej nie ma, tylko na Wyspie...

Do niedawna uboga wioska rybacka Woolwich zawdzięcza swoje wyniesienie wojnom Pierwszego Cesarstwa. To Napoleon zmusił Anglików, by nad Tamizą pod bokiem stolicy zbudowali jeden z najważniejszych arsenałów królestwa. Nic też dziwnego, że w takim sąsiedztwie powstała wojskowa akademія, szkoląca przyszłych artylerzystów i saperów.

Konie mijają właśnie most, kierując się na południe. Lekki powozik zdaje się brodzić wśród wiecznie zielonych pól niczym w morskiej płyćźnie. Nawet zima potrafi uszanować ich wiosenny koloryt!

— Operacja udała się, doktor Conneau był zupełnie zadowolony ze stanu pacjenta, a i angielscy lekarze... — stłumiony głos hrabiego Clary podaje smutne szczegóły choroby cesarza.

Księżę zaciska zęby, ledwie hamuje niecierpliwość. Jaka szkoda, że nie kazał osiodłać Karego! Konno dawno już byłby w domu.

W domu...

No tak, w Chislehurst, bo to teraz dom. Zresztą czyż domem nie jest miejsce, gdzie są rodzice? Ojciec i matka? Ojciec... Boże, Boże, prędzej!

Camden Place, angielska rezydencja Napoleona Trzeciego, wita ich ciszą, brakiem służby u podjazdu, opustoszałym westybulem. Ledwie jeden stajenny wyskakuje na przyjęcie przybyłych. Księżę biegnie prosto do sypialni ojca. W drzwiach zderza się nieledwie z matką.

Tak zazwyczaj powściągliwa, cesarzowa Eugenia chwyta syna w objęcia.

— Ludwiku, mam tylko ciebie!

W obitym kirem westybulu zamienionym na kaplicę, wśród palących się świec, wystawiono zabalsamowane ciało zmarłego.

Cesarz w mundurze generała dywizji z krucyfiksem w złożonych dłoniach odbierał oto ostatnią defiladę tłumnie przybyłych z Francji rodaków.

Przez żałobną komnatę przewinęły się tysiące osób wszelkiej kondycji, od księcia Walii po paryskiego robotnika.

Francuzi całowali ręce zmarłego, wielu płakało.

8

Potem cesarz spoczął w trzech trumnach: pierwszej z drzewa wiązu, wyłożonej białym atłasem, drugiej ołowianej, trzeciej mahoniowej, a wszystko to okrył fioletowy aksamit w złote pszczoły, emblemat cesarstwa.

Umieszczony u góry napis głosił:

Napoleon III Cesarz Francuzów

urodzony w Paryżu 20 kwietnia 1808 roku zmarł w Camden Place, w Chislehurst 9 stycznia 1873 roku. R. I. P.

— Requiescat in pace, niech spoczywa w pokoju — szeptali przyklękający przy trumnie żałobnicy.

Zanim ciało przeniesiono do kościoła, cesarzowa Eugenia z synem zasiadła do ostatniego nocnego czuwania przy zmarłym.

Spowita w krepe, wyprostowana na przypominającym tronowe krzesło fotelu, z zamkniętymi oczami, bez jednej łzy, wdowa spędziła noc na modlitwie i na rozpamiętywaniu dwudziestu lat wspólnego życia. Miała przy sobie syna i tych przyjaciół, którzy niegdyś byli świadkami jej wyniesienia.

Dwadzieścia lat! Jednak nie lata triumfu w tuileryjskim pałacu, lecz te ostatnie, jakże ciężkie i smutne lata próby i wygnania, najmocniej związały ją ze zmarłym mężem. Nigdy równie bolesna czułość nie zalała jej serca jak wówczas, gdy zobaczyła go po raz pierwszy po klesce, w pruskim więzieniu w Wilhelmshoehe.

Utracili wówczas wszystko, to prawda, ale zachowali siebie, wzajemną ufność i przywiązanie.

Przez opuszczone powieki sączy się migotliwy blask świec w wysokich srebrnych lichtarzach. Ostatnia dworska iluminacja dla cesarza na tej ziemi.

Dwór... Tuilerie... Nie ma już Tuileriów, nie ma nic, wszystko, co posiadała, zostawiła za sobą. Wszystko.

Uciekła jak złodziej ze swojego domu, z Francji. Jak złodziej, jak złoczyńca ścigany przez prawo. Ona, stojąca dotąd na najwyższym stopniu tronu. A przecież kiedyś zastrzegła się, że nigdy nie opuści Tuileriów, jak Ludwik Filip, w zwykłej dorożce. Tymczasem czekał ją los zupełnie podobny, ona też, w dorożce, z woalką na twarzy, by jej nie

9

poznano. I żeby nie doktor Evans, dentysta rodziny cesarskiej, nie wiadomo, jak wydostałaby się ze zrewolucjonizowanego Paryża. Doktor Evans, dobroduszny grubas o szpakowatych faworytach i mocnych, zręcznych palcach, Amerykanin od lat osiadły we Francji. Sam jego wygląd budził już zaufanie. Wiedziała, kogo prosić o pomoc i ratunek, jej towarzyszka, pani Lebreton, była przecież równie bezradna jak i ona.

Cesarzowa Eugenia otwiera oczy i spogląda na bladą twarz syna.

To już nie dziecko, nie Lulu. To książę Ludwik Napoleon, spadkobierca bonapartystowskiej. dynastii. Boże, jaki smutny, jak strasznie płakał, gdy ujrzał nieżywego ojca, padł wówczas przy łóżku zmarłego, ledwie zdołano go uspokoić.

Hrabia Clary na palcach podchodzi do katafalku i długimi nożycami obcina kopzące knoty.

Eugenia przechyla głowę na oparcie fotela.

Świece... Jak w Notre Dame podczas ich ślubu. Biała suknia i welon, kilkanaście metrów jedwabnego tiulu i bezcennej koronki, ciągnących się za nią po szkarłatnym dywanie.

Wiedziała, że jest piękna, że jest bardzo piękna. Uroda jej oszołomiła obecnych w katedrze. A w jego oczach było uwielbienie, w tych dziwnych, jak gdyby sennych oczach, których spojrzenie paliło ją wówczas równie gorące, jak te płomyki świec.

Dwadzieścia lat temu! I już po wszystkim? Tak prędko? I to Francuzi wygnali ją z ojczyzny? Bo przecież jej ojczyzną jest Francja. Zawsze. Francja, Paryż, Saint-Cloud, Compiègne. To jej dom. Czyż Francuzi tak bardzo jej nie lubili?

Podziwiali niegdyś jej urodę, jej wdzięk, elegancję. Francuzi. Zaiste, nietrwale jest ich przywiązanie, brak im stałości uczuć. Przez ostatnie sto lat wszystkie rządy kończyły się rewolucją. Jeszcze szczęście, że uniknęła losu Marii Antoniny!

Jakże straszna była ta ucieczka ze zbuntowanego i nagle wrogiego Paryża! Wynajęte konie, noclegi w brudnych zajazdach, suknia ubłocona i przemokła od ciągłego deszczu, chustka mokra od łez.

Napotykanii żandarmi obojętnie mijali dwie wynędzniałe kobiety i towarzyszącego im grubasa. Czyżby to miała być cesarzowa Eugenia? Jakże jej smakował chleb z kielbasą, kupiony w przydrożnej oberży! Wreszcie dotarli do jakiejś stacji kolejowej, nie pamięta nawet nazwy miejscowości, a w Deauville poczuła się już bezpieczna.

10

Doktor Evans natychmiast udał się na poszukiwanie statku, który by przewiózł ich przez kanał La Manche, i tak trafił na dwumasztową „Gazelę” sir Johna Burgoine'a, który w pierwszej chwili nie wiedział nawet, jaki zaszczyt przypadł mu w udziale.

Morze było wzburzone, fale przelewały się z hukiem przez delikatny stateczek, przechylony niebezpiecznie pod naporem wichury. Białe bryzgi piany wyskakiwały wysoko, każdej chwili grożąc zatopieniem jakże chybotałej łodzi. Pani Lebreton we łzach modliła się głośno, ale ona, Eugenia, nie czuła najmniejszego lęku. Burza ścichła dopiero nad ranem.

Pierwszy hotel napotkany na angielskim brzegu odmówił gościny zabiedzonym cudzoziemcom bez bagażu, a że prasa doniosła już o przybyciu na Wyspę cesarskiego księcia, Eugenia marzy tylko o połączeniu się z synem.

Wstrząsana dreszczami, z gorączką, dręczona uporczywym kaszlem, w Hastings może wreszcie przytulić Lulu do stęsknionego serca. W tym samym Hastings, gdzie przed przeszło ośmiuset laty normandzki książę Wilhelm Bastard, zwany odtąd Zdobywcą, w krwawej bitwie pobił króla Harolda i uTORował sobie drogę do angielskiego tronu.

Jest tak chora, że pierwsze dni musi spędzić w łóżku, ale wiadomość o jej przybyciu do Hastings obiegła już krewnych i przyjaciół.

„Marinę Hotel” nigdy nie widział tak świetnego towarzystwa, jak ci wysoko utytułowani, wysiadający z pysznych ekwipaży goście.

Pierwsze zjawily się księżniczki Alba, kochające i wierne siostrzenice, a wśród dam, zdobiących niegdyś tuileryjskie salony, błysnęła księżna Metternich.

Poruszona widokiem nędznego otoczenia, z płaczem rzuciła się w ramiona dawnej przyjaciółki.

Jeśli cesarzowa Eugenia odczuła jakąś przyjemność z tego spotkania, była to przede wszystkim zasługa księcia Metternicha, dawnego ambasadora Austrii, który podczas jej ucieczki z Tuileryów zabrał pozostawiony na stoliku modlitewnik Marii Antoniny. Tę cenną pamiątkę księżna wręczyła teraz uradowanej właścicielce.

Po wizycie tych pań do „Marinę Hotel” nadszedł z Londynu kufer pełen sukien i bielizny. Widok cesarzowej Eugonii pozbawionej najniezbędniejszych rzeczy silnie podziałał na opływające we wszystko damy.

11

Wiatr huczy w wysokich kominach Camden Place, a cisza nocna potęguję. v. iżdy odgłos. Teraz zaczyna padać, jak wyraźnie słycać stukot kropel na płaskim dachu!

Książę Ludwik Napoleon nie może oderwać oczu od złotych pszczoł rojących się na fioletowym aksamicie. Więc już nie ma ojca? Jak więc będzie? Jak żyć dalej w obcym kraju, wśród ludzi, dla których jest niczym innym, jak jakąś tam Cesarską Wysokością?

Niespokojne spojrzenie biegnie ku matce. Ona mocna. Mocna i niespożyta. Jej nic nie powali, największe nawet nieszczęście.

Książę czuje nieledwie zazdrość, porównując swoją słabość i jej siłę, swoje niedołęstwo i jej jakże energiczną aktywność.

Jego nic teraz nie obchodzi. Najchętniej zamknąłby się w swoim pokoju, rzucił na łóżko i płakał, aż wypłynęłyby z niego wszystkie łzy, a wraz z nimi rozpacz, ból i uczucie bezradności wobec tego strasznego świata.

Hrabia Clary uspokajająco kiwa głową, napotkawszy udęczone oczy księcia. Jest i kochany pan Filon, z którym tak dobrze było odrabiać zadane lekcje, i Miss Shaw, angielska wychowawczyni. Z jej przybyciem odżyło nagle całe dzieciństwo.

Książę czepia się tych wypróbowanych przyjaciół, będących jak gdyby przedłużeniem jego dawnej egzystencji. Oni przecież znali to wszystko, co kochał, do czego był przywiązany. Mało jest zdarzeń, w których by nie uczestniczyli, mało wspomnień, które nie przywoływałyby na pamięć tych świadków przeszłości. Ale ojciec... żał mu teraz każdej chwili spędzonej z dala od cesarza. Nie zapytał go o tyle rzeczy, tyle spraw pozostało nie wyjaśnionych. A teraz już nigdy...

Książę czuje się znowu chłopcem, owym Lulu, siedzącym na kolanach ojca, jak na tej fotografii, która stoi na biurku. Zrobiono ją po powrocie cesarza z niewoli. Była to najcudowniejsza chwila w ich życiu, gdy powitali „w domu” wróconego do wolności więźnia.

A potem zaczęły się dni wytężonej pracy — tak chciał ojciec — a najlepszym wypoczynkiem była konna jazda. Z panem Filonem przerabiali materiał zgodnie z programem studiów księcia. Biedny pan Filon! Dwoił się i troił, by zastąpić nieobecnych profesorów. Jedynie do matematyki przyjeżdżał z Londynu specjalny nauczyciel.

Najciekawsze jednak były lekcje z ojcem. Sam cesarz uczył go historii, tej dawnej i tej najnowszej. Były to długie rozmowy, pytania i odpowiedzi

12

w zacisku ojcowskiego gabinetu, podczas których książę uczył się poznawać ludzi po ich postępkach oraz osądzać zarówno dawne, jak i współczesne mu wydarzenia.

Cesarz nie miał przed synem tajemnic i nieraz mówił odwiedzającemu go politykom z Francji: „Możemy rozmawiać szczerze, mego syna w najwyższym stopniu interesują nasze sprawy”, a książę dorzucał wówczas z uśmiechem: „O tak, jestem ciekawy, ale przy tym dyskretny”.

Uczęszczał jakiś czas do King's College na Strandzie, ale to było krótko, ta szkoła wcale mu nie odpowiadała. Wreszcie matka zaproponowała akademię w Woolwich. Pamięta, jak rodzice dyskutowali nad tym projektem. Ojciec nie był nim co prawda zachwycony, wymagałoby to bowiem rozstania z synem. Tylko niedziele książę mógłby spędzać w domu.

— Gdy skończy Woolwich — przekonywała matka — Ludwik (już teraz nie Lulu) będzie oficerem artylerii. To przecież jest tradycją Bonapartych — dodawała przechylając się w stronę męża.

Wobec tego cesarz zwrócił się do królowej Wiktorii, która skwapliwie wyraziła zgodę zapewniając, że książę zostanie przyjęty bez wstępnych egzaminów. Ale Lulu nie skorzystał z tego przywileju, nie chciał, by go w jakiś specjalny sposób wyróżniano, i w październiku 1871 roku, razem z wiernym przyjacielem Ludwikiem Conneau, synem doktora, przywdział szkarłatny uniform Woolwich.

W rejestrze akademii, pod numerem 3880 zapisano: „Jego Cesarska Wysokość książę Ludwik Napoleon Eugeniusz Jan Józef, a pod numerem następnym: „Conneau Ludwik Napoleon Józef Eugeniusz”.

Tak oto wojna tylko na krótko rozdzieliła obu przyjaciół. Znowu byli razem, a z nimi wierny pan Filon, który zamieszkał w Woolwich w pobliżu akademii, by na prośbę cesarza „mieć na chłopców oko”.

Ileż razy książę i młody Conneau wspominali towarzyszy pozostałych we Francji! Dla księcia najmilszy był Anto. Niestety, listy widać nie dochodziły do adresata.

— Nie trap się — mówił młody Conneau. — Pewnie mieszka teraz gdzie indziej. Pamiętaj o oblężeniu i o bombardowaniu Paryża. Pruska artyleria nie próżnowała. Może jego dom zniszczony? Biedny Anto, taki był tam głód...

— Tak — odpowiadał książę. — Wiem, straszny głód. Ludzie jedli psy i koty, a także szczury — wstrząsał się ze wstrętem.

— Zjedli wszystko — kiwał głową młody Conneau. — Oczyszczili Paryż ze

13

szczurów. Ale jestem pewien, że Anto nie dał się... Wszyscy wiedzą, gdzie jesteśmy... Wkrótce do ciebie napisze.

O tak, książę czekał na list, na list od najlepszego przyjaciela.

Anto... Te ich czwartkowe popołudnia i rozmowy... Mógł powiedzieć mu wszystko, dużo więcej niż Ludwikowi Conneau. Omawiali sprawy, które dla nich obu były jednakowo ważne. Przecież to Anto przeżywał z nim razem jego podróż na Korsykę. Ludzie wówczas wołali: „Niech żyje cesarz!”, a potem... Czy zabiliby go, gdyby zjawił się w Paryżu? Nie mógł w to uwierzyć. Ci sami ludzie...

Książę dotyka krepy przewleczonej przez butonierkę. Ma na sobie czarne ubranie, ale wkrótce znowu przywdzieje uniform Woolwich, angielski uniform. On, Francuz, w angielskim uniformie. A przecież dobrze pamięta mundur grenadiera, w jakim występował, gdy był mały, podczas oficjalnych uroczystości. Francuski mundur, wślawiony w tyłu bitwach. Niebieska kurtka i czerwone wyłogi. Boże, czemu tak wszystko się zmieniło? Czemu on, francuski książę, ma być oficerem w angielskiej armii, do niedawna armii wroga? Jak w ogóle mogło dojść do czegoś tak absurdalnego? I czy nigdy nie zobaczy Francji i Paryża?

Nieznacznie podnosi rękę do oczu. Nie chce, żeby matka zauważyła, że płacze. Widać nie jest jeszcze mężczyzną. To stwierdzenie zalewa gorczą serce. Nie jest mężczyzną, jest ciągle tym samym Lulu opartym o

ojcowskie kolana. Jak na fotografii. Trudno. Nie potrafi powstrzymać łez. Ale nie wstyd mu. Wie przecież, że już nigdy nie będzie szczęśliwy.

Śmierć Napoleona III wstrząsnęła Europą. Również i prasa francuska poświęciła wiele miejsca temu wydarzeniu.

Podkreślano między innymi różnicę w postawie dworów europejskich na wieść o upadku i śmierci zarówno twórcy Cesarstwa we Francji, jak i jego kontynuatora. Podczas gdy wszyscy władcy wyparli się Napoleona Pierwszego, widząc w nim jedynie „generała Bonaparte”, Napoleon Trzeci po klęsce nie przestał należeć do wielkiej rodziny tych, co zasiadali na tronowych krzesłach.

Cesarzowa Eugenia otrzymała listy z wyrazami żalu i współczucia ze wszystkich stolic Europy, wszystkie też rządy przysłały swoich przedstawicieli na uroczystości pogrzebowe.

14

Z Francji przybyło kilkudziesięciu dawnych ministrów, paru marszałków, kilkuset byłych członków Senatu, wielu wysokich urzędników, a nade wszystko moc ludzi skromnych i nieznanymi, wyróżniających się wszakże odświętnym strojem i spracowanymi rękami.

Niewielki kościółek w Chislehurst nie pomieścił tych wszystkich, którzy pragnęli okazać szacunek, przywiązanie, wdzięczność dla zmarłego, oraz takich, których przyciągnęła zwykła ciekawość.

Proboszcz, ksiądz Goddard, wygłosił wzruszające kazanie — najlepszą chyba mowę pogrzebową, jakiej można by sobie życzyć przy podobnej ceremonii. Znał Napoleona III, to on, wezwany w pośpiechu do Camden Place, udzielił cesarzowi ostatnich sakramentów.

Zgodnie z protokołem dworskim wdowa nie uczestniczyła w pogrzebie. Z okna sypialni pożegnała męża, który opuszczał na zawsze ich tułaczy dom.

Przed bramą zebrali się ci wszyscy, którzy mieli towarzyszyć trumnie do kościoła. Ludzie stali wszędzie, na drodze, na ścieżkach i na trawnikach. Między odkrytymi głowami mężczyzn widać było damskie kapelusze, welony zakonnice, a wśród czerni żałobnego stroju złożyły się epelety mundurów wszelkich armii.

Poprzez koronkową firankę Eugenia śledziła posuwający się wolno kondukt. Przez ciekawą szybę słyszała bicie dzwonów i szuranie setek stóp po żwirze.

Czuła niezwykle wyraźnie obecność zmarłego. Jak gdyby wystarczyło odwrócić się od okna, by ujrzeć go w głębi pokoju, w fotelu, na którym niekiedy siadywał podczas szczególnie poważnych rozmów o przyszłości Ludwika lub o projekcie „powrotu z Elby”, jak nazywali ewentualny powrót do ojczyzny.

Miała w sobie dostateczną siłę, by ten cel osiągnąć. Nie zabraknie jej woli i energii. Ludwik musi być wskrzesicielem cesarstwa, i to ona, matka, posadzi go na francuskim tronie.

Składała zmarłemu nie podlegające wątpliwości przyrzeczenia, niepomna jakże trudnej sytuacji i wrogiego stosunku partii politycznych — zarówno republikanów, jak i monarchistów — do bonapartystowskiej restauracji.

Ostatni raz mignęła znikająca za drzewami trumna. Jej mąż... Cesarz... To on wyniósł ją na szczyty, wybrał spośród tysięcy, ją jedną. A potem... Tak, długie lata czuła do niego żal, wielki żal. Zdradzał ją, miał różne kobiety, wiedziała o tym. I nagle stanęło przed nią pytanie, czy nie była temu trochę winna? Tak, winna. Krew napłynęła do twarzy, rozpalila poblądle policzki.

15

Była piękna, ale pięknocią posagu. „Zimna jak marmur” — tak niegdyś powiedział. Brakowało mu jej zrozumienia i choćby płomyka, który odpowiedziałby na jego ogień. Jak wyraźnie widziała teraz to, o czym nie lubiła nawet myśleć. Przecież ją kochał. A ona? Czy w ogóle była zdolna do miłości?

We wrześniu 1871 roku odwiedziła Hiszpanię. Mąż i syn wsadzili ją do pociągu na dworcu Waterloo w Londynie. Pragnęła zobaczyć dawno nie widzianą matkę. Co jednak skłoniło ją do tej podróży? Czy potrzeba serca?

Nie zatrzymując się po drodze, spieszyła do Carabanchel. Powitanie nie wycisnęło łez wzruszenia ani u matki, ani u córki. Stara hrabina de Montijo, na pół ślepa, ale jak zawsze wystrojona i uróżowana, z mantylką na wysokim grzebieniu i wachlarzem w ręku, zajmowała się, jak dawniej, kojarzeniem małżeństw i ploteczkami. Po dwóch miesiącach Eugenia z przyjemnością wróciła do Chislehurst. Między nią a mężem panowała teraz idealna harmonia. Był przecież taki chory i nieszczęśliwy. Otaczała go opieką i staraniem. Rozumiała, że właśnie on najboleśniej odczuł klęskę i upadek, przygnieciony ciężarem, zdawałoby się, nie do podźwignięcia. Przy tym imponował jej spokojem, siłą charakteru, godnością, z jaką znosił to, co uważała za dopust boży. I

chyba go kochała. Miłość ta, jakże różna od miłości panny młodej, zrodziła się nagle, równie nagle jak nieprzeparła chęć spotkania się z mężem wówczas, gdy był jeszcze w pruskim więzieniu.

W podróży towarzyszył jej hrabia Clary. Zawsze jednakowo zaradny, opanowany i dyskretny. Do Kassel przyjechali po południu. Hrabia Clary pośpieszył do zamku Wilhelmshoehe, by uprzedzić cesarza. Boże, ta chwila, gdy go ujrzała na szczycie schodów! Postarzałego, z niezdrową cerą i przygasłym wzrokiem. Biegła ku niemu po stopniach jak młoda dziewczyna. Przy świadkach cesarz powitał ją ceremonialnie, a łzy zalewały jej oczy, serce zda się pękało od łkań. Dopiero gdy zostali sami, mogła wypłakać się na jego ramieniu.

Nie widzieli się zaledwie trzy miesiące, a jej wydało się, że minęły wieki od dnia, gdy go żegnała, wyruszającego na wojnę, w Saint-Cloud.

On też płakał, a potem zaczął ją wypytywać o syna.

Jakże go kocha — myślała z odrobiną zazdrości — jak bardzo go kocha!

I znowu patrzyli na siebie, starając się odnaleźć dawną świetność w po-

16

starzałych twarzach, w skromności ubioru. Stali się sobie bardziej bliscy, teraz, gdy opadły z nich gronostajowe płaszcze, bardziej podobni do zwykłych ludzi, gdy do ich uczuć przeniknęła wzajemna litość i współczucie.

Rozmawiali naturalnie o Francji. O Francji i o Lulu. Lulu był ich nadzieją. Jego młode życie nie mogło zostać zmarnowane. Jaka przyszłość czeka go na obcej ziemi?

Ze smutnego wzroku cesarza wyczytywała rezygnacja. Rezygnacja biła z całej jego osoby. W niej za to wrzał bunt, bunt i chęć walki. Nie podda się przecież klęsce, nie uzna się za pokonaną. Nigdy. Wodzi spojrzeniem po twarzy męża, gdzie każdy rys świadczy o nękającej go chorobie. On nie skarży się, nic o tym nie mówi, ale ona wie, co wycierpiał. Kamienie w nerkach i w pęcherzu wywołują trudne do zniesienia bóle, a on w takim stanie na koniu... Biedny. Szukał śmierci, wiedziała o tym, ale śmierć to zbyt łatwe dla niego wyjście. Życie po klęsce wymagało o wiele więcej odwagi.

A potem opowiadała mu o strasznych dniach września, ostatnich dniach spędzonych w Tuileryach. Głos jej drżał oburzeniem, gdy wspominała, jak na wieść o klęsce pod Sedanem Gambetta ogłosił koniec cesarstwa.

„Ludwik Napoleon i jego dynastia na zawsze przestali rządzić Francją” — padło z trybuny, na co ulica huknęła: „Niech żyje Republika!”

Ukonstytuowano nowy rząd z generałem Trochu jako prezesem ministrów, a nazajutrz wilgotne jeszcze od farby drukarskiej litery ogłosiły paryżanom proklamowanie Republiki.

Na Dworcu Północnym oszalały z radości tłum witał powracającego z dobrowolnego wygnania Wiktora Hugo.

Niestety, nie czas było jeszcze na euforię, wróg nieubłaganie postępował ku stolicy. Nie stracono jednak nadziei, trzymał się przecież Metz, a w nim marszałek Bazaine ze stusiedem-dziesięcioletnią, nie tkniętą dotąd, armią. Ale oto nagle padł grom, straszna wiadomość: Metz skapitulował! Marszałek Bazaine potajemnie opuścił miasto.

— Zdrajca! — woła Eugenia z dawnym błyskiem w oczach. — Jak było można? To nie tak...

— Nie tak — cesarz porusza głową. — Wszystko w tej wojnie szło nie tak, jak należało. Niestety. Zawiodłem się na tych, którzy mieli moje zaufanie.

— Łotry! — Eugenia nie może się uspokoić. — Właśnie, ufałeś im, a oni... Najmocniej boli mnie niewdzięczność. To właśnie ci, których darzyłeś przyjaźnią, obsypywałeś łaskami, okazali się najbardziej zawzięci. Czyż

2 — Talerz z Napoleonem

17

Trochu to nie Judasz? A architekt Viollet le Duc? A pisarz Edmund About? Nawet generał Gallifet.

Traktowałeś go jak przyjaciela. Nie mówię już

0 marszałku Mac-Mahonie. Dałeś mu tytuł księżęcy, a on... ale to głupiec pożerany ambicją. Teraz dopiero ich poznałam, tych wszystkich płaszcących się pochlebcom, teraz wiem, jacy są naprawdę. Wszystkich gościliśmy w Tuileryach czy w Compiègne, zasiadali z nami do stołu, a po klęsce nie tylko odwrócili się plecami, wyrzekli się zwykłej z nami znajomości, ale opluli oszczerstwem i potwarzą — zacisnęła ręce. — O, jakże nędznie wyglądają ci przedstawiciele europejskiej kultury wobec takiego Araba, emira Abd-el-Ka-dera, dawnego wroga. Napisał do mnie, wiesz, pięknie napisał, właściwym ludziom Wschodu kwiecistym stylem.

„Jedynie Słońce i Księżyc podlegają zaćmieniom” — zacytowała. — Jakaż to lekcja dla Francuzów!

O tak, mieli o czym rozmawiać. Ale oburzenie Eugenii nie znajdowało oddźwięku u cesarza. Patrzył na wszystko inaczej, a po ostatnich doświadczeniach inaczej osądzał tych, co go zdradzili, a teraz obrzucali błotem

I obelgami. Chyba do nikogo nie chował już urazy. Była w nim jakaś nadludzka wprost wyrozumiałość i uciszenie. Znał przecież ludzi i wiedział, do czego są zdolni. W swoim dostatecznie długim życiu zetknął się zarówno z objawami heroizmu, jak i podłości. Tym droższa była mu ta grupka przyjaciół, ich wierność przetrwała najgorsze nawet przeciwności.

Eugenia pozostała z mężem dwa dni, a potem jedynym łącznikiem były listy aż do jego przyjazdu do Chislehurst.

Krótki dzień zimowy zstępuje powoli w przedwczesny zmierzch. Eugenia podnosi się z fotela i uchyla firankę. Oto wracają żałobnicy. Na przedzie Ludwik w otoczeniu krewnych i przyjaciół. Wielka wstęga Legii Honorowej ożywia czerń stroju księcia. Za nim tłum przybyłych na uroczystość gości. Wszyscy z odkrytymi głowami.

Gdy Ludwik staje przy sztachetach Camden Place, gromki krzyk uderza w pociemniałe niebo:

— Niech żyje cesarz! Niech żyje Napoleon Czwarty! Księżę odwraca się, gestem nakazuje milczenie.

— Nie trzeba wołać: „Niech żyje cesarz!” — głos jego, nie stłumiony lękiem, rozlega się donośnie niczym dzwon. — Należy wołać: „Niech żyje Francja!”

— Niech żyje Francja! — powtarza posłusznie tłum, a potem, jak gdyby pchnięty wspólną jakąś siłą, rzuca poprzednie zawołanie: — Niech żyje Napoleon Czwarty!

18

Całe Chislehurst rozbrzmiewa tym okrzykiem, wiatr niesie go aż po krańce miasteczka:

— Niech żyje Napoleon Czwarty!

Na pierwszym piętrze w sypialni, za koronkową firanką, matka przyciska ręce do rozdygotanego serca.

Nazajutrz po pogrzebie w salonach Camden Place cesarzowa Eugenia przyjęła Francuzów, którzy zjechali się, by oddać zmarłemu ostatnią posługę.

Oparta na ramieniu syna, z opuszczonym na twarz wdowim welonem, powoli przechodziła wśród obecnych.

Kobiety — jeśli umiały — składały dworski ukłon, mężczyźni przyklękając całowali rękę, którą im podawała. I choć dławili ją łzy, przerywanym głosem każdemu z osobna dziękowała za przybycie.

Wieczorem, gdy poszła już do siebie, do drzwi sypialni zapukał Ludwik.

— Chodź — ucieszyła się. — Posiedzisz ze mną.

W sypialni, hiszpańskim zwyczajem, nie pali się żadna lampa ani świeca. Tylko na kominku płonie ogień. Jak trudno ogrzać ten angielski dom. Chłodne i wilgotne powietrze, jakie zimą panuje na Wyspie, przenika do kości, mrozi myśli, poraża czucie.

— Zimno tu — wstrząsa się. — Ale ten chłód inny jest niż we Francji. O tak, angielski ziąb niepodobny do francuskiego chłodu, zabija jak gdyby

wszelkie przejawy życia. Dopiero ciepło bijące z kominka rozbudza na nowo świeży ból. Bo przecież oni, najbardziej osieroceni, tracąc męża i ojca, stracili wszystko.

— Tak było nam dobrze razem — Ludwik wyciąga nad ogniem zgrabiałe dłonie. — A tak krótko mieliśmy tu ojca.

— Tak krótko. — Piekącymi od łez oczami wdowa wpatruje się w ogień. Jakże żywa i bliska wydaje się ta niedaleka przeszłość, gdy po tułaczce, bezdomna, w Chislehurst znalazła bezpieczny przytułek.

W Chislehurst...

Po jej przybyciu do Hastings wyłoniła się sprawa domu dla wygnańców. Brat doktora Evansa i pani Lebreton zajęli się wyszukaniem odpowiedniej siedziby. Akurat niejaki pan Nataniel Strode poszukiwał lokatora dla swojej posiadłości Camden Place w Chislehurst, dwadzieścia minut koleją od Londynu, na linii Londyn—Dover.

20

Było to rozłożyste domisko z czerwonej cegły, wzniesione na początku wieku, otoczone dość rozległym parkiem. Dwa duże czarne cedry na trawniku dodawały rezydencji splendoru.

Najważniejsze jednak, że dom był całkowicie umeblowany, i to umeblowany wykwintnie i ze smakiem.

Można się tam było natychmiast wprowadzić i od razu poczuć się „u siebie”.

Cesarzową Eugenię zastanowił łaciński napis otaczający zegar na frontonie domu.

— Mało mori quam foedari — odczytała głośno. — Oto dewiza w sam raz dla mnie.

— Co to znaczy? — pani Lebreton nie zdołała pochwycić sensu starożytnej maksymy.

— Wolę umrzeć niż zhańbić się — odpowiedziała przestępując próg nowej siedziby.

Lulu był zachwycony. Naturalnie zaraz dowiedział się o ponurej historii związanej z Camden Place, gdyż zanim pan Strode nabył tę posiadłość, przez długie lata dom stał pusty i nie zamieszkały. Nikt nie pragnął wprowadzić się w mury splamione krwawą zbrodnią, a dramat rozegrał się właśnie w pokoju, który cesarzowa Eugenia wybrała sobie na sypialnię.

Jak się później okazało, pierwszymi właścicielami Camden Place było dwoje starszych ludzi, mieszkających tam z synem i jednym tylko służącym. Pewnej nocy rodzice zginęli' zamordowani, a służący zbiegł. Syna zatrzymano, jednakże z braku dowodów został wkrótce zwolniony. Opinia publiczna w Chislehurst nigdy nie pogodziła się z orzeczeniem sądu i nadal oskarżała nieszczęśnika, jako motyw zbrodni podając chęć szybszego wejścia w posiadanie sporego majątku. Służący, uznany za współnika, nigdy nie został schwytany.

Syn właścicieli żył w zupełnym odosobnieniu, opuszczony przez dawnych znajomych i przyjaciół. Wychodził jedynie na cmentarz, gdzie na grobie rodziców wznosił wspaniałe mauzoleum. W testamencie nakazał pochować się w tym samym grobie i wyryć na marmurze te dziwne słowa: „Nie lękajcie się, to ja”.

Lulu tak przejął się tą opowieścią, że udał się na cmentarz i odszukał intrygujący grobowiec.

— Być może, jest to wyznanie winy — mówił zarumieniony z wrażenia. — Gdy wszedł do pokoju rodziców z krwawym zamiarem, powiedział pewnie „nie bójcie się, to ja”. Z drugiej strony, jeśli rzeczywiście był niewinny, a życie

21

jego upływało we łzach i bólu po stracie najdroższych, w ten sposób anonsował jak gdyby swoje przybycie na tamten świat, gdy wreszcie połączyła ich śmierć.

Pokój matki szczególnie przywodził chłopcu na myśl straszną scenę zabójstwa.

— Zapomnij o tym — mówiła cesarzowa Eugenia. — Może wcale nie było tak, jak ludzie gadają. Patrz, jak tu pięknie.

Rzeczywiście, pokój był piękny. Ogromny, na pierwszym piętrze, o wielkich oknach osłoniętych ciężkimi kotarami ze szkarłatnego adamaszku. Szerokie łóżce ustawiono na niewielkim podwyższeniu. Meble były cenne i w najlepszym guście, a gdy przyjaciele, którzy zaczęli odwiedzać wygnańców, przywieźli kilka drobiazgów uratowanych z Tuileriów, cesarzowa Eugenia, ustawivszy te pamiątki, mogła cieszyć się otoczeniem przypominającym jej utracony dom.

A dawnych przyjaciół przybywało z każdym nieledwie dniem. W Camden Place wraz z wygnańcami i panią Lebreton zamieszkali doktor Conneau z rodziną, doktor Corvisart, pan Pietri, sekretarz cesarza, pan Filon, nauczyciel księcia, hrabia Gary z żoną, kilka dam i czternaścioro służby. Wraz z przybyciem cesarza coraz więcej osób osiedlało się w Chislehurst i w Londynie, a spotykając się co dzień w Camden Place, utworzyli jak gdyby miniaturowy dwór wokół cesarskiej pary.

Lulu miał już spore grono rówieśników.

Nie tylko zresztą Francuzi 'pamiętali o zwyciężonym i pobitym. Wiele osobistości angielskich spieszyło złożyć uszanowanie mieszkańcom Camden Place. Sama królowa Wiktoria nie pożałowała fatygi i wbrew radom lorda Gladstone'a kilkakrotnie odwiedziła Chislehurst.

— Zdetronizowany monarcha nie przestaje być monarchą — odpowiadała na wszelkie uwagi pierwszego ministra.

Mimo tylu dowodów sympatii i przywiązania echa dochodzące z Francji były dla wygnańca ciężką próbą charakteru. Nie skarżył się jednak i nie zlorzeczył nikomu.

— Francja zbyt wiele wycierpiała — mówił — by sprawiedliwie osądzić przeszłość.

Książę Ludwik Napoleon opóźnił powrót do Woolwich. Trudno mu było teraz rozstawać się z domem. Czuł się tu bliżej ojca, wszystko nosiło jeszcze ślady drogiej obecności. Ponadto na własną rękę prowadził pewnego rodzaju

22

„śledztwo”, dopytując się o najdrobniejsze szczegóły ostatniej choroby cesarza. Musiał wiedzieć, co było bezpośrednią przyczyną, nikt przecież nie przeczuwał tak nagłej katastrofy.

W wigilię Bożego Narodzenia do Camden Place zwołano konsylium lekarskie. Stan cesarza wymagał podjęcia ostatecznej decyzji.

Francuscy lekarze zaprosili na radę trzech luminarzy angielskiej medycyny, a ponieważ zdecydowano, że operacja jest konieczna, ustalono jej termin na drugiego stycznia. Cesarz bez szemrania poddał się owemu

wyrokowi. Czyż powrót do Francji nie był ściśle związany z dobrym stanem zdrowia? Jakże wsiądzie na konia, by na czele wiernych mu oddziałów dokonać swojego, równie triumfalnego, „powrotu z Elby”? Zabieg był wyjątkowo przykry, wprowadzano bowiem do pęcherza stalowe szczypce, którymi kruszono nagromadzone tam kamienie. Operację taką zazwyczaj powtarzano kilka razy.

Zabieg z drugiego stycznia zadowolili lekarzy, a chory zniósł ból z właściwym mu heroizmem. Po drugiej operacji, w kilka dni później, cesarz czuł się już gorzej, nie do tego jednak stopnia, by obawiano się o jego życie. Postanowiono jedynie nie zwlekać z trzecim zabiegiem. Dziewiąty stycznia okazał się dniem fatalnym, a na uremię nie było już ratunku.

— Sir Henry Thompson to doskonały chirurg — doktor Conneau, stary przyjaciel z czasów, gdy cesarz był jedynie „pretendentem”, współwięzień z zamku Ham, wielką białą chustką ocierał oczy. — Cieszy się w Anglii zasłużoną sławą. Ale cóż mógł poradzić, kiedy uremia...

— Uremia to czyste bzdury — wruszał ramionami hrabia de La Cha-pelle. — Na dwa dni przed śmiercią cesarza otrzymałem list od doktora Corvisarta. Doktor donosił o udanej operacji, o dobrym stanie pacjenta, dzielił się ze mną najlepszymi nadziejami na całkowite wyleczenie.

— Co więc pan przypuszcza, panie hrabio? — książę podniósł wzrok na ojcowskiego przyjaciela. — Co było przyczyną?...

— Nie jestem lekarzem, Wasza Wysokość. — Hrabia rozkładał ręce. — Wiem tylko, że jeden z angielskich medyków, wezwanych na konsultację, przepisał miksturę mającą jakoby złagodzić pooperacyjne bóle. Należało wypić ją przed snem. Nie wiem, czy to przecucie, ale cesarz odmówił. Nie miał bólów i chciał spać. Jednakże Sir William Guli ze specjalnym naciskiem zalecił to lekarstwo i wszyscy zaczęli prosić chorego, by usłuchał. Nawet i cesarzowa Eugenia... Cesarz ustąpił.

23

„śledztwo”, dopytując się o najdrobniejsze szczegóły ostatniej choroby cesarza. Musiał wiedzieć, co było bezpośrednią przyczyną, nikt przecież nie przeczuwał tak nagłej katastrofy.

W wigilię Bożego Narodzenia do Camden Place zwołano konsylium lekarskie. Stan cesarza wymagał podjęcia ostatecznej decyzji.

Francuscy lekarze zaprosili na naradę trzech luminarzy angielskiej medycyny, a ponieważ zdecydowano, że operacja jest konieczna, ustalono jej termin na drugiego stycznia. Cesarz bez szemrania poddał się owemu wyrokowi. Czyż powrót do Francji nie był ściśle związany z dobrym stanem zdrowia? Jakże wsiądzie na konia, by na czele wiernych mu oddziałów dokonać swojego, równie triumfalnego, „powrotu z Elby”? Zabieg był wyjątkowo przykry, wprowadzano bowiem do pęcherza stalowe szczypce, którymi kruszono nagromadzone tam kamienie. Operację taką zazwyczaj powtarzano kilka razy.

Zabieg z drugiego stycznia zadowolili lekarzy, a chory zniósł ból z właściwym mu heroizmem. Po drugiej operacji, w kilka dni później, cesarz czuł się już gorzej, nie do tego jednak stopnia, by obawiano się o jego życie. Postanowiono jedynie nie zwlekać z trzecim zabiegiem. Dziewiąty stycznia okazał się dniem fatalnym, a na uremię nie było już ratunku.

— Sir Henry Thompson to doskonały chirurg — doktor Conneau, stary przyjaciel z czasów, gdy cesarz był jedynie „pretendentem”, współwięzień z zamku Ham, wielką białą chustką ocierał oczy. — Cieszy się w Anglii zasłużoną sławą. Ale cóż mógł poradzić, kiedy uremia...

— Uremia to czyste bzdury — wruszał ramionami hrabia de La Cha-pelle. — Na dwa dni przed śmiercią cesarza otrzymałem list od doktora Corvisarta. Doktor donosił o udanej operacji, o dobrym stanie pacjenta, dzielił się ze mną najlepszymi nadziejami na całkowite wyleczenie.

— Co więc pan przypuszcza, panie hrabio? — książę podniósł wzrok na ojcowskiego przyjaciela. — Co było przyczyną?...

— Nie jestem lekarzem, Wasza Wysokość. — Hrabia rozkładał ręce. — Wiem tylko, że jeden z angielskich medyków, wezwanych na konsultację, przepisał miksturę mającą jakoby złagodzić pooperacyjne bóle. Należało wypić ją przed snem. Nie wiem, czy to przecucie, ale cesarz odmówił. Nie miał bólów i chciał spać. Jednakże Sir William Guli ze specjalnym naciskiem zalecił to lekarstwo i wszyscy zaczęli prosić chorego, by usłuchał. Nawet i cesarzowa Eugenia... Cesarz ustąpił.

23

— Więc sądzi pan, że ta mikstura...? — udręczone oczy księcia utkwione były w twarzy hrabiego.

— Powtarzam, nie jestem lekarzem, Wasza Wysokość.

Książę zwrócił się do starych przyjaciół, doktora Conneau i doktora Corvisarta. Słyszał zbyt wiele na temat fatalnej mikstury, same nieudomowienia. Jego nerwy nie wytrzymały już takiego napięcia.

— To uremia, Wasza Wysokość, nic innego tylko uremia — trząśł głową doktor Conneau. — Organizm cesarza był wyniszczony chorobą, długotrwałą chorobą.

— Ale hrabia de La Chapelle... Co on podejrzewa?

— To rozpacz podsuwa podobne myśli panu de La Chapelle — doktor Corvisart odchrząknął. — My wiemy, że to była uremia.

— Więc pan też tak sądzi, doktorze?

— Tak, Wasza Wysokość. Cóż bowiem innego mogło być powodem?

— A ta... mikstura?

— Tak, wiem, mikstura...

— W jej skład wchodził podobno chlorał. Ojciec nie chciał tego pić, mówił, że mu to szkodzi.

— Jednak Sir William Guli...

— Do licha z Sir Williamem! — książę nie potrafił pohamować rozpaczliwej niecierpliwości. — Ja mam do was zaufanie, panowie, byliście przyjaciółmi i lekarzami ojca od tylu lat, znaliście stan jego zdrowia.

— Owszem — doktor Conneau kiwnął głową z determinacją — od tylu lat byliśmy razem, nierozłączni, w doli i w niedoli. A teraz... — sięgnął po chustkę.

— Czy Wasza Wysokość wierzy insynuacjom pana de La Chapelle? — spytał rzeczowo doktor Corvisart.

— Sam nie wiem, w co wierzyć! — książę załamał ręce. — Hrabia de La Chapelle daje do zrozumienia... Nie, nie, to zbyt straszne... to niemożliwe.

— Wszystko jest możliwe, Wasza Wysokość — stwierdził zimno doktor Corvisart. — Według hrabiego de La Chapelle cesarza otruto. Nie wolno nam jednak ulegać podobnej sugestii. To czyste szaleństwo.

— Czy to pana najgłębsze przeświadczenie? Bo inaczej...

— Tak, Wasza Wysokość, śmierć cesarza była jak najbardziej naturalna. My chyba najlepiej o tym wiemy. Nie opuszczaliśmy chorego przez te wszystkie dni, byliśmy przy nim do końca. Z całą odpowiedzialnością możemy

24

uspokoić Waszą Wysokość. Uremia powoduje sen, a ten kończy się śmiercią, naturalną śmiercią — podkreślił z naciskiem.

Czy te zapewnienia przyniosły księciu ulgę? Czy ukoili udręczone serce? Im dalej od dnia pogrzebu, tym pogłębiał się smutek, boleśniej dawała się odczuć pustka. I tym droższe stawały się wszelkie pamiątki. Te najskromniejsze nabierały ceny i można by je było uznać wkrótce za bezcenne skarby. Choćby zawartość portfela, od lat tego samego.

Obok obrazka Matki Boskiej książę znalazł tam listy od babki, Hortensji de Beauharnais, od matki oraz jego własny, niewprawną rączką zagryzmołony arkusik, pierwszy list, jaki mały Lulu napisał do ojca, wojującego wówczas w Italii.

Portfel wyjęto z wewnętrznej kieszeni surduta. Była to teraz najdroższa relikwia po zmarłym, bo trzech obrączek, które cesarz nosił na czwartym palcu lewej ręki, swojej własnej, obrączki matki oraz babki Józefiny, wsuniętej jej niegdyś na palec przez Napoleona, książę nie pozwolił zdjąć z ręki zmarłego.

— Ojciec zawsze je nosił — powiedział stanowczo — niech pozostaną z nim w grobie.

Sekretarz cesarza, Pietri, nałożył pieczęcie na szuflady biurka i na pozostałe meble i zamknął gabinet, stosując się w tym do ostatniej woli swojego pana.

Najważniejsza, a najbardziej niejasna, pozostawała jednak sprawa testamentu.

Za każdym razem, gdy Napoleon III opuszczał Francję, spisywał ostatnią wolę. Dokumentem tym składał regencję w ręce żony, pozostawiał jej swój prywatny majątek, a opiekę nad nią i nad synem powierzał obu Izbom.

Nic też dziwnego, że testament otwarty w Camden Place wywołał nie tyle konsternację, co oburzenie, przede wszystkim księcia Napoleona, kuzyna cesarza, przybyłego do Chislehurst na uroczystości pogrzebowe, był to bowiem dokument pisany w Tuileryach dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku.

— Gdzie jest ostatni testament cesarza? — zagrzmiął książę Napoleon, stukając palcem w trzymany w rękę papier. — Nigdy nie uwierzę, by kuzyn mój nie napisał testamentu, wyruszając na wojnę, ani później, gdy przyszło mu żyć w tak zmienionych warunkach. Żądam odpowiedzi.

— Nie znalazłam nic innego w papierach męża — cesarzowa Eugenia nie ukrywała wzburzenia.

25

I

— Nie znalazła pani — uśmiechnął się szyderczo książę. Cesarzowa Eugenia zbladła, a zaraz potem oblała się rumieńcem. Nigdy nie

było sympatii między nią a kuzynem cesarza. Książę Napoleon zawsze okazywał się grubiański i niegrzeczny, obecne podejrzenia przekroczyły jednak wszelkie zakreślone przyzwoitością granice.

— Nie rozumiem — powiedziała drżąc z tłumionego gniewu. — Co to za insynuacje?

— Insynuacje! — wybuchnął gość. — Ktoś wdarł się do gabinetu i splądrował szafy i biurko. —

Wszystkie papiery poprzewracane. Taka jest prawda, a pani o insynuacjach! Zawołaj sekretarza — rozkazał przybyłemu na dzwonek lokajowi.

Pan Pietri miał nieszczęśliwą minę, zaciskał ręce i przestępował z nogi na nogę. Pracując z cesarzem, nigdy nie przeżył podobnie przykrych chwil.

— Co znaczy ten nieład?! — huknął książę Napoleon. — Przecież nałożył pan pieczęcie. W jakim stanie zastałem biurko i szafy?

— Doprawdy, Wasza Wysokość — tłumaczył się skonfundowany sekretarz. — Jak mi Bóg miły, nie wiem. To pewnie ten służący, który znikł wkrótce po pogrzebie, zabierając niebagatelną sumę siedemnastu tysięcy franków. Nie mam wątpliwości, to szpicel pana Thiersa.

— Skradziono nie tylko pieniądze — zauważył cierpko książę. — Zaginął również testament. Ostatni testament — dodał z naciskiem. — Czy wiadomo coś panu o testamencie cesarza, panie Pietri?

— Tak, testament jest w rękach Jej Cesarskiej Mości — sekretarz wskazał wzrokiem cesarzową Eugenię.

— Może pan odejść — powiedział zimno książę, a gdy sekretarz zamknął za sobą drzwi, dodał zwracając się do wdowy: — Nigdy nie uwierzę, by mój kuzyn tak okrutnie skrzywdził najukochańszego syna, uzależniając go całkowicie od matki. Swój prywatny majątek zapisał żonie. Owszem, osiem lat temu Ludwik Napoleon był dzieckiem, ale dziś... Nie, nie, widzę już, że jakaś zbrodnicza ręka ukryła, a raczej zniszczyła ostatnią wolę mego kuzyna. W takich warunkach nie mam tu nic więcej do roboty.

— Śmie pan podejrzewać mnie? — głos cesarzowej drżał.

— Niejedna osoba może być winna — rzucił podniesionym głosem książę. — Pani w każdym razie najwięcej na tym zyskuje.

— Obraża mnie pan!

— Nie mam bynajmniej tego zamiaru, Madame. Jako najstarszy z rodu mam prawo upomnieć się o sprawiedliwość i dopilnować interesów następcy

26

tronu. Ten stary testament dzisiaj krzywdzi Ludwika Napoleona, pozostawia go bez grosza na twojej, pani, łasce.

— Interesy następcy tronu chyba mnie najbardziej leżą na sercu — cesarzowa Eugenia przemogła gniew.

— Zapomina pan, że jestem jego matką.

— O nie, o tym nigdy nie zapomnę. Stosunki między nami mogą ułożyć się poprawnie jedynie pod jednym warunkiem.

— Jakież to warunek?

— Oddasz mi pani syna na wychowanie.

— Oddać syna? — cesarzowa Eugenia zerwała się z fotela. — Chcesz, bym się uznała na niegodną opieki nad moim dzieckiem?

— Jeżeli taka jest twoja odpowiedź, Madame, nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Żegnam. Było to ostateczne zerwanie. Książę Napoleon nie pojawił się już w Camden Place. Żadnego innego testamentu Napoleona III nie znaleziono.

— Nie mogę dłużej znieść tych dyskusji o testamencie! — książę Ludwik Napoleon uderzył ręką o oparcie fotela. — Wszyscy się nade mną litują, jak gdybym został nędzarzem! Po co mi te pieniądze?

— Pieniądze zawsze się przydają — bąknął młody Conneau.

— Pewnie, że się przydają, ale skoro ma je moja matka, nie widzę powodu do rozpacz. A zresztą, jeżeli taka była wola ojca...

— Chyba masz rację — zgodził się przyjaciel. — Zastanawia mnie tylko...

— Co? I ty myślisz, że ktoś zniszczył testament, żeby mnie pognać?

— Nie, nie, cóż znowu? Ale, widzisz, wszyscy tyle o tym gadają, że już sam nie wiem, co myśleć. W ogóle od pewnego czasu o niczym innym się nie mówi. Właściwie powinniśmy wracać do Woolwich, nie uważasz? — dodał innym tonem.

— Tak, trzeba zabrać się do pracy. Od tego gadania kręci mi się w głowie. Ostatni dzień spędzony w domu był chyba jeszcze smutniejszy niż poprzednie.

Cesarzowa Eugenia w ciężkiej aksamitnej sukni snuła się po pokojach, wiatr bił o szyby falami deszczu, domownicy zebrani w salonie nie śmieli zmącić żalobnego nastroju muzyką czy partią kart.

— Jesteśmy jak rozbitkowie na tratwie Meduzy — powiedziała w pewnej chwili cesarzowa, przystając przed szerokim oknem wychodzącym na

27

chłostany ulewą park. — Albo jak ryby obijające się o szklane ściany akwarium.

— Może coś poczytać? — ofiarowała się pani Lebreton, odkładając robótkę. — Są nowe książki przysłane z Francji.

— Nie, nie, dziękuję, bardzo pani dobra, ale nie potrafię skupić myśli.

— Wasza Cesarska Mość potrzebuje odprężenia i wypoczynku, zmiany miejsca — zauważyła hrabina Clary.

— Może pojechałybyśmy jutro do Londynu?

— Jeszcze nie teraz... za wcześnie... Może za parę dni...

Księżę Ludwik Napoleon nie wytrzymał w tej atmosferze do końca wieczoru. Nie mógł znieść nudy owych zebranych gromadzących w salonie wiernych przyjaciół, których współczujące spojrzenia doprowadzały go do desperacji. Boże, jakże inaczej było tu za życia ojca! Jakże inaczej! Jak gdyby ci wszyscy, dobrze znani od dzieciństwa ludzie stali się nagle zupełnie inni, a przecież wiedział, że zawsze mógł liczyć na ich życzliwość i przywiązanie.

— Nie zniosę tego — powiedział głośno, znalazłszy się w swoim pokoju. Na biurku leżały pamiątki po ojcu. Ileż razy odczytał już te listy, przechowywane tyle lat w portfelu! Umiał je prawie na pamięć. Babka Hortensja, nie znał jej, umarła na długo przed jego urodzeniem, matka i on... Trzy osoby, które cesarz najbardziej kochał, a z tych trzech on chyba był mu najdroższy. Tak, wiedział o tym, czuł to każdego dnia, o każdej godzinie spędzonej razem z ojcem, tu w Camden Place i jeszcze tam, w ojczyźnie.

Księżę opiera głowę na złożonych na blacie biurka rękach. Wstrząsają nim łkania, ale oczy ma suche, ani jednej łzy.

Turkot kół na dworze, prychanie koni, głosy, a potem cisza i nagle kroki za drzwiami. Pukanie. Prędkie, niecierpliwie.

Po co mu przeszkadzają? Chce być sam. Chce samotnie spędzić ten ostatni wieczór w Camden Place. Zanim zacznie nowe życie. Bez ojca.

— Czy można? — podniecony głos Ludwika Conneau.

— Wejść — księżę nie odwraca głowy.

Drzwi otwierają się i za chwilę zamykają się cicho. Czy ktoś wszedł? Czy ktoś jest w pokoju?

Księżę powoli odwraca głowę. Wstaje. Nie jest już sam. Przy drzwiach stoi wysoki szczupły chłopiec. Chyba o pół głowy wyższy od niego i ma taki dziwny wyraz twarzy. I nic nie mówi. Księżę też milczy i patrzy na intruza.

Wysoki chłopiec składa ręce, postępuje krok naprzód.

28

— Lulu... — to nie głos nieznanego chłopca, to szept dawnych dni dzieciństwa, echo przyniesione aż tutaj z pokoju „cesarskiego księcia” w tuileryjskim pałacu. — Lulu...

-- Anto! — krzyczy księżę. — Anto!

Stoją ciasno objęci i płaczą, a może śmieją się, bo i śmiech potrafi wycisnąć łzy.

„Lulu...”, „Anto...” — powtarzają, jak gdyby pragnęli wynagrodzić sobie te lata, gdy nie mieli do kogo zwrócić się tym najmiłszym imieniem przeszłości. „Anto...”, „Lulu...”

II

— Rózo, schodź prędzej, pan Ryszard przyjechał! — Zelia wytarła w fartuch mokre ręce i poprawiła przekrzywiony czepek.

Róża w białym powiewnym peniuarze na nocnej koszuli zbiega ze schodów w swoim własnym domu, który dotąd stanowi jej największą dumę.

Nie jest to żaden pałacyk w modnej dzielnicy, ot, skromny piętrowy pawilon w głębi zacisznego dziedzińca przy ulicy Catinat, tej samej ulicy, gdzie Ryszard Żeran mieszkał przed ślubem.

Wraz z szumem wielkiego miasta wlewa się przez otwarte okna świergot ptaków — chyba wszystkie paryskie wróble upodobały sobie to podwórze obsadzone starymi drzewami!

Mimo ran zadanych pruskim bagnetem Paryż upija się wiosną i młodą Republiką, jak musującym winem z Szampanii. Wszyscy mają na ustach słowo „demokracja”, dzienniki wszelkich partii obrzucają błotem politycznych przeciwników, wynosząc pod niebiosa własnych kandydatów do obu Izb, do Instytutu czy do Akademii.

Nikt nie chce pamiętać o strasznych dniach oblężenia, o głodzie, przedwczesnych zgonach, o butach zwycięzców bijących o bruki stolicy. Wszystko to minęło, jak mija życie, Paryż otrząsa się z tych wspomnień, tak samo jak otrząsnął się z ponurych okrucieństw bratobójczej wojny, zakończonej masową egzekucją niedobitków Komuny.

Teraz jest wiosna, jak niegdyś kobiety stroją się w jasne suknie, wpinają kwiaty we włosy. W Operze triumfuje „Aida”, którą Verdi napisał na uroczystości inauguracyjne Kanału Sueskiego. Niestety, teatr w Aleksandrii nie był wówczas gotów, a opera ta miała być wystawiona właśnie na jego otwarcie. Paryżowi więc przypadł zaszczyt zaprezentowania splendoru faraonów doborowej publiczności. Wśród śpiewaków na afiszu widnieje polskie nazwisko: dwaj bracia Reszke, znani melomanom całej niemal Europy.

30

Elegancki tłum znowu zapełnia kawiarnie na Bulwarach, a wieczorem, po teatrze, spieszy do restauracji na wykwinną kolacyjkę. Któż pamięta o pożeranych tak niedawno temu psach, kotach, a nawet szczurach? Brr... Teraz delectowano się ostrygami, langustą czy sałatką z homarów, najdelikatniejszym pieczystym, kurczakiem z rożna lub dziczyzną. Najwyborniejsze smakołyki są dostępne dla tego, kto ma pieniądze.

W ogóle wszystko jest jak dawniej z wyjątkiem Tuileriów. Na ich miejscu straszą obecnie paryżan okopcone mury, pustymi oczodołami okien ukazujące wypalone i poczerniałe od dymu wnętrza.

Z gmachów publicznych zniknął również orzeł cesarski, strącony kilofem entuzjastów nowego porządku. Gdziekolwiek tylko zapomniany ptak ów kryje się wstydliwie przed republikańskim oknem.

Róża zbiega do niewielkiego westybulu oklejonego pasiastą tapetą. Jak dobrze żyć, czuć się młodą i szczęśliwą! I czekać na Ryszarda, który właśnie wchodzi na stopnie ganku.

Po chwili, przytulona do męża, zapomina o wszystkim, o długiej, bo prawie miesięcznej rozłące, o celu jego podróży, nie od razu też zadaje dręczące ją pytanie:

— Znalazłeś co? Jakiś ślad? Mów!

— Nic — Ryszard przecząco kręci głową, ciaśniej obejmuje Różę i tak złączeni razem wstępują na schody. Zelia nie śmie zakłócać pierwszych chwil czułego powitania, nie potrafi jednak długo wytrzymać w niepewności.

— No i co? Jest jakaś nadzieja?

— Nie, Zelio, jeszcze nic nie wiemy — odkrzykuje Róża, przechylając się przez poręcz schodów. — Ryszard bardzo głodny, podawaj zaraz śniadanie.

O tak, Ryszard jest głodny po dniu i nocy spędzonych w wagonie kolei żelaznej. Głodny i zmęczony. Przede wszystkim jednak smutny, jego podróż nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

— Cały czas krążyłem między wioskami rybackimi od Mentony do Ventimiglii, od Ventimiglii do Bordighery, od Bordighery do Ospedaletti — mówi ucinając czubek jajka tkwiącego w różowym kieliszku. — Znam tam chyba każdy kamień, pytałem kilkadziesiąt osób. Każdy coś słyszał, ale nikt nie potrafi powiedzieć nic pewnego. Uplęnięło już co prawda sporo czasu od wypadku. Ludzie zapominają.

Zelia, stojąca po drugiej stronie stołu z rękami na oparciu krzesła, nie

31

spuszcza oczu z mówiącego, a Róża zapomina o stygnących na talerzu grzankach.

— Właściwie wiemy tylko to, co nam powiedział Waclaw Narzymyński — stwierdza wreszcie Ryszard, odstawiając solniczkę.

— To, co uznał za stosowne nam powiedzieć — trzęsie głową Zelia.

— Może. W tym, co mówił, są pewne niejasności, a gdy zadawałem pytania, nie zawsze otrzymywałem zadowolające odpowiedzi. Jedno nie ulega wątpliwości: Jadwinia z Melą wyjechały powozem na spacer i już

nie wrócili — odsunął talerz i oparł łokcie na stole. — Droga wije się tam wysoko wśród skał, w dole Morze Śródziemne, Alpy schodzą nad sam brzeg, o wypadek nietrudno. Nie każdy woźnica podejmuje się tamtędy jechać. Wygląda to imponująco, ale jednocześnie przeraża. Masyw nazwano Czerwone Skały, dokoła wyjątkowo dzika okolica. Góry opadają tu bardzo stromo ku morzu. Byłem w miejscu, gdzie wydarzyła się katastrofa. Ludzie dziwią się, że wybrały tę drogę. Są tam dwa jak gdyby piętra, jedno szczególnie niebezpieczne o tej porze roku. Podobno Jadwinia uparła się, chciała koniecznie jechać tamtędy, tak przynajmniej twierdzi jej szwagier. On pierwszy zjawił się na miejscu wypadku, był wówczas w Mentonie.

— Boże! — Zelia załamuje ręce. — Tylu wrogów czyhało na to dziecko, a jednak nie dali rady. Gdyby została z nami...

— Dość, Zelio. Przecież wojnę przeżyły na Południu bezpiecznie.

— Co tam wojnę! Najgorszy jest człowiek. Wiem, to ten stryj, fircykowaty panicz o złym spojrzeniu. Raz go tylko widziałam, ale nie dałabym i trzech groszy za jego uczciwość.

— Nie mów tak.

— Dlaczego? Jeżeli to prawda? Panie Ryszardzie, pan go lepiej zna i wie, że to ladaco. Czemu nas nie zawiadomił o nieszczęściu? Dowiedzieliśmy się dopiero z gazet.

— A cóż byś zrobiła? — wzrusza ramionami Róża.

— Co? — zaperzyła się Zelia. — Leciałabym i szukała. I znalazłabym. Przecież jakiś rybak wspominał o dziewczynce, którą fale wyrzuciły na brzeg. A może to była Mela? Może jeszcze żyła? Gdzie teraz jest nasze biedactwo? Czeka od nas ratunku, a my co?

— Jak to co? — zachnęła się Róża. — Ryszard trzy razy jeździł już w tamte strony. Waclaw Narzymski zrobił, co było w jego mocy. Nie żałował pieniędzy. Był wówczas tak blisko i od razu wszczął poszukiwania. Gdyby żyły, gdyby choć Mela się uratowała...

32

P

— Mela żyje — przerywa stanowczo Zelia. — Nasze kochane dziecko żyje. Wiedziałabym, gdyby umarła, czułabym to.

— Szukamy już drugi rok — zauważa pojednawczo Ryszard. — Gdyby żyły, dawno chyba dałyby o sobie znać. Konie i powóz roztrzaskały się o skalisty brzeg, zanim wpadły do morza. Szczątki wyłowiono, ludzi za to ani śladu. A były tam trzy osoby, bo i woźnica... Morze w tym miejscu sięga paruset metrów głębokości. Dziewczynkę, o której mówi Zelia, znaleziono w zatoce wiele mil dalej na wschód. Rzeczywiście uległa wypadkowi, podobno wypadła za burtę i morze wyrzuciło ją na brzeg. Szczęśliwie nic jej się nie stało. W tamtym miejscu nie ma tak niebezpiecznych skał. Jak się dowiedziałem, była to Angielka. Zabrała ją rodzina, z którą od razu wróciła do Londynu.

— Ale pan nie zaniecha poszukiwań, panie Ryszardzie? — głos Zelii drży.

— Właściwie powinniśmy chyba porzucić wszelką nadzieję. Waclaw Narzymski zrobił wszystko, co było możliwe.

— Wierzy mu pan?

— Przestań, Zelio.

— Przecież w jego interesie leży śmierć Meli i bratowej. Jak słyszałam, wszedł już w posiadanie majątku po zmarłych.

— Zelio, jak możesz?

— Nie znasz ludzi, Różo. Nie wiesz, do czego są zdolni.

— Sąd rzeczywiście uznał je za zaginione — Ryszard pokiwał głową. — Zwłok przecież nie odnaleziono. Według prawa Waclaw, jako jedyny spadkobierca, dziedziczy cały majątek brata.

— O to mi właśnie chodziło — Zelia klasnęła w ręce. — Jest wolny, bogaty, może żenić się, z kim zechce, i robić to, na co ma ochotę. Ludzie popełniali zbrodnie dla o wiele mniejszych korzyści.

— Jakie zbrodnie? Waclaw Narzymski nie popełnił żadnej zbrodni. Przecież to był wypadek, tragiczny wypadek.

— Co ty wiesz, co to było? Bogu jednemu wiadomo, nie nam.

— Zostawmy to — Ryszard spogląda kolejno na Zelię i na żonę. — Pojadę raz jeszcze w tamte strony, raz jeszcze pogadam z rybakami, popytam się tych, co mieszkają najbliżej Czerwonych Skał. Już mnie tam dobrze znają, wiedzą, jak mi zależy na wszelkiej, choćby najdrobniejszej, informacji. Mają mój adres i w razie czego zawiadomią. A teraz chciałbym się dowiedzieć, co pisze Anto.

— Jak zawsze zafascynowany księciem — wzdycha Róża. — Szczęśliwy, że są razem, a i Lulu cieszy się podobno, że odnalazł przyjaciela. Biedny Lulu.

3 — Ta

33

Mimo tylu oddanych osób po śmierci ojca czuje się bardzo osamotniony. Anto został już przyjęty do Wojskowej Akademii w Woolwich. Bardzo dobrze zdał egzaminy, choć ma trudności z angielskim. Komisja egzaminacyjna chwaliła wysoki poziom Szkoły Narodowej Polskiej na Batignolles. Żałuję, że przerwał tu naukę, ale uparł się, pamiętasz, jak koniecznie chciał być razem z Lulu. Nie pomogły żadne perswazje.

— W jego wieku perswazje nie mają znaczenia.

— Bardzo przeżyłam decyzję mojego brata. Ale gdy dowiedzieliśmy się

o śmierci cesarza, nic nie mogło powstrzymać go od wyjazdu. Anto jest stanowczy, a Dziaduś utrzymywał, że taki sam był nasz ojciec.

— Może raczej uparty — wtrąca Ryszard. — Z upływem jednak lat dzisiejsza wada stanie się zaletą.

— Jest stały w uczuciach, to prawda — stwierdza poważnie Róża. —

I w każdym liście podkreśla, że jest księciu potrzebny, że Lulu potrzebuje jego bezinteresownej przyjaźni. W akademii zapisano go na kurs o rok niżej od księcia, a razem z nimi uczy się także i młody Conneau, syn doktora. To było ogromnie miłe i dobre dziecko. I też wielki przyjaciel Lulu. Chodźmy na górę, dam ci listy Anta. Zelio, możesz zbierać ze stołu.

— Gdyby mi się udało porozmawiać w cztery oczy z tym łajdakiem — mruczy Zelia stukając talerzami — potrafiłabym z niego wydusić całą prawdę!

— O tam, za tamtym grobowcem — Róża wskazuje omszały kamień. — Tam ją zobaczyliśmy.

Słońce pada prosto na marmurową płytę, w jego blasku ostro występuje nazwisko zmarłych: Ordega.

Róża kładzie kwiaty — dziś są imieniny ojca, Stanisława. Pierwszy raz w tym dniu nie ma przy niej brata.

Dotąd bywali tu zawsze razem, obchodząc w ten sposób imieniny tych, co tu leżą.

— Była taka wystraszona i zziębnięta. — Róża przysuwa się do męża. — I tak ufnie podała mi rączkę i poszła z nami. To dziecko bało się, bało się stryja. Słuchaj, a jeżeli Zelia ma rację?

— Trudno posądzać kogoś, nie zbadawszy sprawy. Nie mamy przecież żadnych dowodów.

34

— Jakich więcej żądasz dowodów? A umieszczenie matki w „domu zdrowia”? A to, że nie szukał Meli, a usiłował wydrzeć nam ją podstępem lub siłą? Tego jeszcze mało?

— Mówiłem ci, to młodzieniec niepoważny i zepsuty. Gdy dziecko znikło, przestraszył się. Obawiał się rozgłosu, dlatego szukał na własną rękę. Potem tłumaczył się przed nami, żałował i przeproszał.

— To nie wystarczy. Fakty pozostają faktami. I nie zapominaj o obawie Meli, wręcz lęku, jaki w niej wzbudzał.

— Doznał wstrząsu na wieść o wypadku — Ryszard powiódł wzrokiem po grobach otulonych młodą zielenią.

— Widziałem go, rozmawialiśmy. Był wprost chory... Chodźmy teraz do pana Hutorowicza.

Pan Hutorowicz, stary, wierny przyjaciel, też leży niedaleko stąd. Wytrzymał wojnę i oblężenie, walki Komuny, ale był już tak słaby, że nie podniósł się z fotela. Umarł we śnie, blisko dwa lata temu.

— Wiesz, ostatnio tak często myślę o Meli — Róża idzie przodem wąską alejką. — Co noc mi się śni.

Wydaje mi się, że mnie woła, słyszę jej głos.

— Nic dziwnego, skoro stale o niej myślisz.

— Widzisz, ja wierzę w intuicję Zelii. Dotąd nigdy jej nie zawiodła. A nie zapominaj — dodaje z uśmiechem

— że właśnie Zelia od początku miała jak najlepsze mniemanie o Miguelu Toreno.

— To rzeczywiście dowód niezaprzeczalny.

— Pojedziesz tam jeszcze, prawda? — pyta prosząco.

— Naturalnie. Tym bardziej...

— Co takiego?

— Nic. Ot, przychodzi mi na myśl... Może nie rozmawiałem ze wszystkimi... Może kogoś pominąłem... Sam nie wiem...

W powrotnej drodze nie wspominają już Meli. Dopiero wysiadając z dorożki, Róża jak gdyby coś sobie przypomniała:

— Anto też wierzy, że Mela żyje — mówi cicho. — I wierzy, że ty ją odnajdziesz.

Jak dobrze wracać do domu, do własnego domu, do domu jej i Ryszarda. Ciemna, przepaścista czeluść bramy otwiera się na oblany słońcem wiosenny pejzaż: prostokątne podwórze obsadzone gęsto drzewami. Wśród kasztanów widać wiązy, graby i topole. Jest także kilka klonów i stara lipa, najstarsza chyba w tym towarzystwie. Kamienne płyty, którymi wyłożono niegdyś dziedziniec, teraz spękane, a niekiedy i porozbijane, pozwalają pnieć się chwastom. Trawa obrzeża więc kamienne kwadraty, wciska się w najwęższą

35

szczelinę, aby żywą zielenią barwić ten naturalny, choć jakże twardy, kobierzec.

W głębi bieje pawilon kryty czerwoną dachówką. Okna pierwszego piętra są szeroko otwarte. Brak co prawda balkonu, na którym przyjemnie byłoby zasiąść w wiosenne popołudnie, ale Róży nie przeszkadza ten mankament, tak jest zachwycona swoim domem.

Trzy kamienne stopnie wiodą na ganek, a przez masywne drzwi wchodzi się do westybulu. Nie ma tu kolumn ani posągów, za to drewniane schody prowadzące na piętro błyszczą niczym lustro, tak je wywoskował Miguel Toreno, ten prawdziwy.

Na parterze jest niewielki salonik, jadalnia, duża kuchnia i pokoiki dla służby. Bo państwo Zeranowie mają teraz służbę. Są to bardziej przyjaciele niż służący, niemniej przydają splendoru domowi i jego mieszkańcom, a Zelia ma kim komenderować. Zelia oczywiście prowadzi gospodarstwo, a Miguel Toreno i jego młodzica siostra Consuelo, którą po śmierci matki sprowadził do Paryża, są jej absolutnie poddani. Zelia zresztą od razu wzięła pod opiekę młodą Hiszpankę, uczy ją francuskiego i domowych robót, postanawia zrobić z niej wzorową pokojówkę.

Ryszard Żeran może z całym spokojem opuszczać dom. Trudno o lepszego opiekuna niż Miguel Toreno.

Na pierwszym piętrze są pokoje „państwa”. W sypialni Dziadusia, żywcem przeniesionej z ulicy Świętego Rocha, nie brakuje niczego, wszystko stoi jak dawniej, a na ścianie pyszni się talerz z Napoleonem.

W tydzień po wizycie na cmentarzu do Ryszarda nadszedł list z Mentony. Arkusik taniego papieru był lekko przybrudzony, a koperta zmięta, jak gdyby długo przebywała w kieszeni, zanim oddano ją na pocztę.

List był krótki, a właściwie stanowiło go jedno tylko zdanie: „Niech pan wszystkich popyta w wiosce Świętej Agnieszki”. Bez podpisu. Słowo „wszystkich” podkreślono.

— Anonim? — dziwi się Róża, gdy Ryszard podał jej papier.

— Widocznie autor obawia się wystąpić jawnie. Czyżby potwierdzało to moją teorię?

— Jaką teorię? Nic mi nie mówiłeś.

— Nie mówiłem, bo dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, że jednego rybaka nie mogłem nigdy zastać w domu. Mieszka między Mentoną a Ventimigią, właśnie w wiosce zwanej Świętą Agnieszką, o której pisze mój anonimowy korespondent. To jakieś dziesięć kilometrów od Mentony.

36

Wioska uciepiona stromej skalnej ścianie liczy ze dwadzieścia chat, nie więcej, byłem tam za każdym razem i znam wszystkich mieszkańców. A oto okazuje się, że wszystkich oprócz jednego. Czyżby się przede mną ukrywał? A jeżeli tak...

— Co to za człowiek? Co przypuszczasz?

— Rybak, jak wszyscy oni. Obchodziłem chaty, pytając po kolei, czy kto czego nie widział, ale jego nigdy nie mogłem zastać. Chata zamknięta. Żona mu zmarła, dzieci nie mieli. Gdy pytałem, nikt nie wiedział, gdzie go szukać. „Wypłynął w morze”, mówiono. Podano mi tylko jego nazwisko: Labourdet. Paweł Labourdet.

— Boże, a jeżeli ten człowiek coś wie? Wie i specjalnie ciebie unika? Ale dlaczego? Co ukrywa?

— Nie wiadomo, czy ukrywa.

— Musisz tam jechać. Koniecznie. Zjawić się w wiosce zniemacka, tak aby nie zdążył uciec. Wiem, że potrafisz go przekonać. Cóż mu przyjdzie z ukrywania prawdy?

— Właściwie jakiej prawdy? — zauważył sceptycznie Ryszard. — Przecież możemy tylko snuć przypuszczenia.

— A dlaczego ciebie unika?

— Może wcale mnie nie unika, może to po prostu zbieg okoliczności. Wypływa w morze, a wówczas ja się zjawiam. Normalne wytłumaczenie.

— W takim razie po co ten list?

— Otóż to. List stanowi zagadkę. I dlatego pojadę. Chcę wiedzieć, kto go napisał i w jakim celu.

Róża mruży oczy, taki blask bije z nieba. Oto stara przyjaciółka, ulica Świętego Honoriusza, jeszcze parę kroków i już jest na ulicy Rivoli. Idzie wzdłuż północnego skrzydła Luwru w stronę Tuileriów. Nie, dziś nie

może oglądać zniszczenia, taki piękny dzień nie pasuje do zgłiszcz. Duchy wywołuje się wyłącznie nocą, najwyżej przy świecy, a nie przy tym triumfującym słońcu.

Mimo takiego postanowienia idzie dalej, widać nogi same niosą ją w tamtym kierunku. Stara się patrzeć w prawo, najlepiej oglądać wystawy sklepowe. Ulica Rivoli słynie z wytwornych magazynów. Jak dawniej... Jednakże nie wszystko jest takie samo, jak przed wojną. Chociażby modei. Któż by dziś nosił tak ambarasujące krynoliny? A jednak było to piękne. Róża wzdycha, spoglądając na odbitą w szybie wielkiego magazynu powłóczęstą sylwetkę z

37

:/!

niewielką tylko tiurniurą z tyłu. Minęło, wszystko minęło. Cesarstwo, Tuilerie i krynoliny. Widocznie tak być musi. Zmiana jest konieczna. Francuzi wydają się zachwyceni republiką. Są wolni i niezależni, mogą wybierać odpowiadającą im formę rządów.

Północne skrzydło Luwru kończy się pawilonem de Marsan. To już Tuilerie. I wszystko wydaje się nietknięte, bo przecież pałac stoi. Mury są całe. Tylko przez puste okna widać błękit wiosennego nieba. Jest wszystko prócz dachów i tego, co było w środku. Tego piękna. Kamień i marmur ocalały, lecz te inne twory także ludzkiej ręki, o tyle bardziej kruche i nietrwałe, pożarły płomienie.

Róża zadziera głowę. Brak dachów obnaża jakże wysokie kominy. Zazwyczaj widoczna jest jedynie ich część, teraz za to sterczą niczym upiorne szubienice: ustawione w szeregu do jakiejś gigantycznej egzekucji.

Róża podchodzi do bramy. Tędy szło się do szwalni i do pracowni hafciarki. W przejściu pełno gruzu. Zagląda na dziedziniec. Jak cicho! Gdzie podziali się gwardziści w barwnych mundurach, zaaferowana służba, powozy i karety zajeżdżające pod główne wejście? Tak tu zazwyczaj bywało gwarno, tętniło życie. W lśniących szybach pustych teraz okien odbijało się niebo, chmury lub obłoki, a koronkowe firanki nie przepuszczały niedyskretnych spojrzeń, strzegąc intymności komnat i pokojów.

A teraz wszędzie gruz. Poobijane marmurowe odrzwia świadczą o ręce wandalą gravsującego tu po pożarze. Nawet wówczas, gdy szalał ogień, wykoszono stąd co się dało. Nie tylko zresztą złodziej zakradał się do opustoszałego pałacu. Róża na przykład wie, że kapelan Tuileriów, ksiądz Laisne, zjawił się tu nazajutrz rano po ucieczce cesarzowej Eugonii. Był w świeckim stroju i nikt go nie poznał. Poszedł prosto do pałacowej kaplicy i zabrał księgę metrykalną rodziny Bonapartych. Po to, by ją przesłać do Anglii. Bullą papieską z 1857 roku kaplica tuileryjska została uznana za kaplicę parafialną i jako taka prowadziła rejestr chrztów, ślubów i zgonów rodziny cesarskiej.

Róża staje w środku dziedzińca. Stąd może objąć wzrokiem poczerniałe i poranione fasady głównego trzonu i bocznych skrzydeł. Aż dziw, że pałac stał trzysta lat nietknięty, wydany jedynie w ręce architektów, dokonujących przeróbek w guście każdej nowej epoki. A teraz wystarczyło jednej nocy, by zniszczyć to, co budowały liczne pokolenia, stale upiększające tę królewską siedzibę. A nade wszystko pragnące pozostawić po sobie ślad, pamiątkę. Pamiątkę po czasach i ludziach, którzy dawno odeszli.

38

Mówią, że ogień oczyszcza, ale jednocześnie niweczy, wszystko zamienia w popiół. Ostać się może jedynie kamień. Tak, kamień odrobiony dłutem artysty, jak na przykład ta arkada zwieńczona architrawem z promieniejącą twarzą Króla-Słońce w środku.

Róża wodzi palcem po wgłębieniach żłobkowanej kolumny. Pył pokrył marmur bogato rzeźbiony w renesansowe wzory pod jońskim kapitelem. Z nisz pierwszego i drugiego piętra wychylają się posągi i popiersia rzymskich imperatorów. Nie uciekły przed pożarem, nie opuściły wyznaczonych im niegdyś miejsc, świecą nadal białą nagością marmuru. Jest i balustrada na szczycie. Ale co to? O Boże! Zegar! Czy to możliwe? Zegar nad fasadą! Zatrzymał się na godzinie za pięć dziesiąta!

Gdyby nie okna, nietrudno byłoby wyobrazić sobie, że Tuilerie żyją, choć opuszczone chwilowo przez mieszkańców. O, na przykład te schody z poręczą z kutego żelaza w pawilonie de Bullant. Do rzeczywistości przywołuje ją jednak zięjący zniszczeniem otwór w miejscu drzwi, założony teraz deskami.

Róża wraca do głównego trzonu pałacu. Odważnie stąpając wśród gruzu, wchodzi do westybulu. Nad głową niebo, zapadły się posadzki kilku pięter. Naprzeciw wejścia, w okaleczanej niszy, trwa bohatersko grecka bogini w hełmie, z dzidą w ręku, drugą ręką zgarbiając fałdy marmurowego chitonu.

Straszno! Nie można iść dalej. Róża rozgląda się, kędy mogłaby wejść w głąb pałacu. Oto miejsce, gdzie była kaplica. Nie pozostało z niej nic. Ukośne promienie słońca złocą zwały gruzu zalegające posadzkę. Jest tylko wgłębienie na ołtarz, obrzeżone smukłymi jońskimi kolumnami.

A oto schody. Wspaniałe schody, duma Tuileriów. Nie dały się płomieniom. Róża wbiega na pierwsze piętro. Nietknięte! Piękny stiukowy sufit nietknięty! Te drzwi to Sala Marszałków. Za progiem przepaść. Nie ma marszałkowskiej sali. Nie ma nic, nawet zwierciadeł. Pozostały jedynie, przytulone do ścian, podtrzymujące je dawniej konsole na wygiętych lwich łapach.

Róża schodzi powoli, ostrożnie stawia stopy, nic prawie nie widzi, bo łyzy... Mogłaby głośno płakać, krzyżeć nawet, nie wzruszyłyby to nikogo. Najwyżej odezwałoby się echo, snujące się wśród osmalonych murów.

— Dzień dobry panience.

Róża odwraca się. Czyżby wśród tej martwoty zachował się żywy człowiek?

— Panienka mnie nie poznaje? To ja, Józef Sadoul z cesarskiej służby. Z odlupanego bloku marmuru podnosi się ciężko starszy mężczyzna z siwymi

40

faworytami. Józef Sadoul! Naturalnie, że go poznaje. Taki zawsze grzeczny i usłużny i tak godnie wyglądał w szkarłatnej liberii.

— Józef Sadoul — powtarza Róża, a łyzy nie przestają płynąć. — Jakże się cieszę. Co pan tu robi?

— Nic. Siedzę na tym kamieniu i patrzę. I widzę wszystko tak, jak było dawniej. Nie mam nikogo, straciłem całą rodzinę, a jestem już za stary, by zaczynać nowe życie. Starym nic nie potrzeba — dodaje z goryczą. — Wystarczą im wspomnienia. A panienka nadal haftuje? Może w szwalni pani Benoit?

— Nie. Wysłałam za mąż. To pani Benoit ma szwalnię?

— Tak. Spotkałem ją raz. Opowiadała, że otworzyła magazyn i szwalnię, ma sześć panien. Zapomniałem tylko, na jakiej ulicy. Pójdę już — popatrzył na zatrzymany zegar. Z przyzwyczajenia. — Ot, ciągnie do starych kątów i zaglądam tu od czasu do czasu. Do widzenia panience. — Wolno poszedł w stronę bramy. Więc nie ona jedna... Józef Sadoul także, a może i inni...

Róża rozgląda się po pustym dziedzińcu. Dawno już ścichły kroki Józefa Sadoula. Jest znowu sama w tym ogromie Tuileriów, zupełnie sama. Patrzy prosto przed siebie i widzi ciemny otwór, wejście, przez które mogłaby dostać się do wnętrza pałacu. Poznaje. To boczne drzwi do apartamentów cesarza. Dobrze pamięta ów straszny wieczór. Padał wówczas śnieg, a ona szła do pani Carette. Było równie cicho i pusto na tym dziedzińcu. Posłyszała głosy i rozmowę po polsku. Straszna rozmowa. I właśnie tam, przed tymi drzwiami napadnięto na Ryszarda wychodzącego od cesarza.

Deska zasłania pusty otwór, ale łatwo ją odsunąć i przedostać się do wąskiego antyszambru.

Na prawo drzwi do gabinetu cesarza. Niebezpiecznie jednak wchodzić do środka, część stropu zapadła się, ale część wisi niepokojąco nisko, gotowa runąć za lada podmuchem.

Róża ogarnia wzrokiem wypalone wnętrze. O, tu stało biurko, a tu fotel, na którym cesarz ją posadził.

Tamtymi drzwiami wszedł lokaj z winem na tacy.

Coś ciągnie ją w tamtą stronę, jakaś niewytłumaczalna ciekawość. Posuwa się wolno wzdłuż ściany, nie spuszczać oczu ze zwisającego sufitu.

Nagły szelest przykuwa ją do miejsca. Stoi z mocno bijącym sercem, wpatrzona w pusty otwór, który wówczas zamykały dwuskrzydłowe drzwi z opuszczoną portierą. Cisza. Ktoś tam jednak jest, przyczaił się — myśli Róża. Stoi tak blisko, że ręką dotyka muru pod wypaloną futryną.

Trącony nieopatrznie kawałek gruzu przeraża tajemnicze stworzenie, kryjące się wśród ruin. Z otworu drzwi wyskakuje kot, szary, pręgowany i bardzo chudy. Otarłszy się nieledwie o jej nogi, wypada na dziedziniec.

Róża chwilę nasłuchuje, ale w dalszych pokojach nie ma już nikogo. Można bezpiecznie iść naprzód. Jaki piękny kominek! Biały marmur delikatnie rzeźbiony zachował świeżość i połysk, jak gdyby zaledwie wczoraj przetarto go miękką ściereczką umaczaną w płynnym wosku, a potem wypolerowano.

Przytulona do ściany, posuwa się w stronę kominka, kładzie ręce na blacie, patrzy w puste ramy po wydartym lustrze. Końcem bucika rozgarnia gruz zalegający palenisko.

Krata z misternie kutego żelaza zachowała wyraźny rysunek cesarskiego orła. Coś błyszczy wśród kawałków gruzu zmieszanego z popiołem. Róża pochyla się, zdejmując rękawiczkę i wygrzebuje niewielkie blaszane pudełeczko, poczerniałe i pogięte.

Pudełeczko nie sposób otworzyć, straciło właściwy mu kształt, dziw tylko, że nie uległo kompletnemu zniszczeniu w płonącym jak zapalony stos pałacu.

Róża wyciera chusteczką nieforemne wieko. Niestety, nie otworzy bez pomocy noża. Ciekawość jest tak wielka, że nie pozwala czekać. Róża rozgląda się za jakimś narzędziem. Kawałek odbitego marmuru doskonale zastępuje nóż. Róża mocuje się z oporną blachą, wreszcie podważa wieczko.

Wewnątrz leży złożony w kilkoro pozółkły skrawek papieru, istny cud, że nie spalił się podczas pożaru. A może pudełeczko znalazło się tu już po katastrofie? Kruchy papier nieledwie rozpada się w palcach. Trudno coś odczytać. Wygląda to na jakieś pokwitowanie lub rewers. Najwyraźniejszy jest podpis: „W. Narzymiski”. Co to znaczy? Czyżby Wacław Narzymiski? Stryj Meli? W nieczytelnym tekście można jedynie rozpoznać cyfry „100 000”. A potem coś jakby „franków”. Róża czuje lęk. Kto rzucił do kominka to dziwne pudełeczko z niepokojącą zawartością? I kiedy? Kto tu był przed nią i czego szukał w apartamentach cesarza? A jeśli przyjdzie znowu? Teraz? I zastanie ją z pudełeczkiem w ręku?

Drżącymi palcami otwiera woreczek, chowa blaszane puderko. Nikt jej przecież nie widział. Nie ma tu nikogo. A Józef Sadoul? Jeśli był Józef Sadoul, może być i ktoś inny, ktoś straszny. Lęk rośnie. Najlepiej uciekać z tych ruin, bo to już tylko ruiny. Sunąc wzdłuż ścian, wydostaje się wreszcie na zalany słońcem dziedziniec.

Nie ma nikogo, boi się niepotrzebnie. Jest tak jasno, że nie może jej spotkać

42

nic złego. Nieszczęścia zdarzają się wyłącznie w ciemności. A to są przecież Tuilerie, jej Tuilerie. Na próżno stara się uspokoić. Nikt rozsądny nie lęka się nieboszczyka. A Tuilerie umarły, są już tylko trupem, którego zapomniano zamknąć w trumnie.

Pod powieki wciskają się światła — to świece w pająkach — i obrazy. W uszach brzmiały głosy, głosy ludzi, którzy nigdy tu nie powrócą. Nigdy. Tu pozostała już tylko śmierć. Życie jest na zewnątrz, pełne blasku i kolorów wiosny. Czego tu właściwie szukać? Przeszłości?

Róża ucieka teraz od wspomnień. Potykając się biegnie dziedzińcem do bramy. Po co tu przyszła? Miała przecież odwiedzić chorą panią Grabską. Dlaczego zawędrowała aż tutaj?

Majowe barwy szarzeją, przysypane popiołem Tuileriów. Jak smutno! I dlaczego nie ma przy niej Ryszarda? Nie ma nikogo. Anto daleko, a Mela...

Nieznosny ciężar uciska serce. Pociechę może znaleźć jedynie u Zelii. Tak, dobra, wierna Zelia nigdy jej nie opuści.

Minęła ochota na przechadzkę. Świat jest obcy i wrogi. Napawa lękiem. Bezpiecznie poczuje się dopiero w domu, we własnym domu.

Zelia od razu wie, że Różę spotkało coś przykrego.

— Gdzie byłaś? — pyta zrzędlawie. — Chyba nie u pani Grabskiej?

— Nie. Byłam w Tuileriach.

— W Tuileriach? — Zelia przygląda się jej podejrzliwie. — A po co?

— Sama nie wiem.

— Nie trzeba tam chodzić — decyduje — to gorsze niż cmentarz. A w ogóle...

Róża wie, że Zelia nie jest z niej zadowolona. Są takie różne sprawy, a szczególnie jedna. Od dawna oczekuje dziecka. „Dom bez dziecka to jak pustynia” — powtarza. Ale cóż na to poradzić? Doktor Rivoire zapewnia, że przyczyną są wyłącznie nerwy. I uśmiecha się wyrozumiale. Nic dziwnego, przeżycia wojenne nie mijają bez śladu. I choć teraz Róża jest szczęśliwa, bardzo szczęśliwa, myśl o Meli czarną chmurą kładzie się na jej niebie.

Nie może zapomnieć rozpaczy brata na wiadomość o katastrofie.

— Pożegnałem ją jak obcą — szlochał. — A przecież to nasza Mela, nasza... — nie mógł się uspokoić. — A ja gniewałem się na nią, tak długo się gniewałem... Boże, gdybym wiedział... — Taki duży chłopiec jak Anto nie wstydził się łez.

Róża przypuszczała wówczas, że właśnie pod wpływem owego nieszczęścia

43

dojrzał w nim zamiar wyjazdu do Anglii. Tam był Lulu, najdroższy przyjaciel, osierocony teraz po śmierci cesarza.

Róża miała nadzieję, że przy księciu chłopiec zapomni nieco o dręczącym go bólu, dlatego nie oponowała zbyt energicznie, gdy wyraził chęć opuszczenia Paryża. Ryszard zresztą był tego samego zdania.

Rozstanie z bratem jednak ciężko przeżyła. Rozstawali się przecież pierwszy raz w życiu.

— Nigdy bym ciebie nie opuścił — powiedział Anto przy pożegnaniu — gdybyś zostawała sama z Zelią. Ale teraz masz Ryszarda, mogę więc być zupełnie spokojny.

To prawda, teraz nie była już sama.

Katastrofa, w której zginęła pani Narzymska z córką, wydarzyła się podczas powstania Komuny, i dopiero w jakiś czas potem doniosły o niej gazety. Ryszard właśnie wrócił do Paryża.

Nie widzieli się od owego październikowego dnia, gdy wraz z Leonem Gambettą wymykał się balonem z oblężonej stolicy. Gambetta miał w Tours utworzyć rząd, organizując jednocześnie na prowincji obronę śmiertelnie zagrożonej ojczyzny. Misją Ryszarda było uformowanie wojskowych oddziałów z Polaków rozrzuconych w środkowej i południowej Francji. Wiedziała, że misję tę wypełni do końca, wbrew wszelkim niebezpieczeństwom.

Zadanie Gambetty też nie należało do łatwych. Zwoływać ludzi pod broń w kraju, gdzie nie było obowiązkowej służby wojskowej! Prusy górowały więc nad Francją nie tylko doskonałością armat opuszczających fabryki Kruppa.

Gambetta był urodzonym mówcą i mało kto potrafił oprzeć się sile jego wymowy. „Chyba Bóg stworzył go po to, by przemawiał do tłumów” — mówiono. Obok serca umiał poruszyć i sumienie. Znajdował zawsze najbarwniejsze porównanie, słowa odpowiadające najlepiej potrzebie chwili. Rozumieli go nawet najmniej rozgarnięci. Zaciekły republikanin nie zawahał się w czasie największej świetności Drugiego Cesarstwa wykazać, jak szkodliwe były skutki zamachu stanu księcia prezydenta. W sześć miesięcy później Paryż wybrał Gambettę na swojego przedstawiciela do Izby Poselskiej. Wówczas to pożegnał się na zawsze z adwokaturą, miał teraz o wiele szersze audytorium niż sala sądowa.

Jako członek Rządu Obrony Narodowej potrafił zorganizować w Tours armię, znalazł żołnierzy, oficerów, amunicję i broń.

Jego armia, Armia Loary, jak ją nazywano, po zwycięskiej bitwie pod Coulmiers szła z odsieczą na Paryż. Niestety, zdrada — jak sądzono —

44

marszałka Bazaine'a przekreśliła wszelką możliwość ratunku. Armia niemiecka, oblegająca dotąd Metz, ruszyła na zachód. Sto kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy francuskich zamkniętych w Metz dostało się do niemieckiej niewoli, francuskie armaty huknęły przeciw Francji.

Zima była wyjątkowo ciężka, dała się we znaki tym nie wyćwiczonym w trudach wojny, źle ubranym i niedożywionym ochotnikom. W styczniu dowódca Armii Loary, generał Chanzy, został zmuszony wycofać się na zachód. Trzymały się jeszcze niedobitki armii generała Faidherbe, którą Niemcy rozbili pod Saint-Quentin. Całą nadzieję ratunku widziano teraz w armii generała Bourbaki. Szła ona na wschód z zamiarem odbicia Belfortu i zajęcia Alzacji. Mimo zwycięstwa pod Villersexel, otoczona przez Prusaków, musiała przekroczyć granicę Szwajcarii. Tam ją rozbrojono.

Paryż więc na próżno oczekiwał wyzwolicieli. Rząd Obrony Narodowej uznał niemożność dalszego prowadzenia wojny.

Ryszard z oddziałem rodaków był wszędzie: do przegranej pod Le Mans w Armii Loary, z generałem Faidherbe, aż do ostatecznej klęski, wreszcie wraz z armią generała Bourbaki przeszedł szwajcarską granicę. Zgromadzenie Narodowe, obradujące w Bordeaux, złożyło władzę wykonawczą w ręce Adolfa Thiersa, drugiego obok Gambetty wybitnego republikanina.

Pierwszego marca 1871 roku Thiers podpisał z Bismarckiem traktat pokojowy, a gdy straszne warunki owego traktatu odczytywał przed Zgromadzeniem, płakał. Powodem łez nie były pieniądze, owe pięć miliardów, które należało zapłacić, Thiers płakał nad losem Alzacji i Lotaryngii, przechodzących pod pruskie panowanie, płakał, bo mieszkańców tych dzielnic Francji potraktowano jak bydło domowe, które, sprzedane na targu, zmieniało gospodarza. Jakże inaczej postąpiono przed czterdziestu laty z mieszkańcami Nicei i Sabaudii! Zapytani wówczas o zdanie, za własną zgodą zostali obywatelami Francji.

Zaledwie zakończono wojnę z Prusami, oto druga wojna, tragiczniejsza, bo domowa, spadła na Francuzów. Wielu republikanów podejrzewało Zgromadzenie Narodowe o monarchi-styczne skłonności. Lud pragnął zmian społecznych. Klęska rozgorczyła serca, rozpałała umysły. Przyjęte przez rząd ciężkie warunki pokoju oburzyły najgorętszych patriotów. W Paryżu utworzono rząd rewolucyjny nazwany Komuną. Zgromadzenie Narodowe, które tymczasem przeniosło się

45

z Bordeaux do Wersalu, wysłało armię pod dowództwem marszałka Mac-Ma-hona na podbój stolicy. Straszne było to drugie oblężenie Paryża! Prusacy nie wycofali jeszcze wszystkich wojsk z Francji, z jakąż więc satysfakcją słuchali bratobójczej kanonady, oglądali dymy i luno stojące nocą nad Paryżem. Wydawało

się, że oto Francja, wykrwawiona i pobita, podniosła omdlałe ramiona, by w napadzie szaleńczej furii samobójczą śmiercią położyć kres narodowej egzystencji.

Nie bez powodu Wiktor Hugo nazwał ów 1871 rok „straszliwym rokiem”. W historii Francji nie było chyba drugiego równie ponurego okresu.

Trzecia Republika, choć narodziła się z klęski i wyrażała dążenia ogromnej większości obywateli, nie stanowiła jednak ostatecznej i zaakceptowanej przez ogół formy rządów.

Nie mylili się ci, którzy Zgromadzenie Narodowe posądzało o monarchistyczne skłonności. Czterystu na siedmiuset jego członków rzeczywiście opowiedziało się za przywróceniem monarchii, nie wiedzano tylko, komu zaofiarować koronę.

Dla legitymistów jedynym kandydatem był hrabia Chambord, wnuk Karola X, ostatniego Burbona na francuskim tronie. Orleanistom marzył się hrabia Paryża, czyli wnuk Ludwika Filipa. Bonapartyści nie pozostali w tyle i również podnieśli głowy. Dla nich prawowity dziedzic korony to syn Napoleona III.

I kto wie, jak krótkotrwała okazałaby się ta Trzecia Republika, gdyby nie upór hrabiego Chambord. Miał rację prezydent Thiers mówiąc: „Nie da się zaprzeczyć, iż rzeczywistym założycielem republiki we Francji jest hrabia Chambord”.

Ten, którego monarchiści nazywali Henrykiem V, a który przybrał tytuł od zamku Chambord, otrzymanego w urodzinowym darze, był nieprzejednanym wrogiem trójkolorowego sztandaru. Bo o ten właśnie sztandar, symbol rewolucji, rozbiły się wszelkie pertraktacje między Zgromadzeniem Narodowym a pretendentem.

„Francuzi! — głosił manifest hrabiego Chambord do narodu — Henryk V nie może zaprzeczyć się białego sztandaru Henryka IV! Moja osoba jest tu niczym, wszystkim jest zasada”.

Dla tej więc zasady niedoszły Henryk V „własnoręcznie pogrzebał monarchię, okrywając ją białym całunem” — oto słowa, jakimi legitymiści pożegnali nie spełnione, a bezpodstawne już nadzieje.

46

Podczas tych monarchistycznych perturbacji prezydent Thiers pracował usilnie nad ostatecznym ustanowieniem republiki. Niestety, obalony większością głosów, dwudziestego czwartego maja podaje się do dymisji. Na jego miejsce wybrany zostaje marszałek Mac-Mahon.

Wyjmując z komody rękawiczki, Róża natrafiła na blaszane pudełeczko. Zupełnie o nim zapomniała, ale czyż można myśleć o czymś innym, gdy nie nadchodzi tak niecierpliwie wyczekiwany list od Ryszarda?

— Coś pan Ryszard za długo milczy — zauważyła Zelia przy śniadaniu. Róża nieledwie umiera z niepokoju. Otrzymała od męża dwa liściki, jeden

z Mentony zaraz po przybyciu, drugi z Ventimiglii. „Mam się dziś spotkać z Pawłem Labourdetem” — pisał Ryszard, a oto mija tydzień i nie ma żadnej innej wieści.

— To mi się nie podoba. — Zelia po swojemu trzęsie głową.

— Mój Boże, Zelio, czy przypuszczasz...?

— Nic nie przypuszczam — Zelia widzi przerażenie na twarzy Róży. — Pewnie jest bardzo zajęty, zresztą poczta chodzi, jak chce. Może jutro przyjdzie kilka listów naraz. Tak już przecież bywało.

Róża jednak nie potrafi opanować niepokoju, żeby więc dowiedzieć się czegoś konkretnego, wysyła Miguela Toreno do stryja Meli.

Hiszpan nie zastał go. Dom zamknięto. Młody Narzyski podróżował.

Gdy minęło jeszcze parę dni bez wiadomości, Róża wiedziała, że Ryszarda spotkało coś złego. Miguel Toreno był tego samego zdania.

— Pojadę — oznajmił. — Dłużej nie można zwlekać. Jestem pewien, że don Ricardo potrzebuje pomocy.

Nazajutrz po wyjeździe Hiszpana Róża pokazała Zelii metalowe puzderko.

— Co o tym sądzisz? — spytała opowiedziawszy, gdzie je znalazła. Zelia długo wpatrywała się w poślódką kartkę, obracała papier na wszystkie

strony, nawet wahała, ale te oględziny nie doprowadziły do wyjaśnienia tajemnicy.

— Wiesz co — powiedziała wreszcie wkładając kartkę do pudełeczka — może byśmy pojechali w aleję Cesarzowej?

— Po co? — zachnęła się Róża. — Przecież tam nikt nie mieszka.

— Nie wiadomo — Zelia lubiła zagadki. — Co szkodzi zobaczyć?

47

Pojechały po południu wynajętym fiakrem.

Trudno było poznać aleję Cesarzowej. Wojna pozostawiła tu bardzo widoczne ślady. Ulica opustoszała, wydawała się wymarła, białe ściany pałacyku Narzymskich poorały kule, ogród zarósł chwastem. Na głucho zawarta brama nie chroniła jednak domu przed przygodnym, a niepożądanym lokatorem. Furtka wyrwana z zawiasów, skrzypiąc chwiała się, poruszana wiatrem. Domek dozorczy, od dawna widać opuszczony, padł również ofiarą wandalii.

Masywne drzwi frontowe i zamki zbyt skomplikowane, jak na prymitywne narzędzia, oparły się brutalnej sile przypadkowego włamywacza.

Zniszczenie dokonywało się powoli, każdego dnia i jedynie natychmiastowa pomoc mogła jeszcze uratować biały pałacyk przed kompletną ruiną.

Róża nie zdołała wydobyć głosu ze ściśniętej krtani.

Była tu raz z Ryszardem wkrótce po jego powrocie z wojny. Pałacyk, już wówczas nie zamieszkanym, nie był jednak w stanie takiej dewastacji. Owszem, oblężenie dało mu się we znaki, dziurawiąc białe ściany, ogałając wnętrza z tego, co zdołał unieść pruski żołdak lub rodzimy złodziej, a może po prostu człowiek potrzebujący, który stracił wszystko.

Kuchenne drzwi zastali wtedy otwarte — zamek wyłamano. Boże, z jakim strasznym uczuciem wchodziła na schody, uczepona ramienia Ryszarda, wsłuchana w tę jakąś przerażającą ciszę, jak gdyby otwartego grobowca.

Zajrzeli do pokoików Meli. Poszła prosto do ściany, na której niegdyś wisiał talerz z Napoleonem, ale teraz ściana była pusta.

. — Matko Boska, nie ma talerza! — dotknęła różowej tapety. — Kto go zabrał?

— Złodziej. — Ryszard spoza zmarszczonych brwi omiół wzrokiem gabinecik Meli. — A raczej barbarzyńca — wskazał połamane krzeselko i strzaskaną etażerkę.

— Talerz z Napoleonem — jęczała Róża. — Boże, Boże. Chodź, poszukamy, może go stłuczono i gdzieś tu leży.

Ale talerza ani jego szczątków nigdzie nie znaleźli. Przeszukali cały dom. Na próżno.

Róża była niepokieszona.

Następnego dnia Miguel Toreno deską i gwoździami, jak mógł, zabezpieczył kuchenne drzwi.

Po tragedii koło Czerwonych Skał właścicielem pałacyku został młody pan Narzyski. Ryszard i Róża nic już tu nie mieli do roboty. Ale nowy właściciel

48

nie kwapił się z przywróceniem dawnego blasku siedzibie brata. Pozostawił ją jak gdyby własnemu losowi, wynajmując dla siebie elegancką antresolę przy ulicy Varenne: „Do czasu, aż się ożenię — oznajmił Ryszardowi. — Potem zobaczymy. Moja przyszła żona zadecyduje”. Tymczasem nie spieszył się z ożenkiem, a pałacyk zdawał się go nie interesować.

— Jaka ruina, jaka ruina — jęczy Róża, gdy wraz z Zelią znalazła się na zarośniętym zielskim podjeździe. Zelia rozglądała się na wszystkie strony. Zdawała się nasłuchiwać odgłosów z wnętrza domu. Ale wszędzie panowało isticie cmentarne milczenie.

— Czego tu szukać, Zelio? — wstrząsnęła się Róża. — Chodźmy stąd prędzej. To gorsze niż Tuilerie.

O tak. Ta ruina była o wiele gorsza.

Tuilerie, wypalone i jak gdyby oczyszczone ogniem, otwarte na niebieski firmament, przypominały kościec olbrzyma rzuconego na gigantyczne mrowisko. Białą czystością, obrany doszczętnie z mięsa, bez jednej plamki. Pałacyk Narzyskich przerażał ciemnym wnętrzem, otworem wybitej szyby patrząc w bezgwiezdną noc. Co kryło się za ścianami, w których kule wyżłobiły nieczytelne arabeski?

Deska zamykająca kuchenne drzwi trzyma się już tylko na jednym gwoździu i Zelia bez trudu wchodzi do sieni.

— Po co wchodzić? — Róża mówi szeptem. — Doprawdy, Zelio...

— Nie wiem — przerywa Zelia. — Coś mnie ciągnie...

— Boję się. A nuż ktoś tam jest?

— Poczekaj na mnie na dworze — Zelia kładzie palec na ustach. — Ja muszę zobaczyć.

— Nie, nie. Nie rozłączajmy się.

— Jak chcesz.

Otoczyła je cisza i ciemność. Róża wpija palce w ramię Zelii. Na kuchennym stole stoją resztki jedzenia i opróżniona do połowy butelka czerwonego wina.

— Ktoś tu jest...

— Ktoś tu mieszka — poprawia Zelia.

— Błagam cię, wracajmy.

— Ani myślę.— Zelia ściska rękę Róży. — Nie bój się.

Pokój kredensowy najbardziej chyba ucierpiał od nieproszonych a bezceremonialnych mieszkańców.

Podłogę zaścierały potłuczone naczynia, wśród skorup starej porcelany

4 — Taler? z Napoleonem

49

walały się brudne i pomięte adamaszkowe obrusy, używane widać do innych celów, niż to im przeznaczono. Wyrzucone na podłogę szuflady, opróżnione z cennej zawartości, świadczyły jak najgorzej o obecnych lokatorach pałacyku.

Zelia z determinacją pchnęła drzwi do jadalni. W półmroku zamajaczył owal stołu otoczony krzesłami. Kilka z nich odsunięto, jak gdyby biesiadnicy niedawno wstali od obiadu. Talerze i szklanki wskazywały, że było ich dwóch.

Zelia pochyliła się nad stołem, dotknęła brudnego talerza, po czym zdecydowanym krokiem posunęła się w stronę najbliższych drzwi.

— Tam jest salon — wionęła Róża.

Znalazły się w zupełnych ciemnościach. Ciężkie kotary zasłaniały okna. W dawno nie wietrzonym salonie unosił się ostry zapach tytoniu, od razu też wyczuły obecność człowieka.

— Czy to pan Fabian? — głos był gruby i burkliwy, dochodził spod przeciwległej ściany. — Zjadłbym coś. A pieniądze pan przyniósł? Dość mam tego siedzenia po ciemku jak szczur.

Zelia ścisnęła rękę Róży aż do bólu i bezszelestnie pociągnęła ją za sobą.

— Kto tam? — zapytał nieznajomy.

Słyszały, jak klnąc gramolił się z legowiska. W tej samej chwili dobiegły ich kroki. Ktoś zmierzał dziedzińcem prosto do kuchennych drzwi.

Zdażyły jedynie dobiec do kredensowego pokoju i wśliznąć się do jakiegoś schowka. Na szczęście była tam zasuwka. Dopiero wówczas poczuły się jako tako bezpieczne.

Tymczasem mieszkaniec salonu doszedł do kuchni i tu spotkał się z nowo przybyłym.

— Co pan mnie straszy? — zauważył burkliwie.

— Kto tu był? — „pan Fabian” zignorował pytanie.

— A był ktoś? — zaniepokoił się człowiek. — Myślałem, że to pan.

— Deska na drzwiach odsunięta. Kto tu był? Mów, bo inaczej...

— Myślałem, że to pan — powtórzył gruby głos.

— Przecież ci mówię, że nie ja! — krzyknął „pan Fabian”. — Gadaj, kto tu był?

— Nie wiem.

— Ej, coś kręcisz. Ale uprzedzam, że mną tak łatwo nie pójdzie, jak z tym...

— Dobrze, dobrze — burknął człowiek. — Po co mlec ozorem bez potrzeby. Pieniądze są?

50

— Na pieniądze trzeba zapracować — wygłosił sentencjonalnie „pan Fabian”.

— A co, może nie dotrzymałem umowy? — zachrypiły śmiech przejął dreszczem zamknięte w schowku kobiety. — Pan też niech dotrzyma, co obiecał. Mnie chodzi tylko o pieniądze. Więc jak? Ma je pan?

— Jeszcze raz pytam, kto tu był?

— Do diabła, nie wiem. Spałem! — ryknął wyprowadzony widać z cierpliwości człowiek. — Jeśli kto i był, to co?

— Chodź przeszukać dom — zimny głos „pana Fabiana” nie wróżył intruzom nic dobrego.

Kroki oddaliły się, skrzypnęły otwierane i zamykane drzwi. Ciężkie stąpania głucho zadudniły po posadzkach, po czym mężczyźni zaczęli wchodzić na schody.

— Teraz — szepnęła Zelia. — Uciekajmy!

Nie zachowując koniecznych ostrożności, przebiegły kuchnię i wypadły na dziedziniec. Okrążyły dom i wydostały się na ulicę. Nie oglądając się poszły prędko przed siebie. O dorożce nie było co marzyć.

— Już wszystko jasne — wysapała Zelia. — Ten łotr Fabian ukrywa tu Pawła Labourdeta. Gdybym była sama, nie uciekałabym, wydostałabym z niego prawdę.

— Och, Zelio, co mówisz? Przecież to bandyci. Są gotowi na wszystko.

— Ja też — warknęła Zelia.

Gdy wreszcie na Polach Elizejskich natknęły się na wolnego fiakra, Zelia bez tchu prawie opadła na poduszki.

— Na bulwar Montparnasse — krzyknęła dorożkarzowi — co koń wyskoczy! — a do Róży dodała ciszej:

— Do rotmistrza Brackiego.

III

— Gdzie ja jestem?

— No, nareszcie pan przemówił!

— Gdzie ja jestem?

— Do licha, nie czuje pan kołysania? Nie znam lepszej galeoty od mojej dwumasztowej „Kastylii”.

Okrągłe okienko kajuty wypełnia błękit śródziemnomorskiego nieba. Marynarze widać myją pokład, słysząc wyraźnie tupot ich bosych stóp i odgłos szorowania. Gdzieś daleko wrzeszczą mewy.

Ryszard podniósł rękę do czoła. Całą głowę miał obwiązaną.

— Zważyłem już o pańskim życiu — szczupły śniady mężczyzna pochylił się nad leżącym. — Ale złego licha tak łatwo nie bierze, co? — zaśmiał się pokazując wspaniałe zęby. — Wystarczy spojrzeć na tę szramę na skroni...

— Co ze mną było?

— Nie wiem. Wyłowilem pana z morza. Niczym syrena wisiał pan na skałach sterczących z wody. Akurat skierowałem lunetę w tamtą stronę. Łeb panu rozbito.

— Dałem się zaskoczyć jak dureń — Ryszard ponownie dotknął głowy. — Dokąd pan płynie?

— Do Santanderu.

— Na Boga, to niemożliwe.

— Co pan powiedział?

— To niemożliwe.

— Oświadczam, że jestem tu kapitanem.

— Muszę natychmiast wracać.

— Wziąłem kurs na południowy zachód i nie zmienię go dla pańskiego widzimi się.

Człowieku, co mam robić?

52

— Cieszyć się, że pan żyje.

— Muszę wracać, muszę być jak najszybciej w Mentonie!

— Ee, mój panie, opuściliśmy już francuskie wody i aż do Gibraltaru nie zatrzymamy się w żadnym hiszpańskim porcie. Ponadto, pozwolę sobie zauważyć, że uratowałem panu życie, a dotąd nie usłyszałem słowa podziękki.

— Przepraszam, señior capitán — Ryszard uniósł się na łokciu. — Kręci mi się co prawda w głowie, ale chyba mogę wstać. Pragnę panu podziękować w sposób bardziej elegancki — przeszedł na hiszpański.

— Nie trzeba — burknął kapitan, a ułagodzony hiszpańszczyzną dodał — pańska mowa zdradza Kastylijczyka czystej krwi. Czy mam honor z rodakiem?

— Prawie, choć moją Ojczyzną jest Polska. Nazywam się Ryszard Żeran.

— A zatem, don Ricardo, wypada i mnie przedstawić się. Ramón Ortega z Santanderu. Jest pan gościem na pokładzie „Kastylii”, nie uchodzi więc, abym pytał...

— Wszystko panu opowiem, kapitanie. Chciano mnie zabić i tylko przypadek... Panu zawdzięczam życie. Gdzie mnie pan wysadzi?

— Powtarzam, przed Gibraltarem nie zawijam do żadnego portu.

— Szmugluje pan broń dla don Carlosa. Zgadłem, prawda? Biedna Hiszpania znowu w ogniu domowej wojny.

— Dobrze, że pan nie jest Francuzem, choć może lepiej było bić się z obcymi niż ze swoimi. Niestety, wojna nie wybiera przeciwników. My już od trzydziestu lat bijemy się o sprawę don Carlosa, a raczej jego potomków.

— Czy to warto?

— Syn, gdy dorasta, podejmuje dzieło ojca, jego walkę, sprawę, której służył. My już tacy.

— Dla wielkich w tej wojnie stawką jest tron i korona, ale dla takich jak pan...

— Dla takich jak ja, don Ricardo, wszystkim jest honor. — Kapitan wyprostował się i podniósł głowę. — My umiemy dotrzymywać przysięgi.

— Nie wątpię, znam Hiszpanów. Czy jednak ta wojna była potrzebna? A to już trzecia w przeciągu trzydziestu lat.

— Nie wiem, czy potrzebna. — Kapitan wzruszył ramionami. — Nie zastanawiam się nad tym. Gdy przed trzydziestu laty umarł Ferdynand VII, niesławnej pamięci tyran i despota, korona z prawa przechodziła na jego brata, don Carlosa.

— Zapomina pan, że Ferdynand zostawił córkę.

53

— Czyż może panować kilkumiesięczne niemowlę? Ferdynand był czterokrotnie żonaty i dopiero za czwartym razem udało mu się spłodzić potomka. Żeby zapewnić córce tron, obalił prawo salickie wprowadzone przez Burbonów. Ale tak nie można. Hiszpania chciała don Carlosa na króla.

— O, nie wszyscy tak myśleli. W ciągu swojej historii Hiszpania miała wspaniałe władczynie. Choćby wielka królowa Izabela kastylijska. Ona jedna poznała się na Kolumbie. Może ta Izabela II poszłaby w ślady swojej poprzedniczki?

— Ee, don Ricardo, od początku świata kobieta poddana jest mężczyźnie. Tron należał do don Carlosa, a teraz do jego następcy.

— Ale wojna domowa... Czy nie lepiej było zrobić wszystko, byle jej uniknąć?

— Nikt nie uniknie tego, co mu sądzone, don Ricardo. — Kapitan spojrział w okienko kajuty i skoczył do drzwi. — Hej, Gonzalo, rozwinąć wszystkie żagle!

Po południu, leżąc w hamaku na pokładzie „Kastylii”, Ryszard nieledwie dygotał z niecierpliwości. Co robić? Jak dostać się do Francji i do Paryża? Przecież tam Róża... Bez wieści od niego, niespokojna... Co myśli? Co przypuszcza? Może sądzi, że już nie ma męża, że go zabito? A mało brakowało...

Bezkres wód i cisza potęgują uczucie bezsilności. Połyskująca w słońcu powierzchnia morza odbija szafir nieba, wiatr łopocze w płótnach żagli, a statek unosi go coraz dalej od brzegów Francji.

Jak to się właściwie stało? Jak dopuścił do takiej sytuacji? Przecież był ostrożny. W kieszeni miał rewolwer, a Paweł Labourdet nie wzbudził w nim zaufania. Od razu wiedział, że to człowiek zdolny do najgorszej podłości. Wystarczyło spojrzeć na jego ponurą gębę i uciekające w bok źrenice.

Głowa pęka mu z bólu, gdy usiłuje przypomnieć sobie wydarzenia sprzed paru dni. Sprzed paru dni? Czy jest tego pewien? Nie wie nawet, jak długo był nieprzytomny. Co właściwie pamięta?

W Mentonie zatrzymał się w „Hotelu Angielskim” i od razu wysłał do domu liścik z wiadomością o przybyciu na miejsce. Potem, zostawiwszy torbę podróżną, wyruszył fiakrem do wioski Święta Agnieszka, położonej dziesięć kilometrów od miasta.

W oberży „Pod Złotą Kotwicą” dwóch rybaków siedziało nad butelką białego wina. Poznali Ryszarda i on ich poznał, pamiętał nawet, jak się nazywali.

54

— Znowu pan przyjechał — zauważył bez zdziwienia starszy, zwany ojcem Chalais.

— Uparty pan — mruknął młodszy.

Dorożkarz zawiesił koniowi na szyi worek z obrokiem i siadł po drugiej stronie stołu, przygotowany czekać na pasażera choćby i cały dzień. Ryszard zamówił dla niego wino.

Oberzysta narzekał na zastój w interesach, towarzysz ojca Chalais pomrukiwał potakująco, arii na chwilę nie spuszczał Ryszarda z oczu.

Wreszcie stary rybak dźwignął się z ławy.

— Idę do domu — oznajmił — sieci pewnie już wyschły.

Ryszard widział, jak ruszył-wzdłuż wysokiej skalnej ściany, do której tuliły się rybackie chaty stojące frontem do morza.

Brzeg był tuż. Fale lizały piasek, dotykając nieledwie stóp idącego. Łąd urywał się hen w górze skalnym urwiskiem. W dole leżał zupełnie inny świat, odległy, zdawałoby się, o tysiące mil od normalnych siedzib ludzkich, gwarnych miast czy pól uprawnych. Ten wąski świat w dole zamykała ta skalna ściana i morze. Obcy świat i, jak Ryszard stwierdził, wrogi i niegościnnie.

Chata ojca Chalais podobna była do wypukłej narośli na kamiennym murze. Na wprost niej na płytce wodzie kołysała się łódź, przywiązana do palika białego w piasek.

Stary rybak rozwijał właśnie sieci.

— Po co pan przyjechał? — Rzucił za siebie niespokojne spojrzenie. — Nie ma tu pan czego szukać.

— Otrzymałem list.

— List? Od kogo?
— Nie wiem. Nie ma podpisu. Może nareszcie uda mi się zastać w domu Pawła Labourdeta.
— Na pana miejscu wracałbym do Mentony. — Ojciec Chalais odwrócił się do gościa plecami. — Niczego już tu pan nie znajdzie.
— Nie wiadomo. Ktoś przecież wysłał list.
— Niech pan posłucha starego. Dobrze panu radzę. — Po tych słowach ojciec Chalais przestał interesować się gościem, a Ryszard nie przedłużał rozmowy, nie chcąc narażać rybaka na kłopoty.
Znał chatę Pawła Labourdeta. Niestety, była jak zwykle zamknięta, robiła wrażenie nie zamieszkaną. Zastukał do drzwi.

55

— Gospodarza nie ma — zza domu wyłoniła się kobieta z naręczem mokrej bielizny. — A, to pan. — Wyraźnie okazała niezadowolenie.
— Dzień dobry, pani Montand, Pawła Labourdeta, jak widzę, nie ma w domu.
— Jest na morzu, ale wróci wieczorem. Właśnie-uprałam mu bieliznę — wskazała tłumok. — Dobrze mi zapłaci — dodała prędko. — Paweł Labourdet ma pieniądze i stać go na obsługę.
— W takim razie zaczekam.
— Nie, nie — zamachała wolną ręką. — On nie lubi, jak kto kręci się koło jego chaty.
— Zależy mi bardzo...
— Powiem mu — przerwała gwałtownie. — Kazał przygotować wieczerzę. Jeżeli zechce pana widzieć...
— Nie wiem, czy zechce, ale ja mam do niego interes.
— Ciągłe pan pyta o to... o tę dziewczynkę?
— Ciągłe.
— I po co? Przecież my nic nie wiemy.
— Pani może nie wie, ale inni...
— Nikt nie wie, już panu mówili.
— Nie rozmawiałem jeszcze z Pawłem Labourdetem.
— On nie lubi obcych.
— Zaczekam w oberży.
— Jeżeli wróci późno, to zje i pójdzie spać. Nie zechce z nikim gadać. Najlepiej powiem mu, że pan przyjechał i że przyjdzie pan rano. W oberży można przenocować.
— Doskonale. Gdyby jednak miał zamiar wyruszyć o świcie, niech mnie pani zawiadomi.
— Dobrze — zgodziła się niechętnie.
Zawrócił do oberży. Napotkani po drodze rybacy pozdrawiali go bez uprzedniej wylewności. Dorożkarz drzemał nad pustą butelką, w salce nie było nikogo. Ryszard skreślił parę słów do Róży, obudził woźnicę, oddał mu list i wyprawił do Mentony przykazując, by nazajutrz stawił się po niego przed południem. Do wieczora pozostało sporo czasu. Zamierzał przeprowadzić dyskretny wywiad, pragnął koniecznie wykryć autora listu. Zarzucił jednak ten zamiar

56

wobec dziwnie nieprzychylną postawę mieszkańców wioski. Miał zresztą nadzieję, że anonimowy informator sam go poszuka.
Odbył długi spacer brzegiem morza, a wieczorem wspiał się przypominającymi drabinę schodami na pięterko oberży, gdzie miał spędzić noc.
Zastanowiło go, że nawet oberżysta, dla którego przecież gość był źródłem dochodu, ofiarowując mu nocleg, wydawał się niezadowolony.
W ubraniu wyciągnął się na łóżku, położywszy rewolwer w zasięgu ręki.
Noc minęła spokojnie.
Gdy rankiem pchnął okiennice, oślepiło go słońce i blask bijący z morza. Woda skrzyła się, jak gdyby pod powierzchnią płonęło gigantyczne ognisko. Było tak pięknie wśród tej jasności i błękitu, że musiały pierzchnąć wszelkie ponure myśli, obawy i niepokoje. Po prostu nie pasowały do pejzażu, jaki miał przed oczami.
Zbiegł po drabinie, po czym, zamówiwszy śniadanie u zaspanego oberżysty, ruszył do chaty Pawła Labourdeta.

Rybak, uprzedzony, oczekiwał go w izbie służącej za kuchnię i sypialnię. Sprzęty były tu stare i zniszczone i nic w ubogim wnętrzu nie wskazywało na poprawę sytuacji majątkowej gospodarza.

— Czego pan ode mnie chce? — usłyszał Ryszard zamiast odpowiedzi na powitanie.

— Niczego innego oprócz informacji.

— Informacji? Jakich informacji?

— Wszystkich" już wypytywałem. Chodzi mi o te osoby, które zginęły w katastrofie koło Czerwonych Skał.

— A co ja mam z tym wspólnego? — Paweł Labourdet wzruszył kwadratowymi ramionami.

— Nie wiem i dlatego pytam.

— Wszyscy zginęli — burknął rybak odwracając twarz. — Tyle mi wiadomo co i innym.

— Słyszałem, że uratowano jakąś dziewczynkę.

— Wszyscy zginęli — powtórzył nie patrząc na Ryszarda. — Dziewczynka też. Żandarmi już pytali i policja pytała. Przyjeżdżali aż z Paryża. A co panu do tego?

— To moje krewne.

— Widział pan Czerwone Skały?

— Widziałem.

57

— No to pan wie, że jak powóz runął z takiej wysokości, pozostały z niego drzazgi. Nikogo nie można było uratować. Tam morze bardzo głębokie.

— Na tych skałach nietrudno spowodować wypadek.

— Co panu przychodzi do głowy?

— Mnie nic, ale co przyszło do głowy panu Fabianowi?

— Skąd mogę wiedzieć? Nie znam żadnego pana Fabiana.

— Ejże, trudno w to uwierzyć. Stało się to co prawda dość dawno temu. Niemniej o takiej katastrofie długo się pamięta. Gdzie wówczas byłeś?

— Gdzie ja byłem? — Paweł Labourdet pierwszy raz spojrzął na Ryszarda, a oczy jego błysnęły spod ciężkich powiek. — Co to pana obchodzi?

— Bardzo mnie obchodzi. Powiedziałem, że to moje krewniaczki. Mów, ile ci dano?

— Nic nie wiem! — wrzasnął rybak zaciskając ręce w pięści. — Nie było mnie tu!

— Pamiętaj, za to grozi gilotyna.

— Czego się pan mnie czepia? Byłem na morzu, jak zdarzył się wypadek. Cała wieś zaświadczy.

— O czym rozmawiałeś z woźnicą w przeddzień katastrofy?

— Tego już za wiele! — rybak runął na Ryszarda z taką siłą, że odrzucił gościa pod przeciwną ścianę. — Zapomnij o tym — wychrypiał. — Inaczej pogruchozę ci kości.

Ryszard podniósł się i błyskawicznie sięgnął po rewolwer.

— Mów wszystko — rozkazał — muszę wiedzieć, jak było. I o tej dziewczynce...

Paweł Labourdet pochylił się do przodu. Patrzył prosto w wycelowaną w niego broń.

— Gadaj — ponaglił Ryszard, ale nie zdążył nic więcej dodać, rybak, choć ciężki i zwalisty, ze zdumiewającą lekkością skoczył naprzód, głową podbił rękę z rewolwerem, a pięścią dzielił przeciwnika między oczy.

Dla Ryszarda świat przestał istnieć. Gdyby jednak nie stracił przytomności, zobaczyłby, jak Paweł Labourdet chwycił masywny pogrzebacz i kilkakrotnie uderzył leżącego w głowę.

— Ma dość — mruknął odrzucając skrwawione żelazo. — Sam tego chciał — dodał głośno, jak gdyby na usprawiedliwienie.

58

— I co powiedział dorożkarz? — Róża splotła ręce, żeby powstrzymać ich drzenie. — Przyjechał nazajutrz po Ryszarda?

— Przyjechał — Miguel Toreno energicznie pokiwał głową. — Czekał w oberży do wieczora, rozpytywał ludzi. Nikt nic nie wiedział. Wrócił do Mentony, zapytał w hotelu, ale i tam nie potrafili nic powiedzieć.

Wówczas poszedł do komisariatu. To porządny człowiek. Mówił mi, że jest przekonany, iż mieszkańcy wioski kogoś kryją. Ze strachu czy z innego powodu, tego nie wie. Oberżysta ma twarz obwiesia. Dwa dni tam węszyłem, nikt don Ricarda nie widział. Tylko niejaka wdowa Montand... Ale ta boi się mówić. Rozmawiała z nim poprzedniego dnia i widziała, jak don Ricardo wchodził do chaty Pawła Labourdeta. Tam urywa się ślad.

— Co robić? Boże, co robić?

— Nie tracić nadziei, proszę pani — Miguel Toreno odchrząknął z zakłopotaniem. — Jeszcze nie wszystko stracone. Był przecież ten list...

— I co z tego?

— Zacząłem pytać. Chodziłem od chaty do chaty i wreszcie trafiłem.

— Na autora anonimu?

— Tak, proszę pani, na autora anonimu.

— Mów, na litość boską — ponaglała Hiszpana Zelia.

— To młody chłopiec, właściwie wyrostek. Dumny, że umie pisać i czytać. Syn niejakiego Jakuba Tularda. Gdy do nich zaszedłem, stary Tulard popatrzył spode łba, mruknął: „Nic nie wiem, nikogo nie widziałem”. Reszta rodziny ust nie otworzyła. Bali się ojca. Wieczorem poszedłem nad morze, kawałek za wsią. Układałem plany, jak dalej prowadzić śledztwo, gdy zza skał wynurzył się właśnie ów chłopiec, Piotr Tulard. Było ciemno, nie od razu go poznałem. Okazało się, że szedł za mną. To on napisał list. Bał się bardzo, ale uważał, że należy zawiadomić don Ricarda. Jeździł wówczas z ojcem do Mentony, wozili ryby na targ. Potem ojciec zostawił go w jakiejś garkuchni, a sam poszedł załatwiać interesy. I ówże Piotr Tulard widział, jak Paweł Labourdet spotkał się z jakimś mężczyzną, którego nazywał „panem Fabianem”. Gdy później, po katastrofie, wspominał o tym w domu, dostał tęgie lanie i rozkaz, żeby „trzymał gębę na kłódkę”.

— To on, ten stryj — warknęła Zelia — on obmyślił zbrodnię i ten jego zaprzędany piekłu lokaj. Obiecał, że odprawi owego Fabiana, tymczasem trzyma go dalej do specjalnych widać poruczeń. Cóż to za łotr!

— I co dalej — niecierpliwiła się Róża. — Mów! Co jeszcze ten chłopiec powiedział?

59

— Powiedział o dziewczynce wyłowionej z morza.

— Mela! — krzyknęła Zelia. — Rękę dam uciąć, że to Mela!

— Zabrała ją jakaś angielska rodzina, ale Piotr Tulard słyszał, jak stary ojciec Laurent opowiadał, że to wcale nie było angielskie dziecko. Dziewczynka bardzo się czegoś bała i nie chciała powiedzieć, jak się nazywa. Pytała tylko, gdzie mama. Tak opowiadała pokojówka w tym hotelu, w którym zatrzymali się Anglicy. Ojciec Laurent przywozi tam ryby i akurat był w kuchni, gdy pokojówka to mówiła. Chciałem popytać starego, ale nie mieszka już we wsi Święta Agnieszka, przeniósł się do zamężnej córki, bliżej Ventimiglii, już po włoskiej stronie.

— Mela żyje — powtarzała Zelia ocierając oczy. — Zawsze to czułam. Teraz wiem na pewno. Trzeba tylko jak najprędzej rozpocząć poszukiwania.

— Poczekaj, Zelio, najpierw musimy odnaleźć Ryszarda.

— Piotr Tulard to sprytny chłopiec — Miguel Toreno spojrzał na Różę. — Ma głowę nie od parady i wszystkim się interesuje. Powiedział mi jeszcze, że do wieczora don Ricardo nie pokazał się we wsi, a w nocy Paweł Labourdet wynosił z chaty do łodzi coś wielkiego i ciężkiego i nie czekając świtu wypłynął w morze. Chłopiec ukrył się wśród łodzi leżących na piasku, a gdy rybak wrócił bez ciężaru i poszedł do chaty, wskoczył do pierwszej z brzegu łódki.

Morze było ciche, gwiazdy siały słaby blask, migocąc w załamaniach fal. I nagle koło skały sterczącej z wody zobaczył człowieka. Był to don Ricardo zaczepiony koszulą o kamienny występ, a raczej ostry pazur zdolny przedziurawić każdą barcę.

Bezwładne ciało było zbyt ciężkie, by chłopiec mógł je wciągnąć do łodzi, ponadto bał się ojca, nie mógł zjawić się w domu z topielcem. Wspomagany łagodnym kołysaniem fal, obmywających skalną przeszkodę, podciągnął don Ricarda wyżej, na szczyt, pewny, że wkrótce dostrzeże go jakiś statek — w tej stronie morza ruch był znaczny.

— A co na to policja? — Róża trzęsa się z oburzenia. — Przecież zameldowałeś o zaginięciu mojego męża. Co więc działo się?

— Sam komisarz udał się do Świętej Agnieszki, wypytywał ludzi, ale wszyscy nabrali wody w usta. Ja mu powtórzyłem, co mówił chłopiec, zakląłem jednak na wszystkie świętości, by go nie wzywał na świadka, tak chłopcu obiecałem. Inaczej musiałby uciekać z domu, ojciec by go chyba zabił.

— Ot i mamy policję! — Zelia plasnęła w ręce. — Co zrobili? Nic. To samo, co w Paryżu. Rotmistrz Bracki postawił na nogi cały komisariat, inspektorzy z gromadą szpiclów najechali pałacyk Narzymskich. I co z tego?

60

Także nic. Gniazdo było jeszcze ciepłe, ale tych krogulców ani śladu. Szukaj wiatru w polu. Paryż wielki.

— Wacław Narzymski — dodała Róża z goryczą — zaręczył po powrocie, że ten jego Fabian towarzyszył mu w podróży i nie rozstawał się ze swoim panem. A my przecież słyszałyśmy wyraźnie...

— Uwierzyli temu fircykowi, a nie nam — dorzuciła Zelia gniewnie. — Powiedzieli, że, owszem, znaleźli w domu ślady po jakichś przypuszczalnie włóczęgach, że nocowali tam pewnie bezdomni żebracy, ale to niczego nie dowodzi.

— Gdy wróci don Ricardo — zauważył z przekonaniem Hiszpan — zrobi porządek z tą ciemną aferą i wyjaśni co trzeba.

— Jeżeli wróci — zaczęła Róża i nie mogła dokończyć.

— Uspokój się — Zelia objęła płaczącą. — Pan Ryszard wróci. Wierzę w to równie mocno, jak wierzę w odnalezienie Meli.

— Słuchajcie, chłopcy! — powiewając gęsto zapisanymi arkusikami Anto wpadł do sali, którą generał Simmons, komendant Akademii w Woolwich, oddał księciu do dyspozycji.

Ludwik Conneau podniósł głowę znad rozłożonej na stole mapy, a księżę wrzucił do pudełka kolorowe chorągiewki[^] zwracając twarz w stronę polskiego przyjaciela.

— Co mówisz? — zawołał podniecony. — Więc Ryszard żyje? Wrócił?

— Żyje! — krzyczał Anto wymachując listem. — Jest już w Paryżu! Właśnie przyszła poczta, Róża wszystko opisała.

— Czytaj, czytaj — niecierpliwił się młody Conneau, równie jak księżę wtajemniczony w losy Meli, poszukiwania Ryszarda i jego zaginięcie.

— To ten rybak, Paweł Labourdet — Anto wskazał list. — Ryszard przyparł go do muru, nie zdążył jednak użyć broni, gdy tamten zaatakował. Ryszard nie spodziewał się napaści, dlatego uległ. Paweł Labourdet czymś ciężkim rozbił mu głowę, a nocą wywiózł trupa, jak sądził, łodzią w morze i wrzucił do wody. Na szczęście Ryszard żył, fale natychmiast zniosły nieprzytomnego na sterzące nad powierzchnią skały. Uratował go kapitan dwumasztowca „Kastylią”, płynącego do Santanderu. Przemycił broń dla karlistów. Ryszard korzystał z gościny na galeocie aż do Gibraltaru; dzięki

61

przyjaciółom, których ma jeszcze w Hiszpanii, dostał pieniądze, był przecież bez grosza i bez ubrania, no i mógł wrócić do domu.

— A co z Pawłem Labourdetem? — zainteresował się Ludwik Conneau.

— Wiadomo tylko, że uciekł do Paryża, Fabian ukrywał go w pałacyku rodziców Meli.

— Róża i Zelia słyszały przecież ich rozmowę — przerwał księżę. — Fabiana policja z pewnością ma już w ręku.

— Wcale nie — zaprzeczył Anto. — Stryj Meli zaświadczył, że Fabian był z nim razem w podróży i nie oddalił się ani na jeden dzień. Policja mu uwierzyła.

— To niemożliwe! — uniósł się księżę. — Przecież słyszały, jak ten przypuszczalny Paweł Labourdet nazywał współnika „panem Fabianem”. To dowód nie do obalenia, ja... — Zgasł nagle blask oczu, rumieniec podniecenia ustąpił miejsca zwykłej bladeści. Jakim prawem Jego Cesarska Wysokość księżę Ludwik Napoleon, uczeń angielskiej Akademii w Woolwich, chce się wtrącać w funkcjonowanie francuskiej policji? Kto go upoważnił? Jego szumny tytuł nie zrobi żadnego wrażenia na republikańskiej Francji. Nikt już w Paryżu nie pamięta „małego księcia”, nie poznałby jego smutnej twarzy, która tak niegdyś wzruszała mieszkańców stolicy. Zapomniano o dziecinnej figurce opiętej grenadierską kurtką z czerwonymi wyłogami. Paryżanie wyrzucili za burtę pamięci owego chłopca o nad wiek poważnym spojrzeniu, który w drodze na Korsykę kłaniał się z wdziękiem, dziękując za owacje* A miał przecież kiedyś panować, kontynuować ciąg Napoleonów. Sedanowa klęska zmiotła z powierzchni ziemi najmniejszy nawet ślad po owym dziecku, choć zwano je wówczas „dzieckiem Francji”. Spalono Tuilerie, żeby nie pozostało nic oprócz zgłiszcz. Nienawidzono go chyba, był przecież, równie jak ojciec, symbolem porażki. A on żył wspomnieniem. Bo czegoż mógł oczekiwać od przyszłości? Służby w obcej armii, sztywnych „herbatek” w domach angielskiej arystokracji czy nudnych wieczorów w Camden Place, gdzie nierzadko perfidna, choć niby to życzliwa, ręka motała nić podstępnej intrygi? Nuda — oto co go czekało, szara, straszna, dławiąca, jak brak powietrza, nuda.

Anto wymienił spojrzenie z Ludwikiem Conneau. Obaj dobrze znali te nagłe zmiany nastroju. Zachodziły niby to bez widocznej przyczyny, lecz ich źródłem była tęsknota za Francją. Im wolno było wrócić, przebiec znowu

aleje tuileryjskich ogrodów, zatrzymać się pod Łukiem Triumfalnym, by odczytać wyryte tu nazwy bitew, z których każda znaczyła zwycięstwo. Oni czu-

62

li się tam u siebie, nawet Anto, który przecież nie był Francuzem. Podczas gdy on...

Dopiero nazajutrz książę powrócił do rozmowy z dnia poprzedniego, wypyując o szczegóły Ryszardowej przygody.

Były to ich ostatnie dni w akademii przed wakacjami. Lipiec, suchy i upalny, zapowiadał doskonałą pogodę na resztę lata. Chłopcy szykowali się do wyjazdu. Anto, stęskniony za siostrą, wracał do domu. Ludwik Conneau, zaproszony przez krewnych, jechał na południe Francji. Książę z matką wybierali się do Szwajcarii, do zamku Arenenberg, gdzie po opuszczeniu Paryża osiadła z synami królowa Hortensja. Miała to być jak gdyby pobożna pielgrzymka do miejsca, w którym Napoleon III spędził dzieciństwo i młodość.

— O czym myślisz, Lu? — zapytał w pewnej chwili księcia Anto widząc, że przyjaciel zapatrzył się w ciemniejące za oknami niebo.

— Wiesz — powiedział Lu cicho — dałbym nie wiem co, żeby choć raz zobaczyć, jak z ulicy du Bac wynurza się omnibus zdążający z Grenelle do Porte Saint-Martin. Tak często widywałem go z okien pawilonu Flory...

— Więc jak będzie z Melą? — była to pierwsza rzecz, o którą zapytał Anto podczas pierwszej kolacji w domu.

— Czekałem na twój przyjazd — uśmiechnął się Ryszard. — Zaraz jutro wracam do Mentony.

— Obiecałeś, że zabierzesz ze sobą Miguela — przypomniała Róża. — Inaczej ciebie nie puszcę.

— Zabiorę — zgodził się Ryszard i spojrzał na żonę, a w jego oczach było to wszystko, co stanowiło jej szczęście. — Pojedziemy razem.

— Chciałbym i ja... — zaczął Anto, ale Róża nie dała mu dokończyć.

— Ryszard pojedzie z Miguelem, a ty zostaniesz z nami.

— Właśnie na to liczyłem — przytaknął Ryszard. — Dcm będzie pod twoją opieką.

— Ledwie przyjechałeś, a już chcesz uciekać — dodała Róża z wyrzutem.

— Wybacz, Różyczko, wiesz przecież, jak bardzo się cieszę... ale tam Mela... Ona gdzieś jest...

— Nie bój się. Odnajdziemy ją — głos Ryszarda napawał otuchą. — Dowiem się nazwiska tej angielskiej rodziny. W hotelu, w którym mieszkali,

64

musieli zostawić adres. Wkrótce będziemy wiedzieli, w którą stronę skierować poszukiwania.

— Boże! — zawołała Róża składając ręce. — Gdy odnajdziemy Melę, nigdy nie puszcę jej na krok od siebie! Będzie zawsze z nami. Nasze najdroższe dziecko!

— Oby nastąpiło to jak najprędzej — dodał Ryszard.

— Słuchaj, Ryszardzie — Anto zawahał się. — Chciałbym cię prosić o parę wyjaśnień.

— Mów.

— Większość wychodźców polskich żyjących we Francji to ludzie biedni. Prawda? Nasz Dziaduś... Pan Hutorowicz... A ojciec Meli był bogaty, nawet bardzo bogaty. Jak to się stało?

— Co ci przychodzi do głowy? — zaczęła Róża, ale Ryszard położył rękę na jej dłoni.

— Bardzo słuszne pytanie — powiedział poważnie. — I wcale się nie dziwię, że ciebie to interesuje.

Rzeczywiście, większość naszych rodaków na obczyźnie to biedacy. Ja sam... gdyby nie fortuna dziadka Zygmunta, a potem moja praca... Ale widzisz, znalazłszy się we Francji, stary pan Narzyski, dziadek Meli, odrzucił precz nasze szlacheckie uprzedzenia i wziął się do handlu.

— Czy to znaczy, że... otworzył sklep?

— Nie, nie sklep. Towarem, którym handlował, były nieruchomości. Majątki ziemskie, domy, posiadłości podmiejskie. Aby zacząć, musiał się zapożyczyć, nie miał przecież ani grosza. Ale szczęście mu dopisało.

— Znałeś go?

— Raz go tylko widziałem. Byłem jeszcze chłopcem. Zrobił na mnie ogromne wrażenie. Człowiek o nadludzkiej wprost energii. Musiał mieć nie lada spryt i zmysł do interesów. Pamiętam nawet, co wówczas mówił: „Pieniądze leżą na ulicy, tylko nie każdemu chce się po nie schylić. Leniwi przechodzą obok, przeraża ich najmniejszy wysiłek, woła nawet biedę, byle uniknąć fatygi zbędnego gestu”.

W połowie naszego wieku Francja była taką właśnie ulicą. Z jej bruku zręczni aferzyści zgarniali złoto: ludwiki, napoleony, liwry, franki, co popadło. Ciągłe zmiany rządów i rewolucje wynosiły jednych na szczyty powodzenia, drugich spychały na dno najczarniejszej nędzy. Było wiele opuszczonych domostw, majątków, marnowała się ziemia i wszelakie dobro. Człowiek obdarzony takim wędchem, jak stary pan Narzymski, nie mógł długo

5 — Talerz z Napoleonem

65

pozostawać biedakiem. I nie zapominaj o giełdzie. Za Drugiego Cesarstwa w miejscu tym rodziły się i przepadały ogromne fortuny. Pan Narzymski rzucił się w giełdowe operacje i tam, gdzie inni tracili, on podwajał majątek.

— To dlaczego stryj Meli nie był równie bogaty jak jego brat?

— Umierając ojciec podzielił schedę między synów. Młodszy nie potrzebował wiele czasu, by roztrwonić swoją część. A gdy ujrzał dno sakiewki, osiadł przy bracie, żyjąc na jego koszt.

— Człowiek bez ambicji i bez honoru — zaopiniował Anto.

— Jeżeli to taki utracjusz — dorzuciła Róża — fortuna Meli jest w niebezpieczeństwie.

— Może coś z niej jeszcze zostało — pokręcił głową Ryszard — choć wątpię. Wacław Narzymski miał ogromne długi.

— Jak to? I ty mówisz to tak spokojnie? — uniosła się Róża. — Trzeba coś zrobić, zapobiec nieszczęściu, ratować pieniądze Meli. Bo to przecież były duże pieniądze. Jakże mógł je roztrwonić w tak krótkim czasie?

— Gra — odparł Ryszard. — Karty, wyścigi... A to dużo kosztuje. Nic jednak nie możemy na to poradzić. Absolutnie nic. Nie wolno nam zdradzić się z naszą nadzieją. Jeżeli Paweł Labourdet przyczynił się do katastrofy koło Czerwonych Skał, uczynił to na polecenie Fabiana, a Fabian działa z rozkazu młodego Narzymskiego. Musimy być bardzo ostrożni i nasze poszukiwania utrzymać w najgłębszej tajemnicy. To ludzie zdecydowani na wszystko. Mam tu znak — dotknął głowy. — Nie zawahają się przed niczym, gdy przyjdzie im walczyć o własną skórę.

— Rozumiem — głos Róży drżał. — To wszystko jest niebezpieczne. A ty, Ryszardzie, znowu tam jedziesz...

— Nie jadę sam — uspokoił ją. — Ponadto Paweł Labourdet kryje się gdzieś tu, w zaułkach Paryża. Wie już pewnie, że wróciłem. Dopóki nie odnajdziemy Meli...

— Jeżeli Mela żyje — przerwał Anto — dlaczego milczy? Dlaczego nas nie zawiadamia? W dawnym domu na ulicy Świętego Rocha zostawiliśmy przecież wiadomość. Mogłaby napisać.

— Boi się — rzucił krótko Ryszard. — Bardzo się boi. I ma rację.

— Jak wówczas na cmentarzu — przypomniała Róża. — Pamiętasz? O, jak dobrze pamiętał Anto tę małą, wystraszoną dziewczynkę w żałobnej krynolinie. Wzięli ją nawet za głuchoniemą, tak uporczywie milczała.

— Teraz rozumiem, dlaczego ona tak się bała! — wybuchnął. — Cały czas

66

się bała. Także wówczas, gdy bawiliśmy się, czytali coś wspólnie. Jakież ja byłem głupi... i zły — dodał ze wstydem. — Nigdy sobie tego nie wybaczę. Nazajutrz siostra i brat zasiedli do śniadania już po wyjeździe Ryszarda.

— Uspokoję się dopiero wówczas, gdy znowu będzie w domu — wyznała Róża, spoglądając na puste krzesło męża.

Z góry dolatywały tony hiszpańskiej „copla”. To Consuelo sprzątała sypialnię.

Ani z tobą, ni bez ciebie Na ból mój nie ma sposobu. Z tobą — bo mnie zabijasz, Bez ciebie — bo chcę jeno grobu.

Przez otwarte okna wpływał zapach lip. Podwórze pełne woni i świergotu ptactwa oddzielało ich od kurzu i turkotu ulicy. Ale Paryż był tuż i wabił, wołał z siłą, której niepodobna się oprzeć. Anto nie mógł usiedzieć w domu. Paryż... Jego własny, wyteścniiony, znany od dziecka. Z niejedną ulicą, gmachem, drzewem w parku wiązały go niezatarte wspomnienia. Dziaduś... Róża, Zelia, szkolni koledzy... Wielu z nich miało mu za złe tę — jak mówili — „dezercję”, a nawet „sprzeniewierzenie się sprawie polskiej”. Dlaczego opuścił Francję? Po co wstępował do angielskiej akademii? Czy Ludwik Napoleon Bonaparte więcej dla niego znaczył niż rodacy? Zarzuty te Anto odparowywał argumentami nie do zbicia.

— Tak, wstąpiłem do Wojskowej Akademii w Woolwich — wołał — ale wiecie, dlaczego to zrobiłem?

Właśnie dla Polski. Już dziesięć lat minęło od ostatniego Powstania. Kto wie, czy niezadługo nasi rodacy w

kraju znowu nie chwycą za broń? Kto im wówczas będzie najbardziej potrzebny? Gryzpiórek, bawidamek czy wałków do niczego? Nie, człowiek z wojskowym wykształceniem, znający się na sztuce wojennej, na strategii, na dowodzeniu. Oto dlaczego ślęczę nad mapami w Woolwich, dlaczego wtykam kolorowe chorągiewki w zdobyte przez Anglików pozycje, odtwarzam najślawniejsze bitwy historii. Jako takie mało mnie one obchodzą, ale na nich uczę się, rozumiecie? Zdobywam wiedzę, którą kiedyś spożytkuję dla wyzwolenia Ojczyzny.

— Ma rację, Anto ma rację! — krzyknął Sewer Gałęzowski, dawny serdeczny kolega, najostrzej dotąd potępiający decyzję przyjaciela.

— Tak, tak, ma rację — pełni skruchy chłopcy cisnęli się do Antosia, chcąc mu wynagrodzić dotychczasową oziębłość.

67

Rotmistrz Bracki zresztą od początku pochwalał projekt wyjazdu do Woolwich.

— Samodzielność dobrze ci zrobi — powiedział na pożegnanie. — Woolwich to doskonała szkoła.

Mógłbyś, co prawda, wstąpić do Saint-Cyr, ale rozumiem, ile dla ciebie znaczy przyjaźń z młodym Ludwikiem Napoleonem. Wierzę, że odpowiednio wykorzystasz studia w angielskiej akademii. Nauczysz się wiele. Oby Bóg dał, abyś mógł użyć swych umiejętności w służbie Ojczyzny.

Chłopiec aż palił się do spotkań z dawnymi kolegami, do wizyt u rodaków na bulwarze Montparnasse. Przede wszystkim jednak musiał wypełnić polecenie księcia, odwiedzić Tristana Lamberta, oddać list i upominek, który Lu wręczył mu przed odjazdem.

Tristan Lambert to jeszcze jeden z towarzyszy ich wspólnego dzieciństwa. Już kilkakrotnie odwiedził wygnańców w Camden Place, za każdym razem przywożąc nieco „zapachu Paryża”, jak mawiał książę.

Tristan, syn łowczego, darzył Lu wierną przyjaźnią, która z biegiem lat przerodziła się w coś w rodzaju kultu. Wiązał księcia z Francją, był jak gdyby łącznikiem między wygnańcem a utraconą ojczyzną. Kawalek marmuru odbity od kominka z sypialni następcy tronu w Tuilériach, przywieziony przez Tristana do Anglii, dla Lu stanowił najdroższą relikwię minionego życia.

Anto był nawet zazdrosny o przyjaciela, ale książę wyśmiał wówczas jego obawy.

— Tristan to dobry chłopiec, serdeczny druh — powiedział — ale ty jesteś ponad wszystkimi, rozumiesz? Nigdy o tym nie zapominaj.

Po tych słowach wzrosła sympatia Antosia do Tristana i właśnie teraz wraz z listem przywiózł mu od księcia pięknie grawerowany nóż do rozcinań papieru.

— Nie gniewaj się, Różyczko, jeśli nie wrócę na obiad — powiedział wychodząc. — Przypuszczalnie zostanę u Tristana. Boże, jak dobrze być znowu w Paryżu! Nie masz pojęcia, jak piekielnie nudny jest Londyn, a już w niedzielę można się tam doprawdy wściec!

O tak, po Paryżu Londyn wydaje się ciemny i odpychający. Nisko zwisające nad miastem woale mgły nie dopuszczają słońca do ponurych kamienic. Ludzie zapomnieli o radości życia. Ulica nie wybucha śmiechem ani piosenką, najwyżej bluźnie ordynarnym przekleństwem albo krzykiem.

Jakże inaczej wygląda Paryż!

Ot, choćby ta gryzетка w kokieteryjnym czepeczku. Idzie, jak gdyby

68

zamierzała puścić się w tany. A przecież z jej ramienia zwisa na skórzanym pasku wielkie żółte pudło. Jest w nipi pewnie balowa toaleta, na którą niecierpliwie czeka młoda wykwintnisia.

Anto uśmiecha się do dziewczyny, ona odpowiada śmiałym spojrzeniem, oceniając ze znanstwem zgrabną sylwetkę chłopca.

A oto stara znajoma, choć względnie nowa, ulica Rivoli i boczne skrzydło Luwru. Wkrótce po prawej stronie wita go Palais-Royal, a w głębi teatr — słynna Komedia Francuska. Dawno w nim nie był, w najbliższych dniach muszą wybrać się tu z Różą. Co grają? Na afiszach jak zwykle klasyka: Corneille, Racine, Moliere. O, jest i Wiktor Hugo. Pójdą raz jeszcze zobaczyć „Hernaniego”.

Potem po lewej stronie ulicy pustka i cisza: wypalone mury pawilonu de Marsan i Tuilerie. Nie trzeba patrzeć na ten ogołocony szkielet, ogień przecież strawił wszystko, ciało i duszę pałacu.

Anto przyspiesza kroku, byle prędzej wydostać się na plac Zgody, a stamtąd na Pola Elizejskie. Tu znowu tętni życie, bije mocno puls Paryża.

Plac Zgody! Niespełna osiemdziesiąt lat temu stał tu na wysokim cokole Ludwik XV, „Le Bien-Aime”. Rewolucja zastąpiła pomnik króla gilotyną i dopiero Dyrektoriat położył kres krwawej karierze owego miejsca, nadając mu pełną nadziei nazwę plac Zgody.

Na środku strzela w niebo obelisk, dar wicekróla Egiptu dla Francji, wydobyty z ruin świątyni w Luksorze. Ten starożytny monolit, liczący trzydzieści trzy wieki, pokrywają gęsto tajemnicze hieroglify. Tylko pan Champouion potrafiłby je na nowo odczytać.

Stąd wreszcie otwiera się triumfalna perspektywa Pól Elizejskich, modnej promenady, obrzeżonej pałacami magnatów, miejsce rozrywki, luksusowych magazynów i restauracji, a także spacerów i przejażdżek. Wieczorami w orgii gazowego oświetlenia jarzy się fasada słynnej sali balowej „Mabille”, gdzie pod magiczną pałeczką dyrygenta Oliviera Metry’ego tańczyło Drugie Cesarstwo, a teraz hasa Trzecia Republika.

Oto po lewej stronie, w rzędzie arystokratycznych rezydencji, za zasłoną drzew pałac Paivy. Anto pogardliwym spojrzeniem obrzuca ów „przybytek hetery”, jak go określano, który kosztował jej wielbiciela dziesięć milionów franków w złocie. Wielkie usługi oddała Prusom owa ładacznicą, utrzymywana przez hrabiego Gwidona Henckla von Donnersmarcka. Na samym początku wojny wyjechała na Śląsk, do dóbr kochanka, by tam spokojnie przeczekać zawieruchę. Von Donnersmarck, jak na godnego Prusaka

69

przystało, wyrusza na front. Po poddaniu się Metzowi zostaje mianowany prefektem miasta.

Paiva sama nudzi się jednak w Swierklańcu i skoro tylko Prusacy zajęli stolicę Francji, wraca do Paryża, aby szeroko otworzyć podwoje swojego pałacu. Dawni wielbiciele i bywalcy unikają jednak rżęsiście oświetlonych salonów. Niejednego z nich napiętnowano za przyjaźń z „pruskim szpiegiem”. Woleli więc chwilowo trzymać się z daleka od dawnej amfitrionki.

Na szczęście zagraniczni dyplomaci nie potrzebują podzielać tych obaw. Obiady i kolacje u Paivy odpowiadają jak najbardziej ich wybrednym gustom. Wkrótce i co śmielsi Francuzi pozbywają się bezpodstawnych teraz skrupułów, tym bardziej że niefortunny małżonek, ów stary markiz Paiva, odesłany niegdyś do rodzinnej Portugalii, powrócił właśnie do Paryża, by zginąć tu samobójczą śmiercią.

Paiva znowu przywdziewa wdowie szaty, ale nie na długo. Von Donnersmarck może nareszcie urzeczywistnić marzenie swojego życia i poślubić tę o jedenaście lat od niego starszą i dobrze już rozlaną piękność.

Hrabia von Donnersmarck przyczynił się osobiście do pogromu Francji. To również on, na polecenie Bismarcka, oszacował wysokość kontrybucji, jaką Francja ma zapłacić zwycięzcom: pięć miliardów w złocie. Bismarck zaproponował hrabiemu objęcie ministerstwa skarbu, ale Donnersmarck nie przyjął zaszczytu. Dość miał roboty z zarządzaniem własnych kopalń i hut na Śląsku.

Cesarz Wilhelm przydał jeszcze blasku jego rodowi, ozdabiając nazwisko von Donnersmarck książęcą mitrą oraz wyraził zgodę na małżeństwo ulubieńca z „markizą de Paiva”.

Tym razem ślub odbył się w protestanckim kościele, a salony księżnej von Donnersmarck zapełnił wytworny tłum gości. Wśród zaproszonych królował naturalnie ambasador Prus, książę Hohenloe.

Paryska ulica nie zapomniała jednak kokocie jej zdrady. Powóz z herbami Donnersmarcków obrzucano błotem i kamieniami. Coraz niebezpieczniej było wychylać się z pałacu. Cóż więc po Paryżu, skoro i tak nie można korzystać z jego uciech? Książę Gwidon i jego małżonka uznali, że najlepsze dla nich wyjście z tej przykłej sytuacji to wyjazd z Francji. Opuścili Paryż po cichu, a wyjazd ich przypominał raczej ucieczkę niż triumfalny „powrót do domu”. Czekał tam na księżnę nowy pałac, „Wersal” — jak go nazywano w Swierklańcu, który zakochany małżonek stawiał dla swojego bożyszczka. Sprowadził nawet robotników z Francji, byle tylko „oprawa była godna klejnotu” i jak

70

najbardziej przypominała utracony na zawsze Paryż. Teraz najbliższym miejscem zabaw i rozrywek pozostawały Tarnowskie Góry, no i dalszy nieco Berlin.

Paiva osiągnęła cel. Otaczała ją bajeczne wprost bogactwo, królewski przepych. Czegóż więcej potrzebowała, by czuć się szczęśliwa na tym brzydkim świecie?

Anto mija pałac „wszetcznicy”. Nie stoi przed nim żaden powóz ani nawet dorożka. Okiennice kryją szyby pierwszego piętra, drzwi, zawarte na glucho, dawno już nie wpuszczały świetnych gości do wyłożonego marmurem i onyxem westybulu. Pałac nie budzi dziś niczyjego podziwu, najwyżej pogardę. Ot, jeden więcej zabytek minionej epoki.

Teraz należy skrócić w prawo, do domu Tristana. Ale okazuje się, że młody człowiek wyjechał, wróci za kilka dni. Anto zostawia liścik i upominek księcia, dołączając swój bilet, na którym kreśli parę słów.

— Oddam panu Tristanowi — przyrzeka służący. — Na pewno od razu pana odwiedzi.

Anto wraca na Pola Elizejskie, zapatrzony w zamykający horyzont olbrzymi Łuk Triumfalny, który wznosił niegdyś Napoleon na cześć francuskiej armii.

Plac ma kształt gwiazdy i nosi jej miano. Dwanaście ulic jak dwanaście promieni rozchodzi się w dwanaście stron świata.

Anto przystaje przed monumentem, który, choć zapożyczył kształt od budowli starożytnego Rzymu, dwukrotnie zwiększył wymiary Łuku Konstantyna.

Dziaduś opowiadał, jak w czterdziestym roku wróciły ze Świętej Heleny prochy cesarza. Wóz żałobny, wiozący szczątki Napoleona, zatrzymał się pod sklepieniem prowadzącym do nieśmiertelności.

Chłopiec przymyka oczy i wyobraża sobie podniosłą ceremonię. Gdzie stał wówczas Dziaduś? Może na tym samym miejscu, na którym stoi teraz jego wnuk?

Słońce obrysowuje najdrobniejszy szczegół płaskorzeźby pokrywającej filary, przydaje — jeśli to jeszcze możliwe — życia wspaniałej „Marsyliance” Rude'a. Anto szuka wzrokiem dobrze znanego polskiego nazwiska, które pyszni się tam wśród nazwisk napoleońskich marszałków. Jest. „Książę Józef Poniatowski, marszałek Francji” — odczytuje głośno.

71

Z westchnieniem odwraca się od wielkiej przeszłości. Dokąd teraz pójdzie? Najlepiej nad Sekwanę. Co to? Aleja Cesarzowej?

Anto przystaje. Dlaczego tu przyszedł? Dlaczego... Przecież to jasne. Mela... Był tu tylko raz, a przyjechał wówczas przysłanym po nich powozem pani Narzymskiej. Ale pamięta wszystko dokładnie i od razu trafia przed właściwą bramę.

Biały, pałacyk wygląda, jak gdyby wydano go w barbarzyńskie ręce zniszczenia i ruiny.

Anto opiera dłonie o żelazne sztachety patrząc z przerażeniem, co z tego domu zrobił czas, a przede wszystkim ludzie.

Jak można było pozwolić... Jak dopuścić!...

Furtka trzyma się już na jednym tylko zawiasie. Podjazd zarosły chwasty. Chwasty panoszą się wszędzie, podchodzą pod okna, zaglądną w ośleple szyby. Dawno nie strzyżony żywopłot rozrósł się nadmiernie, wystrzelając miejscami ponad sztachety. Nawet drzewa wydają się smutne jakieś i opuszczone, one także odczuwają brak troskliwej ręki ogrodnika.

Cisza zdaje się przytłaczać, nie ma w niej nic z kojącego spokoju, lecz jakby groźba czy ostrzeżenie.

Racja. Róża i Zelia natknęły się tu na dwóch bandytów. Ledwie wówczas udało im się wymknąć. Trzeba zachować ostrożność. Właściwie po co ma wchodzić? Rozsądek zadaje to pytanie, ale Anto nie słucha rozsądku. Coś pcha go naprzód, coś każe raz jeszcze zobaczyć pamiętne wnętrza.

Deska zabezpieczająca kuchenne wejście leży teraz daleko odrzucona i niczego już nie zabezpiecza. Dom jest dla wszystkich otwarty, zaprasza każdego, komu tylko przyjdzie ochota skryć się tu przed policją, przed deszczem lub spotkać się z kimś, kogo nie wpuściłoby się do własnego mieszkania.

Anto wsuwa się do kuchni, stąpając na palcach przemierza pokój kredensowy, omija drzwi do jadalni i wchodzi do głównego westybulu. Mrok zaciera kontur schodów, tylko poręcz słabo lśni, krętą linią ginąc w górnych ciemnościach.

Chłopiec ostrożnie wspina się po ogołoconych z chodnika stopniach, potrącając czasem jakiś przedmiot, resztki rozbitego wazonu czy wydartą z biblioteki książkę.

Jest tak cicho, jak gdyby Paryż oddalił się o tysiące mil, pozostawiając go samego na pastwę zniszczenia. Dłużej zatrzymuje się w pokojach Meli. Tam, gdzie wisił niegdyś talerz

72

z Napoleonem, tapeta zachowała żywszą barwę. W ogóle wszystko jest tak, jak opisała Róża.

Przez zamknięte żaluzje sączy się światło dnia pełnego słońca. Tu otacza go mrok i żaloba.

Co sobie myśli pan Narzymski? Czyżby skazał pałacyk na kompletne unicestwienie?

Anto wychodzi na podest pierwszego piętra, siada na najwyższym stopniu. Mela... Gdzie ona? Zelia wierzy, że dziewczynka żyje, a Zelia nigdy się nie myli.

Opiera głowę o pręty podtrzymujące poręcz. Cisza dzwoni w uszach. I nagle...

Anto zrywa się i schylony nad poręczą wyteża słuch. Ktoś wszedł do domu. Jest w kuchni, wchodzi do głównego westybulu. Intruz czuje się tu widać u siebie, otwiera i zamyka kolejne drzwi, przechodzi z pokoju do pokoju. Teraz jest w salonie. Po chwili chłopiec czuje zapach dymu z cygara. I znowu cisza. Kim jest człowiek, który przyszedł, żeby w tym opuszczonym domu wypalić cygaro? I co robi w salonie? Wygląda, że zna rozkład pokoi, szedł pewnie i otworzył właściwe drzwi.

Cisza staje się coraz bardziej irytująca, drażni obecność obcego. Ale oto znowu słychać kroki. Tym razem ciężkie, głośnie. Nowy przybysz nie stara się ukryć swojej tu wizyty.

— Jest pan tam? — głos gruby, o wulgarnej wymowie, pasuje w sam raz do stąpań nowo przybyłego.

— Jestem — to mówi człowiek palący cygaro.

Anto zamiera z ręką na poręczy schodów. Czy to możliwe?

— Zamiast przyjść do mojego kantoru lub wezwać mnie do siebie — burczy gruby głos — każe mi pan błądzić po bezludnych wertepach. Ledwie znalazłem.

— Ale znalazł pan — odpowiada cierpko głos młodego pana Narzymskiego-

go-
— To czego pan chce? — gruby głos brzmi irytacją. — Może nareszcie zobaczę moje pieniądze?

— Może pan i zobaczy, jeśli będzie pan dostatecznie cierpliwy, kochany panie Pochard. Tymczasem potrzebuję rady.

— Zaraz, zaraz — gruby głos wybucha kaszlem. — Ale te pięćdziesiąt tysięcy...

— Nudzi mnie pan. Taka bagatelka! Co to jest pięćdziesiąt tysięcy?

73

— Dla pana pewnie, że to nic. Na jeden kąsek. Kolacyjka w Cafe Riche w towarzystwie panny Blanki z Opery, potem partyjka bakarata u barona d'Argele, i już po pięćdziesięciu tysiącach.

— Dobrze pan poinformowany. — Pan Narzymski z trudem widać hamuje gniew. — Nie wezwałem tu pana, by wysłuchiwać kazań. Potrzebuję pomocy.

— Kto jej nie potrzebuje?

— Mógłbym się dobrze ożenić, słyszy pan? Dobrze. Posag dwa miliony.

— To żeń się pan, z Bogiem.

— Panie Pochard, niech pan zrozumie, że pańskie pieniądze zależą od poprawy mojej sytuacji majątkowej.

— Wziął pan sukcesję po bracie, tak czy nie? Czego pan jeszcze chce?

— Sukcesję, sukcesję — wybuchnął stryj Meli. — Brat obwarował testament tyloma idiotycznymi klauzulami, że mało co z tego zostało. A jak pan wie, mam długi.

— O tym wie cały Paryż — zaśmiał się chrapliwie pan Pochard.

— Do licha! Rodzice panny diabło podejrzliwi — w głosie pana Narzymskiego drży ledwie powstrzymywana wściekłość. — Chodzi o to, żeby uwierzyli, iż jestem dostatecznie bogaty, by posag nie stanowił głównej przynęty.

— To trudna sprawa.

— Trudna, ale warta zachodu. Pańskie pieniądze...

— Wiem, wiem — przerwał pan Pochard — mnie zależy na odzyskaniu moich pieniędzy i jeżeli podejmę się doprowadzenia tej sprawy do końca, zrobię to nie dla pańskich pięknych oczu.

— Doceniam pańską szczerłość, drogi panie Pochard — głos pana Narzymskiego wibruje ironią. — Poza tym grubo pan na tym zarobi. Przecież to nie pan pożyczył mi owe pięćdziesiąt tysięcy.

— Ale ja odkupiłem pański rewers.

— Odkupił pan cały plik podobnych rewersów, a gdy przyduszeni wystawcy zaczną płacić... Ile pana to kosztowało? Pięć, siedem franków?

— Co też pan? Te rewersy to kupa bezwartościowych szpargałów, nie warte papieru, którego użyto.

Odkupiłem wszystko po śmierci starego lichwiarza Leroux.

— Powtarzam, grubo pan na tym zarobi, panie Pochard. Czyż inaczej odkupiłby pan te rewersy? Znam pana i wiem, że to nie dobre serce kazało panu podjąć się tej transakcji. Poczul pan pieniądze, ot co.

74

— - Czy to grzech? — zaperzył się pan Pochard. - Ja ciężko pracuję, żeby dojść do czegoś. A pan? Co pan robi?

-r- Używam życia — odparł zimno pan Narzymski. — I wolałbym w łeb sobie strzelić niż upaść tak nisko, by zająć się pracą. Cóż zresztą mógłbym robić? Urodziłem się na wielkiego pana, ojciec Pochard, i nic już tego nie zmieni.

— - Ile panu potrzeba? — gruby głos pana Pochard brzmi znowu burkliwie.

— Dwieście tysięcy — głos pana Narzymskiego tnie niczym dobrze wyostrzona szpada.

— Dwieście tysięcy! — pan Pochard zerwał się z fotela, bo Anto usłyszał ciężkie kroki przemierzające salon.

--- Muszę zatkać gębę co najkrzykliwszym wierzycielom. Interes opłaci się, mój dobry panie Pochard, za ćwierć miliona, który będę panu winien, oddam czterysta tysięcy. Czy to panu odpowiada?

Zapadło dłuższe milczenie, pan Pochard widocznie oddawał się niezbędnym kalkulacjom.

— Kiedy chce pan mieć te pieniądze? — gruby głos lekko drżał.

— Choćby dzisiaj — pan Narzymski nie potrafił ukryć niecierpliwości.

— Będzie je pan miał o godzinie szóstej.

Goście dawno już opuścili pałacyk rodziców Meli, Anto siedział ciągle na stopniach, rozpamiętując podsłuchaną rozmowę.

Bo podsłuchiwał. Zniżył się do takiej podłostki, byle się dowiedzieć...

Kto to właściwie jest, ów pan Pochard, i jakie ciemne interesy łączą go ze stryjem Meli? Czy dostarcza on jedynie środków, by pan Narzymski mógł błyszczeć wśród podobnych sobie nicponi ze złotej młodzieży Paryża? I czy majątek Meli, który przecież po ojcu jej się należy, jest nieodwracalnie stracony?

Dzień zbliża się ku końcowi. Przez szpary w żaluzjach przenikają do mrocznego wnętrza triumfalne barwy zachodu. Anto powoli zstępuje do westybulu, otwiera drzwi salonu. W powietrzu wraz z resztą dymu snuje się wytworny zapach kosztownego „londresa”. Pan Narzymski widać niczego sobie nie odmawia, żadnej dostępnej jedynie bardzo bogatym ludziom przyjemności. I trwoni nie swoje pieniądze. I jeszcze mu mało. I jeszcze pożycza!

W mroku słabo rysują się kontury foteli i kanapek, obciążonych pokrowcami. O, tu siedzieli rozmawiający. Białe płótno, lekko zmięte, zachowało dotąd odcisk ciała.

75

Anto nie kryje teraz swojej obecności w opuszczonym domu. Stąpa głośno i pewnie. Nie ma przecież nikogo. Jest zupełnie sam.

Na dziedzińcu oślepia go luna zachodzącego słońca. Oddycha głęboko i nie spiesząc się obchodzi dom. Ulica jak zwykle pusta. Chłopiec czuje się nagle bardzo zmęczony i głodny. Dopiero na Polach Elizejskich natyka się na wolnego fiakra.

Paryż utracił jakoś wiele ze swoich uroków. Spieszący chodnikami ludzie to albo podejrzani aferzyści, albo lotrzyki knujące napad czy rabunek. Kobiety mają wyzywające spojrzenie i bezwstydnym uśmiech.

Anto patrzy przed siebie. Na horyzoncie strzelają w niebo poczerńiałe i ogołocone z dachów kominy Tuileriów.

Nie udał się spacer po Paryżu, a tak się nim cieszył. Miasto, zdawałoby się, dobrze znane, ukazało mu nowe jakieś i obce oblicze. Co jeszcze kryje ów Paryż, który dotąd był jego Paryżem, a oto nagle przeistoczył się w niepokojące miejsce występku?

IV

— „Dziś, szóstego października tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku, rozpoczął się w Trianon proces marszałka Bazaine'a...” — książę zamilkł i rzucił gazetę. — Sami doprowadzili do klęski! — krzyknął. — Odebrali ojcu dowództwo, woleli Bazaine'a... Ciągle słyszałem „wielki Bazaine!”, „sławny Bazaine!” — głos mu się załamał.

- Zobaczmy, co piszą — młody Conneau podniósł zmięty dziennik, świeżo przybyły z Paryża, i rozprostował pierwszą stronicę. — Postawiono go przed sądem wojennym — objaśnił — a przewodniczącym trybunału jest książę d'Aumale.

— Właśnie! D'Aumale! — rzucił się Lu. — Wyobrażacie sobie tę farsę? Oto Republika zleciła przewodnictwo w procesie przeciw marszałkowi Cesarstwa, a więc bonapartyście, synowi Ludwika Filipa, który z racji swojego urodzenia jest przecież monarchistą. Czy to nie śmieszne?

— To smutne — stwierdził spokojnie Ludwik Conneau, przebiegając wzrokiem gęsto zadrukowane kolumny. — Powiedziałbym nawet tragiczne. Ale w tym jest cała dzisiejsza Francja. W każdym razie co do winy Bazaine'a zdania są podzielone. Kapitulacja to czy zdrada? Takie pytanie stawiają sobie Francuzi.

— Francuzi przede wszystkim potrzebują kozła ofiarnego, kogoś, kogo można by oskarżyć o klęskę — zauważył Anto. — Przecież większość była zdania Gambetty. Pamiętajcie, jak z Tours, gdzie schronił się Rząd Obrony Narodowej, Gambetta grzmiał przeciw Bazaine'owi?

— Pamiętamy — Conneau pokiwał głową. — „Francuzi! Metz skapitulował. Marszałek Bazaine zdradził. Bez walki wydał w ręce wroga studwudzie-stotysięczną armię, broń, amunicję, armaty, sztandary i najwarowniejszą cytadelę Francji” - zacytował z patosem.

— „Wiadomo, jak ludzie honoru określają podobną zbrodnię — dokoń-

77

czył Anto. — Sprawiedliwość przewiduje kary za czyn tak haniebnym...” Wszyscy to wówczas czytaliśmy. Ja byłem cały czas w Paryżu i wiem... We Francji zawrzało. Słyszałem, jak mówiono: „Bazaine? Nasz Bazaine? To niemożliwe, aby Bazaine...” Sam słyszałem.

Rzeczywiście. Zdrada w tym wypadku wydawała się niemożliwa. Marszałek był niezwykle popularny. Nikt nie kwestionował jego wojskowych talentów. Nie mówiono o nim inaczej, jak „nasz sławny Bazaine”. Sam Gambetta miał dla niego jedynie słowa podziwu. I oto nagle...

Na wniosek opozycji odebrano cesarzowi naczelne dowództwo, powierzając je Bazaine'owi. Został więc marszałek szefem Armii Renu. Zmiana ta nie polepszyła jednak ani trochę sytuacji na froncie. Zmuszony do ciągłego cofania się, Bazaine oparł się wreszcie w Metz, nie zdobytej dotąd fortecy, ostatnim na wschodzie bastionie wolnej Francji.

Tam otoczył go i obiegł z dwustutysięczną armią książę Fryderyk Karol, bratanek króla pruskiego.

Czy marszałek Bazaine uczynił wszystko, co do niego należało, by przebić się przez ten żelazny pierścień? Owszem, trzykrotnie próbował wydostać się z oblężonego miasta, za każdym jednak razem straty w ludziach były tak wielkie — czterdzieści tysięcy żołnierzy — że wołał pozostać w defensywie.

Pozbawiony kontaktu z Rządem Obrony Narodowej, wstrząśnięty rewolucją z czwartego września i upadkiem Napoleona Trzeciego, stracił zwykłą dla niego pewność siebie i energię. Po prostu nie wiedział, jak ma postąpić w tej strasznej sytuacji. Dla niego jedyną legalną formą rządu było cesarstwo.

Sądził nawet, że Prusy nie zechcą traktować z nowo upieczoną Republiką i że wówczas on, Bazaine, odegra być może decydującą rolę w układach pokojowych. W tym celu wysłał do Bismarcka adiutanta z propozycją omówienia honorowego dla Francji zakończenia wojny.

Bismarck nie spieszył się z odpowiedzią, wiedział, że z braku żywności Metz długo nie wytrwa w uporze. Nie wytrwał.

Marszałek Bazaine poprosił pruskiego księcia o warunki kapitulacji.

Prośba ta była poniżająca i niepotrzebna. Odpowiedź zaś, jak zwykle u Prusaków — butna i bezwzględna: cała armia z Metz miała pójść w niewolę, broń, amunicja, sztandary staną się łupem zwycięzcy.

Po tragicznej naradzie z generałami warunki kapitulacji przyjęto. Marszałek Bazaine kazał jednak spalić sztandary. Niestety, rozkaz ów, wydany ustnie,

78

wykonano tylko częściowo. Francuskie sztandary uświetniły więc berlińskie uroczystości na cześć zwycięstwa.

Na wieść o oddaniu miasta żołnierzy i mieszkańców ogarnęło przerażenie i gniew. Bazaine nie mógł pokazać się na ulicy. Jego nazwisko, podobnie jak imię Judasza, stało się synonimem zdrajcy.

— Nigdy nie uwierzę, jakoby marszałek Bazaine grał najspokojniej w bilard, podczas gdy ginęli jego żołnierze — Lu zamknął z hukiem trzymane w ręku „Poniedziałkowe opowieści” Alfonsa Daudeta. — Pan Daudet nie miał prawa pisać takich rzeczy. To ohydna potwarz. Pan Daudet przekroczył dozwolone granice. Kto nam to przysłał?

— Tristan Lambert — odparł Anto. — To ostatnia nowość tego pisarza.

— Wszystko teraz wolno, huzia na Bazaine'a — wrzucił ramionami Ludwik Conneau. — Można oskarżać go o wszelkie zbrodnie. Wyzwalając w sobie podobne uczucia względem winowajcy, ludzie odczuwają ulgę. Jak gdyby zdrada Bazaine'a uniewinniła innych.

O tak, używano sobie teraz na marszałku. Nareszcie był ktoś, na kim można odegrać się za przeżyte niedole.

A Bazaine'a, po jego powrocie z pruskiej niewoli, aresztowano. Sąd wojenny deliberował dwa miesiące.

Oskarżony mógł pomniejszyć winę, zasłaniając się nieudolnością cesarskiego rządu, nieprzygotowaniem armii do wojny czy innymi okolicznościami podobnej rangi. Nie uczynił tego. Powtarzał jedynie: „Nie popełniłem zdrady. Jestem niewinny”.

Trzeba przyznać, że sytuacja przerastała jego możliwości. Głównodowodze nie okazało się zbyt wielkim ciężarem na jego mocne skądinąd barki.

— Nie było już rządu — powiedział w pewnej chwili na procesie. — Nikt mną nie kierował. Musiałem być posłuszny jedynie własnemu sumieniu.

— A czy nie myślał pan — zapytał wówczas książę d'Aumale — że wojskowa sytuacja nakazywała panu przestrzeganie regulaminu?

— Cesarstwo upadło, nie pozostało nic legalnego — oskarżony spojrzął prosto w oczy przewodniczącego.

— Ale Francja istniała nadal — powiedział książę d'Aumale z mocą. Dziesiątego grudnia, uznany jednogłośnie za winnego, marszałek Bazaine został skazany na śmierć i na degradację. Jednakże w uznaniu jego przeszłych zasług prezydent Mac-Mahon zamienił karę śmierci na dwadzieścia lat więzienia bez degradacji.

- Sąd wojenny znalazł sposób, żeby mnie skazać i uniewinnić jednocześnie. — Oskarżony odwrócił się do swoich adwokatów: — Dziękuję, panowie.

79

Uwięziono go na śródziemnomorskiej wyspie Świętej Małgorzaty, niedaleko Cannes, w siedemnastowiecznej fortecy, w której niegdyś zamknięto tajemniczego Człowieka w Żelaznej Masce.

Opinia publiczna była zadowolona. Francuzi odetchnęli z ulgą. Kozioł ofiarny spełnia czasem funkcję chirurgicznego lancetu. I podobnie jak puszczenie krwi ratuje życie pacjentowi w ataku apopleksji, proces Bazaine'a uśmierzył wzburzone umysły Francuzów. Ktoś wreszcie odpokutuje za narodowe nieszczęścia.

— Bazaine bawił się polityką zamiast prowadzić wojnę — skomentował podany w gazecie wyrok wojennego trybunału jeden z pruskich adwersarzy marszałka.

Zimowe dni w Camden Place wlokły się niczym płachty szarej angielskiej mgły, opadającej na smutną ziemię. Niekiedy przerywały nudę wybuchy animozji, zawiści czy żalu, a więc uczuć hodowanych w tajemnicy serca, skrywanych starannie jak wstydliva choroba, czasem tylko wymykających się spod wytwornych manier dworskiego towarzystwa.

Napoleon III łagodnością i taktem potrafił utrzymać w ryzach owe namiętności drążące gromadkę wygnańców, którzy swój los związali z losem zdetronizowanego cesarza. Po jego jednak śmierci rywalizacja, wygórowane ambicje, zgorzknienie niedolą coraz częściej doprowadzały do konfliktów wśród osób zamkniętych niewielką przestrzenią Chislehurst, stale ocierających się o siebie, z których każda przeżywała ponadto swój własny dramat.

Regularnie dostarczana prasa francuska zjadliwym tonem artykułów, zaczerniających całe kolumny krytyką Drugiego Cesarstwa, dopełniała miary tej i tak już gorzkiej egzystencji.

Pisano o olbrzymiej fortunie, którą cesarz i jego małżonka ulokowali w angielskich bankach. A przecież podczas pierwszych miesięcy wygnania mieszkańcy Camden Place zaznali dość niedostatku i kłopotów związanych z brakiem pieniędzy.

Sprzedawano wszystko, co znajdowało nabywców — przecież trzeba było żyć — a więc nieruchomości — chociażby ów pałac w Rzymie, a przede wszystkim biżuterię cesarzowej Eugonii. Kolie i bransolety, błyszczące niegdyś w tuileryjskich salonach, ozdabiały teraz szyje i ramiona przemysłowych księżniczek zza oceanu. Pożyczano też, skąd się tylko dało, w oczekiwaniu, aż

80

rząd Trzeciej Republiki zdejmie sekwestr nałożony na prywatny majątek cesarza we Francji.

Potem sytuacja materialna uległa znacznej poprawie. Nie polepszyło to jednak nastroju mieszkańców Camden Place. Nad każdym dniem wisiła nuda, tęsknota za utraconą ojczyzną, za domem, za bliskimi, którzy musieli pozostać w Paryżu, ból nie dający się niczym ukoić i coraz większa beznadziejność tragicznego położenia. A dni były do siebie podobne i jednakowo bezbarwne.

Cały ranek cesarzowa Eugenia spędzała w swoim gabinecie. Przeglądała rachunki, czytała olbrzymią korespondencję nadeszłą z Francji, pisała listy. Do sali jadalnej schodziła dopiero na lunch. Przy stole, oprócz stałych mieszkańców, znalazło się zawsze paru przybyszów z Londynu czy nawet z „Kontynentu”, jak tu mówiono.

Po południu, w towarzystwie pani Clary czy pani Lebreton, wsiadała do pociągu, udając się do Londynu. Była to rozrywka, a jednocześnie konieczność załatwienia najpilniejszych spraw. Panie robiły zakupy, odwiedzały przyjaciół, konferowały również z bankierami. Nigdy też nie omieszkały wstąpić do kościoła Jezuitów przy Farm Street. Raz, gdy cesarzowa Eugenia klęczała przed ołtarzem, zabrzały organy. Przepiękna, a smutna

melodia kazała jej odwrócić się i podnieść oczy na chór. To Gounod, częsty dawniej gość w Compiegne, poznał cesarzową Eugenię i muzyką składał wygnance hołd, wyrażał żal i współczucie.

Zazwyczaj koło piątej panie wracały do domu. Wówczas w hallu podawano herbatę, a dokoła stołu, ze srebrnym imbrykiem pośrodku, toczyła się ożywiona rozmowa.

— Trudno sobie wyobrazić, jak wygnanie rozwiązuje języki — mawiała pani Lebreton..

O siódmej goście i domownicy rozchodzili się do swoich pokojów, by przebrać się do obiadu. Po obiedzie panowie zabawiali się bilardem, panie w salonie haftem i nowinkami. Ktoś grał na fortepianie, ktoś inny nucił francuską piosenkę. We framudze okna młodzież, odgradzona od salonu firanką, rozmawiała półgłosem, przerywając zwierzenia śmiechem i żartami.

Położywszy ostatniego pasjansa, cesarzowa Eugenia życzyła zebranych dobrej nocy i odchodziła do siebie. W sypialni można było przynajmniej wraz z wieczorową toaletą zrzucić maskę, opaść na fotel przy kominku i pozwolić płynąć łzom.

Dopóki żył cesarz, pełna była nadziei i zapału. Ani na chwilę nie traciła

6 — Talerz z Napoleonem

81

ducha. Podtrzymywała ją pewność zwycięstwa. Układała nawet plany przyszłego życia we Francji. Gdy wróca, wezwani przez naród. Po to, by pracować dla szczęścia tego narodu.

Zamieszkają w Luwrze, zaprowadzi się daleko idące oszczędności. Lato można będzie spędzać w Trianon, wilegiatura w Wersalu dużo mniej kosztowna niż pobyt w takim na przykład Compiegne. Dokoła tronu zgromadzi się wszystko, co Francja ma najlepszego. Najwybitniejszych obywateli. Najbardziej zasłużonych dla ojczyzny. Życie dworu stanie się wzorem dla innych. Będzie go cechować powaga i prostota. Ani mowy o dawnej płochości. Po tragicznych wypadkach wojennych, po szaleństwie Komuny, nastąpi wreszcie era patriotycznego zespolenia Francuzów.

Wszystko to stanie się rzeczywistością, trzeba tylko cierpliwie przeczekać republikańską burzę.

Śmierć cesarza zniweczyła te marzenia. Napoleonidzi co prawda nie wygaśli, był przecież Lu. Jej ostatnia nadzieja. Jego młodość, żywotność, pragnienie czynu zapowiadały możliwość odrodzenia dynastii usuniętej chwilowo z międzynarodowej areny. Należało tylko mądrze pokierować sprawami następcy tronu we Francji. Miał on tam rzeszę zwolenników.

O tak, stronnictwo bonapartystów było siłą nie do pogardzenia. Kierował nim pan Rouher, dawny minister i doradca Napoleona Trzeciego, zwany niegdyś żartobliwie „wicesarzem”, przez czas jakiś przewodniczący Senatu. Cesarzowa Eugenia darzyła go bezgranicznym zaufaniem i we wszystkim zasięgała jego rady. Eks-minister Rouher jako człowiek nie był nieomylny i niektóre jego sugestie więcej przyniosły szkody niż pożytku sprawie, a przede wszystkim osobie młodego księcia.

Uparty Owerniateczyk o staromodnych zapatrywaniach uważał, że młodzież należy trzymać krótko, w tym też kierunku szły jego wskazówki co do wychowania następcy tronu. Zgodny z cesarzową Eugenią w osądzie księcia Napoleona, przyczynił się do oddalenia Lu od ojcowskiego kuzyna, który przypuszczalnie właściwszym byłby dla chłopca opiekunem.

Cesarzowa Eugenia, choć czuła się regentką, oddała jednak ster stronnictwa w ręce pana Rouhera. W Zgromadzeniu Narodowym było przecież około trzydziestu posłów bonapartystów, a ich głos nie pozostawał bez echa. Oni to zresztą przyłożyli ręki do upadku prezydenta Thiersa.

Utrzymywanie kontaktu z tyloma osobami, od których zależał los przyszłego cesarstwa, nie było łatwe, zważywszy na odległość dzielącą

||1

dziedzica korony od ojczyzny. Głównym środkiem porozumienia były listy, a nie osobiste spotkania. Nic więc dziwnego, że cesarzowa Eugenia prowadziła rozległą korespondencję, wspomaganą w tej pracy przez pana Pietri, sekretarza Napoleona III.

To „trzymanie ręki na pulsie politycznego życia Francji” było, obok czuwania nad wychowaniem syna, głównym zadaniem zdetronizowanej monarchini. Osadzenie Lu na ojcowskim tronie stanowiło cel jej życia, wiedziała, że książę nie zawiedzie oczekiwań, że okaże się godny przyszłego wyniesienia. Francja na niego liczyła, a Francja bardzo potrzebowała pociechy.

Kraj był zubożony wojną, rozdarty między stronnictwa. Brakło w nim pracy dla nadmiaru rąk, stąd bezrobocie i nędza. Podatki rosły, niszczyły rolnictwo i przemysł. Wieś ledwie dyszała, w miastach zamykano fabryki zbankrutowanych właścicieli. Gra na giełdzie zastąpiła uczciwą pracę. Ludzie nie mieli zaufania do trwałości

republiki rządzonej przez monarchistów, niezdolnych na domiar złego do podjęcia żadnej energicznej decyzji, by poprawić sytuację obywateli. Bonapartyści widzieli ratunek jedynie w przywróceniu cesarstwa, lud zresztą skłaniał się również ku tej formie rządów.

Lu pilnie studiował nie tylko francuskie dzienniki, ale i angielską prasę, ciekawy, co o nim pisano, jak widziano przyszły ustrój Francji. Czyżby republika miała na zawsze zgasić królewskie czy cesarskie splendory, okrywając się demokratyczną szarzyzną? Ale przecież i ojciec był jak najbardziej demokratą. Zresztą on, książę Ludwik Napoleon, nie pragnie niczego dla siebie, pragnie tylko dobra Francji.

— Gdyby teraz jakaś potęga zagroziła wojną mojej ojczyźnie — mówił czasem w rozmowie z przyjaciółmi — od razu zrzuciłbym ten czerwony mundur, a przywdział niebieską kurtkę zwykłego żołnierza. Francuskiego żołnierza. Nie powiedziałbym nawet, kim jestem. Po co? O, jakże byłbym wówczas szczęśliwy!

— Czy sądzisz, że pozwolilibyśmy ci iść samemu? — młody Conneau energicznie potrząsał głową. — Poszlibyśmy wszyscy trzej, ramię przy ramieniu. Nieprawdaż, Anto?

— Ramię przy ramieniu — podchwytywał z entuzjazmem Anto. — Niestety, teraz nie ma żadnej wojny — dodawał z żalem. — Chyba że coś zacznie się w Polsce, jakieś nowe powstanie...

— Pójdziemy z tobą, przyjacielu — Lu wyciągał do Polaka rękę. — Wiesz, jak kocham twoją ojczyznę. Mój ojciec też wam sprzyjał. Opowiadał mi

83

kiedys... Pan Żeran nosił wówczas liberię, tropiono pewnego szpiega, który zakradł się do Tuileriów. Wspomnienie zmarłego ojca jak zwykle gasi ożywienie księcia. Pocięchą jest wówczas ta serdeczna więź, łącząca go z przyjaciółmi. Są zawsze razem. W Woolwich i poza akademią. Nie mają też przed sobą tajemnic, rozumieją się doskonale.

W sobotni wieczór książę i jego przyjaciele zjeżdżają do Camden Place. Życie od razu nabiera tam sensu i kolorów. Cichy zazwyczaj dom napęlniają młode głosy, tupot młodych nóg powtarzają echem korytarze. Anto jest tu witany równie serdecznie, jak sam książę i jak Ludwik Conneau, który przyjeżdża do rodziców. Pan Filon musi opowiedzieć najdrobniejsze szczegóły z życia kadetów w minionym tygodniu. Cesarzowa Eugenia wszystkiego jest ciekawa i zadaje wiele niedyskretnych pytań.

Czasem zapraszano do Chislehurst angielskich kolegów z Woolwich, Woodhouse'a, Slade'a i Bigge'a. Po wyjeździe chłopców Camden Place zapadało w zwykłe milczenie i cesarzowa Eugenia skarżyła się w liście do przyjaciółki:

„Są dni, kiedy chciałabym opuścić dom i iść przed siebie, byle dalej i dalej. Niestety, dopóki jestem potrzebna, muszę wytrwać na posterunku. Gdy uznam, że wykonałam zadanie, wówczas pozwolę sobie na słabość i będzie ze mną, co Bóg da. Muszę ci wyznać, że wszystko we mnie jest już zużyte, wiara w szczęśliwe zakończenie wygnania, odwaga. Jestem straszliwie zmęczona i jak człowiek, który odbył długą drogę, obawiam się wszystkiego, bo wszystko mnie rani...”

Na szczęście, takie chwile zdarzały się rzadko. Wewnętrzna dyscyplina nie pozwalała zapomnieć o obowiązkach. Cesarzowa Eugenia prostowała zgrabną zawsze figurę, podnosiła wysoko głowę i lekko mrużyła oczy. Tak jak to czyniła niegdyś w Tuileriach, jak gdyby cesarski diadem ciągle jeszcze lśnił na jasnych włosach, mimo że coraz więcej srebrnych nitki przewija się w misternej fryzurze.

Po każdym takim weekendzie chłopcy z radością wracali do Woolwich. Szczególnie Lu rad był opuścić dom, gdzie wszystko przypominało mu tragiczne wydarzenia. Lubił swoją szkołę i mimo angielskiego munduru dobrze czuł się w roli kadeta. Tu przynajmniej był swobodny — dyskretna opieka kochanego pana Filona nie ciążyła bynajmniej.

Zima zbiegła na nauce i na przygotowaniach do uroczystego obchodu osiemnastych urodzin dziedzica Bonapartych, które będą jednocześnie

84

uznaniem jego pełnoletniości. Chislehurst szykowało się na przyjęcie wielkiego napływu gości z Francji. Były to także osiemnaste urodziny Antosia, ale — jak mu Róża napisała w ostatnim liście — „nie jesteś księciem i twoją pełnoletniość będziemy obchodzili, gdy skończysz dwadzieścia jeden lat”.

— Boże, jak dawno już się znamy! — westchnął pewnego wieczoru Lu, gdy po kolacji siedzieli przed kominkiem, podczas gdy wicher siekł deszczem w szyby, a na morzu szalał sztorm.

— Co za pogoda! — wstrząsnął się młody Conneau. — Rzeczywiście, znamy się sporo lat. Byliśmy zupełnie mali, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

— I kłóciliśmy się zażarcie — przypominał Anto. — Wyrwaliśmy sobie każdą zabawkę. Pamiętasz, Lu?

Książę milcząc kiwa głową. Daleko odeszły lata dzieciństwa. Paryż i tuileryjskie ogrody. Kręte alejki, którymi biegał w towarzystwie ulubionego psa. Sala tronowa i paradna kołyska, dar stolicy Francji. Co się z nią stało?
— Lepiej, że nie widziałeś Tuileriów po pożarze — Anto przykłęka przed ogniem i szczypcami odrzuca w głąb kominka rozsypujące się głownie.

— Jeżeli wrócę — głos Lu drży — odbuduję wszystko. W Tuileriach mieszka duch Francji. Nie wolno zabijać przeszłości. Czymże byśmy bez niej byli? Wzięliśmy po przodkach i dobro, i zło. Musimy niszczyć zło, a rozwijać dobro. To nasz obowiązek. Mój obowiązek — dodaje ciszej.

— Tak — potwierdza Ludwik Conneau — Tuilerie muszą być odbudowane.

— Nie będzie to nawet zbyt trudne — ożywia się Anto. — Mury stoją mocne i niewzruszone jak skała. Wypalone wnętrza łatwo odtworzyć, napełnić nowymi meblami, upiększyć dziełami nowej sztuki. I Tuilerie znowu będą Tuileriami, jak dawniej. Wierzę, że tego dokonasz.

Książę nie odrywa oczu od ognia. Mocniejsze uderzenie wiatru bluznęło w szybę fałą ulewy. Ciemności wydawały się tak gęste i nieprzeniknione, że żadna latarnia nie przebiłaby grubej warstwy mroku. Tamiza huczała, zalewana potokami deszczu. W drzewach wyl wiatr niczym bezpański pies, którego nikt nie chce wpuścić do ciepłego domu.

— Słuchaj, Anto — Ludwik Conneau odchylił się na oparcie krzesła i wyrzucił w górę ramiona. — Mam nadzieję, że pan Żeran nie zaprzestaje poszukiwań?

85

Chłopcy ślęczą nad mapą Ameryki Północnej i studiują taktykę Waszyngtona w walkach o niepodległość.

— O tak — Lu podnosi głowę. — Powiedz, Anto, co pisze twoja siostra. Dawno o tym nie rozmawialiśmy.

— Nie ma na nic czasu — Anto wzrusza ramionami. — Ryszard i Róża przyjadą na twoją uroczystość — dodaje wbijając chorągiewkę w kółeczko opatrzone nazwą „Savannah”.

— Na naszą uroczystość — poprawia książę. — Czy zapomniałeś, że urodziliśmy się jednego dnia i że jestem od ciebie starszy o parę godzin? — dorzuca ze sztuczną powagą.

— Ty będziesz pełnoletni, ale ja... Róża uważa, że zmądrzeję dopiero wówczas, gdy skończę dwadzieścia jeden lat. — Anto mężnie stara się ukryć gorycz owego stwierdzenia.

— Wcale nie jestem tego taki pewien — mruczy Conneau. — Ale powiedz nam, co z Melą?

— Nie wiem. Latem Ryszard znowu był na południu Francji, tam gdzie wydarzyła się katastrofa.

Rozmawiał z właścicielem hotelu, w którym mieszkała angielska rodzina, pamiętacie, ta co zabrała uratowaną dziewczynkę.

— No tak, wiemy o tym. Wiemy też, że hotelarz nie podał adresu Anglików.

— Powiedział, że jako miejsce stałego zamieszkania Anglicy podali Londyn, nic więcej. A uratowana dziewczynka była także Angielką, bo doskonale mówiła po angielsku.

— Mela dobrze znała język, prawda?

— O tak, miała angielską guwernantkę. Pamiętam ją nawet. Nazywała się Miss Alicja.

— Nie ma wątpliwości, że to Mela — stwierdził stanowczo Conneau. — Wszystko się przecież zgadza: miejsce i czas, no i znajomość angielskiego.

— Ile lat ma teraz Mela? — zainteresował się książę.

— Czternaście. Poznałbym ją, nawet gdyby była stara. Ryszard użył wszelkich sposobów, żeby hotelarza zmusić do mówienia. Niestety, ani prośby, ani groźby, ani pieniądze nie rozwiązały mu języka.

— A co na to policja?

— Policja... Rozmawiał z nim komisarz z Mentony, ten sam, który pomagał Miguelowi Toreno przy poszukiwaniu Ryszarda. Nic z niego nie wydobył, ani słowa. A służba hotelowa powtarza tę samą śpiewkę. Nic nie

86

wiedzą i basta. Pamiętają tylko, że ci Anglicy, wpisując się do książki hotelowej, podali w adresie Londyn. Nazwiska też nie potrafią powtórzyć. „Takie cudzoziemskie” — mówią.

— Jest więc książka hotelowa. W takim razie...

— Nic nie ma. Książka hotelowa spaliła się niedawno.

— Spalono ją — poprawił Conneau.

— Przypuszczalnie. Powiedzieli, że w hotelu wybuchł pożar. Wielkich strat nie było, tylko ta książka i jakieś rachunki...

— Spalono je umyślnie — powtórzył Conneau — na czyjeś polecenie. Żeby zatrzeć ślady.

— To samo mówią i Ryszard, i komisarz. Ale jaka na to rada? Książka przepadła.

— Może ją ukryto?

— Nie, spłonęła wraz z rachunkami i częścią kontuaru. Ryszard zlecił poszukiwania tu, w Londynie, specjalnemu agentowi. W portowym biurze w Dover sprawdzono spisy pasażerów, którzy owego lata przeprawili się przez kanał La Manche. Agent zanotował nazwiska i adresy kilkudziesięciu rodzin.

— Wobec tego należy mieć nadzieję — zauważył książę. — Anglicy to naród niezwykle metodyczny. Zapisują wszystko i przechowują pieczołowicie wszelkie dokumenty. I jeżeli to była rzeczywiście rodzina z Londynu...

— Tak zeznała francuska służba hotelowa. Agent Ryszarda dotarł już do tych ludzi, ale okazało się, że żadna z tych rodzin nie spędziła wakacji nad Morzem Śródziemnym. Co do jednej z nich nic nie wiadomo. Nazywają się Roberts i parę miesięcy temu wyjechali do Indii. Może to właśnie oni?

— A może to wcale nie są mieszkańcy Londynu? Może trzeba szukać na prowincji? Niech ten agent sprawdzi wszystkich, którzy wówczas płynęli do Calais.

— Chyba to robi. Ryszard nie żałuje pieniędzy. Róża o niczym innym nie mówi. Ciągłe tylko Mela i Mela. A Zelia... ech — machnął ręką Anto — gdybym mógł, latałbym po Londynie i szukał.

— I nic byś nie znalazł — ziewnął Conneau. — Znudziły mnie już te mapy, a najbardziej ta przeklęta bitwa pod Savannah...

— Stój! — krzyknął Anto. — Bitwa pod Savannah dotyczy i Polski. Tam poległ mój rodak Kazimierz Pułaski, nasz bohater narodowy.

— Walczył przeciw Anglikom? — zainteresował się książę.

— Polacy zawsze walczą u boku tych, co pragną włości. Anglicy to gnębiciele.

— Nie plwaj na mundur, który nosisz — upomniał Conneau z przesadną surowością.

— To mundur szkoły, nie wojska.

— Wojska, wojska — rozstrzygnął książę. — Wyjdiesz z Woolwich porucznikiem. Niemniej jestem po stronie Waszyngtona i twojego Pułaskiego, choć i ja noszę angielski mundur. Ale to nic. Czasy się zmieniają. Ludzie też nie pozostają tacy sami. A wracając do Meli, jestem pewien, że pan Żeran ją odnajdzie. Tego wymaga sprawiedliwość.

— Sprawiedliwość — zamruczał Anto. — Nie wiecie jeszcze wszystkiego — dorzucił ponuro.

— Co takiego?

— Nie tylko Ryszard szuka Meli. Ten jego agent zetknął się z kimś, kto równie jak on poszukuje dziewczynki. Obaj idą tym samym tropem. Który z nich pierwszy ją odnajdzie? Oto jest pytanie, jak mówi stary Szekspir. I to może okazać się bardzo niebezpieczne. Bo jeżeli tego drugiego agenta wynajął stryj Meli...

— Naturalnie, że stryj — Conneau uderzył pięścią w stół. — Do licha, żebyśmy byli wolni, dopomogliśmy temu agentowi pana Żerana.

— Róża pisze, że to podobno zręczny człowiek. Raz udało mu się nawet wyprowadzić przeciwnika w pole.

— O, jakże chętnie pomogliśmy — westchnął Lu starannie zwijając mapę. — Cieszę się, że znowu zobaczę pana Żerana — dodał i kilkakrotnie potrząsnął głową.

— Umieram z głodu! — krzyknął Conneau, zrywając się z krzesła. — Chodźmy wreszcie na kolację. Już czas najwyższy. Ta amerykańska wojna dziwnie pobudza apetyt. Nie uważacie?

Szesnastego marca tysiąc osiemset siedemdziesiątego czwartego roku dzień wstał szary, chłodny i wilgotny, ot, prawdziwie angielski ranek, choć tego dnia przypadały urodziny francuskiego księcia.

Mimo tak brzydkiej pogody nie zawiedli wierni stronnicy Bonapartych, nie zawahali się puścić na burzliwe w tym okresie morze, niepomni kosztów i trudów podróży stawili się tłumnie w Chislehurst.

Pielgrzymi podobni do owych pradawnych rycerzy Okrągłego Stołu, tak samo jak oni dążący do swojego Graala, przeszło ośmiotysięczną rzeszą zapełnili gęsto aleje i trawniki Camden Place. Wśród nich można było

89

dostrzec wielu dawnych dygnitarzy cesarstwa, członków Zgromadzenia Narodowego, ministrów, prefektów, odwołanych z pamiętnym a tragicznym dniem czwartego września.

Cesarzowa Eugenia, odchyliwszy firankę w oknie sypialni, z przerażeniem ujrzała rozfałowany tłum cierpliwie oczekujący na ukazanie się bohatera dnia.

Z początku była przeciwna nadawaniu takiego rozgłosu rodzinnej bądź co bądź uroczystości.

— A nuż Anglia nie będzie zadowolona z napoleońskiej manifestacji — przekładała panu Rouherowi. — Korzystamy przecież z gościny królowej Wiktorii i byłoby nieładnie...

Eks-minister rozwiał jej obawy.

— Najwyższy czas — odpowiedział — by książę dał się poznać światu jako już pełnoletni pretendent do francuskiego tronu, jako ten, który nawiąże do cesarskiej tradycji Napoleonów. Poza tym, czyż plebiscyt z ósmego maja nie wykazał, że Francja pragnie kontynuacji dynastii Bonapartych? Wszystko, co czynimy, Madame, jest jak najbardziej legalne i praworządne.

Lu również potrzebował zapewnienia pana Rouhera, który z właściwą mu energią wypowiedział się o wielkim znaczeniu podobnej ceremonii dla „sprawy”. Książę bał się, by po bonapartystowskiej demonstracji nie zatrzaśnięto przed nim bram Woolwich. Rząd francuski miał długie ramię, mógł skutecznie interweniować u pierwszego ministra Jej Królewskiej Mości.

Wśród nagich jeszcze drzew Camden Place ludzie stali w milczeniu, głowa przy głowie, nie czując, zdawałoby się, chłodu ani przenikającej najgrubsze nawet ubranie wilgoci.

Na ten dzień książę zrzucił mundur angielskiego kadeta. Na białej kamizelce znowu płonęła Wielka Wstęga Legii Honorowej, ustanowionej przez generała Bonaparte przed przeszło siedemdziesięciu laty dla uczczenia zarówno bohaterstwa na polu bitwy, jak i czynów wymagających cywilnej odwagi i poświęcenia.

Ludwik Napoleon otrzymał ten order za darmo, wówczas gdy leżał jeszcze w kołysce, być może na poczet tego, czego kiedyś dokonał dla Francji.

W imieniu przybyłych głos zabrał książę Padwy, stwierdzając wobec całej Europy, że Francja ma prawo wybrać rząd po swojej myśli, że idea cesarstwa żyje nadal wśród ludu. Zwracając się zaś do księcia prosił, by potomek Bonapartych gotował się do „spełnienia zamiarów Opatrzności”.

Cesarzowa Eugenia dała się opanować entuzjastycznej atmosferze owego zgromadzenia. Mówca wyrażał przecież jej własne myśli i życzenia. Cóż w tym

90

dziwnego, że Francja pragnie powrotu cesarstwa? Jej syn godny jest tronu, godny najwyższych zaszczytów, spełni marzenia tych, co w nim pokładają nadzieję.

Oczy Lu błyszczały, gdy tak stał z podniesioną głową, wystawiony na spojrzenia tysięcy żrenic. Na nieśmiałość i treść nie było teraz miejsca. Należało godnie odpowiedzieć na przemówienie, proklamujące go głową bonapartystowskiego stronnictwa.

Śmiało wystąpił naprzód.

Cóż z tego, że wszyscy patrzą na „małego księcia”? We wzroku obecnych pali się wzruszenie, sympatia i podziw. Wzruszenie spłynęło łzą na pomarszczony policzek, drżenie rąk mówiło o dzisiejszym smutku i jutrzejszej nadziei.

— Panowie — w miarę jak mówił, głos księcia nabierał metalicznych dźwięków. — Gromadząc się dziś w tym miejscu, daliście wyraz wierności i przywiązaniu do pamięci cesarza. I za to pragnę wam podziękować. W chłodnym powietrzu podlondyńskiej wsi głos młodego człowieka niósł się daleko, aż do ścian niewielkiego kościoła, gdzie spoczywał ten, którego brak w tej doniosłej chwili odczuli boleśnie nie tylko syn i żona, lecz ogół zgromadzonych.

— Przybyliście tu ze wszystkich stron Francji, by dać świadectwo prawdzie, by pomścić kalumnie rzucane na tego, którego ostatni dzień spędzony na francuskiej ziemi był dniem bohaterstwa, poświęcenia i zaparcia się siebie.

Książę wodzi wzrokiem po uniesionych ku niemu twarzach. „Gdyby ojciec żył... gdyby żył...”

Nagła rozpacz zaciska gardło, nasuwa Jagłę przed oczy. Nie wolno jednak poddawać się smutkowi, nie wolno okazać słabości wobec tych, co w nim szukają oparcia, co z jego losem wiążą nie tylko swój własny los, ale i nadzieje Francji.

— Wasza obecność przy mnie w tym dniu świadczy, jak bardzo Francję niepokoją nadchodzące lata. Naród pragnie położyć wreszcie trwałe fundamenty pod sprawiedliwe rządy. Jedyne plebiscyt jest w stanie spełnić to życzenie. Naród ma do niego prawo. Nie wolno dzielić Francuzów na zwycięzców i na zwyciężonych. Jedno wielkie pragnienie służenia ojczyźnie, wznosząc się ponad wszelkie rozdzźwięki, winno pogodzić zwaśnionych.

To prawda. Cesarzowa Eugenia spogląda na syna z podziwem. Jej dziecko, jej Ludwik jest więc już tak dojrzały? Rozumie tyle spraw dziejących się daleko stąd, za morzem, na tej ziemi, która była jego kolebką?
91

— Czy Francja zwróci oczy na syna Napoleona Trzeciego? Ta nadzieja budzi we mnie lęk. Cesarz nauczył mnie, jak ciężkie jest brzemień władzy oraz ile trzeba mieć wiary w siebie i poczucia obowiązku, by godnie wypełnić to tak ogromne zadanie.

O tak, władza ciąży nawet bardzo mocnym ramionom. Cóż więc rzec o tym delikatnym chłopcu, który z błyskiem w oczach gotów jest włożyć głowę w to jarzmo? Głuche westchnienie niczym podmuch wiatru przelatuje ponad zebranych tłumem, który lituje się nad przeznaczeniem „małego księcia”.

— Wiara w ten obowiązek doda mi sił i nauczy tego wszystkiego, czego nie dostaje mojemu niedoświadczeniu i młodości. Złączony z Matką najgorętszym i pełnym wdzięczności uczuciem uczynię wszystko, by nadrobić brakujące mi lata. A jeżeli inna forma rządu lepiej odpowie oczekiwaniom Francuzów, pochylę głowę przed decyzją narodu.

Wszystkie oczy obróciły się ku cesarzowej Eugonii.

— Szczęśliwa matka — szeptano. — Czyż istnieje coś piękniejszego niż hołd złożony matce przez syna? O, jakże ujęła zebranych ta synowska miłość, wyrażona tak szczerze wobec świata! Ojcowie rodzin zapisali jeszcze i to na korzyść młodego pretendenta.

— Jeżeli w urnach wyborczych przeważy imię Napoleona — zadrżał wzruszeniem głos księcia — jestem gotów przyjąć odpowiedzialność za losy Francji.

Któż mógłby wątpić w pomyślny wynik plebiscytu? Jakież inne imię mogło przeważać imię Napoleona? Przy zmurszałych potomkach Burbonów i Orleanów tylko młoda dynastia Bonapartych posiada potrzebną moc, by uszczęśliwić Francję.

— Panowie — książe jak gdyby przenikał ich pragnienia — odkryłem przed wami moje myśli. Jestem wam wdzięczny, że, aby je poznać, odbyliście długą i uciążliwą drogę. Zanieście nieobecny moje pozdrowienie, Francji życzenia jednego z jej synów. Moja odwaga i moje życie do niej należą. Oby Bóg czuwał nad Francją i przywrócił jej wielkość i dobrobyt!

Dawno przebrzmiały ostatnie słowa księcia, a cisza wciąż trwała. Ludzi dławili łzy, ból i smutek bez granic.

— Niech żyje Napoleon Czwarty! — osiem tysięcy ust wydało wreszcie ów okrzyk, który wkrótce, być może, cała Francja powtórzy. Kto wie? Zebrani pragną tego z całego serca.

Krzyk nadziei przetacza się nad dachami Camden Place, leci swobodny

92

niczym wiatr, przelatuje morze, słychać go w najodleglejszych zakątkach Francji.

Ludzie szaleją, płaczą i śmieją się jednocześnie, rzucają się sobie w objęcia. Więc taki jest ich „mały książę”?

Czy godzi się zostawić na wygnaniu, na obczyźnie tego dziedzica Bonapartych? Syna ich ziemi? Nie, to niemożliwe. „Mały książę” jest ich dzieckiem, krwią z ich krwi, kością z ich kości. Pójdą za nim lub zginą. Inaczej być nie może.

Anto mocno ściska rękę Róży. Chciałby płakać, a zamiast tego krzyczy razem z innymi: „Niech żyje Napoleon Czwarty!”

Napoleon Czwarty? Któż to taki? To przecież nie Lu, bliski, dobrze znany przyjaciel. To majestat, przed którym należy pochylić głowę i zgiąć kolano.

Wielka Wstęga Legii Honorowej przyciąga wzrok jak oko węża. Anto nie może oderwać spojrzenia od szkarłatnej smugi. Smugi? To raczej krew... strumień krwi spływający z serca. Przy każdym ruchu, a nawet oddechu księcia załamania wstęgi coraz bardziej układają się w krwawe bryzgi, które przez otwarte rany plamą biel kamizelki.

Anto podnosi rękę do czoła. Co za myśli! Boże, w taki dzień takie myśli! Ich wspólne urodziny, a on o ranach i o krwi...

Róża z niepokojem spogląda na brata, daje Ryszardowi znak oczami.

Anto zaciska usta. Ta niedobra Wstęga Legii Honorowej rzuca krwawe błyski na twarz księcia. Oczy Lu wydają się zalane krwią. Anto kręci głową w lewo, w prawo, zamyka oczy, byle oddalić te przerażające obrazy. Nic nie pomaga. Całą postać Lu spowija teraz czerwona mgła. Co to jest? Przecież nie ma słońca, szarość angielskiego dnia zabija wszelkie kolory, wszystko jest bezbarwne, tylko ta Legia Honorowa...

Anto czuje, że dzieje się z nim coś niedobrego. Chciałby podbiec do księcia i zerwać z niego to straszliwe szkarłatne znamię. Precz z krwawą wizją, jaką ta czerwień podsuwa pod powieki. Nawet z zamkniętymi

oczami widzi Lu w krwawej powodzi. A ludzie krzyczą, wiwatują i nic nie rozumieją, nie widzą, że księciu grozi niebezpieczeństwo, wielkie niebezpieczeństwo!

Anto z trudem utrzymuje się na nogach. Ale oto Ryszard bierze go pod ramię i razem z Różą wyprowadzają na wolniejszą przestrzeń. Już mu lepiej, już lżej oddychać. Obchodzą dokoła dom. Jak dobrze znaleźć się w przytulnym saloniku, na kominku płonie ogień, krząta się pani Lebreton, serdecznie zaniepokojona stanem chłopca.

— Zmęczył się nauką i przygotowaniem do uroczystości — wyjaśnia Ryszard.

93

— Wzruszenie... przecież to i jego urodziny... — dodaje Róża.

Anto siedzi w fotelu i drżącą jeszcze ręką unosi do ust szklanek ze złocistym winem.

— Pokrzep się, dziecko — pani Lebreton miękkiem ruchem opiera dłoń na jego ramieniu. — My też jesteśmy dziś półprzytomni. To ta uroczystość... Boże, Boże... Dlaczego cesarz nie doczekał? Jakież byłby dumny z syna...

— Wszyscy jesteśmy dumni z Lu — Anto odstawia szklanek, łatwiej mu już mówić. — Na szczęście znikły potworne widziadła. Wszystko dokoła niego jest takie samo jak zawsze. Czarna głowa Ryszarda, jasny kapelusz Róży, popielata suknia pani Lebreton.

— Anto, co to było? — Róża przysuwa twarz do twarzy brata.

— Nie wiem — Anto czuje się zażenowany. — Doprawdy sam tego nie rozumiem... Widziałem tyle krwi dokoła Lu... Chyba to wina koloru Wielkiej Wstęgi... — Wstyd mu, że zachował się jak byle dziewczucha. Zasłabł czy co? Oby tylko Lu nie dowiedział się...

— Nie mów o tym Lu — szepcze Róża, jak gdyby dosłyszała jego myśl. — Zmów na jego intencję „Zdrowaś Maria”. I nigdy więcej tego nie przypominaj. Nie trzeba. To było zmęczenie. Przejąłeś się uroczystością. Nic zresztą dziwnego, my wszyscy...

Anto tuli się do siostry. Już mu lepiej. Przy niej czuje się znowu bezpieczny, jak dawniej, gdy był mały.

Ryszard wyszedł, nie chciał, by zauważono ich nieobecność. Róża klęczy przy fotelu Anta, obejmując brata ramionami. Na kominku trzeszczą rozpalone głownie. Pani Lebreton wraca, niosąc tacę z zastawą do herbaty.

— Powinna się pani napić czegoś gorącego, droga pani Rózo. — Stawia tacę na okrągłym stolczku. — Pani też się zmęczyła i zziębła. Nie ma na to lepszego lekarstwa, jak gorąca herbata. Zobaczysz pani.

Zaledwie w Camden Place przebrzmiały owacje na cześć księcia i cesarzowej Eugenii, a już francuskie gazety, które właśnie nadeszły do Anglii, zagłuszyły entuzjastyczne okrzyki stekiem niewybrednych obelg.

Za to angielska prasa uznała pełnoletniość księcia i związane z nią uroczystości za wydarzenie doniosłej wagi.

„Times” nie zawahał się napisać:

„Dziedzic Bonapartych ma na swoje usługi cały rząd w komplecie. Można więc powiedzieć, że trzyma już Drugie Cesarstwo w rękę, czekając tylko odpowiedniej chwili, by je przekształcić w Trzecie. Pruska inwazja jak również

94

intrygi republikańców spowodowały upadek cesarstwa, jednak jego organizacja pozostała nietknięta”.

Jeden z dzienników sugerował nawet, że po takiej manifestacji wierności księżę natychmiast powróci do Paryża.

Cesarzowa Eugenia z oburzeniem zaprzeczyła podobnym insynuacjom.

— Nigdy mój syn nie popełni podobnego głupstwa — oświadczyła wyniośle. — Gdyby teraz wrócił, jego prestiż upadłby bezpowrotnie. Wygnanie lub tron, oto co mu pozostaje. Innego wyboru nie ma i nie będzie.

Przez cały ten czas Lu oczekiwał z niecierpliwością chwili, gdy znowu zasiądzie w sali wykładowej Woolwich. Tu czuł się najlepiej.

Tymczasem nad jego głową przetaczały się burze. Zanim bowiem rozjechali się do domów, stronnicy Bonapartych z niespodziewaną zjadłością skoczyli sobie do oczu.

— Dość tej nauki — wołali jedni. — Księżę jest pełnoletni i mundur kadeta w angielskiej szkole już mu nie przystoi. Musi wybierać: dyplom albo cesarska korona.

— Dyplom nikomu nie zawadzi, a wiele przyniesie korzyści — oponowali drudzy. — Woolwich to doskonała szkoła, a przyszedł cesarz potrzebuje wojskowej formacji. Ma tu odpowiednich profesorów, którzy przygotowują go należycie do przyszłej, jakże wysokiej pozycji.

— Mam dość tego gadania — wybuchnął Lu, gdy trzech przyjaciele znaleźli się znowu w bezpiecznych murach Woolwich. — Ci panowie traktują mnie jak bezwolną kukłę. Dłużej tego nie zniosę.

— Uspokój się — Ludwik Conneau był z nich najbardziej zrównoważony. — Dasz im dobrą nauczkę, gdy zostaniesz cesarzem.

— Gdy zostanę cesarzem... — Lu nagle zamilkł.

— Co się stało?

— Nic — Lu był błydy i oddychał z trudem. — Nie wiem, czy kiedykolwiek zostanę cesarzem. A jeżeli Francja mnie nie zechce?

— Francja ciebie nie zechce? — oburzył się Anto.

— Czytaliście, co piszą paryskie gazety.

— Kto by się tym przejmował? — skrzywił się Conneau. — Głupie pismaki muszą coś pisać! Za to im przecież płacą. Teraz występują przeciw tobie, ale poczekaj, gdy zostaniesz Napoleonem Czwartym, będą cię wynosić pod niebiosa.

— Nie wiem, nie wiem... — Lu ścisnął skronie. — Czasem mi się wydaje...

— Nie wolno ci tak myśleć! — krzyknął Anto. — Nigdy, słyszysz?

95

— Anto ma rację — poparł przyjaciela Conneau. — A w ogóle po co ten pesymizm? Gdy zostaniesz cesarzem, zrobisz nas generałami albo i czymś więcej — zażartował.

— Nie opuścicie mnie? Będziecie zawsze ze mną?

— Zawsze — Conneau podniósł rękę jak do przysięgi. — My zawsze z tobą. Prawda, Anto? Za rok skończymy Woolwich i w triumfie wjedziemy do Paryża. Co prawda biedny Anto pozostanie jeszcze w akademii, ale my dwaj...

— Zazdroszczę mu — szepnęła Lu. — Jakże będzie mi brak Woolwich i kolegów.

Tej nocy Anto źle spał. Niedawne krwawe widziadła powróciły pod zamknięte powieki. Na szczęście następnego dnia zjawił się Ryszard i zabrał chłopca do Londynu.

Siostra Anta i jej mąż byli już proszeni na obiad do Camden Place. Cesarzowa Eugenia z zachwytem rozwinęła piękną serwetę, prezent od dawnej hafciarki.

— Pamięta pani, droga pani Rózo, tę serwetę, którą pani wyhaftowała do serwisu z porcelany z Limoges?

— Pamiętam. Niczego nie zapomniałam.

— Co się z nią stało? Co się stało z tymi wszystkimi pięknymi rzeczami?

— Nie ma ich — twarz Róży pozostała pogodna. — Najważniejsze, Madame, że Jego Cesarska Wysokość jest już pełnoletni i że czeka go wspaniała przyszłość.

— O tak, ma pani rację. — Oczy cesarzowej Eugenii rozbłysły dumą i szczęściem. — Nie ma pani pojęcia, jak Ludwik cieszy się chusteczkami. Są podobne do tych niegdyś używanych, też pani roboty z równie pięknym monogramem.

Anto spędził w Londynie dwa dni z siostrą i ze szwagrem. Żeranowie zatrzymali się w hotelu „Continental”, a Ryszard co dzień konferował z panem Chathamem, owym agentem mającym za zadanie odnalezienie rodziny, która zaopiekowała się dziewczynką wyłowioną z morza.

Właśnie podczas pobytu Anta pan Chatham przyniósł wreszcie konkretne wiadomości.

— Wydaje się, że ci, których szukamy, to Robertsowie — zaczął ostrożnie, siadając na wskazanym przez Różę krześle.

— Z czego pan to wnosi? — Ryszard odwrócił się od kominka.

96

— Udało mi się dotrzeć do niejakiej pani Hill, dawnej gospożyny u Robertsów. Pani Hill nie chciała wyjeżdżać do Indii, wolała pozostać w Londynie. Ma niewielkie oszczędności, a że żyje skromnie... Rozmawiałem z nią.

— I co? — poderwała się Róza. — Co mówiła?

— Opowiedziała, że jej chlebodawcy przywieźli z Francji, gdzie spędzali wakacje, dziewczynkę uratowaną z katastrofy na morzu.

— To Mela, to Mela — Róza zacisnęła ręce.

— Tak, to może być ta dziewczynka. — Pan Chatham spojrzął na Ryszarda. — Nazywa się Alicja. Pani Hill nie zna jej nazwiska. Podobnie jak gospodyni, dziewczynka nie zechciała jechać do Indii. Państwo Robertowie to dobrzy ludzie, traktowali ją jak własne dziecko. Mają młodszego syna i córkę. Pani Hill twierdzi, że dziewczynka źle zrobiła zostając. Nigdzie nie byłoby jej lepiej niż u Robertów. Niestety, mała uparła się.

— Bardzo dobrze — Róża stała już gotowa do drogi. — Panie Chatham, gdzie ona jest? Zaraz tam jedziemy. Pan Chatham poprawił się na krześle, znowu spojrzął na Ryszarda, po czym przeniósł wzrok na swoje ręce.

— Pani Hill podała mi adres rodziny, u której państwo Robertowie zostawili dziewczynkę — zaczął.

— Dlaczego nie zaopiekowała się nią pani Hill? — przerwał Ryszard.

— Pani Hill nie jest już młoda — pan Chatham pokręcił głową. — Nie chciała obarczać się kłopotem. Pragnie spokojnego życia. — A po chwili dodał — uzyskawszy nowy adres, udałem się do państwa Skirringów.

— I co? Widział ją pan? — Róża nie ukrywała niecierpliwości.

— Dziewczynki już tam nie ma.

— Nie ma? Dlaczego?

— Gdzie więc jest?

Ryszard i Róża jednocześnie zadali te pytania.

— Wiecie, państwo, że nie tylko ja poszukuję tego dziecka — pan Chatham pochylił się do przodu i położył ręce na stoliku. — Jest jeszcze ktoś, kto idzie tym samym śladem. Ów człowiek trafił do państwa Skirringów inną drogą, nie przez panią Hill, i ubiegł mnie. W imieniu rodziny zażądał wydania dziewczynki. Podał przy tym jej prawdziwe imię i nazwisko. Mała, usłyszawszy to, zaprotestowała, powiedziała, że nazywa się Alicja Medlin i błagała pana Skirringa, by jej nie oddawał obcemu. Pan Skirring wcale nie miał tego

7 — Talerz z Napoleonem

97

zamiaru, twierdzi też, że dziewczynka była bardzo przestraszona. Następnego dnia zniknęła.

— Kiedy to się stało? — Ryszard usiadł naprzeciw agenta i otworzył notes. — Poproszę o adres pana Skirringa.

— Stało się to trzy dni temu. Pan Skirring natychmiast zawiadomił policję. Trwają poszukiwania dziewczynki. Na jej trop puszczono najzdolniejsze policyjne ogary. Trzeba mieć nadzieję. Problem jedynie w tym, że nie wiemy, czy uciekła sama, czy ją porwano.

— Widocznie podstępnie wywabiono ją z domu — podsunęła Róża.

— Wszystko jest możliwe, pan Skirring też tak sądzi, choć służba nie zauważyła niczego podejrzanego. Nikt nie przekazał małej listu ani żadnej wiadomości. Sama chyba też nie uciekła, bo i dokąd?

— Służba kłamie! — krzyknęła Róża. — To zupełnie jasne. Zwabiono ją.

— Jedziemy do pana Skirringa — zdecydował Ryszard.

— Pozwól, że i ja... — Anto nie mógł usiedzieć bezczynnie.

— Dobrze, chodź z nami.

Róża i Ryszard zostali jeszcze tydzień w Londynie. Niestety, poszukiwania policji nie przyniosły żadnego rezultatu. Dziewczynka po prostu rozplynęła się w angielskiej mgłę, znikła, przepadła, nie zachował się najbliższy choćby ślad, który mógłby doprowadzić do jej odnalezienia. Nic po niej nie zostało prócz sukienek w szafie i bielizny, w które pani Roberts obficie ją wyposażała.

Pan Skirring był niepokieszony.

— Jak spojrzę w oczy Robertom — biadał — zaufali mi, a ja...

— No cóż — stwierdził rzeczowo Ryszard. — Ostatecznie to nie pańska wina. Pan Chatham nie zaprzestanie poszukiwań. Liczę bardziej na jego spryt niż na działania policji.

Nie mylił się. Jeszcze tego samego tygodnia pan Chatham zawiadomił, że jego przeciwnik również nie złożył broni.

— Chwała Bogu, Mela nie dostała się w jego ręce — westchnęła Róża. — To chyba w tej sytuacji najbardziej pocieszające.

— Tak — przyznał Ryszard. — No i wiemy już na pewno, że to Mela. Anto w Woolwich dygotał z niecierpliwości.

— To jest Mela — oświadczyła uroczyście Róża, gdy wraz z mężem przybyli do Woolwich pożegnać brata.

— Doskonale pamiętam, że angielska nauczycielka Meli nazywała się Miss Alicja Medlin.

98

Chłopiec był w rozpacz.

— Mieliśmy ją tak blisko — jęczał — i nic o niej nie wiedzieliśmy. Co z nią teraz jest? Gdzie ona?

^- Znajdziemy ją — pewność Ryszarda przyniosła zbolełemu sercu Anta nieco ulgi.

Cesarzowa Eugenia napisała w tej sprawie do królowej Wiktorii. Cała maszyna policyjna poszła w ruch.

— Nie sposób, by przy tak zorganizowanej akcji nie odszukano w Londynie jednej dziewczynki — oświadczył Lu i dodał uspokajająco: — Zobaczysz, wkrótce zabierzemy ją do Camden Place, zanim przyjedzie po nią pan Żeran.

Okazało się jednak, że Londyn jest bardzo wielki, a odszukanie w tym mieście jednej dziewczynki miało takie same szanse powodzenia, jak znalezienie igły w stogu siana.

— Ryszardzie, powiedz nam coś o sobie — Anto spojrział na szwagra prosząco. — Wszystko, co ciebie dotyczy, jest takie tajemnicze...

— O tak, przyłączam się do Anta — Róża odłożyła płatek batystu skrojony w miniaturową koszulkę. — Czas najwyższy, abym poznała sekrety „don Miguela Toreno”.

W domu Żeranów oczekiwano z niecierpliwością szczęśliwego wydarzenia. Najbardziej czynną w szykowaniu wyprawki była Zelia. Okazało się przy tym, że i Consuelo jest niezwykle uzdolniona i potrafi szyć prawdziwe cuda. Ona to przygotowała już teraz chrzestną sukienkę.

— Jakie sekrety? Co jest tajemnicze? — Ryszard odpedził od lampy gromadzące się wokół klosza ćmy. — Wszystko o mnie wiecie.

Było ciepło i cicho. W otwartych oknach falowały firanki, poruszone delikatnym oddechem wieczoru.

Obrzeżone drzewami podwórze oddzielało ich pawilon od ulicy Catinat, mało zresztą ruchliwej, i łatwo było zapomnieć o wielkim Paryżu, a poczuć się swobodnie niczym w zacisznym prowincjonalnym miasteczku.

Anto cały dzień spędził z Tristanem Lambertem, odwiedzając dawnych kolegów. Z przyjemnością zasiadł teraz w saloniku siostry, rozkoszując się atmosferą domu, poczuciem bezpieczeństwa, ciepłem i przyjaźnią.

— Co właściwie chcecie wiedzieć? — westchnął Ryszard z rezygnacją, widząc błyszczące ciekawością oczy Anta i nadąsaną minę Róży.

— Wszystko — pospieszył z odpowiedzią chłopiec.

— Absolutnie wszystko — dodała Róża. — I prosimy o szczerść. Jak na spowiedzi.

— Twój dziad Zygmunt, przyjaciel naszego Dziadusia — zaczął Anto.

— Dziad Zygmunt zginął w tajemniczych okolicznościach podczas Powstania. — Ryszard utkwiał wzrok w mlecznym szkle lampy.

100

— Wspominał pan Hutorowicz — szepnęła Róża. — To Damian...

— Tak. Zdobyto pewność, że zgubił go Damian, jego przyrodni brat. Ale co się z nim właściwie stało, jest do dziś dnia tajemnicą. Wiadomo tylko, że przepadł, jak gdyby nagle przestał istnieć. Jego żona z synem, moim ojcem, musiała uchodzić z kraju. Niestety, i we Francji nie czuła się bezpieczna. Nastawano na życie chłopca. Przyjaciele pomogli jej niepostrzeżenie przedostać się do Hiszpanii. Tam zgubiono jej ślad. Osiadła w Segowii. Na szczęście wywozła sporą część kapitałów i pękata szkatułę biżuterii, mogła więc żyć spokojnie w tym pięknym kastylijskim miasteczku. Syn jej poślubił Hiszpankę, moją matkę, a prawdziwy Miguel Toreno był sierotą, wychowywanym wraz z siostrą przez intendenta dziadków. To chyba wszystko.

— Jak to wszystko? — oburzył się Anto. — A talerz?

— Poczekaj, Anto — przerwała Róża. — Powiedz, Ryszardzie, w jakich dokładnie okolicznościach zmarli twoi rodzice.

— Zmarli prawie jednocześnie — Ryszard spuścił głowę. — Panowała wówczas straszna epidemia tyfusu. Ja byłem w Salamance, na uniwersytecie. Mamę ojciec wysłał na wieś, ale zaraz wróciła, nie chciała rozstawać się z nim. Znalaziono go pewnego wieczoru... niedaleko domu... ze sztyletem w plecach. — Ryszard zamilkł, a po chwili dodał zaciskając ręce: — Mama umarła z rozpacz.

— Mój Boże, Ryszardzie, drogi, kochany — Róża przytuliła do serca głowę męża. — Co ty przeżyłeś! Co przeżyłeś!

— Przeżyłem — Ryszard zamknął oczy. Chciał może oddalić tragiczną wizję? — Wówczas powziąłem decyzję — dodał szeptem.

— Boże, Boże — płakała Róża.

— Zostałem sam. Byłem już dorosły, ale to tym ciężiej. Ja, ostatni z Że-ranów. Nie miałem nikogo. I postanowiłem działać. Należało ratować niewinnych. Nie dopuścić do dalszych zbrodni. Mój ojciec padł ofiarą nienawiści Damiana do rodziny Żeranów, ale innych Damian niszczył z pobudek politycznych. Był ciągle na rosyjskim żołdzie. Rodacy ufali mu. Wtajemniczyłem w moje plany Miguela Toreno. Zналиśmy się przecież od dziecka. I wyruszyliśmy do Paryża. Nic tu o mnie nie wiadano, i to mi ułatwiło zadanie. Udało mi się nawiązać kontakt z grupą Polaków, prowadzących patriotyczną działalność. Zostałem nawet łącznikiem między nimi a cesarzem. Napoleon III sprzyjał nam, oficjalnie jednak nie mógł deklarować się ze zbyt' wielką pomocą. Liberia, jaką nosiłem w Tuileriach, ułatwiała zadanie. Wróg, niestety, dotarł i do pałacu.

101

— O tak — westchnęła Róża.

— Nazwisko moje ujawnione, nie wiem w jaki sposób, znalazło się na liście zaproszonych na bal i miało przyczynić się do zdemaskowania mnie wobec wrogów. Była to ciężka walka, bez chwili wytchnienia.

— Omal nie zginąłeś wówczas, gdy cię napadnięto tuż pod drzwiami cesarza — wzdrygnęła się Róża.

— Miguel Toreno uratował mi życie. Gdyby nie on... Ale ty pytałeś o talerz — niski głos mówiącego był znowu spokojny i opanowany.

— Tak, talerz — Anto wstydził się trochę swojej niedyskretnej ciekawości.

— Dziad Zygmunt miał go w wielkim poważaniu, był to niejako symbol przyjaźni. Żona jego zabrała tę pamiątkę na wygnanie. Mój ojciec w dalszym ciągu otaczał malowanego Napoleona zabobonną nieledwie czcią. Po jego śmierci talerz stał się moją własnością. Nie przywiązywałem już tak wielkiej wagi do tej rodzinnej pamiątki, a poproszony przez Jadzię Narzyską na chrzestnego ojca, podarowałem talerz Meli.

— Bardzo źle — mruknął Anto.

— Dlaczego?

— Bo teraz nie ma ani Meli, ani talerza.

— Ależ, Anto — zgromiła brata Róża. — Co ma talerz do rzeczy i co to za porównanie? Szukamy Meli, a talerz...

— Bez talerza nie odnajdziemy Meli. Czy nie rozumiecie? Ona jest ostatnią posiadaczką tej relikwii.

— I co z tego?

— Jak to, co z tego?

— Doprawdy, chyba zwariowałeś!

— Nie, Różyczko, nie zwariowałem. Wiem dobrze, że takie talerze były tylko dwa, od początku. I znowu muszą być dwa razem. U przyjaciół, nie u wrogów. Ja w każdym razie zajmę się teraz talerzem, niech pan Chatham w dalszym ciągu przetrząsa Londyn.

— Pan Chatham depcze po piętach swojemu przeciwnikowi — oznajmił Ryszard. — Napisał ostatnio, że nie spuszcza go z oka, bo i tamten nie zaprzestaje poszukiwań. Pan Chatham dwoi się i troi. Upoważniłem go, by wybrał sobie pomocnika.

— Słuchajcie — Anto wstał. — A może talerz jest jeszcze w domu pani Narzyskiej? Stłuczony, ukryty, ale na miejscu? Należałoby ponownie przetrząsnąć wszystkie pokoje, a także strych i piwnice.

102

— Zrobiliśmy to, niestety, bez rezultatu.

— Komu mogło zależeć na talerzu? — rozważał głośno Anto. — Na tarym sewrskim talerzu z wyszczerbionym brzegiem? Nie mógł go zabrać aden przygodny włóczęga. To musiał zrobić ktoś, kto wiedział, co ten talerz Ha nas znaczy. To mógł być wyłącznie Damian Dobrocki.

— Dziad Damian dawno już nie żyje — zauważył Ryszard.

— Czy aby na pewno?

— Na pewno. Był już bardzo stary, choć trzymał się zadziwiająco dobrze.

— Był w wieku pana Hutorowicza — wspomniała Róża — a pan iutorowicz nie przeżył wojny.

— Damian również nie przeżył wojny — stwierdził sucho Ryszard.

— Ale w czasie oblężenia talerz wisiał jeszcze w pokoju Meli — upierał się \nto.

— Tak, widziałem go.
— Tylko jednemu człowiekowi mogło zależeć na talerzu — Anto mówił i zupełną pewnością siebie. — Jeżeli więc nie jest to Damian, musi to być stryj Meli.
— Po co mu talerz? — zdziwiła się Róża.
— Nie wiem. Ale wiem, że talerz jest u niego. Ryszardzie, proszę cię, zapytaj go wręcz.
— Nie utrzymujemy z nim żadnych stosunków — pośpieszyła z wyjaśnieniem Róża.
— To nie ma znaczenia — zniecierpliwił się Anto. — To sprawa o wiele ważniejsza niż jakieś tam głupie towarzyskie konwenanse.
— Jeżeli tak ci na tym zależy...
— Tak, Ryszardzie, bardzo mi zależy.
Ryszard obiecał i dotrzymał obietnicy. Odwiedził Wacława Narzymskiego nazajutrz przed obiadem. Pan domu przyjął go w szlafroku, ziewając ukradkiem. Wyglądał źle, jak gdyby wstał po chorobie lub po zbyt wesoło spędzonej nocy.
— Talerz? Jaki talerz? — zdziwił się nieszczerze.
— Sewrski talerz z Napoleonem, który ofiarowałem Meli — wyjaśnił cierpliwie Ryszard. — Musiał go pan widywać w pokoju dziewczynki. Był tam jeszcze po kapitulacji.
— Doprawdy, nie przypominam sobie — uśmiech pana Narzymskiego miał być rozbijający, ale przypominał raczej grymas. — Nie przyglądałem

103

się... Co prawda nie wiem, czy choć raz wszedłem do pokoju małej. Może jednak dozorca...? Jak pan pamięta, byłem w wojsku, dom stał pusty, nie wiem, co się tu wówczas działo.
— Był pan w wojsku na początku wojny — przypomniał Ryszard. — Ale później?
— Później wstąpiłem do Armii Loary — powiedział pośpiesznie pan Narzymski. — Wraz z generałem Bourbaki przeszedłem szwajcarską granicę. Tam nas rozbrojono. A czy mogę wiedzieć, dlaczego tak pana interesuje ten talerz?
— To moja żona. Uparła się, by mieć pamiątkę po Meli. Bardzo jej na tym zależy. Ten talerz widywała w pokoju dziewczynki. Mela była przywiązana do tej rodzinnej pamiątki.
— No tak — pan Narzymski pokiwał głową z fałszywym współczuciem. — Niestety, w niczym nie mogę panu pomóc. Dom zastałem otwarty na cztery wiatry. Każdy mógł tam wejść i wynieść, co mu się podobało. Zupełna dewastacja.
— Nie zamierza pan odrestaurować pałacyku?
— Na to potrzeba milionów — zachnął się pan Narzymski.
— Kłamie — oznajmił Ryszard w domu. — Ja też przeszedłem granicę szwajcarską z armią generała Bourbaki. Nie było go wśród żołnierzy. W ogóle nikt o nim nie słyszał. Mieliśmy na niego oko, podobnie jak na Damiana, ale uszedł uwagi i nie wiadomo, co robił. Obawiam się najgorszego.
— Czy myślisz, że służył Prusakom? — zaniepokoiła się Róża.
— Wszystko jest możliwe — mruknął Ryszard.
— Słuchajcie — Anto zamachał rękami. — Należałoby włamać się do mieszkania Wacława Narzymskiego i przeszukać pokoje. Innego wyjścia nie ma.
— Powiedz, Anto — Róża spojrzała uważnie na brata — co ty wciąż o tym talerzu? Nigdy o nim nie mówiłeś, a teraz od jego znalezienia uzależniasz los Meli. Co się stało?
— Nie wiem — Anto potrząsnął głową. — Doprawdy nie wiem. To tak samo jak wówczas, podczas uroczystości w Chislehurst — dodał ciszej.
Całe wakacje Anto poświęcił na poszukiwania. Można powiedzieć, że z jakąś gorączkową furją przewrócił pałacyk Narzymskich do góry nogami. W codziennych wyprawach w aleję Cesarzowej towarzyszył mu Miguel

104

Toreno, również zainteresowany całą sprawą. Róża nie przestawała bać się spotkania brata z szukającym w opuszczonym domu kryjówki opryszkiem.
— Zamiast korzystać z lata i pięknej pogody — utyskiwała — łykasz tumany kurzu i przerzucasz góry rupieci.
— Tak trzeba — odpowiadał zaciskając zęby. — Inaczej nie znajdziemy Meli.
— Co ma talerz... — zaczynała Róża, ale widząc wzrok chłopca, dodawała prędko. — Dobrze już, dobrze.

W Londynie pan Chatham również nie próżnował. Wspomagany przez młodego człowieka imieniem Sam, górował teraz nad przeciwnikiem. Pan Narzyski nie kwapił się z przydaniem pomocy swojemu agentowi. Miał widać jak zwykle pieniądze kłopoty, a wierzyciele stawali się coraz mniej uprzejmi.

Gdy ostatni raz Anto i Miguel Toreno zbliżali się do bramy pałacyku w alei Cesarzowej, zza domu wyłonił się jakiś człowiek. Od razu poznali, że wynosił nie swoją własność, oglądał się bowiem za siebie, przytrzymując obiema rękami kurtkę, pod którą coś ukrywał.

— To złodziej — szepnął Anto. — Zaraz go przyłapiemy. Nieznajomy nie mógł ich wyminąć.

— Co pan stąd wyniósł? — Anto wskazał białą fasadę. — I kim pan jest? Nieznajomy drgnął, ale jego zaskoczenie nie trwało długo.

— To pański dom? — wskazał głową pałacyk. Widać było wyraźnie, że powoli odzyskuje pewność siebie. — Piękna rezydencja — dodał już zupełnie uspokojony. — Szkoda, że tak niszczyje.

— Proszę pokazać, co pan tu ma — Anto dotknął wypukłości u boku człowieka.

— To? — uśmiechnął się nieznajomy pogodnie, jak osoba o czystym sumieniu, po czym odchylił połą, ukazując porcelanową lampę w chiński wzór. — Mam sklep ze starzyzną — wyjaśnił uprzejmie. — Klienci poszukują takich rzeczy, a to tu i tak nikomu niepotrzebne.

— Gdzie ten pański sklep? — wmieszał się do rozmowy milczący dotąd Miguel Toreno. — Chcielibyśmy zobaczyć, co pan już zabrał z naszego domu. Nie pierwszy to chyba raz pan tu przychodzi, co?

— Nie pierwszy — przyznał szczerze nieznajomy. — Proszę bardzo, jeśli panom zależy na tej lampie...

— Może ją pan zatrzymać — burknął Anto. — Ale my też lubimy starocie, chodźmy więc zobaczyć do pańskiego sklepu.

105

— Chodźmy — zgodził się nieznajomy.

Wrócili na Pola Elizejskie. Człowiek szedł milcząc. Lampę niósł teraz jawnie, w rękę, nie kryjąc jej pod kurtką, jak swoją legalną własność.

Anto pragnąłby biec, pędzić do sklepu antykwariusza, nieledwie pewny, że czeka tam na niego upragniony talerz.

Miguel Toreno szedł obok nieznajomego, jak gdyby w obawie, by człowiek nie zbiegł, znalazłszy się w wąskich i gęsto zabudowanych ulicach.

Wreszcie ujrzeni pomalowane na zielono okiennice i drzwi, nad którymi kołysał się wycięty w blasze ozdobny napis: „A. Faillard — Starożytności”. W dwóch wystawowych oknach rozkładały się brzuchate chińskie wazy, posążki Buddy, przedmioty z kości słoniowej, wachlarze malowane w pasterskie sceny, tabakierki, puzderka i sepeciki, srebrne lichtarze, stara broń oraz sto innych osobliwości.

Właściciel wyciągnął z kieszeni wielki klucz i szerokim gestem zaprosił towarzyszące mu osoby.

— Niech się panowie rozejrzą — wskazał ciemnawe wnętrze. — Może coś się paniczowi spodoba — zwrócił się do Anta.

— Może coś i kupimy — Anto przestąpił próg rozdierany niepewnością i nadzieją.

Kupiec postawił lampę na kontuarze. Na półkach zalegały sterty „starożytności”.

— Niech pan wybiera — zachęcał.

— Czy są u pana talerze? — Anto ledwie wydobył głos ze ściśniętej krtani. — Stare porcelanowe talerze?

— Mam nawet angielski serwis obiadowy. Brak co prawda solniczki, ale...

— Nie, nie, nie chcemy serwisu. Chodzi nam o talerze, o sewrskie talerze, malowane...

— A jakże, mam ich wiele. Proszę za mną.

Za sklepem znajdował się prawdziwy skład rupieci, wśród których amator „starożytności” znalazłby bez wątpienia wiele cennych przedmiotów, a nawet dzieł sztuki.

Pan Faillard odsunął jakieś obrazy, odstawił gipsowe figury dwunastu apostołów, alabastrowe posążki zwierząt, odłożył na bok spłowiałe brokaty i dostał się wreszcie do półki z porcelaną. Zadzźwięczały przesuwane filiżanki, cukierniczki, bombonierki — wreszcie kupiec wydobył talerze. Podawał je gościom jeden po drugim. Na żadnym nie było wizerunku Napoleona.

106

— Proszę nam pokazać, co pan wyniósł z pałacyku przy alei Cesarzowej — powiedział w pewnej chwili Miguel Toreno, odstawiając ostatni talerz.

Pan Faillard zmieszał się nieco.

Różne rzeczy — zrobił nieokreślony ruch ręką. — W każdym razie nic cennego — dodał prędko. — Ot, prawie wszystko obtłuczone i poobłamywane — wskazał najdalszy kąt magazynu. — Wszystko wymaga naprawy... Jeżeli pan sobie życzy... — zwrócił się do Anta — ja zapłacę. Jestem kupcem, nie złodziejem, uczciwym kupcem, niech pan popyta sąsiadów. Znają mnie tu wszyscy od wielu lat. Widząc opuszczony i zrujnowany dom, z prostej ciekawości wszedłem do środka. Przyznaję, może to nie było w porządku, ale tyle teraz marnuje się wszelakiego dobra, bez właścicieli, aż serce boli, a ja mam taką antykwareńską żyłkę... trudno mi przejść obojętnie... pan rozumie... ale chętnie zapłacę.

— Szukamy talerza — Miguel Toreno przerwał tłumaczenie właściciela sklepu. — Rozumiemy pana dobrze i nie mamy pretensji. Szukamy talerza, talerza z Napoleonem. Wisiał w pałacyku w pokoju na pierwszym piętrze. Może pan go zabrał? Kupimy go jak zwykli klienci.

Pan Faillard ze współczuciem pokiwał głową.

Tak, tak, wiem, pewnie pamiątka, co? Miałem kiedyś wiele takich talerzy. Teraz one nie w modzie — zaśmiał się cicho — dlatego pewnie ludzie ich szukają. W pańskim domu takiego nie było. Mówię szczerą prawdę i może pan polegać na moim słowie. Musiał go zabrać ktoś inny. Mało to włóczęgów, bezdomnych i złodziei wałęsa się po Paryżu? Zresztą nie pan jeden interesuje się talerzem z Napoleonem. Parę miesięcy temu był tu pewien młody pan... Wielki pan... też pytał o Napoleona. Zostawił nawet adres. O, tu mam jego kartę. — Z szuflady wyjął elegancki bilet wizytowy. — Nazwisko cudzoziemskie, trudne do odczytania... ale to prawdziwy pan, zaraz widać.

Na bilecie widniało: „Wacław Narzymiski”, wypisane ozdobną kursywą.

— Panie Faillard — Antosiovi drżała ręka, gdy oddawał bilet. — Mam do pana wielką prośbę. Jeżeli trafi do pańskiego sklepu sewrski talerz z Napoleonem, proszę nie pokazywać go temu panu. Ani nikomu innemu — dodał z naciskiem — tylko nam. Czy mogę liczyć na pana?

— Ten młody pan prosił mnie o to samo — zaśmiał się szeroko kupiec. — Jakie to dziwne! Za cesarstwa stały u mnie setki takich talerzy, nikt na nie nie spojrział. Gdy mamy republikę, każdy pyta o pamiątki z cesarzem, tym pierwszym i tym ostatnim. Dobrze, dobrze — dodał widząc wyraz twarzy Anta — odłożę dla pana i nie pokażę nikomu. Byle tylko ktoś przyniósł.

107

— Proszę nam pokazać, co pan wyniósł z pałacyku przy alei Cesarzowej — powiedział w pewnej chwili Miguel Toreno, odstawiając ostatni talerz.

Pan Faillard zmieszał się nieco.

— Różne rzeczy — zrobił nieokreślony ruch ręką. — W każdym razie nic cennego — dodał prędko. — Ot, prawie wszystko obtłuczone i poobłamywane — wskazał najdalszy kąt magazynu. — Wszystko wymaga naprawy... Jeżeli pan sobie życzy... — zwrócił się do Anta — ja zapłacę. Jestem kupcem, nie złodziejem, uczciwym kupcem, niech pan popyta sąsiadów. Znają mnie tu wszyscy od wielu lat. Widząc opuszczony i zrujnowany dom, z prostej ciekawości wszedłem do środka. Przyznaję, może to nie było w porządku, ale tyle teraz marnuje się wszelakiego dobra, bez właścicieli, aż serce boli, a ja mam taką antykwareńską żyłkę... trudno mi przejść obojętnie... pan rozumie... ale chętnie zapłacę.

— Szukamy talerza — Miguel Toreno przerwał tłumaczenie właściciela sklepu. — Rozumiemy pana dobrze i nie mamy pretensji. Szukamy talerza, talerza z Napoleonem. Wisiał w pałacyku w pokoju na pierwszym piętrze. Może pan go zabrał? Kupimy go jak zwykli klienci.

Pan Faillard ze współczuciem pokiwał głową.

— Tak, tak, wiem, pewnie pamiątka, co? Miałem kiedyś wiele takich talerzy. Teraz one nie w modzie — zaśmiał się cicho — dlatego pewnie ludzie ich szukają. W pańskim domu takiego nie było. Mówię szczerą prawdę i może pan polegać na moim słowie. Musiał go zabrać ktoś inny. Mało to włóczęgów, bezdomnych i złodziei wałęsa się po Paryżu? Zresztą nie pan jeden interesuje się talerzem z Napoleonem. Parę miesięcy temu był tu pewien młody pan... Wielki pan... też pytał o Napoleona. Zostawił nawet adres. O, tu mam jego kartę. — Z szuflady wyjął elegancki bilet wizytowy. — Nazwisko cudzoziemskie, trudne do odczytania... ale to prawdziwy pan, zaraz widać.

Na bilecie widniało: „Wacław Narzymiski”, wypisane ozdobną kursywą.

— Panie Faillard — Antosiovi drżała ręka, gdy oddawał bilet. — Mam do pana wielką prośbę. Jeżeli trafi do pańskiego sklepu sewrski talerz z Napoleonem, proszę nie pokazywać go temu panu. Ani nikomu innemu — dodał z naciskiem — tylko nam. Czy mogę liczyć na pana?

— Ten młody pan prosił mnie o to samo — zaśmiał się szeroko kupiec. — Jakie to dziwne! Za cesarstwa stały u mnie setki takich talerzy, nikt na nie nie spojrział. Gdy mamy republikę, każdy pyta o pamiątki z cesarzem, tym pierwszym i tym ostatnim. Dobrze, dobrze — dodał widząc wyraz twarzy Anta — odłożę dla pana i nie pokażę nikomu. Byle tylko ktoś przyniósł.

107

Anto zapisał adres antykwariusza obiecując, że wkrótce któryś z nich go odwiedzi. Gdy wyszli. Miguel Toreno obiecał, że co parę dni wpadnie do pana Faillarda.

— To spotkanie ma wielkie znaczenie — powiedział chłopiec w domu. Wiemy przynajmniej, że pan Narzymski nie zabrał talerza. Ale po co go szuka?

— Może sądzi, podobnie jak ty, że bez niego nie znajdzie Meli — uśmiechnął się Ryszard. — Będziemy teraz szukać w antykwariatach. To rzeczywiście najwłaściwsze miejsce dla starej porcelany.

Zaabsorbowany talerzem, Anto o wiele mniej czasu poświęcił tego lata wizytom na bulwarze Montparnasse. A przecież i tam czekali go zawsze życzliwi przyjaciele.

Gdy przyszedł pożegnać się przed odjazdem do Woolwich, rotmistrz Bracki przyjął chłopca jak zwykle serdecznie. Rozmawiali dużo o księciu. Anto musiał opowiedzieć szczegółowo o uroczystym obchodzie pełnoletniości Ludwika Napoleona. Przemówienie księcia znane było wszystkim z prasy. Niemniej rotmistrz Bracki kazał sobie jak najwierniej powtórzyć słowa Lu.

— Żle, bardzo źle — mrucał od czasu do czasu.

— Żle? — zaniepokoił się Anto. — Mój Boże, a tak się wszystkim podobało. Ludzie płakali...

— Powiedział nie to, co trzeba, zupełnie nie to — trząśł głową gospodarz domu. — Cesarz protestował przeciw rezolucji z czwartego września, przeciw uchwałąm podjętym w Bordeaux, a książe swoim przemówieniem przyznał jak gdyby rację temu, co potępił ojciec.

— A co powinien był powiedzieć? — Anto nie spuszczał oczu z mówiącego. — Co by pan radził?

— Nie chodzi o mnie ani o to, co ja myślę. Do rady książe ma innych, nie zawsze może najlepiej radzących.

— Rotmistrz Bracki potrząsnął głową. — Ale podobnie jak ja rozumują ci wszyscy, którzy zdają sobie sprawę z sytuacji. Książe powinien był powiedzieć tak: „Plebiscyt jest obowiązującą formą władzy konstytucyjnej. Plebiscyt z ósmego maja potwierdził i zaakceptował w mojej osobie istnienie cesarstwa i jego konstytucję. Póki więc nowy plebiscyt nie odwoła poprzednio uchwalonego porządku, uchwały plebiscytu z ósmego maja pozostają w mocy i stanowią polityczne prawo narodu. Oświadczam, że aż do odwołania, jako następca mojego ojca, cesarza Napoleona Trzeciego, jestem jedynym przedstawicielem ludu i prawowitym władcą Francji". Oto co powinien był powiedzieć.

108

— O Boże — jęczał Anto. — Pan ma zupełną słuszość, panie rotmistrzu. Tylko tak należało powiedzieć, nie inaczej. Teraz zrozumiałem, ale pan Rouher...

— Pan Rouher długo był „wicesarzem" — przerwał rotmistrz — i o wiele za długo kierował ludźmi, naginając ich do swojej woli. Cesarzowa Eugenia jest mu także we wszystkim posłuszna. A najgorzej wychodzi na tym młody książe. Oby tylko nie napytali sobie jakiego nieszczęścia.

— Co pan przypuszcza?

— Nie wiem. Los nie jest przychylny rodzinie Bonapartych, można więc obawiać się wszystkiego. Młody koń, gdy zerwie wędzidło, zdolny jest do wszelkich szaleństw. Tak samo i książe...

Anto wracał do Woolwich z ciężkim sercem. Dobry humor przyjaciół i kolegów rozproszył nieco jego niepokoje.

Książe odbył wiele podróży po Anglii i Szkocji. Cesarzowa Eugenia, niespożyta w chodzeniu niczym najlepszy piechur, pokazywała synowi uroki brytyjskiej wyspy. Podziwiali więc górskie pejzaże, nadmorskie skały, spienione fale oceanu, bezkresną zieleń pól, stare ruiny zamków, pałace możnych. Po tej dość męczącej peregrynacji książe z prawdziwym zadowoleniem znalazł się znowu w spokojnej przystani Woolwich. Ludwik Conneau bawił się doskonale we Francji. Angielscy koledzy zażywali morskich kąpiel i żeglowali po przybrzeżnych wodach. Wszyscy jednak z radością spotkali się w murach akademii.

Był to ostatni rok ich pobytu w Woolwich, jedynie Anto miał jeszcze dwa lata studiów przed sobą.

Tej zimy chłopcy dużo rozmawiali o czekającym ich życiu. Anto i Ludwik Conneau stwierdzali z przerażeniem, że im bliższy staje się termin otrzymania dyplomu, tym większy smutek omracza twarz księcia. Bywały wieczory, gdy Lu milczał uparcie, wpatrzony w płonący na kominku ogień. Potem nagle napadała go jakaś gorączkowa wesołość i ożywienie. Płótl wówczas byle co, byle tylko oszołomić się pustymi słowami i nie myśleć, co będzie potem.

Ludwik Conneau postanowił jeszcze na rok wstąpić do francuskiej szkoły wojskowej w Saint-Cyr, założonej niegdyś przez Napoleona w siedzibie dawnego domu wychowawczego dla dziewcząt pani de Maintenon, morgana-tycznej małżonki Ludwika XIV.

— Wolę być podporucznikiem w armii francuskiej — zwierzył się

110

Antosiovi, gdy byli sami — niż porucznikiem Jej Królewskiej Angielskiej Mości.

— Masz rację — przytaknął Anto. — Serce mnie boli, gdy patrzę na Lu. Jest coraz smutniejszy.

O tak, dla Lu zakończenie nauki w Woolwich kładło kres beztrudnej pod względem materialnym egzystencji. Co go czekało za progiem akademii? Czy powrót do Camden Place i gnuśne życie maminsynka, „księcia na wygnaniu”, „pretendenta do cesarskiej korony”, czy los angielskiego dandysa, dzielącego czas między wyścigi, podróże na Kontynent, śniadania u Carltona, „herbatki” w zimnych salonach, obiady przy skrzącym się od sreber i kryształów stole oraz wieczory w teatrze i wizyty za kulisami opery i baletu? I to miało być życie? Tylko to? Nuda i nicość. Lu wstrząsa się. Te straszne myśli odbierają sen, czarną płachtą beznadziejności okrywają przyszłość. Przyszłość! Boże, jaka może być jego przyszłość? Cieplarniana roślina przesadzona na kamienisty grunt ostrego klimatu Północy. Co mu jest pisane? Czego dokona? Czy pozostawi po sobie wielkie imię, czy zginie w oceanie anonimowości, wśród milionów ludzi, z których tylko nieliczni coś po sobie zostawiają?

Nie pragnie sławy dla siebie, chce jedynie służyć Francji. Nawet jeżeli nie zostanie Napoleonem Czwartym, to choćby jako zwykły obywatel, jako żołnierz.

Ale co na to powie matka? Matka... Ciągle traktuje go jak dziecko. Kieruje nim ona i pan Rouher... To było dobre, dopóki studiował w Woolwich, ale teraz... Jakie matka stworzy mu warunki w jego dorosłym życiu? Na co pozwoli?

Nie chciałby okazać się wobec niej niewdzięczny, nie zrani jej nigdy przykrym słowem, nawet choćby to było słowo prawdy. Ale ma już dziewiętnaście lat, jest następcą francuskiego tronu, opuszcza Woolwich ze szlifami porucznika. Od tego zaczął niegdyś jego stryjeczny dziad, Wielki Napoleon. On, Lu, też czuje w sobie siłę i potrzebę czynu. Pragnie działać. Czy potrafi? Sam... bo jest zupełnie sam. Nikt z tych, którzy go kochają, nie ma najmniejszego zrozumienia... Może jeden hrabia de La Chapelle... To mądry człowiek, był przyjacielem ojca. On jeden mówi mu czasem o tym, o czym inni radzi by zapomnieć, a także, co gorsza, wymazać również i z jego pamięci. Pan de La Chapelle rzadko bywa w Camden Place, a jego listy nie zawsze trafiają do rąk księcia. Chyba że są adresowane na Woolwich.

Każdy człowiek do czegoś dąży, ma jakiś cel w życiu. Ludwik Conneau

111

zostanie oficerem we francuskiej armii, Anto szuka Meli i talerza, i też będzie kiedyś służył swojej Ojczyźnie. A on? Czy cel, do którego dąży, jest osiągalny? Co będzie, jeżeli zawiodą go nadzieje, jeżeli Francja odrzuci dar jego życia? Co wówczas zrobi ze sobą, ze swoją młodością? Czym ją zajmie, zapełni, jak ją ustrzeże, by się nie zmarnowała?

Podczas niedzielnego obiadu w Camden Place cesarzowa Eugenia uważnie śledzi twarz syna.

To już mężczyzna — stwierdza ze zdumieniem — prawdziwy mężczyzna. Tak jeszcze niedawno wąły chłopiec, teraz dobrze zbudowany młody mężczyzna. Jak ładnie nosi głowę i z jakim wdziękiem pochyła się ku siedzącej obok niego hrabinie Clary. Policzki ma blade i matowe jak ojciec, ale podobny jest do niej, a już oczy wzięły zupełnie po matce.

O czym myśli? Oto panna de Larminat rzuca jakiś żart. Księżę uśmiecha się przez grzeczność, widać wyraźnie, że nie bawi go dowcipne słówko. Dlaczego? Dlaczego jest zwykle tak nie na swój wiek poważny i daleki, iż wydaje się, że zerwał wszelkie łączące go z matką więzy? Czego wówczas pragnie? I gdzie myślą przebywa? Bo przecież nie w Chislehurst, nie w tej podlondyńskiej wsi, oddzielonej od reszty świata nisko zwisającymi oponami mgieł.

Czy wszystko o nim wie? Czy w ogóle można wiedzieć wszystko o drugim człowieku, nawet jeśli ten człowiek jest jej dzieckiem i zna go od urodzenia?

Jej syn... Dotąd zupełnie od niej zależny i całkowicie poddany jej woli. Czy i nadal tak będzie? Czy zniesie bez szemrania jarzmo, jakie nałożyła na niego jej miłość?

Teraz spogląda na ciemne okna, ponad głowami siedzących, jak gdyby zbyt ciasną była mu ta sala jadalna i pragnął wyrwać się co prędzej na szersze przestrzenie dalekiego świata.

Lęk ścisła serce matki. Nie puści go od siebie, nigdy, chyba na tron, a i wówczas razem wjadą w triumfie przez ukwiecone bramy Paryża.

Porucznik w angielskiej armii. Ładnie mu w mundurze, ten strój podkreśla jego młodą męskość. W domu co prawda nosi zwykle cywilne ubranie, jak gdyby chciał zapomnieć... Ale i tak wyróżnia się wśród innych młodzieńców. Jest w nim coś szczególnie nobliwego, jakaś mistyczna nieledwie głębia w spojrzeniu. Czyżby rozumiał rzeczy dla innych niedostępne?

A czasem potrafi być szalenie wesoły i zabawny. Zasiada wówczas do fortepianu i bębni wojskowe marsze z taką werwą, że wydaje się najzupełniej szczęśliwy i beztronski.

Tylko najbliżsi przyjaciele, Anto i Ludwik Conneau, wiedzą, jak jest

112

naprawdę. Księżę chce się oszołomić, wesołość i muzykę traktuje jak haszysz mający dać chwilowe choćby zapomnienie.

Cesarzowa Eugenia sunie oczami po zebranych w salonie domownikach. Wszyscy zazdroszczą jej syna, takiego syna! Właśnie księżę wstaje, zbliża się do niej. Z jaką wrodzoną wytwornością całuje jej rękę na dobranoc, skłania przy tym głowę i uśmiecha się. Dobry syn, posłuszny i uległy. Nigdy nie przyczynił jej najmniejszego zmartwienia. Na próżno wypytuje pana Filona, opiekun nie ma nic do powiedzenia, nigdy niczego, co wykraczałoby poza progi akademii, najmniejszego wybryku, który przecież usprawiedliwiłaby młodość.

Pan Rouher to mądry człowiek. Chłopca należy trzymać krótko i nie dawać mu pieniędzy. Pieniądze deprawują, pozwalają zaspokajać niegodne zachcianki. Jej syn nie zniży się nigdy do wulgarnych uciech, jest na to zbyt szlachetny i ma za wiele godności. Zawsze zachowa się, jak na księcia przystało.

Do Lu podchodzi hrabia Clary. Rozmawiają chwilę z ożywieniem, po czym razem opuszczają salon. Księżę zmierza wprost do swojej sypialni. Długo jeszcze pali się światło za ciemnymi zasłonami dwóch okien pierwszego piętra. Nawet wówczas, gdy pogasty już wszystkie światła w całym domu, te dwa okna niozym gwiaździsty drogowskaz świecą na granatowym tle wiosennej nocy. Może po to, by prowadzić zbłąkanych wędrowców ku bezpiecznej przystani?

— Więc rozstajemy się — Ludwik Conneau wrzucił ostatnie książki do otwartego kufra stojącego na środku pokoju.

— Nie na długo — przypomniał Anto. — Tylko na rok.

— Rok to bardzo długo — zauważył księżę, wygodnie rozsiadając się w fotelu i wyciągając przed siebie nogi. A poza tym to koniec naszego wspólnego życia.

— Ty i Anto będziecie się często widywali, tylko ja... Powiedz, Lu, co zamierzasz teraz robić?

— Powziąłem już decyzję. Nie wrócę do Camden, nie zostanę bawidam-kiem. To nie dla mnie rola.

Wniosłem prośbę, ażeby mnie przydzielono do pułku artylerii w Aldershot. Do licha, jestem oficerem i moje miejsce w armii. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Anto pokiwał głową i spojrzął na Ludwika Conneau.

— Talerz z Napoleonem

113

— Woodhouse, Slade i Bigge już tam są — powiedział. — Lu będzie miał przy sobie naszych kolegów.

— Doskonale — ucieszył się Conneau. — Sympatyczni chłopcy z tych Anglików. Rad jestem, że będą z tobą. Tylko nie zapominaj o nas... o mnie — poprawił się. — Ja będę za morzem.

— Ty, szczęśliwczu, będziesz we Francji. — Lu podłożył ręce pod głowę. — Co ja bym dał, co bym dał!...

— Właściwie Republika nie zamknęła przed tobą granic i gdybyś chciał, mógłbyś...

— Nie, nie, tak nie mogę. Persona non grata chyłkiem przemyskająca się przez paryskie rogatki. Wyobrażasz sobie mnie w takiej sytuacji?

— Dla ciebie najlepiej tutaj — przyznał Anto. — I bardzo dobrze zrobiliście z tym pułkiem w Aldershot. Jest to co prawda dość daleko od Woolwich, dużo dalej niż Chislehurst, ale z pewnością będziesz miał dni wolne od służby i wówczas...

— Wówczas wpadnę do starej budy, żeby się zobaczyć z tobą.

— Powiem prawdę, że szczerze wam zazdroszczę — Ludwik Conneau z hukiem opuścił ciężkie wieko kufra.

— W Saint-Cyr będę się czuł bardzo samotnie. Rodzice pozostają przecież w Anglii.

— Kiedyś, niestety, trzeba się usamodzielić — westchnął Anto.

— Nie wdychaj, wujaszku Anto — zaśmiał się Conneau. — Wiemy, jak ci pilno ujrzeć nowo narodzonego siostrzeńca. Bądź cierpliwy, już niedługo.

— Kiedy jedziesz, Anto? — książe zwrócił smutne oczy na przyjaciela.

— Sam jeszcze nie wiem. Muszę zobaczyć się z panem Chathamem, to ten agent Ryszarda.

— Meli szuka cała londyńska policja — zauważył książe.

— A co z talerzem? — Conneau siadł na kufrze, mocniej przyciskając wieko.

— Nic. Miguel Toreno obszedł wszystkie paryskie antykwariaty, sklepy wszystkich handlarzy starzyzną i nic. Ja znowu poświęcę wakacje na poszukiwania.

— Dlaczego tak się upierasz przy tym talerzu? Co to ma za znaczenie? Doprawdy, nie rozumiem ciebie. — Conneau kręcił głową.

— Ja też nie rozumiem — przyznał szczerze Anto.

— Ee, zobaczysz, to nie ma nic wspólnego z Melą. Pamiętaj tylko, od razu daj mi znać, gdy ją odnajdziecie. Ach, Lu, czeka cię twarde życie w Aldershot.

— Tym lepiej — uśmiechnął się książe. — Zakosztuję wreszcie żołnierskiej

114

zupy, a przede wszystkim będę miał trochę własnego grosza. Chyba tam płacą jakiś żołd, jak myślicie? Nie dlatego, że czegoś mi brak — dodał prędko — ale skoro już nie jestem w Woolwich...

Anto i Conneau znowu wymienili spojrzenia.

Brak pieniędzy — oto jedna z udręk dorosłego życia Lu, najbardziej może dotkliwa.

Niedawno chłopcy byli świadkami, jak odwiedził księcia jego były koniuszy, pan Bachon, który zapragnął zwiedzić stajnię w Chislehurst.

— To niemożliwe — zakrzyknął ujrawszy księżęcego wierzchowca — żeby Wasza Cesarska Wysokość jeździł na podobnej chabecie! To nie uchodzi, a poza tym niebezpiecznie. Proszę spojrzeć na jego nogi.

— Nie jest taki zły — odparł Lu lekko zmieszany. — Nie bywam na polowaniach. Ten koń zupełnie mi wystarcza.

— Pewno, że taka szkapa nie nadaje się na polowanie. — Pan Bachon zmierzył konia pogardliwym spojrzeniem. — Niech Wasza Wysokość pozwoli, a wyszukam mu odpowiedniego wierzchowca. Znam się na tym.

Okazało się, że koniuszy ostro zabrał się do dzieła, przetrząsnął Londyn i znalazł wspaniałego rumaka, „godnego cesarskiego jeźdźca”, jak się wyraził. Jedyńm jego mankamentem była cena.

— VN asza Cesarska Wysokość, to wcale niedrogo jak na takiego konia — mówił zgorszony brakiem entuzjazmu młodego pana. — Tylko sześć tysięcy franków. Zapewniam Waszą Wysokość, że to prawie darmo.

— Prawie darmo! — zawołał przerażony Lu. — Sześć tysięcy franków to dla pana prawie darmo, drogi panie Bachon? — A widząc minę koniuszego dodał: — Ależ wierzę panu, wierzę, tylko cały problem w tym, że ja nie mam pieniędzy.

— Niech się Wasza Cesarska Wysokość nie kłopotuje — pan Bachon uśmiechnął się wyrozumiale. — Zaraz porozmawiam z cesarzową Eugenią i jestem pewien, że dostanę pieniądze.

Anto i Conneau zauważyli wyraźnie, jak książe zmienił się na twarzy.

— Dziękuję panu za dobre chęci, kochany panie Bachon, ale chcę pana prosić, żeby pan nic nie mówił mojej matce. Odda mi pan prawdziwą przysługę — a biorąc koniuszego pod ramię i prowadząc go w najdalszy kąt stajni, coś mu tłumaczył, czego już przyjaciele nie dosłyszeli. Widzieli tylko, jak pan Bachon ocierał oczy i doszły do nich jego słowa:

— Jeżeli tak się rzeczy mają, to wiele teraz zrozumiałem. Nie jestem bogaty, Wasza Wysokość, ale posiadam winnicę, która natychmiast sprec

115

dam. Nie zniósłbym myśli, że Wasza Cesarska Wysokość dosiada tak nędznej bestii.

— Niech Bóg pana broni od pozbywania się winnicy — zaprotestował gorąco Lu. — Ten koń wystarcza mi w zupełności i wcale nie potrzebuję lepszego. Jest pan wiernym przyjacielem i nigdy nie zapomnę pańskiego gestu.

— Może byś jednak porozmawiał z matką — po odjeździe koniuszego Ludwik Conneau poruszył drażliwy temat z całą delikatnością, na jaką go było stać. — Teraz, kiedy ukończyłeś Woolwich i nie mieszkasz w domu, musisz mieć swoje pieniądze.

— Proszę cię — Lu podniósł głowę. — Niech te sprawy pozostaną, jak są. Dam sobie jakoś radę.

— To okropne! — wybuchnął Conneau, gdy razem z Antosiem opuszczali Camden Place. — Jestem pewien, że cesarz zapisał Lu większość swojej prywatnej fortuny.

— Zapominasz, że nie odnaleziono testamentu — mruknął Anto.

— O tak — Conneau aż trząśnięty się z oburzenia. — Mówią, że go zniszczono. Jestem wprost chory, gdy myślę, że »Lu jest stale bez grosza. Chwilami nienawidzę cesarzowej Eugonii.

— Cicho — Anto obejrzał się za siebie. — Nie krzycz tak głośno. Nikt się nie może dowiedzieć... Oddałbyś Lu iście niedźwiedzią przysługę. I nigdy nie wspominaj o testamencie.

— Wiem, wiem, nie bój się, będę milczał, choć mnie diabli biorą. Przecież ty i ja mamy więcej pieniędzy na drobne wydatki niż on. A nasze rodziny nie są wcale bogate; To się musi zmienić.

Wydawało się, że ta upragniona zmiana właśnie nadeszła.

Oto uporządkowano wreszcie spuściznę po zmarłej przed kilku laty w Bretanii księżniczce Bacciochi, która pozostawiła wielkie dobra nie tylko we Francji, ale również i w Toskanii, zapisując te ostatnie ówczesnemu „cesarskiemu księciu”, czyli synowi swojego ciotecznego brata, Napoleona Trzeciego.

Napoleona Eliza Bacciochi, poślubiona za młodu włoskiemu hrabiemu Camerata, była córką Elizy Bonaparte, rodzonej siostry Napoleona, z charakteru najbardziej chyba podobnej do cesarza.

— Eliza Bonaparte przez sześć lat wychowywała się na koszt królewski we wspaniałej szkole Saint-Cyr, gdzie otrzymała staranne wykształcenie, potem, wbrew woli wielkiego brata, poślubiła z miłości skromnego korsykańskiego oficera, kapitana Feliksa Bacciochi.

116

Zostawszy cesarzem, Napoleon nadał szwagrowi tytuł księcia Lukki i Piombino. Jako wielka księżna tokańska Eliza wykazała zdumiewający talent w administrowaniu powierzonym sobie księstwem. Jej córka, Napoleona Eliza, starsza o kilka lat od swojego kuzyna, księcia Reichstadtu, gorliwa przyjaciółka nieszczęśliwego Orlątka, osiadła w Bretanii, zajmując się uprawą roli i ulepszaniem gospodarki. Pozostawiła po sobie wdzięczną pamięć wśród Bretończyków, osuszyła bowiem bagniste tereny wyspy Ouessant i wybudowała szpital dla najuboższych. Nie zapomniała też o swoim młodym kuzynku. Jej fortuna miała teraz poratować go w kłopotliwej i trudnej sytuacji.

Pełen najlepszych myśli Lu wybrał się do Italii, by objąć w posiadanie zapisane mu przez ciotkę włości.

Nareszcie skończą się jego pieniężne tarapaty. Ileż przeżył z tego powodu przykrości i upokorzeń!

Pan Rouher, konsekwentny, jeśli chodzi o raz zajęte w tej sprawie stanowisko, przy każdej okazji powtarzał cesarzowej Eugonii:

— Gdy książę będzie potrzebował pieniędzy, niech panią o nie prosi, Madame. Naucz go to oszczędności i liczenia się z groszem.

— Powiedz mi zawsze, gdy będziesz potrzebował pieniędzy — powtarzała synowi posłuszna uczennica eksministra.

Lu uśmiechał się z zakłopotaniem, spuszczał oczy i milczał. Nie przeszłaby mu przez gardło prośba o pieniądze teraz, gdy był dorosły i oficjalnie uznany pretendentem do francuskiego tronu.

Prosić matkę o niewielkie sumy na drobne szkolne wydatki mógł uczeń, wyrostek pozostający pod opieką rodziców. Jednakże „książę cesarski”, choć na wygnaniu, do tego głowa dynastii, nie miał prawa stawiać się w podobnie upokarzającej pozycji.

Odsunięty całkowicie od korzystania z pozostawionej przez ojca fortuny, wolał już swoje niezręczne położenie człowieka pozbawionego pieniędzy, tym bardziej że miłość i szacunek, jakimi darzył matkę, zabraniały mu wszelkich gwałtowniejszych wobec niej wystąpień.

Czyż matka nie zdawała sobie sprawy z jego sytuacji? Jeżeli tak zazdrośnie trzymała rękę na szkatule, miała widać po temu ważne jakieś powody.

Cesarzowa Eugenia naturalnie zdawała sobie sprawę z kłopotów syna. Znała go, wiedziała, że był równie hojny jak ojciec. Obowiązkiem jej było czuwać nad nim i gromadzić pieniądze, których będzie kiedyś potrzebował dla zdobycia tronu, opłacenia usług, pozyskania koniecznych sprzymierzeńców. Nie wolno uszczuplać tej fortuny wydawaniem pieniędzy na głupstwa. Kobiety, kolacyjki, konie, karty i wyścigi kosztują krocie. Znała ludzi,

117

wiedziała, jak łatwo młodemu, niedoświadczonemu chłopcu wpaść w nieodpowiednie towarzystwo. Człowiek z pozycją jej syna przyciąga nie tylko wybitne jednostki. Chmary podejrzanych osobników kręcą się wokół każdego księcia, szczególnie księcia na wygnaniu. Ona, matka, musi czuwać, nie dopuścić do niego owych niebieskich ptaków, czyhających na chwilę słabości, by wykorzystać dla siebie to, co powinno być użyte dla wielkiej sprawy.

Hrabia de La Chapelle znał dobrze młodego „pretendenta”. Był też doskonale zorientowany w położeniu księcia, którego siłą trzymano pod kuratelą, choć był on ponad wiek dojrzały i nieskory do płochości.

— Cesarzowa Eugenia nie urodziła się na stopniach tronu — powiedział raz. — Nie rozumie, nie zdaje sobie sprawy z pozycji, jaką zajmuje jej syn w bonapartystowskim stronnictwie. Inny na jego miejscu dawno wyłamałby się spod niewygodnej opieki. On zniesie wszystko do końca bez słowa skargi.

Zapis księżniczki Bacciochi przychodził więc w samą porę. Nareszcie ten spadek da księciu wolność, swobodę bywania, spotkania się z przyjaciółmi, uniezależni go w pewnym stopniu od matki. Teraz on, który dotąd zawdzięczał jej wszystko, będzie miał możliwość dawania, ofiarowywania, robienia przyjemności, co jeszcze bardziej — jeśli to możliwe — umocni jego do niej przywiązanie. Nic dotąd tak go nie cieszyło, jak ta nadzieja materialnej niezawisłości.

Zaproszony do Florencji, jechał pełen radosnych myśli. Układał plany. Życie nabierało nagle barw. Od razu kupi matce te kolczyki z szafirami, które podziwiała u jubilera na Bond Street. Odwiedzi również florenckich złotników. Oni tam robią cuda. Przywiezie jej parę drobiazgów z Italii. Nareszcie! Nareszcie będzie mógł i on dawać upominki.

W kancelarii notariusza Davitti czekała na księcia rada administracyjna dóbr z sukcesji Bacciochi wraz z adwokatem.

— Sytuacja w rolnictwie jest katastrofalna — powitał gościa mecenas Graziani, a widząc pytający wyraz twarzy Lu, dodał z emfazą: — Ziemia nie przynosi teraz takiego dochodu jak dawniej. O tak, Wasza Wysokość, marne plony ledwie pozwalają związać koniec z końcem, wszystko wymaga nakładów, wielkich nakładów.

— Nakładów? — powtórzył Lu nie rozumiejąc.

— Pieniądzy, Wasza Wysokość, wielkich pieniędzy — wyjaśnił prawnik, kładąc specjalny nacisk na słowo „pieniądze”.

— Pieniądze — Lu nie rozumiał, czego od niego chce ten wypomadowany Włoch z monoklem w oku.

118

— Budynki gospodarskie grożą ruiną — zaśpiewał basem główny administrator, patrząc na księcia jak na intruza, pragnącego zawładnąć bezprawnie nie swoją ziemią. — Wszystko się wali. Dobra są w opłakanym stanie.

— W opłakanym stanie — powtórzył książę nie rozumiejąc. — A dlaczego?

— Dlaczego, Wasza Wysokość? — powtórzył pytanie adwokat, skłaniając wypomadowaną głowę.

— Tak, dlaczego?

— Susza... pomór bydła... pożar... — recytował na żałobnej nucie bas administratora.

Książę spojrział na notariusza, spodziewając się wyjaśnienia niezrozumiałej dla niego postawy adwokata i administratora, ale pan Davitti szukał czegoś pilnie w grubej teczce akt i nie podniósł oczu.

— Jaka jest rada na te nieszczęścia? — książę nerwowo skrzyżował nogi, spoglądając po kolei na swoich rozmówców.

— Naturalnie, jest rada, Wasza Wysokość — zapewnił skwapliwie mecenas Graziani.

— Można wiele zdziałać — bąknął zastępca głównego administratora.

— Niech więc panowie działają — książę podniósł głowę. — Dobra te są teraz moją własnością. Chciałbym się rozejrzeć...

— Wasza Wysokość — wydawało się, że adwokat powziął nagłą decyzję. — Żeby te dobra znowu przynosiły dochód, należy włożyć w nie wiele pieniędzy.

— O tak, wiele pieniędzy — zawtórował bas administratora.
— Nie mam pieniędzy — powiedział Lu, rozkładając ręce.
— Wasza Wysokość nie potrzebuje wydać ani grosza — zaśmiał się cicho mecenas Graziani. — Dochód z dóbr Waszej Wysokości pokryje w całości wydatki.
— Proszę więc robić, co potrzeba. Chciałbym tymczasem dostać część sumy, którą mi zapisała ciotka.
— W tym właśnie jest cała trudność — adwokat wymienił spojrzenie z administratorem. — Dochód Waszej Wysokości winien zostać całkowicie użyty na podniesienie wartości dóbr z sukcesji Bacciochi.
— Na pokrycie koniecznych remontów i zakupów — uzupełnił administrator, szukając wzrokiem poparcia u mecenasa Graziani.
— Tak właśnie przedstawia się sytuacja, Wasza Wysokość — adwokat wydawał się zadowolony z udzielonych wyjaśnień.

119

— Więc ja... — książę zwilżył językiem suche wargi.
— Wasza Wysokość musi poczekać.
— Poczekać?... Jak długo?
Adwokat i administrator znowu wymienili spojrzenia. Pan Davitti nie podnosił oczu znad papierów.
— Jakież... powiedzmy... siedem lat — rzucił lekko adwokat.
— Siedem lat — potwierdził bas administratora. — To w zupełności wystarczy.
— Panowie, chcecie, żebym na siedem lat pozostawił wam użytkowanie dochodów z zapisanych mi przez ciotkę dóbr? — książę wstał.
— Nie dla nas, Wasza Wysokość, nie dla nas. Dla dobra majątków i przyszłych dochodów Waszej Wysokości.

— Nic mi pan o tym nie wspominał — książę zwrócił się z wymówką do notariusza.
— Wasza Wysokość — pan Davitti był wyraźnie nieszczęśliwy.
— To konieczne, jeśli Wasza Wysokość chce w przyszłości mieć dochód z dóbr Bacciochi — adwokat zmarszczył brwi, aż monokl wypadł z oka i zawisł na czarnej wstążce. — Panie Davitti — zwrócił się do nieszczęśliwego notariusza — proszę sporządzić odpowiedni akt. Jego Wysokość własnoręcznym podpisem potwierdzi zrzeczenie się dochodów z dóbr Bacciochi na przeciąg lat siedmiu.
Lu opuszczał kancelarię notariusza z szumem w głowie. Wsiadł do powozu, ale nie widział nawet, dokąd jedzie. Nic nie widział. Konie biegły rażno, spiesząc do Willi Bacciochi, położonej za miastem wśród wzgórz Fie-sole.

Wspaniały pejzaż, odtwarzany na płótnach największych mistrzów Renesansu, miał dla niego szarość popiołu. A więc to koniec. Koniec wszystkiego. Siedem lat! Nie ma dla niego ratunku. Jest skazany. Siedem lat, to prawie całe życie! Co robić? Dokąd uciekać? Mocno zaciskał usta, żeby nie krzyczeć z rozpacz. Znowu będzie narażony na podobne sytuacje jak ta, która zdarzyła się przed miesiącem. Do Londynu przyjechał właśnie generał Fleury, jego dawny wychowawca. Książę zaprosił go na obiad do restauracji.

Generał przyszedł w towarzystwie przyjaciela, prosząc o pozwolenie przedstawienia go księciu.

120

Gdy maitre dyskretnie podał rachunek, Lu zabrakło pieniędzy. Musiał prosić generała o pożyczkę. Co wówczas przeżył, Bogu jednemu wiadomo.

Siedem lat! Ten diabelski adwokat mówił to z takim spokojem, jak gdyby się cieszył! Administrator to jakaś podejrzana kreatura. Warto by wyrzucić go, a na jego miejsce wziąć kogoś innego. Ale kogo? Kogo? Komu można ufać? Czyjej zasięgnąć rady? Czy tego zastraszonego notariusza, który boi się spojrzeć w oczy klientom?

Książę ścisną pulsujące skronie. Przed oczami wirują świetliste koła. Co robić? U kogo szukać ratunku? Jechał tu z taką nadzieją, a tak go oszukano!

Dwa dni nie opuścił swojego pokoju. Trzeciego dnia lokaj zaanonsował hrabiego de La Chapelle.

— Spóźniłem się — powiedział gość od progu. — Znam kulisy sprawy. Wasza Wysokość padł ofiarą intrygi. Podłej intrygi. Niestety. Podpis księcia złożony na dokumencie uczynił ów bezprawny akt nieodwracalnym.
— Rozumiem — książę pochwylił ręce przyjaciela. — Wszystko teraz rozumiem. Nie dla mnie wolność, jaką dałaby mi niezależność materialna.

— Wasza Wysokość jest zbyt szlachetny, by przewidzieć podobne machinacje.
— Jestem po prostu głupi! — wybuchnął książę. — Proszę, niech mnie pan nie usprawiedliwia.
— Wasza Wysokość!
— Wiem, czym pan był dla mojego ojca w najcięższych dla niego chwilach. Wiem również, czym jest pan dla mnie. Nie wszystkim podoba się przyjaźń, jaką pan mnie zaszczyca, panie hrabio. Obawiam się, że nadejdzie dzień, gdy będę zmuszony widywać się z panem po kryjomu. Błagam teraz pana o jedno: Proszę zachować przy sobie to, co pan odkrył w tej brudnej sprawie. Obowiązek nakazuje mi poniechać skarg i pokryć wszystko milczeniem.
— Wasza Wysokość może zawsze liczyć na moją dyskrecję — skłonił się hrabia. — Nigdy sobie nie daruję, że przybyłem za późno.
— Nic by pan nie wskórał — westchnął książę. — Zostałem z góry skazany. Mieszkam teraz w Aldershot — zmienił nagle ton. — Przydzielono mnie do tamtejszego pułku artylerii. Lubię moją pracę i moje obecne życie. Sypiam pod namiotem, jak wszyscy żołnierze, jadam ze wspólnego kotła. I wszystko mi smakuje — zaśmiał się, ale bez wesołości. — A najważniejsze, że otrzymuję żołd. Jak inni. Rozumie pan?
- Wasza Wysokość!

121

— Dziękuję panu za wszystko.
— Za co, Wasza Wysokość? Przecież się spóźniłem.
Książę uśmiecha się wyrozumiale. To koniec. Trudno. Wpadł w pułapkę. Nawet niezbyt zręcznie zastawioną. Całą intrygę szyto zbyt grubymi nićmi. Widzi to teraz wyraźnie. Ale na ratunek jest za późno. Zresztą, nawet gdyby nie podpisał fatalnego dokumentu w kancelarii notariusza Davitti, i tak nie dostałby pewnie ani grosza. Sukcesja Napoleony Elizy Bacciochi nie była mu widać pisana.

VI

— Co pisze pan Chatham? — Róża stanęła za krzesłem Ryszarda i oparła ręce na ramionach męża.
— Pan Chatham stracił wiarę we własne siły — Ryszard rzucił na stół gęsto zapisany arkusik. — Zrzeka się dalszych poszukiwań, gdyż, jak pisze, „nie doprowadzi to nigdy do celu”. Nie chce dłużej brać pieniędzy za darmo, skoro nie posunął się ani o krok naprzód. Nie uchwycił dotąd żadnej nici, która wskazałaby kierunek. „Londyn jest wielki, a dziewcząt w nim pół miliona” — oto jego słowa.
— Jakże tak? — głos Róży drżał. — Ni stąd, ni zowąd zaprzestaje poszukiwań? Chyba płaciłeś mu za mało?
— O nie, podniosłem nawet jego pensję, żeby mógł zaangażować pomocnika.
— W takim razie został przekupiony.
— Co też ty, Różyczko!... Chatham to porządny człowiek. Poręczono mi za niego. Po prostu zwątpił w powodzenie całej akcji. A że jest uczciwy, nie chce brać pieniędzy, skoro nie ma rezultatów. Policja dawno już zrezygnowała. Czy myślisz, że Scotland Yard ma tylko jedną Melę na głowie?
— Ale pan Chatham był po to wynajęty, by jej szukać.
— Toteż szukał, zrobił, co mógł. Wreszcie znudziła mu się ta zabawa.
— Co teraz poczniesz?
— Nie wiem. Obawiam się, że nie pozostaje nam nic innego, jak zdać się na przypadek. Chatham zamieszczał anonsy w „Timesie”, ale albo Mela nie czytuje „Timesa”, albo obawia się pułapki i dlatego milczy. Nie wiadomo. Zgadza się z nim co do jednego: Londyn rzeczywiście jest wielki, a dziewcząt w nim co najmniej pół miliona.
— I mówisz to tak spokojnie? - A co mam robić?

123

— Przekonać Chathama, że nie powinien rezygnować. Zmusić go w ostateczności.
— W jaki sposób? Wiesz, Różyczko, zaczynam wierzyć, że Anto ma rację i że nie odnajdziemy Meli bez talerza.

— Ryszardzie, mówisz bzdury! Anto upiera się przy talerzu jak osioł. Wbił to sobie do głowy i żadne rozumowanie nie pomaga. Ale żebyś ty!...

— Spróbuję przekonać Chathama.

— Nie zgadzaj się na kapitulację. Przemów mu do rozsądku.

— Zobaczymy, co to da. Popołudniowa poczta przyniosła list od Anta.

„Chatham złożył broń — pisał chłopiec. — Widziałem się z nim podczas ostatniej bytności w Londynie. Słyszeć nie chce o dalszym prowadzeniu poszukiwań. Mówi, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Usiłowałem go przekonać, że się myli, ale nie udało mi się. Uratować Melę może tylko talerz. A jeżeli i on zawiedzie, to po skończeniu Woolwich jadę do kraju. Z pewnością do tego czasu wybuchnie tam nowe powstanie”.

— Oszalał! — krzyknęła Róża, opadając na krzesło. — Zupełnie zwariował! Czekać na powstanie! Nigdzie go nie puszczyć!

— Nie denerwuj się — Ryszard uspokajająco położył dłoń na jej rękę. — Wierzę, że Mela się odnajdzie. A poza tym, po styczniowej klęsce, żadne powstanie w kraju nie jest możliwe. Carskie wojska urządzą taki pogrom, że dużo minie czasu, nim ludzie dojdą do jakiejś takiej równowagi. Cała ziemia do dziś dnia jest jednym cmentarzem. Nie ma rodziny, która by nie opłakiwała zabitych lub zesłanych do kopalń Sybiru.

— Anto jest głupi i nie orientuje się w sytuacji.

— Anto doskonale wie, co się dzieje w kraju. Czyż nie był z nami na bulwarze Montparnasse?

— Tak... — Róża trzęsła głową niezbyt przekonana. — Ale wiesz, jaki jest impulsywny i jak bardzo przeżył utratę Meli. Nigdy nie pozwolę, żeby w takim czasie...

— Do Polski wrócimy wszyscy razem — powiedział poważnie Ryszard. — A jeżeli nam nie będzie to sądzone, z pewnością nasz Staś doczeka.

Staś. Małeńki Staś ułożony w wiklinowym koszyku wybitym błękitnym atłasem, który kiedyś był kolebką Anta, na ślicznej haftowanej pościeli, jakiej nie powstydziliby się żaden dziedzic korony.

Tej nocy Róża źle spała. Odżyły w pamięci twarze rodaków, spotkanych

124

w domu rotmistrza Brackiego, znowu słyszała słowa, straszne słowa, które ci ludzie wypowiadali. Wielu uciekinierów z Ojczyzny ciągle jeszcze pojawiało się w Paryżu, choć upadek Francji zniszczył, zdawałoby się, na zawsze polskie nadzieje.

Opowiadali oni o tak okropnych rzeczach, jak wieszanie buntowników bez sądowego wyroku, puszczenie z dymem całych wsi, podejrzanych o sprzyjanie powstańcom, bezczeszczenie miejsc świętych, nakładanie kontrybucji na właścicieli ziemskich. Sekwestry i konfiskaty majątków stały się wówczas codzienną rzeczywistością.

— Teraz, gdy umarł Berg — powiedział ostatnio rotmistrz Bracki — zniesiono urząd namiestnika, a Królestwo Polskie, na gwałt rusyfikowane, przekształca się powoli w „Przywiślański Kraj”.

— Czy wiecie — pytał jeden z gości rotmistrza, świeżo przybyły z kraju — że od sześćdziesiątego trzeciego roku zesłano na Sybir około czterdziestu tysięcy osób?

— Całe odium wroga spadło teraz na ziemian — dodał drugi — skonfiskowano już parę tysięcy majątków, ofiarowując je zasłużonemu rosyjskim dygnitarzom.

— Mimo bestialskiej represji Polacy nie złożyli broni — zawołał najmłodszy z bywalców bulwaru Montparnasse.

— Jfkże to? — pytał ktoś z dawna osiadły w Paryżu.

— A tak. Ducha nie zdołano zabić. Ostatnia próba insurekcji nie w Polsce miała miejsce, a na Sybirze, daleko, aż za Bajkałem. Powstało tam kilkuset zesłańców. Chcieli przebić się do Chin. Cóż jednak mogli wobec przemocy? Drogo nas kosztuje wolność, a raczej dążenie do niej. Ceną jest zawsze życie.

— Nie darmo car Aleksander boi się Polaków — odezwał się nestor grupy wygnańców. — W Paryżu był zamach Berezowskiego, a teraz w Petersburgu... Car nawet zapytał tego ostatniego zamachowca, czy jest Polakiem. Okazało się, że to Rosjanin. „Za co więc?”. — poskarżył się Aleksander.

— Nasylają do Polski zgraje urzędników — zauważył przybysz. — Łapownicy to i donosiciele. Zły przykład dają młodym i deprawują nasze społeczeństwo.

— Już Kraszewski napisał — wtrącił rotmistrz Bracki: — „Samo ocieranie się o naród choćby nie całkiem zły, ale ledwie wychodzący z barbarzyństwa wiekowego, musiało z nas zetrzeć niejedną epidermę cywilizacji”.

— Prawda to szczerą — przytaknął jeden z zaproszonych.

— Celem naszym winno być teraz podniesienie gospodarcze kraju —

zauważył młody jeszcze człowiek, pierwszy raz odwiedzający rotmistrza. — Zaleczyć rany i rozwinąć rolnictwo, przemysł, handel. Oto nasz program. Gdy się wzbogacimy, to i wróg inaczej nas potraktuje. O powstaniach należy zapomnieć.

— Owszem — pokiwali siwymi głowami nieliczni już bohaterowie jeszcze listopadowej wojny. — Nie można jednak przestać wierzyć. Po Golgocie zawsze następuje Zmartwychwstanie. O tym pamiętajmy.

Powoli uciszyło się rozdygotane serce Róży. Anto nigdzie nie pojedzie. Mela musi wreszcie dać jakiś znak życia. W ich dawnym domu, przy ulicy Świętego Rocha, zostawili nowy adres. Jest tam inna dozorczyńca, bardzo sympatyczna kobieta. Zelia czasem wstępuje, by zapytać o korespondencję. Nic, niestety, dotąd nie otrzymali. Ale przyjdzie taki dzień...

Nazajutrz wysłała do Woolwich długi list. Stłumiła własny niepokój i słabnącą wiarę w odnalezienie dziewczynki. Anta należało podtrzymać na duchu, pokazać, że ona i Ryszard są pewni... Zelia przecież nie przestaje wierzyć i nie ma dnia, by nie wspominała zaginionej.

Anto bardzo potrzebował pociechy. Ten rok w Woolwich wydawał mu się wyjątkowo jałowy. Chłopiec stracił zainteresowanie studiami i to, co przedtem pasjonowało go, teraz jakoś zbladło, zubożało, a nawet nudziło. Przyczyny tego stanu należało szukać w pewnego rodzaju osamotnieniu, bo choć otaczali go młodzi ludzie, równie jak on przyodziani w szkarłatne kurtki akademii, nie było wśród nich najbliższych przyjaciół.

Ludwik Conneau zresztą czuł się podobnie w Saint-Cyr. Listy jego pełne były wspomnień i melancholii. Wkrótce jednak stał się ośrodkiem zainteresowania kolegów, którzy, dowiedziawszy się o jego studiach w Woolwich i zażyłej przyjaźni z księciem, zasypywali go pytaniami. Wszystkie, naturalnie, dotyczyły Ludwika Napoleona.

Jaki on jest? — to przede wszystkim chcieli wiedzieć młodzi Francuzi.

Lu czuł się dobrze w Aldershot. Dużo lepiej niż w Camden Place. Miał przy sobie trzech oddanych angielskich kolegów, a obozowe życie najzupełniej mu odpowiadało. Ta zdyscyplinowana wojskowa egzystencja była widać potrzebna dla utrzymania jego wewnętrznej równowagi.

Z Antosiem widywali się zazwyczaj w Londynie, gdzie księżę spędzał prawie każdy wolny od służby dzień. W domu bywał rzadko. Cesarzowa Eugenia, zajęta działalnością bonapar-tystowskiego stronnictwa, nie narzekała zbyt na oddalenie syna.

Pewnej grudniowej soboty chłopcy, jak zwykle, spotkali się w domu mistrza

Dumonta, fryzjera księcia, u którego Lu wynajmował pokój. Dzięki temu miał w Londynie swoje własne pied-a-terre, o wiele tańsze niż apartament w hotelu.

Tego właśnie popołudnia mistrz Dumont oznajmił, że pewna dama prosi o pukiel włosów księcia.

— Czy Wasza Wysokość pozwoli spełnić jej życzenie? — machnął nożycami, zabierając się do strzyżenia księżęcej czupryny.

— Czy jest ładna? — Lu spojrzął w swoje odbicie w lustrze.

— O tak, Wasza Wysokość.

— Młoda?

— O nie, Wasza Wysokość. Ma sześćdziesiąt lat.

— W takim razie możesz ofiarować jej kosmyk moich włosów — podniósł z podłogi opadły spod nożyc pukiel. — Jeżeli tak jej na tym zależy — dodał.

— Bardzo zależy, Wasza Wysokość.

Anto zastał przyjaciela w doskonałym humorze.

— Mam wielbicielek — oznajmił Lu. — Skończyła co prawda sześćdziesiąt lat, następna powinna już być nieco młodsza, nie uważasz? Ofiarowałem jej właśnie przez mistrza Dumonta kosmyk włosów do medalionu. Gdy mnie już nie stanie...

— Przestań, Lu — oburzył się Anto. — Ona jest bardzo stara, a ty... Wiesz, że nie lubię, jak tak mówisz. Lepiej chodźmy po sprawunki.

Mimo przenikliwego zimna, wiatru i wilgotnej mgły było im wesoło. Postanowili poszukać drobnych podarków dla przyjaciół i kolegów na zbliżające się święta.

— Wiesz, co wymyśliłem dla Ludwika Conneau? — Księżę zaśmiał się cicho. — Zamówmy dla niego tuzin chustek do nosa z czułymi emblematami. Damy mu do zrozumienia, że to prezent od Miss Prescott. Niech ma w co ronić łzy tęsknoty. Co ty na to?

— Nic. Dobry pomysł. Szkoda tylko, że nie ma tu Róży. Ślicznie by wyhaftowała serca przebite strzałą oraz inne podobne słodkości.

— Szkoda — przyznał Lu. — Znajdziemy chyba jakiś sklep bielizniarski czy szwalnię.

— Trudno coś dojrzeć, taka mgła — Anto spojrzął na mijaną właśnie fasadę.

— Serce przebite strzałą, a nad nim dwa gołąbki — marzył głośno Lu. — A wszystko otoczone wieńcem z niezapominajek.

— Biedny Ludwik — wzdrygnął się Anto. — Już widzę, jak wydobywa

127

z kieszeni owo cudo i wywołuje sensację w Saint-Cyr. Okrutniku! — ścisnął ramię przyjaciela.

Szli prędko, gnani wiatrem, zatulając szalikiem usta. Oświetlone gazem witryny magazynów majaczyły słabo wśród gęstego tumanu, a na wilgotne płyty chodnika kładły się drżące smugi bladego światła. W tych warunkach nieliczne tylko szyldy mogły przyciągnąć oko przechodnia.

— Poszukajmy na Piccadilly — zaproponował Lu, przeszli jednak całą ulicę aż do Regent Street, nie znalazłszy najmniejszego śladu szwalni.

— Spróbujmy w bocznych ulicach — Anto pociągnął przyjaciela w stronę budynków Królewskiej Akademii. Minęli całą Regent Street i skręcili w ulicę Oksfordzką. Lu zaczynał tracić nadzieję.

— Takie sklepy znajdują się chyba na skromniejszych ulicach — pocieszał księcia Anto, wodząc wzrokiem po ledwie widocznych fasadach. — O, tam, spójrz! — zawołał nagle. — „Szyce bielizny — hafty”. — Odczytał głośno dobrze oświetlony napis. — W sam raz dla nas.

Drzwi pchnięte mocną ręką księcia wprawiły w ruch małe dzwoneczki, wydające brzękliwe, ale melodyjny dźwięk.

W sklepie była jedna tylko osoba, młoda dziewczyna schylona nad tamborkiem. Za jej plecami na półkach piętrzyły się stopy przeświecających obrusów, męskich koszul i damskiej bielizny.

Dziewczyna odłożyła tamborek, przykrywając nim leżącą na kontuarze książkę, i wstała.

— Czym mogę panom służyć?

Była średniego wzrostu, w ciemnobrązowej sukni zapiętej wysoko pod szyją, z długimi wąskimi rękawami. Odcień sukni zlewał się z kolorem włosów. Rozdzielone pośrodku głowy i zaplecione w dwa grube warkoczki zwijały się nad uszami na kształt muszli winniczka, mieniając się ciepłym brązem i złotem.

Oczy bardzo niebieskie pod czarnymi brwiami ładnie harmonizowały ze świeżą cerą i jasnym rumieńcem.

— Chcielibyśmy zamówić tuzin chustek z haftem — zaczął Lu i zamilkł. Dziewczyna nie patrzyła na niego, nawet go chyba nie widziała. Nieruchome źrenice utkwiła w twarzy Anta.

— Mela... — wybełkotał chłopiec, składając ręce. — Mój Boże! Mela! Dziewczyna potrząsnęła głową. Oczy jej utraciły nieruchomość spojrzenia.

— Nie rozumiem pana — odwróciła się w stronę półek.

128

— Melu, przecież to ja, Anto. Czy zapomniałaś?

— Nie wiem, o co chodzi pańskiemu przyjacielowi. — Nie patrzyła na nikogo. — Zaraz pokażę chustki.

— Melu — Anto oparł się o kontuar, odsuwając tamborek. Spadła ukryta pod nim książka. Chłopiec schylił się. — To przecież „Pan Tadeusz” — wyszeptał, jak gdyby sam z sobą dzielił się tym niezwykłym odkryciem.

— Melu, czego się boisz? Szukamy ciebie od tylu lat!

Dziewczyna postawiła na ladzie pudło z chustkami. Oczy miała spuszczone.

— Proszę, niech pan wybiera — zwróciła się do księcia. — Angielski batyst w najlepszym gatunku. A jaki ma być haft? Czy monogram?

— Nie wiem. — Lu patrzył na przyjaciela. Dziewczyna zamknęła pudło.

— Nic pan nie zamawia? — głos jej lekko drżał. Nie podnosiła oczu.

— Nie wiem — powtórzył Lu.

Anto położył na kontuarze niewielki tomik w zniszczonej oprawie. Widać często był czytany.

— Pamiętasz, jak uczyliśmy się tych wierszy na pamięć? — Uporczywie szukał wzrokiem oczu dziewczyny.

— Róża nas przepytywała. Tak pięknie deklamowałaś „O roku ów...”.

— Bardzo pana przepraszam, ale zaraz zamykamy sklep — zwracała się wyłącznie do księcia. — Ja... nie wiem, czego ode mnie chce pański przyjaciel... Nie rozumiem, co mówi...

— Chodź. — Lu ujął Anta pod ramię. — Do widzenia pani. Przyjdę innym razem.

— To Mela — chłopiec dał się posłusznie wyprowadzić na ulicę. — Od razu ją poznałem, a ona...

— Ona też ciebie poznała — księżę podniósł kołnierz palta. — Ale widać nie życzy sobie znajomości z tobą.

— Co robić? Ona się boi, nikomu nie ufa. Boże, jak ją przekonać?

— Poczekajmy za rogiem — poradził Lu. — Zamkną sklep i ona wyjdzie. Wówczas pójdziemy za nią i dowiemy się, gdzie mieszka. Potem już od ciebie będzie zależało...

Czekali najwyżej kwadrans, a wydawało im się, że minęły godziny. Dziewczyna wyszła wreszcie, ale nie była sama. Towarzyszył jej starszy jegomość, który opuścił żaluzje na wystawowych oknach i zaryglował drzwi.

— Dobranoc, Miss Medlin.

— Dobranoc, panie Fields.

9 — Talerz z Napoleonem

129

Anto ścisnął księcia za ramię.

— Słyszałeś? — szepnął w samo ucho przyjaciela. — Miss Medlin. Tak nazywała się angielska guwernantka Meli. Miss Alicja Medlin.

Dziewczyna szła szybko, nie oglądając się za siebie. Przytrzymała szarpane wichrem poły płaszcz, tego samego koloru, co suknia. Ciepły kapturek, którego wstążki zawiązane pod brodą tworzyły wielką brązową kokardę, ciasno otulał jej głowę.

Zapуściła się w słabo oświetloną Bayswater Road, przedłużenie jak gdyby ulicy Oksfordzkiej. Potem skręciła w prawo, w Sussex Gardens, od której odchodziło kilka węższych i krótkich uliczek. W jednej z nich zniknęła w bramie wysokiej kamienicy.

Odczekali chwilę, po czym i oni zanurzyli się w czysto wymiecioną sień i zapukali w szybę dozorczyńni.

— Ta panienka, co przed chwilą tu weszła — Anto położył na parapecie nowiutką półkoronówkę. —

Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie mieszka.

Dozorczyńni popatrzyła na monetę, a podniósłszy głowę spojrzała uważnie w twarze młodych ludzi.

— Jaka panienka? — głos miała gruby, prawie męski.

— Ta w brązowym płaszczu. Widzieliśmy, jak tu wchodziła.

— Niech panowie oficerowie idą swoją drogą. A to proszę zabrać — odsunęła monetę.

— Chcielibyśmy...

— Tu nie ma żadnej panienki, o jaką panom chodzi. To porządny dom i porządni mieszkańcy. Niektórzy, co prawda, bardzo biedni — dodała wdychając.

— Ta panienka jest moją znajomą — nalegał Anto. — Dawno jej nie widziałem i...

— Nie wypada panom oficerom napastować przyzwoitej panienki — ucięła baba. — Proszę gdzie indziej szukać przygód.

— Zostawiłbym list — zaczął Anto, ale dozorczyńni nie dała mu dokończyć.

— Szkoda fatygi — burknęła. — Nikomu nie zaniosę pańskiego listu. Niech panowie idą z Bogiem.

— Czego się pani obawia? — wmieszał się księżę. — Nie mamy żadnych niecznych zamiarów. Chcielibyśmy po prostu...

— Wiem, co panowie chcieli — dozorczyńni pokiwała głową. — Żyję nie od dziś i widziałam niejedno.

Powtarzam, nic tu nie ma dla panów ciekawego.

130

— Pani się myli — Lu oparł łokieć o parapet, zasłaniając sobą Anta. — Tę panienkę poszukuje rodzina, a my właśnie przynosimy jej wiadomość.

Anto nie słuchał dalszej rozmowy przyjaciela z dozorczynią. Powoli posuwał się w głąb sieni, oświetlonej jednym tylko kinkietem, aż natknął się na pierwsze stopnie schodów. Puścił się biegiem, jak gdyby uciekał przed pogonią.

Dziewczyna — zważywszy jej skromną kondycję — musiała mieszkać wyżej. Anto przemknął jak duch trzy piętra i zatrzymał się na niewielkim podeście. Z trzech stron znajdowały się wejścia do mieszkań. Zza lewych drzwi kwiliło niemowlę, z prawej strony gderliwy męski głos robił komuś przykre uwagi. Drzwi na wprost schodów zamykała masywna kłódka.

Podest czwartego piętra był identyczny z identycznym rozkładem mieszkań.

Z lewej strony dwa głosy, męski i kobiecy, obrzucały się obelgami. Mężczyzna wytykał kobiecie obojętność, ona jemu zdradę. Anto powstał chwilę nasłuchując. Zza drzwi na wprost schodów sączył się cichutki śpiew skrzypiec. Ktoś ćwiczył „Marzenie” Schumanna, powtarzając niektóre pasáže po kilka razy. Drzwi prawe milczały, nie zdradzając obecności lokatora głosem czy szelestem.

Anto przyłożył ucho do lakierowanych na brązowo desek. Po chwili usłyszał kaszel. To Mela, słyszał, jak kaszłała w magazynie. Bez pukania nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. — Czekam na panią, pani Grayton, mam pani coś do powiedzenia. — Dziewczyna, a właściwie Mela, klęczała przed kominkiem, przypiekając nad skąpym ogniem kromkę chleba, nadzianą na widelec z długą rączką. Zdjęła już brązową suknię, miała teraz na sobie czarną spódnicę i ciepły flanelowy kaftanik. Oczekiwała widać gościa, bo na skrzyp drzwi nie odwróciła nawet głowy.

— To ja — Anto głośno przełknął ślinę. — Nie bój się, jestem sam — dodał prędko.

Dziewczyna zerwała się, chleb spadł w żar kominka. Twarz miała zaczerwienioną od ognia, a może z przestraszenia. Oddychała szybko i na chwilę zamknęła oczy.

— Dlaczego się mnie boisz? Cały czas ciebie szukałem... Nie mogłem żyć... I Róża, i Ryszard... A Zelia nigdy nie zwątpiła... Zawsze powtarzała, że wrócisz do domu. Melu, dlaczego milczysz? Powiedz, że mnie pamiętasz!

132

— Zelia... — powtórzyła cicho Mela, a potem dodała prędko: — Pamiętam, ale tam w sklepie nie byłeś sam.

— Byłem z Lu, no z Lulu, wiesz przecież — powiedział niecierpliwie.

— Więc to był Lulu? — zdziwiła się, powoli rozciągając sylaby. — A ja myślałam...

— Co myślałaś?

— Nic. Widzisz, muszę być ostrożna, bardzo ostrożna. Ty tego nie rozumiesz, nic przecież nie wiesz.

— Wiem wszystko — wybuchnął. — Ryszard wiele razy był w Mentonie i w okolicznych wioskach. Szukał na całym wybrzeżu...

— Mamusia... — wstrząsnął nią dreszcz. — Gdzie jest mamusia? Co się z nią stało? — zakryła twarz, a spomiędzy palców pocięły łzy.

— Melu — objął ją delikatnie, bojąc się zbyt gwałtownym objawem czułości spłoszyć słabe jeszcze zaufanie.

— Anto — wyszlochała w klapy jego płaszcza. — O Anto... Przepadły gdzieś straszliwe lata wojny, nieszczęść, oddalenia. Znikł kadet

w szkarłatnym uniformie akademii z Woolwich, znikła szwaczka z magazynu. Na ich miejscu było znowu dwoje dzieci z ulicy Świętego Rocha, dwoje dzieci złączonych serdeczną przyjaźnią. Mela i Anto.

Długo tak stali, aż ścichł płacz Meli. Widać było, że dziewczyna dopiero teraz, w tej właśnie chwili pozwoliła sobie na podobny objaw słabości. Ale jakąż odczuła ulgę i odprężenie! Dotąd musiała się strzec, omijać zastawione pułapki, zawsze czujna, nieufna i podejrzliwa, stale pamiętająca o jednym: nie dać się pochwycić. A oto ustępowało długotrwałe napięcie i strach. Wracała przeszłość, a z nią życie, prawdziwe, normalne życie w domu, wśród swoich, bliskich, drogich i kochanych. I tak dobrych! Nie trzeba się będzie bać, niczego wystrzegać, oglądać się za siebie, zrywać się do naglej ucieczki. Wszystko zło już minęło. A może nigdy go naprawdę nie było? Może jej się to wszystko zdawało?

— Anto — szeptała coraz ciszej, trzymając się kurczowo klapy wojskowego płaszcza. — Anto...

I wtedy Anto podniósł głowę znad włosów dziewczyny i zobaczył.

Niewielki pokoik oświetlał tylko ogień na kominku i jedna świeca tkwiąca w porcelanowym lichtarzu. Dlatego dotąd nie zauważył. Zresztą oczy miał jedynie dla mieszkanki skromnego wnętrza.

Nad kominkiem wiał talerz. Talerz z Napoleonem. Taki sam, jaki zostawił im Dziaduś. Talerz zajmował miejsce przeznaczone niegdyś na lustro. Teraz

133

puste po nim ramy wyklejono kwiecistą tapetą, na jej środku pysznił się sewrski talerz, połyskując delikatnym błękitem i złoceniami.

Jak mógł, wszedłszy, nie zauważyć? Chyba dlatego, że światło — jedynie ogień na kominku — przyciągało wzrok, no i Mela...

— Talerz — wykrztusił. — Czy to możliwe? Taki sam...

— To mój talerz — Mela otarła ostatnią łzę. — Zobacz ten brzeg, o tu, widzisz? Jest wyszczerbiony.

Pamiętasz?

Skinął głową, niezdolny dobyć głosu ze ściśniętego wzruszeniem gardła.

— Ale jak to się stało?

— Nie wiem — Mela potrząsnęła głową. — Zobaczyłam go na wystawie pewnego antykwariusza. Jakieś pół roku temu. Był dla mnie za drogi. Właściciel sklepu zgodził się zdjąć talerz z wystawy i poczekać, aż zbiorę pieniądze. Pożyczyła mi pani Grayton, inaczej czekałby zbyt długo.

— Właśnie, pani Grayton. Któż to taki?

— Dozorczyńni. Cudowna kobieta. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie ona i jej mąż. Znalazła mnie przed rokiem i uratowała. Byłam głodna, zziębnięta i bezdomna. Wszystko im zawdzięczam. Poczekał — zakrzętała się przy stojącym w głębi pokoju piecyku. — Zaraz przygotuję kolację. Zjemy razem, jak dawniej.

— Wydobywała talerze i filizanki. — Chleb spalił się na węgiel — zajrzała w głąb kominka i zaśmiała się, jak dawniej. Śmiech znowu zjawiał się na zawołanie, był tuż obok łez.

Anto zdjął płaszcz i klęknął przed paleniskiem.

— Zimno tu — zatarł ręce. — Nie masz więcej drzewa?

— Nie mam — stwierdziła z zalem. — Zostało tylko trochę do piecyka.

— Zaraz kupię — zerwał się, ale w tej samej chwili zastukano do drzwi.

— Proszę, pani Grayton — zawołała Mela wycierając ręce.

Do pokoju wkroczyła dozorczyńni. Ujrawszy Anta, zatrzymała się przy drzwiach z ręką na klamce.

— A jednak wcisnął się pan do tego domu — powiedziała z wymówką. — Wbrew moim zakazom.

— Droga, kochana pani Grayton — Mela uściskała kobietę. — Jestem taka szczęśliwa! Wie pani, kto przyszedł? — wskazywała gościa. — To Anto, prawie mój brat, pamięta pani? Opowiadałam przecież.

— Pamiętam — kiwnęła głową. — A więc to pan? — zwróciła się do intruza.

— Proszę wybaczyć — Anto uśmiechnął się z zażenowaniem. — A mój przyjaciel?

134

— Długo zawracał mi głowę — wybuchnęła. — Tak długo, aż pan zdążył wejść na górę.

— Byłeś z Lulu? — zainteresowała się Mela.

— Tak, z nim.

— To księżę Ludwik Napoleon — wyjaśniła. — Anto i on są przyjaciółmi.

— Księżę?

— Tak, syn Napoleona III, francuski księżę.

— Wiem, wiem — przytaknęła pani Grayton. — Tylu teraz u nas cudzoziemców... Ale jeśli to księżę...

— Najprawdziwszy. Będzie kiedyś cesarzem — oświadczyła z dumą Mela. — A pani z nim rozmawiała jak ze zwykłym człowiekiem.

— Tak samo, jak rozmawiam z każdym. Był taki zwyczajny, podobny do wszystkich innych młodych paniczów. Ale bardzo grzeczny — dodała prędko.

— Gdzie tu można kupić drzewa i węgla? — Anto już naciągał płaszcz.

— Mój mąż zaraz przyniesie — ofiarowała się. — Więc mogę być spokojna? — spojrzała pytająco na Melę.

— O tak, skończyły się wszystkie moje biedy. Wracam do domu! Wkrótce w kominku huczał ogień. Cały pokój wydał się jakiś jaśniejszy i nie tak ubogi.

Siedzieli naprzeciw siebie na niewygodnych krzesłach i jedli kolację, którą pani Grayton uświetniła śliwkowym puddingiem.

— Mela — powtarzał od czasu do czasu Anto, spoglądając na dziewczynę, jak gdyby nie bardzo wierzył w jej materialną obecność.

— Anto — odpowiadała odkładając widelec i wyciągniętą ręką dotykając jego dłoni. Ona też potrzebowała upewnić się, że przyjaciel nie jest zjawą, lecz jakże namacalną rzeczywistością.

— Ryszard wynajął specjalnego agenta, żeby ciebie odszukać — mówił Anto. — Pan Chatham, to ten agent, zamieszczał anonsy w „Timesie”. Bez skutku. I dopiero ja... przypadkiem...

— Czytałam takie ogłoszenie — wyznała Mela. — Ale bałam się... Już raz mnie odnaleziono, jakiś człowiek zjawił się u państwa Skirringów. Było mi u nich bardzo dobrze, a on... Miał nieprzyjemną twarz i tak na mnie dziwnie patrzył... — wzdygnęła się. — I koniecznie chciał mnie zabrać. A potem stał naprzeciwko domu i pilnował, aż pokojówka zwróciła uwagę. A potem stał już ktoś inny i też pilnował. Wiedziałam, że nie zostawią mnie w spokoju. Tak bardzo bałam się, że uciekłam. Tylnym wyjściem. Przez ogród.

135

— Jak mogłaś? — spojrzał na nią z wyrzutem. — Pan Skirring martwił się bardzo, dał znać policji. Byliśmy u niego.

— Gdybym wiedziała... — zapatrzyła się w ogień.

— Przewróciłem do góry nogami pałacyk w alei Cesarzowej w poszukiwaniu talerza — zwierzał się Anto. — Zrozumiałem, że bez niego nie odnajdę ciebie.

— Dlaczego tak myślałeś?

— Sam nie wiem dlaczego. Wszyscy mnie o to pytali. Ale czyż nie miałem racji? Ty i talerz jesteście złączeni wspólnym przeznaczeniem.

— Naprawdę tak sądzisz? — zdziwiła się.

— Naprawdę — odpowiedział poważnie i spojrzał na Napoleona.

A potem pili herbatę, wkładali równo piłowane polana do kominka i wspominali przeszłość.

— Jak dobrze, że jutro niedziela — westchnęła dziewczyna. — Nie muszę iść do magazynu.

— Nigdy już nie pójdziesz do magazynu — Anto odstawił pustą filiżankę. — Jutro razem z Lu odwieziemy cię do Chislehurst, do cesarzowej Eugenii. Tak zdecydował Lu. Zostaniesz tam, dopóki nie przyjedzie po ciebie Ryszard. I wreszcie znajdziesz się w domu. Zobaczysz, jaki jest teraz piękny.

— Dom zawsze jest piękny — szepnęła. — Mój Boże! Dom, Róża, Zelia...

— I Ryszard, i Staś — dokończył.

— I wuj Ryszard, i mały Staś — poprawiła. — Chciałabym dziś jeszcze znaleźć się w domu.

— Poproszę panią Grayton, żeby została u ciebie na noc. Będę spokojniejszy. Pan Chatham zaprzestał poszukiwań, uznał je za bezcelowe, ale ten drugi, ten, który trafił do pana Skirringa, jeszcze nie złożył broni. Skoro ja trafiłem do twojego magazynu, to i on... jemu też może się udać.

— O nie — zaprzeczyła stanowczo Mela. — Ciebie przywiodła Opatrzność, a on... Nie, nie — kilkakrotnie pokręciła głową. — To niemożliwe.

Jednakże Anto postawił na swoim i pani Grayton obiecała spędzić noc w pokoiku na czwartym piętrze.

Lu czekał u mistrza Dumonta, ledwie hamując niecierpliwość.

— Jego Wysokość nic nie jadł — oznajmił fryzjer — nie może usiedzieć na miejscu, taki jest zdenerwowany. Chciał już iść pana szukać.

— No i co? I co? — pytał Lu, nie dając przyjacielowi zdjąć płaszcza.

— Zwycięstwo! — Anto wyrzucił w górę czapkę. — Jutro Mela pojedzie z nami do Camden Place, jak powiedziałeś. Prosiłem panią Grayton, by

136

spędziła u niej noc. Teraz, gdy ją odnalazłem, boję się, by znowu nam nie zginęła.

— O kim mówisz? Co za pani Grayton?

— Dozorczyni. Mela powiedziała jej, kim jesteś. Mimo to uważa cię za całkiem normalnego człowieka.

— Czego ja jej nie naplotłem — śmiał się Lu — byle tylko zająć jej uwagę i pozwolić ci spenetrować dom! Gdzie mieszka Mela?

— Na czwartym piętrze. I wiesz, co jeszcze odnalazłem?

— Co takiego?

— Talerz.

— Jaki talerz?

— Talerz z Napoleonem.

— Doprawdy, Anto, kpisz chyba ze mnie.
— Mówię prawdę.
— Gdzie go odnalazłeś? Mówże.
— U Meli.
— U Meli? W domu?
— Wisi nad kominkiem. Sam go jutro zobaczysz.
— Zawsze mówiłeś, że bez talerza jej nie odnajdziesz — mruknął Lu.
— Tak mówiłem. Bo to prawda. Odnalazłem jednocześnie i Melę, i talerz. Ale w tym już twoja jest zasługa.
— Mylisz się, nie moja. Byłem tylko narzędziem. Zresztą sam wiesz najlepiej.

— Cicho, Consuelo, nie śpiewaj, Mela jeszcze śpi.
Zelia wszystkich strofuje. Nawet mały Staś, dotąd oczko w głowie, musiał ustąpić z pierwszego miejsca. Wszelkie starania, uwaga i troskliwość skupiają się na Meli.

W pawilonie przy ulicy Catinat zrobiło się ciasno — trzeba było urządzić pokój dla cudem odnalezionej. Ryszard zamierzał nawet szukać innego, wygodniejszego mieszkania, ale Róża i Zelia oparły się temu, wysuwając takie awantaże pawilonu, jak jego odosobnienie, odgródzenie jak gdyby od ulicznego kurzu i hałasu, otaczająca go zieleń i zdrowe, bo nieledwie wiejskie, powietrze.

137

Wigilia Bożego Narodzenia zgromadziła wszystkich przy jednym stole: na ten tylko wieczór Zelia odstępowała od swoich zasad i zgadzała się — polskim obyczajem — zasiąść do kolacji razem z „państwem”. Wspominano naturalnie święta spędzone niegdyś w domu, przy ulicy Świętego Rocha, choinkę w Tuilériach i tych, co odeszli.

— Dobry, kochany pan Hutorowicz — Mela tuliła lalkę, którą otrzymała w dzieciństwie na gwiazdkę od starego przyjaciela. Róża przechowała ją pieczołowicie przez te wszystkie lata.

O tragicznych zajściach w okolicy Czerwonych Skał chwilowo nie wspomiano.

List Anta z tak nadzwyczajną wiadomością postawił na nogi cały dom. Ryszard natychmiast wyjechał do Calais, skąd statkiem przebył Kanał. W Dovrze złapał pociąg do Londynu. Chislehurst było tuż.

Dawno już Lu tak chętnie nie gościł w domu. Ale nie zawsze miał sposobność przebywania w towarzystwie „dziewczynki znalezionej na cmentarzu”, której tak był ciekawy w czasach dzieciństwa.

Spotkali się pierwszy raz w Londynie, na czwartym piętrze w pokoiku Meli.

— Jaka ona jest? — pytał po drodze Lu.

— Śliczna — uciał Anto, spoglądając spod oka na księcia. Dziewczyna gotowa do podróży oczekiwała przybycia przyjaciół. Anto

doradził, by wszystko, całą swoją chudobę, pozostawiła do dyspozycji pani Grayton. Przyda się to bez wątpienia sąsiadom w potrzebie. Jedynymi „skarbami”, jakie zabierała, był talerz troskliwie opakowany i zniszczony tomik Mickiewicza.

— Melu, oto książę Ludwik Napoleon — przedstawił księcia Anto — a to Mela.

— „Dziewczynka znaleziona na cmentarzu” — uzupełnił Lu, ujmując wyciągniętą rączkę.

— Wasza Wysokość — szepnęła Mela z rumieńcem.

— O nie, nie tak — zaprotestował książę. — Jestem Lu, a chyba ty pozwolisz, bym cię nazywał Melą? Znamy się przecież od tak dawna, choć widzimy się po raz pierwszy. Pojedziesz do mojej matki. Już ją uprzedziłem. Oczekuje ciebie niecierpliwie.

— Doprawdy, Lu — Mela szybko oswoiła się z miłą familiarnością, jaka połączyła ją z tak wysoko utytułowanym przyjacielem.

Pożegnanie z Graytonami wzruszyło dziewczynę, jeszcze z dorożki powiewała mokrą od łez chusteczką.

138

Cesarzowa Eugenia nie zawiodła oczekiwań syna, z pasją zabrała się do roboty. Miała przecież „doprowadzić Melę do stanu godnego jej urody” — jak się wyraziła.

— Ta brązowa suknia, płaszcz i reszta są, owszem, w niezłym guście, przystoją jednak raczej sklepowej pannie, a nie młodej damie — wydymała usta podczas przymierzania nowych toalet, obracając Melę jak manekin.

— Wuj Ryszard kupi mi, co trzeba — próbowała nieśmiało protestować

Mela — sprawiam tyle kłopotu...

— To dla mnie przyjemność — ucięła cesarzowa Eugenia.

Nie było rady, należało poddać się owej troskliwej tyranii dawnej panny de Montijo, która w sprawach mody i dobrego smaku nie miała chyba równej sobie znawczyni.

Zważywszy na tak niezwykley ewenement, Anto uzyskał wcześniejszy świąteczny urlop z akademii, pragnął bowiem wraz z Ryszardem odwiedzić Melę do domu.

— Nie wiadomo, co się może przydarzyć w drodze — tłumaczył księciu. — Lepiej być zbyt ostrożnym niż zgrzeszyć zaniedbaniem.

Mela, przemieniona w wytworną damę, przyciągała wzrok i wzbudzała zachwyt. Cesarzowa Eugenia promieniała, dumna ze swojego dzieła.

— Potrzebna ci jeszcze tylko skromna biżuteria — oświadczyła po dokonanej już metamorfozie. — Mam właśnie taką, która będzie odpowiednia dla młodej panienki.

— Wuj Ryszard — zaczęła Mela.

— Nie wątpię, że wuj Ryszard i moja droga Róża przystroją cię, jak na to zasługujesz. Ale chcę, byś się im zaprezentowała jak bliskie mi dziecko, wychodzące z mojego domu. O właśnie, pani Lebreton przyniosła zieloną szkatułkę. Wobec tego wybierajmy.

Zielona szkatułka okazała się safianowym kufierkiem, zamykanym na misterny zameczek. Na wieku błyszczało duże „E” z pozłacanego srebra pod cesarską koroną.

Czego tam nie było! Małe puzderka z nazwiskami największych jubilerów z ulicy de la Paix kryły istne cuda.

Cesarzowa Eugenia odstawiała kolejno co cenniejsze klejnoty, aż wybrała garnitur z chryzolitów.

— Młoda dziewczyna nie powinna nosić drogiej biżuterii — tłumaczyła. — W szmaragdy i rubiny może ustroić się dopiero po ślubie. Chryzolity są dla

139

ciebie w sam raz. Co prawda nie masz zielonych oczu, ale odcień tych kamieni, ich blask i te złote ogniki doskonale harmonizują z kolorem twoich włosów. Czy mam rację? — zwróciła się do pani Lebreton.

— Ależ tak, Madame — pospieszyła z odpowiedzią lektorka. — Meli będzie ślicznie w chryzolitach. Przy jej cerze...

Zdecydowano się więc na chryzolity. Zręczne palce pokojowej wpięły w uszy Meli niewielkie kolczyki, jej lewą rękę ozdobiła chryzolitowa markiza. Wisiorek z tychże kamieni na cieniutkim złotym łańcuszku ładnie odbijał od brązowego jedwabiu sukni. I to było wszystko. Chłopcy również brali jak najżywszy udział w tych toaletowych zabiegach. Przez tydzień spędzony w Camden Place Mela zmieniła się nie do poznania.

— Gdybyś tak się zjawiła w twoim magazynie — śmiał się Anto.

— Nie żartuj — odpowiadała poważnie. — Miałam tam dobrą pracę i dzięki temu mogłam żyć. Ciekawam, co pomyślał pan Fields, otrzymawszy mój list?

Pan Fields, magazyn i w ogóle dotychczasowa egzystencja usunęły się gdzieś daleko w otchłanie pamięci, skąd będzie je można przywołać, gdy przyjdzie na to ochota. Chwilowo przestały istnieć, podobnie jak wszystko inne, co nie było domem.

Mimo niespokojnego o tej porze roku morza, mimo przepełnionych pociągów — zbliżały się przecież święta — podróż stanowiła dla Meli dalszy ciąg cudownych przeżyć, zapoczątkowanych tak niedawno temu niespodziewaną wizytą dwóch chłopców w magazynie przy Oxford Street.

Gdy nadeszła Wigilia, dziewczyna była już tak zadowolona, jak gdyby od początku mieszkała w pawilonie przy ulicy Catinat.

Niemalą sensację wywołał talerz, gdy Anto rozpakował tajemnicze zawiniątko, którego podczas podróży nie pozwolił dotknąć nikomu.

— W jaki sposób znalazł się w Londynie? — Róża postawiła to raczej retoryczne pytanie, nie oczekując na nie żadnej odpowiedzi.

— Odwiedziłem sklep antykwariusza, u którego Mela nabyła talerz — wyjaśnił Anto. — Pan Rank (to jego nazwisko) miał pewne trudności z przypomnieniem sobie tego talerza. Ale powiedziałem mu o Meli i wówczas wszystko stało się jasne. Okazało się, że pamiętał nawet okoliczności, w jakich go kupił. Opowiadał, że proponowano mu kupno wielu staroci z Francji, podejrzewał nawet, że niektóre cenne sztuki pochodzą z

kradzieży. Ponieważ bardzo porządnie prowadzi spis nabytków, mógł mi nawet podać nazwisko sprzedawcy. To niejaki Maurycy Lacontre. Francuz. Bardzo źle mówiący po
140

angielsku. Wspomniał, że talerz jest jego starą rodzinną pamiątką, w co pan Rank zresztą wcale nie uwierzył.
— Kimkolwiek jest ów Maurycy Lacontre — zauważył Ryszard — oddał nam prawdziwą przysługę, wywożąc talerz do Londynu.

— Może kiedyś dowiemy się, kto to taki, ów pan Lacontre — dodała Zelia. — Ciekawe, jak wszedł w posiadanie talerza.

— Pewnie wyniósł go z pałacyku w alei Cesarzowej — wtrącił Anto.

— Tak, tak — poparła chłopca Mela — Anto ma rację. Musiał go zabrać z mojego pokoju. To zwykły złodziej.

— Nie wiem, czy taki zwykły — mruknęła Zelia i wyszła do kuchni. Po wyjeździe Anta któregoś niedzieli w pawilonie przy ulicy Catinat zjawił się

Ludwik Conneau. On także chciał wreszcie poznać „dziewczynkę znalezioną na cmentarzu”. Zresztą, jak mu napisał Lu, przyczynił się pośrednio do jej odnalezienia.

„Chcąc ci spłatać figła, szukaliśmy szwalni. Nie dostałeś głupich chustek, za to my mamy Melę i talerz”.

Młody Conneau spędził święta w Anglii, u rodziców, tak więc rozminął się z Antosiem. Bardzo też przypadł do serca mieszkańcom pawilonu i Róża oświadczyła, że jej dom zawsze stoi dla niego otworem.

Mela miała więc już trzeciego wielbiciela — jak żartował Ryszard. Niestety, następna osoba, która odwiedziła dom Żeranów, była wręcz niepożądana.

W poniedziałek, wczesnym popołudniem, zastukał do drzwi pawilonu lokaj i totumfacki pana Narzymskiego, ów niesławnej pamięci Fabian.

Ryszarda nie było w domu. Drzwi otworzył Miguel Toreno i zaniósł Róży bilet niemiłego gościa.

Pan Narzymski czekał powrotu lokaja w powozie.

Róża, niepewna, jak ma postąpić, zasięgnęła rady Zelii.

— Niech wejdzie — mruknęła służąca. — Zobaczmy, czego chce. Melę zatrzymam na górze.

Pan Narzymski wszedł z pewnym siebie uśmiechem. Skłonił się lekko, jak człowiek, który swoją wizytą czyni zaszczyt gospodarzom, po czym siadł na wskazanym przez Różę fotelu.

— Mojego męża nie ma w domu — zaczęła.

— O pani Różo, droga pani Różo — przerwał gość — nieładnie mnie państwo potraktowali, bardzo nieładnie. Nie rozumiem.

141

— Łączą nas więzy czegoś w rodzaju powinowactwa — ciągnął przybysz, nie zważając na jej zakłopotanie.

— Można to tak określić — stwierdziła chłodno.

— Rzeczywiście można — chrząknął. — Ewenement tej miary, jaki wydarzył się w naszej rodzinie (słowo „naszej” wymówił z przyciskiem), napełnia państwa zrozumiąłą radością. Dlaczego jednak zapomnieliście o mnie, jak gdybym w ogóle nie istniał?

— Proszę wyrażać się jaśniej. Ewenement? Jaki ewenement?

— I pani o to pyta? — zgorszył się pan Narzymski. — Jako stryja, a więc jedyne go prawego opiekuna sieroty, należało mnie chyba zawiadomić.

— O kim pan mówi? — Róża czuła, że zbliża się jakieś straszne niebezpieczeństwo, że życie Meli znowu jest zagrożone. A Ryszarda jak na złość nie było w domu. Po co przyjełam tego łotra? — karciła się w duchu.

— O kimże, jak nie o mojej bratanicy? — Pan Narzymski wypuścił z ręki kapelusz, stawiając go na dywanie obok fotela. — Czy jednak są państwo zupełnie pewni, że to córka mojego zmarłego brata? — nie patrzył na Różę, bawił się brelokiem przy dewizce.

— Mówi pan zagadkami.

— Niezupełnie. Pani widać nie chce mnie zrozumieć. A minęło przecież kilka lat od owego tragicznego wypadku. W ciągu takiego czasu dziecko się zmienia, ogromnie się zmienia, tym bardziej, jeśli to jest dziewczynka. Dziewczynki, jak pani wie, wyrastają na młode panny. Wówczas łatwo się pomylić.

— Jest pan coraz mniej zrozumiąły.

— Nieświadomość zła przynosi pani zaszczyt — pan Narzymski pochylił głowę. — Musi jednak pani wiedzieć, że są ludzie, którzy nie zawahają się przed największą podłością. Są oszuści, którzy dla zysku

ważą się na wszystko. Nietrudno podstawić pierwszą lepszą dziewczynę i kazać jej odgrywać rolę nieszczęśliwej, cudem uratowanej sieroty. Wie pani, jaka jest stawka w tej grze? — dodał po chwili.

— Nie — Róża spojrzała prosto w unikające jej wzroku źrenice gościa.

— Spadek po moim bracie, dziedzictwo Meli, którego zazdrośnie strzegę i nie wydam w ręce byle oszustki.

— O ile pamiętam — Róża z trudem opanowywała gniew — niezbyt interesował się pan bratanicą po śmierci jej ojca. Przypuszczam, że pana łatwo byłoby wyprowadzić w pole, gdyby, tak jak pan mówi, znalazł się jakiś oszust na tyle bezczelny, by podstawić fałszywą Melę.

142

— O, zaczyna mnie pani rozumieć — ucieszył się pan Narzymski. Ale choć usta jego układały się w uśmiech światowca, oczy zadawały kłam wszelkiej dobroduszości.

— Rzeczywiście, zrozumiałam pana. Proszę więc pozwolić mi dokończyć myśli. Pana, być może, nietrudno byłoby oszukać, mnie nigdy. Mela była u mnie przez te lata, gdy pan zapomniał nieledwie o jej istnieniu.

Znałam to dziecko tak dobrze, iż po najdłuższej nawet rozłące rozpoznałabym ją wśród tysięcy.

— Nie miała więc pani żadnych wątpliwości?

Róża wstała. Wiedziała, że nie powinna przedłużać słownego pojedynku z człowiekiem tak niebezpiecznym.

— Wołałabym, aby tę rozmowę dokończył pan z moim mężem — powiedziała sucho. — Pan wybacz, muszę zająć się synkiem.

Pan Narzymski zerwał się jednocześnie z gospodynią. Maniery miał zaiste nieposzlakowane, choć wszystko w nim było fałszem.

— Zechce pani uprzedzić pana Ryszarda — w jego głosie pobrzmiwały jakieś twarde tony — że oczekuję jego wizyty u siebie.

— Nareszcie poszedł — odetchnęła Róża. — Wiesz, Zelio, czeka nas coś strasznego. Powiedział, że jest Jedynym prawnym opiekunem sieroty po bracie". Słyszałaś coś podobnego? Przez cały czas rozmowy tak manewrowałam, żeby nie zdradzić, iż Mela jest w domu.

— Czego chciał?

— Meli.

— Dobrze wiedział, że dziecko jest w domu — warknęła Zelia — chodzi mu o jej fortunę. Mela dla niego to zagrożenie.

— Nie może jej zobaczyć. Nie dopuścimy do tego. Dotąd byliśmy bardzo nieostrożni, zapomnieliśmy o najważniejszym. Tylko nic nie mów Meli, po co ją straszyć?

— Jak to po co? Musi wiedzieć, co jej grozi — zaprotestowała Zelia. — Jak chcesz, by miała się na bacności, jeśli nie ostrzeżesz jej przed niebezpieczeństwem?

— Chyba masz rację. Poczekajmy na Ryszarda. On zadecyduje.

— Łotr! — wybuchnęła Zelia. — Oczekuje wizyty pana Ryszarda u siebie.

Bodaj go...

— Cicho, Zelio. Ryszard nie powinien tam iść. Ale Ryszard był innego zdania.

— Muszę się z nim wreszcie rozmówić — oświadczył stanowczo. — Nie

143

pójdę jednak bezbronny do jaskini lwa, a raczej kojota, bo to zwierzę bardziej do niego pasuje. Pamiętasz to blaszane pudełeczko, które znalazłaś w ruinach Tuileriów? — zmienił ton. — Schowałaś je, prawda?

— Tak, leży gdzieś w komodzie. A po co ci ono?

— Jeśli się nie mylę, jest to skuteczne lekarstwo, które raz na zawsze uleczy pana Narzymskiego z chęci szantażu.

— Sądziś, że ta kartka...

— Ta kartka ma wielkie znaczenie, Rózo. Bądź dobra, idź i poszukaj jej. Blaszane pudełeczko od dawna spoczywało zapomniane na dnie szuflady, pod kupką bielizny.

Ryszard raz jeszcze zbadał przez lupę tajemniczy kwit czy rewers z podpisem stryja Meli i z sumą stu tysięcy.

— Zanim do niego pójde — oznajmił — muszę poczynić pewne przygotowania i zebrać niezbędne informacje. Zajmie mi to parę dni. Nie wolno też dopuścić, by zobaczył Melę.

— Musiał nas szpiegować, jeśli dowiedział się. A i ten jego agent w Londynie...
— I to możliwe. W każdym razie niech teraz Mela nie wychodzi na ulicę. Wystarczy jej spacer po naszym dziedzińcu, i to o zmierzchu. I jeszcze jedno: czy pamiętasz nazwisko lichwiarza, z którym Waław Narzyski spotkał się w pałacyku w alei Cesarzowej?
— Wówczas, gdy Anto podsłuchał ich rozmowę?
— Tak. Czy nie był to niejaki Pochard?
— Pochard, z całą pewnością. Dobrze zapamiętałam.
— Wezmę tę kartkę — Ryszard wsunął pudełeczko do kieszeni. — Wyjdę wieczorem. Te rekiny wolą prowadzić swoje ciemne interesy w świetle gazowych latarni, a nie w blasku słońca.
— Ryszardzie, boję się o ciebie...
— Bądź spokojna. Tym razem nie dam się zaskoczyć.
Kiedy w kilka dni po wizycie stryja Meli Ryszard zadzwonił do jego apartamentu, Fabian oznajmił, że „pan musiał wyjechać w bardzo ważnej sprawie”.
— Wystraszył się — skomentowała jego nieobecność Zelia.
— Raczej ostrzy sztylet — odparł Ryszard i zaraz dodał: — broń skrytobójców.

144

Najspokojniejsza w całym domu okazała się Mela.

Cóż złego mogło jej się przydarzyć tu, wśród tylu kochających osób? Zima zresztą to paskudna pora roku, dni są krótkie, a salonik Róży tak zaciszny, że nie przychodzi najmniejsza chęć wystawić się na lodowaty wicher, śnieg lub deszcz. Niech sobie stryj Waław układa swoje niecne plany. Do pawilonu przy ulicy Catinat nigdy nie sięgnie jego ręka.

VII

Mimo paskudnej pogody, mimo wichru chłoszczącego nagie drzewa Camden Place, mimo deszczu, który spływał kroplami łez po szybach sypialni, na świecie był karnawał, na tym świecie, z którego wygnała ją klęska Francji.

Jej ostatni karnawał spłonął wraz z Tuileriami, zapadł się jak dach nad pałacem przysypany iskrami pożaru i popiołem pogorzelska.

Jednakże na świecie, na tym świecie, w którym było jeszcze miejsce na karnawał, wczesny zmierzch i długie wieczory przygotowywały tancerzy na czekającą ich balową noc.

Bal... Jak Wenus wylaniająca się z morskiej piany wykwiłała z kielicha krynoliny biała i posągowa, młoda i piękna, wówczas jeszcze panna de Montijo, której jasne włosy ozdobił wkrótce cesarski diadem.

Z jaką dumą wysokie zwierciadła salonów podawały sobie odbicie olśniewającego zjawiska!

We wszystkich oczach błyszczał podziw. Zachwyt w spojrzeniach mężczyzn, gorycz, niekiedy nawet zawiść w żrenicach uśmiechających się nieszczercze dam.

A teraz... Ciemna codzienna suknia, osuwający się owal twarzy, oczy zmęczone, pozbawione dawnego blasku. W jasnych włosach coraz więcej siwizny. Przybladłe wargi należy co rano ożywić karminem, wysokie łuki brwi podkreślić ołówkiem. Bo nie wolno poddać się... starości, wygnaniu, rozpacz. Trzymać się prosto i od czasu do czasu, by nie wyjść z wprawy, złożyć ów tuileryjski rewersans, którego żadna kobieta nie potrafiła wykonać z takim wdziękiem i z taką maestrią.

Czy wejdzie kiedy do tronowej sali, by w taki sposób powitać cesarza? Cesarza... Napoleona Czwartego... jej syna. Czy wejdzie?... Czasem wierzy w to, wierzy w cudowne zakończenie tej jakże szarej

146

i nędznej egzystencji, ale coraz częściej opadają zwątpienie, czuje się znużona, słaba i bezbronna wobec wrogich sił rządzących Francją. Stara się odpędzać te niedobre myśli, niegodne małżonki cesarza, którego hart ducha stawiała wszystkim za przykład.

Niestety, są dni, a raczej noce, jak ta dzisiejsza noc karnawałowa, kiedy to się wcale nie udaje. Czarne myśli napływają z czoła do oczu, formują się w obrazy, rozsnuwają w sceny jak zza teatralnej kurtyny. Twarze... głosy... słowa... gesty... ludzie, których kiedyś znała, dobrze znała, a którzy znikli z jej życia, gdy kurtyna opadła.

Po co właściwie wspomina? Ze śmiercią cesarza skończyło się i jej życie. Teraz ma jedynie obowiązek do spełnienia, święty obowiązek: czuwanie nad synem. On jest jedyną i ostatnią nadzieją, nie tylko jej, ale i Francji. O tak. Francja ją wygnała, oczerniła przed światem, mało tego, bluznęła nienawiścią, opluła

oszczerstwem. A ona za to wszystko przygotowuje dla tejże Francji szczęśliwą przyszłość, mądre rządy szlachetnego władcy, mającego jedynie dobro narodu na względzie.

Może kiedyś, po latach, podniesie się choć jeden głos w jej obronie? Może Francuzi oddadzą jej sprawiedliwość? A może nawet będą ją błogosławić? Może otoczą jej pamięć wdzięcznym wspomnieniem? Cesarzowa Eugenia ciasniej otula się puchową narzutką. Zimno w tej Anglii, zimno, mglisto i beznadziejnie. Nic dziwnego, że tylu ludzi choruje na spleen. Francuscy wygnańcy trzymają się lepiej, nie poddają się smętkowi chmurnego nieba. Muszą zresztą walczyć o życie, o przetrwanie, szukają zarobku, wyprzedają rodzinne pamiątki.

Właściwie powinna się już położyć, jest późno, a nazajutrz wybiera się do Londynu. Wstąpi do owego słynnego fryzjera na Pali Mali, może coś jej poradzi na siwiznę. Tyle dam farbuje teraz włosy, byle ukryć nieubłagane posuwanie się czasu, byle utrzymać choć pozory przekwitłej młodości. Jakże gardziła niegdyś podobnymi sztuczkami! Wówczas, gdy jej uroda promieniała w błękitnym czy różowym salonie Tuileriów. A oto teraz i ona... jak inne, jak te, których zabiegi wywoływały niegdyś uśmiech politowania.

Książka wysunęła się z ręki, leży już od dłuższej chwili na dywanie, ale cesarzowa Eugenia nie ma najmniejszej chęci do czytania. Bo cóż piszą ci wszyscy autorzy? Czy to francuscy, hiszpańscy czy angielscy? Najchętniej wróciłaby teraz do lektur dzieciństwa i młodości. O tak, już wie, co przeczytałaby raz jeszcze z prawdziwą przyjemnością, opowiadania pana

147

Merimee, uroczego, niezapomnianego pana Merimee, przyjaciela z dawnych lat, z czasów, gdy nikomu jeszcze się nie śniło, że mała Eugenia poślubi cesarza.

Ale pan Merimee nie żyje. Siadywała mu na kolanach i słuchała niesamowitych opowieści, ona i jej siostra Paca.

Wiadomość o śmierci starego przyjaciela powitała ją, rzecz można, u progu nowego życia w Camden Place. Przyjechała tu w sobotę. Nazajutrz poszła do małego katolickiego kościółka Saint Mary w Chislehurst. Było tak tłoczno, że ledwie wcisnęła się do środka. Wmieszana w tłum najuboższych parafian stanęła przy drzwiach. O ile wobec ludzi nieraz grzeszyła dumą i wyniosłością, o tyle wobec Boga zawsze czuła się mała i mało znacząca. A potem, po obiedzie, przeglądając „Timesa”, znalazła suchą wzmiankę: „Wczoraj zmarł w Cannes pan Prosper Merimee, sławny francuski pisarz”.

Znała go czterdzieści lat! Prawie całe życie. Do końca wierny, nie wytrzymał straszliwej próby historii.

Wraz ze łzami odczuła ulgę. Dobrze, że nie dożył pruskiej inwazji, tragicznego upadku Francji. Tylko najbliżsi przyjaciele wiedzieli, jak wrażliwe serce krył pod pozorami oschłości i sceptycyzmu.

W szum wiatru i plusk ulewy wmieszał się nagle nowy dźwięk. Koń! Kopyta mocno plaskają w rozmiękłą ziemię. Widać jeździec spieszy się bardzo.

Serce załomotało lękiem. Kto może tak pędzić do niej w taką pogodę i o takiej porze? Ludwik... Czy stało się coś?...

Podeszła do okna. Wiatr i deszcz nie pozwoliły rozpoznać głosów ani słów rozmowy, toczony właśnie przed podjazdem.

Nie chciała dzwonkiem budzić pokojowej. Wysunęła się na korytarz i podeszła do schodów.

W westybulu lokaj zdejmował z przybysza ociekający wodą płaszcz.

— Ludwiku!

— Mamo! — książę podniósł głowę. — Czy mogę przyjść? Zaraz się przebiorę.

— Jestem szczęśliwa, że przyjechałeś.

— Cieszę się.

Zasiedli w jej sypialni przed kominkiem. Na niskim stoliku szumiał imbryk z całą zastawą do herbaty.

— Jak dobrze, że przyjechałeś — nalewała gorący płyn do cieniutkich filiżanek. — Ale dlaczego? Czy coś się stało?

148

Nie, nic. Ot po prostu zachciało mi się wpaść do domu. Byłem zresztą niedaleko.

— Niedaleko? Myślałam, że się bawisz. To przecież karnawał. Z pewnością jesteś rozrywany.

— Nie bardzo — książę upił łyk herbaty.

— Dlaczego?

— Nie jestem wolny — uśmiechnął się. — Zapomniałaś, że mam służbę.

— Och, służba... I ty tak konno, aż z Londynu?

— Nie, byłem w Woolwich.
— To dobrze — westchnęła uspokojona. — Bałam się już, że ty w taką pogodę, konno... Widziałeś pewnie Anta? Co z Melą? Dawno nie miałam listu od Róży.
— Mela znowu w niebezpieczeństwie — zauważył. — Anto opowiedział mi o wizycie, jaką stryj złożył pani Zeranowej. Boją się o nią, nie wypuszczają jej z domu.
— Zaraz napiszę do Róży. Powinni przywieźć Melę do mnie — odstawiła filiżankę. — Tu jej nic złego nie spotka. — Twarz jej ożywiła się, oczy rozbłysły. Pierzchnęło zniechęcenie do życia, apatia ustąpiła miejsca dawnej energii.
— W taką pogodę przeprawa przez Kanał — zaczął.
— O, to nic strasznego. Statki kursują normalnie. — Przechyliła się w stronę ognia. — Zresztą można wybrać dzień odpowiedni do podróży. Tak, koniecznie Mela musi przyjechać. Nie spuszczę jej z oka. Tu się nikt nie poważy...
— Dobrze — zgodził się, widząc jej ożywienie. — Wyobrażam sobie, jak się Anto ucieszy. A i ja...
— Podoba ci się Mela? — spojrzała na syna z nagłym niepokojem.
— Bardzo. Jest przecież śliczna — odparł szczerze.
— Śliczna — powtórzyła powoli. — Masz rację — westchnęła. — Jest rzeczywiście wyjątkowo ładna i ma wiele wdzięku. Nie to, co te angielskie pannice.
— Nie lubisz Angielek?
— Ależ lubię, lubię — zaprotestowała. — Tylko są takie inne... Nie powiem, że brzydkie... nie. Ładna Angielka jest piękną. Takie włosy i tak cudowną cerę nieczęsto ujrzysz na Kontynencie. Ale to nie wszystko, nie wszystko...
— Nie wszystko — zgodził się książę.

149

Chwilę trwało między nimi milczenie. Cisza, w której każde z nich wywołało obraz dziewczyny, nie będącej na szczęście Angielką. Matka w niej zobaczyła własną młodość. Syn — może coś, co go kiedyś czeka. Szczęście?

— Czy nie przeziębiles się? — zaniepokoiła się nagle. — Tak przemokłeś...
— Nic mi nie jest — uśmiechnął się. — Czuję się doprawdy doskonale. Czy możesz mi poświęcić jeszcze trochę czasu, mamó?
— Ile tylko zechcesz.
— Mam jedno pragnienie — zaczął cicho.
— Jakie pragnienie?
— Chciałbym dotknąć talizmanu Karola Wielkiego. Masz go, prawda?
— Mam. — Wyszła do garderoby. Po chwili postawiła na stoliku stalową kasetkę.

Lu wpatrywał się w ręce matki, gdy delikatnie manipulowała przy skomplikowanym zamku.

— Kiedyś ta relikwia powróci do Francji — powiedziała poważnie. — Razem z tobą. To będzie twój dar dla katedry w Reims.

— Dlaczego w Reims?

— Bo tam koronowano wszystkich królów Francji.

— Miejscem koronacji Bonapartych jest paryska Notre Dame — zauważył.

— Ale to nie jest relikwia Bonapartych. To sięga początków monarchii Karolingów. Sprzed tysiąca lat.

— Wszyscy mówią, że drogie kamienie mają dziwne właściwości — książę nachylił się nad kasetką. — Przeważnie są to jakieś złowrogie siły, szkodzące temu, kto je nosi.

— Talizman Karola Wielkiego jest dobroczynny. Posiadaczowi przynosi szczęście.

Pod naciśnięciem sprężyny odsłania wieko. Wewnątrz na ciemnym aksamicie spoczywa bezcenna relikwia: owalny szafir niespotykanych rozmiarów o pięknym głębokim kolorycie, w rzeźbionej oprawie z masywnego złota, w którą wprawiono szmaragdy, perły, granaty i ametysty. Kamienie te migotliwą aureolą otaczają wspaniałą klejnot.

Gruby złoty łańcuch ujmuje w górze ów wisior, z którym — jak głosi tradycja — Karol Wielki nigdy się nie rozstawał, wierząc święcie w jego dobroczynną moc.

Bezcenny ten klejnot, zwany „Tau” od chaldejskiego znaku w kształcie litery „T”, zapewniał koronę temu, kto go nosił.

150

Pochodził ze Wschodu, a Karol Wielki otrzymał go w darze od legendarnego kalifa Bagdadu, owego Harun-ar-Raszida z „tysiąca i jednej nocy”. Władca ten pragnąc utrzymać dobre stosunki z wielkim cesarzem, przysłał mu cenne dary. Był tam między innymi słoń, zegar wybijający godziny i wreszcie ów cudowny szafir, w który metodą inkrustacji wpuszczono odprysk z drzewa Krzyża Świętego.

Karol Wielki nosił ów wisior aż do śmierci, a gdy umarł w osiemset czternastym roku, pochowano go w Akwizgranie razem z talizmanem.

Gdy w kilka wieków potem otwarto grób cesarza, zdjęto z jego szyi tysiącletni szafir, przechowując go odtąd w skarbcu akwizgrańskiej katedry, aż do pojawienia się Napoleona. To młody cesarz Francuzów zwrócił skarby akwizgrańskiej katedrze, ewakuowane podczas rewolucji, i Kapituła, jako wyraz wdzięczności, ofiarowała nowemu imperatorowi najświętszą relikwię.

— Napoleon dał ten historyczny wisior twojej prababce, Józefinie — szemrze głos matki. — Miała go na sobie w czasie koronacji. Po jej śmierci relikwia przeszła na własność jej córki, Hortensji, twojej babki. Gdy ta umarła, ojciec został właścicielem, a raczej, jak mówił, „strażnikiem” bezcennej pamiątki.

— Wiem — przytakuje księżę. — Zawsze to mówił, a od ucieczki z twierdzy Ham, podobnie jak Karol Wielki, nie rozstawał się ze świętym „Tau”.

— Wierzył w jego moc — wtrąca matka. — Powtarzał, że temu szafirowi zawdzięcza koronę. Otaczał go też jakąś nieledwie zabobonną czcią.

— Bo to relikwia — szepcze Lu, delikatnie dotykając świętego szafiru. — Drzewo Krzyża... Ale ojcu nie przyniosła szczęścia. Mimo tronu...

— Za to ty...

— Ja... Cóż ja? Jestem niczym.

— Nie mów tak. W tobie jest nadzieja, szczęście moje i Francji.

— Wierzysz w to, mamó?

— Wierzę. Czyż inaczej mogłabym żyć?

Księżę powoli wydobywa z kasetki karoliński talizman. Całuje relikwię, a potem, jak Karol Wielki, zawiesza ją sobie na szyi.

Zimny dotyk grubych złotych ogniw ciężkiego łańcucha przejmuje go dreszczem. Jak gdyby dotknął zmarłego cesarza.

Podchodzi do lustra. Kamień połyskuje słabo w migotliwym blasku świece.

— W owych czasach nie umiano jeszcze szlifować kamieni — wzdycha matka. — Nie posiadano odpowiednich narzędzi. Gdyby dziś taki szafir,

151

szmaragd czy ametyst trafiły do pracowni znakomitego jubilera, wyobrażasz sobie, jakie cuda wyszłyby z ręki takiego na przykład Cartiera?

— Nie zwiększyłyby to w niczym wartości tego klejnotu — szepcze Lu. — Jest i tak bezcenny. — Zdejmuje wisior z szyi i ostrożnie układa na aksamicie wyścielającym dno kasetki.

— Bezcenny — powtarza cesarzowa Eugenia, zatrzasnąwszy wieko.

— Nareszcie będziemy spać spokojnie. — Zelia zasunęła rygiel i założyła sztabę u drzwi wejściowych.

— Oby nic im się nie przytrafiło w drodze — westchnęła Róża.

— Co się ma przytrafić? Z panem Ryszardem i z Miguelem Mela jest zupełnie bezpieczna. Za to my...

— My? A cóż nam grozi?

— Zapominasz o Stasiu — upomniała surowo Zelia. — Nietrudno porwać dziecko. Takie rzeczy już się zdarzały.

— Och, Zelio, nie wspominaj nawet o podobnej możliwości. Do powrotu Ryszarda nie wyjdę z domu. Cały czas będę ze Stasiem.

— Nie bój się — Zelia łagodziła wrażenie, jakie na Różę wywarły jej słowa. — Jest nas trzy, a drzwi mocne.

Po tygodniu podróży byli już z powrotem w domu. Widać pan Narzyski śledził, co się dzieje w pawilonie przy ulicy Catinat, gdyż zaraz nazajutrz nadszedł list.

Ryszard przeczytał go przy śniadaniu i podał Róży elegancki arkusik ze złożonymi brzegami.

„Panie Ryszardzie — pisał stryj Meli — wyjeżdżałem pilnie wezwany i nie miałem przyjemności przyjąć pana u siebie. Jest jednak sporo spraw, które musimy wspólnie omówić. Tyczą się one wyłącznie mojej bratanicy, a jako jej prawny opiekun mam obowiązki do wypełnienia i pragnę jak najprędzej wywiązać się z nich.

Rozmowa nasza może być trudna, niemniej wierzę, że dojdziemy do porozumienia, obu nam przecież leży na sercu dobro Meli. Proponuję spotkanie jutro, o drugiej po południu, w pałacyku mego brata w alei Cesarzowej. Może się panu wyda dziwne to opuszczone miejsce, ale chodzi mi o jak największą dyskrecję, a tam będziemy mieli pewność, że nikt nam nie przeszkodzi. Nie potrzebuję dodawać, że rozmowa nasza odbędzie się

152

szmaragd czy ametyst trafiły do pracowni znakomitego jubilera, wyobrażasz sobie, jakie cuda wyszłyby z ręki takiego na przykład Cartiera?

— Nie zwiększyłyby to w niczym wartości tego klejnotu — szepcze Lu. — Jest i tak bezcenny. — Zdejmuje wisior z szyi i ostrożnie układa na aksamicie wyściełającym dno kasetki.

— Bezcenny — powtarza cesarzowa Eugenia, zatrząskując wieko.

— Nareszcie będziemy spać spokojnie. — Zelia zasunęła rygiel i założyła sztabę u drzwi wejściowych.

— Oby nic im się nie przytrafiło w drodze — westchnęła Róża.

— Co się ma przytrafić? Z panem Ryszardem i z Miguelem Mela jest zupełnie bezpieczna. Za to my...

— My? A cóż nam grozi?

— Zapominasz o Stasiu — upomniała surowo Zelia. — Nietrudno porwać dziecko. Takie rzeczy już się zdarzały.

— Och, Zelio, nie wspominaj nawet o podobnej możliwości. Do powrotu Ryszarda nie wyjdę z domu. Cały czas będę ze Stasiem.

— Nie bój się — Zelia łagodziła wrażenie, jakie na Róży wywarły jej słowa. — Jest nas trzy, a drzwi mocne.

Po tygodniu podróży byli już z powrotem w domu. Widać pan Narzyski śledził, co się dzieje w pawilonie przy ulicy Catinat, gdyż zaraz nazajutrz nadszedł list.

Ryszard przeczytał go przy śniadaniu i podał Róży elegancki arkusik ze złożonymi brzegami.

„Panie Ryszardzie — pisał stryj Meli — wyjeżdżałem pilnie wezwany i nie miałem przyjemności przyjąć pana u siebie. Jest jednak sporo spraw, które musimy wspólnie omówić. Tyczą się one wyłącznie mojej bratanicy, a jako jej prawny opiekun mam obowiązki do wypełnienia i pragnę jak najprędzej wywiązać się z nich.

Rozmowa nasza może być trudna, niemniej wierzę, że dojdziemy do porozumienia, obu nam przecież leży na sercu dobro Meli. Proponuję spotkanie jutro, o drugiej po południu, w pałacyku mego brata w alei Cesarzowej. Może się panu wyda dziwne to opuszczone miejsce, ale chodzi mi o jak największą dyskrecję, a tam będziemy mieli pewność, że nikt nam nie przeszkodzi. Nie potrzebuję dodawać, że rozmowa nasza odbędzie się

152

w cztery oczy. Oczekuję zatem pana jutro w parterowym salonie. Proszę się ciepło ubrać, dom nie jest ogrzewany”.

— Nie możesz tam iść — zawyrokowała Róża. — To zasadzka.

— Być może — przyznał Ryszard. — Jednakże pójdę. Raz wreszcie trzeba wyjaśnić pewne rzeczy. Sytuacja Meli nie jest prosta. Prawnie opieka nad nią i jej majątkiem należy do stryja. Ja jestem tylko kuzynem jej matki.

— Powtarzam, to zasadzka. Dlaczego nie zaprasza ciebie do domu albo sam nie przychodzi do nas? To ponure miejsce, ten opuszczony pałacyk, nadaje się w sam raz do popełnienia zbrodni.

— Rzeczywiście, nadaje się doskonale.

— Zabierz przynajmniej Miguela — poradziła.

— Nie mogę. Czytałaś, co pisze? Nie chce, by ktokolwiek nam przeszkadzał, poza tym nie życzy sobie świadków.

— Ryszardzie, czy nie rozumiesz, że to idealne miejsce na zasadzkę? Gdy się tam kogoś zabije, nie będzie nawet kłopotu z usunięciem zwłok. On z pewnością przyjdzie z Fabianem.

— Wątpię. Nie zechce wtajemniczać sługusa w swoje sprawy rodzinne.

— Ten sługus wie o nim wszystko, zna nie tylko jego, jak mówisz, „sprawy rodzinne”, trzyma go w rękę i gdyby zechciał...

— Masz rację, jestem pewien, że Fabian nie przepuści tak doskonałej okazji do szantażu. Ale Narzymski jest goły. Ten lichwiarz Pochard pożyczył mu dwieście tysięcy i...

— Czy znaczy to — przerwała — że z fortuny Meli nic już nie pozostało?

— Niekoniecznie. Jego brat, jak wiesz, obwarował testament licznymi klauzulami. Zobaczymy, co nam ta rozmowa przyniesie. Najgorsze to, że do pełnoletności Mela powinna być pod jego opieką, on ma do niej niezaprzeczone prawa.

— To niemożliwe. Wiemy, czym taka opieka grozi Meli.

— Zobaczę, co mi się uda wytargować. Nie wolno, by się dowiedział, że dziewczynka jest w Anglii.

Cesarzowa Eugenia obiecała czuwać nad nią dzień i noc. Ponadto książe polecił ją opiece swojego dawnego nauczyciela, pana Filona, który mieszka w Camden Place. Jest jeszcze dawny sekretarz zmarłego cesarza, pan Pietri. Obaj ci panowie obiecali mi solennie pilnować dziewczyny jak oka w głowie. Zresztą nikt obcy tam się nie przedostanie, a służba jest dobrze wytresowana.

Tej nocy Róża prawie nie spała. Kilka razy wstawała i podchodziła do

153

kołyski, jak gdyby pragnęła upewnić się, że dziecko nadal leży pod pięknie haftowaną kołderką.

Za każdym razem Ryszard starał się uspokoić żonę, wspominając o „broni”, którą przygotował przeciw panu Narzymskiemu.

— To zbrodniarz — szeptała Róża. — Pamiętam, jak Mela bała się stryja. Dzieci mają intuicję, czują pewne rzeczy, które dorosłym nie przyszłyby nawet do głowy.

. — Wezmę rewolwer — obiecał.

— I co z tego, jak z nim będzie Fabian, a może i ten morderca Paweł Labourdet? Weź ze sobą Miguela.

— Nie mogę. Pisze wyraźnie o rozmowie w cztery oczy.

— Przecież to łotr. Takemu nie należy ufać. Tobie stawia warunki, a sam ich nie dotrzyma.

— Proszę cię, Różo, nie nalegaj.

Od rana panowało niezwykajne w tym domu napięcie. Nawet mały Staś ani razu nie zapłakał. Consuelo nie wyciągnęła ani jednej nuty, a Zelia miała najbardziej ponurą ze swoich min i milczała zawzięcie.

Po obiedzie Ryszard żegnany znakiem krzyża, który Róża kreśliła za wychodzącym, wsiadł do oczekującego na ulicy fiakra.

Dzień był pochmurny. Po wczorajszym deszczu pozostały na wpół zamarznięte kałuże i śliskie płyty chodnika. Koloryt nieba zlewał się z szarością ziemi, już w południe wydawało się, że zapada zmierzch.

Prawą ręką Ryszard dotknął stalowej rękojeści rewolweru, lewą ukrytych w wewnętrznej kieszeni dokumentów. Po paru latach względnego spokoju — jeśli nie liczyć perypetii związanych z poszukiwaniem zaginionej — oto znowu rozpoczynał niebezpieczną grę. Przeciwnik był — jak niegdyś — łasy na pieniądze, pozbawiony skrupułów, oswojony ze zbrodnią, choć równie jak on mówiący po polsku. Przedsięwziął co prawda pewne kroki ostrożności, nic jednak nie wspomniał o tym Róży. Była aż nadto wystraszona.

W tym ponurym świetle zimowego popołudnia aleja Cesarzowej robiła przygnębiające wrażenie. Przed pałacym nie było żadnego powozu ani dorożki, widać pan Narzymski przybył fiakrem i natychmiast odprawił woźnicę.

Ryszard przystanął przed okaleczoną fasadą i spojrzał w zasłonięte okna. Nigdzie nie paliła się lampa ani świeca. Obszedł dom i przez szeroko otwarte drzwi dostał się do kuchennej sieni. Pod nogami chrzęściły skorupy porozbijanych serwisów i jakieś papiery.

154

L&&

Dopiero w westybulu dojrzał światło. Sączyło się z salonu, a w przygniatającej ciszy wyczuwał wyraźnie wrogą obecność. Gdy zamknął za sobą drzwi do pokoju kredensowego, odciął się od zewnętrznego świata, odgrodził się od ludzi, od wielkiego miasta, zupełnie tak, jak gdyby wszedł do jakiegoś podziemia, bo i powietrze było ciężkie, widać dawno nie oddychał nim żaden człowiek czy inna żywa istota.

Chwilę czekał, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi salonu. W jednym z foteli garnituru „Ludwik XVI”, obleczonym teraz białym pokrowcem, siedział Wacław Narzymski. Przed nim na okrągłym

gerydonie stał masywny dwuramienny świecznik, obok leżało pudełko kosztownych „londresów”, sprowadzanych prosto z Hawany. Palila się tylko jedna świeca.

— Witam pana — stryj Meli zwrócił się do wchodzącego z wyciągniętą ręką. — Jest pan sam?

— Naturalnie. Żądał pan rozmowy w cztery oczy.

— Doskonale. — Pan Narzymski wydał się bardzo zadowolony z tej odpowiedzi i wskazał Ryszardowi fotel po drugiej stronie stolika. — Cygaro? — podsunął otwarte pudełko.

Światło świecy zakreślało niewielki krąg nad gerydonem, pozostawiając resztę salonu w zupełnych prawie ciemnościach. Twarze siedzących jaśniały słabo na tle mroku, podobne do portretów, jakie pozostawiło dawne hiszpańskie malarstwo.

— Wiem, jak Mela jest przywiązana do pani Róży — zaczął Narzymski — niemniej uważam, że czas najwyższy, abym ja zajął się jej losem. — Słowo „ja” wymówił z przyciskiem.

— Jak pan to sobie wyobraża? — Ryszard rozsiadł się wygodnie i założył nogę na nogę.

— No cóż — stryj Meli wydobyl z kieszonki kamizelki maleńkie nożyczki i starannie obciął koniec cygara.

— Powinna zamieszkać u mnie, nie uważa pan?

— Na co panu ten kłopot? — Ryszard wzruszył ramionami. — Jest pan wolny, nieżonaty...

— Do czasu, drogi panie Ryszardzie, do czasu. Wkrótce biorę sobie żonę. Jestem już dość dawno zaręczony.

— Gratuluję. Tym bardziej Mela przeszkadzałaby w pańskim domu. Dorosła bratanica to w małżeństwie często kość niezgody. Po co to panu?

— Obowiązek przede wszystkim — zadeklamował pan Narzymski. — Jest to córka mojego brata i nosi moje nazwisko.

156

— Cóż z tego? Gdy wyjdzie za mąż, przestanie nosić pańskie nazwisko.

— Ale do tej chwili... Nie, nie, jako jej prawny opiekun tylko ja mogę zająć się losem tej dziewczyny. I choć to już nie dziecko, nie ma przecież własnego zdania i ja zarządzam jej fortuną.

— Będzie pan to czynił nadal — powiedział pojednawczo Ryszard.

— A z jakiej racji pan ma na nią łożyć?

— Proszę nie zapominać, że to córka mojej kuzynki, a moja żona jest do niej szczególnie przywiązana.

— Wszystko to słuszne, ale, widzi pan, ja myślę o przyszłości Meli. Gdy się ożenię, będę prowadzić dom otwarty. Moja przyszła żona jest osobą niezwykle towarzyską, Mela wejdzie w świat, w wielki świat — powtórzył z naciskiem. — Otworzy się przed nią możliwość świetnego zamążpójścia. Co pan na to?

— Odrestauruje pan ten pałacyk? — Ryszard podniósł wzrok ku niewidzialnemu sufitowi.

— Nie. Moja narzeczona chce, abym kupił dom w innej dzielnicy Paryża. Właśnie dobijam targu. Mela będzie tam miała osobny, wygodny apartamen-cik.

— Wątpię, czy zgodzi się rozstać z Różą — rzucił lekko Ryszard. — Są tak zżyte...

— Wiem, wiem — przerwał pan Narzymski. — Od czegoż jednak pański autorytet? Jako mąż... Wypada, niestety, aby Mela znajdowała się pod moją opieką i pod moim dachem, i z mojego domu wyszła za mąż. Rozmawiałem już z prokuratorem Republiki... to jeden z moich przyjaciół — dodał jak gdyby od niechcienia.

— Dobrze się składa, że ma pan znajomości w sądownictwie — Ryszard oparł ręce na kolanach. — Jest pewien człowiek, którego należy co prędzej oddać w ręce sprawiedliwości.

— Chętnie służę pomocą — pan Narzymski skinął głową. — Chwilowo jednak nie oddalajmy się od tematu naszej rozmowy.

— Człowiek, o którym wspominałem, to niebezpieczny złoczyńca. Winien jest katastrofy przy Czerwonych Skałach. A i mnie omal nie zabił.

— Co pan mówi? — Wacław Narzymski pochylił się do przodu, z najwyższym, zdawałoby się, zainteresowaniem. — I pan go zna?

— Znam. Nazywa się Paweł Labourdet. To rybak z wioski Święta Agnieszka, niedaleko Mentony. Nietrudno będzie udowodnić mu udział w zbrodni. A gdy się go dobrze przycisnie, wyśpiewa wszystko. Całą prawdę.

157

— Powiedział pan „w zbrodni”. W jakiej zbrodni?

— Chyba nie wierzy pan w nieszczęśliwy wypadek tam, u Czerwonych Skał? Znajdował się pan wówczas w Mentonie.

— Więc zdaniem pana nie był to nieszczęśliwy wypadek?

— Była to doskonale zaplanowana zbrodnia. Zginęły wówczas dwie osoby: Jadwiga Narzymska i woźnica. No i konie.

— Zdziwiał mnie pan. — Stryj Meli odchylił się na oparcie fotela.

— Są świadkowie — zauważył obojętnie Ryszard.

— Więc pan nie złożył broni — stwierdził jak gdyby z podziwem pan Narzymski.

— Nie złożyłem. Byłem wiele razy w Mentonie i w okolicy. Mogę powiedzieć, że zdeptałem wybrzeże Morza Śródziemnego w promieniu wielu kilometrów.

— A czy wolno zapytać, po co pan to czynił?

— Szukałem Meli.

— Rozumiem. Nie wierzył pan, że zginęła.

— Pan też nie wierzył.

W tej chwili na górze stuknęły jakieś drzwi:

— Okazuje się, że nie jesteśmy sami — zauważył bez zdziwienia pan Narzymski.

— Dom dla wszystkich otwarty. Wejść tu może każdy — Ryszard obojętnie wzruszył ramionami.

— Może to szczur? — Pan Narzymski spojrzał uważnie na swojego rozmówcę. — Nie jest pan ciekawy?

— dodał po chwili.

— Nie.

— W takim razie wróćmy do naszej rozmowy. Kiedy użyje pan swojego autorytetu głowy rodziny i przekona Melę, że jej miejsce w moim domu?

— Nie zamierzam przekonywać Meli — oczy Ryszarda lśniły w mroku jakimś własnym blaskiem.

— Nie zamierza pan?

— Nie.

— A... dlaczego?

— Mela przeżyła straszny wstrząs. Utraciła matkę, a sama nieledwie cudem uniknęła śmierci. Boi się wszystkiego. Czuje się bezpieczna jedynie w moim domu. — Ryszard dotknął twardej rękojeści rewolweru. — Wszystko już panu wyjaśniłem — dodał — myślę, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

158

— O, myli się pan, drogi panie Ryszardzie. Bardzo się pan myli. Mamy sobie wiele do powiedzenia i zaraz to sobie powiemy.

— Czyżby? •*- uśmiechnął się Ryszard. — Po cóż tracić czas nadaremnie?

— Niech się pan nie obawia. Nie stracimy czasu. Nie wypuszczę pana stąd, zanim nie otrzymam pisemnej zgody na przeprowadzkę Meli.

— Takiej zgody nigdy pan nie otrzyma.

— Jest pan pewien?

— Jeżeli chodzi o Melę, tak.

— Woli więc pan tu zostać?

— Nie zamierzam tu zostać dłużej, niż powinienem.

Pan Narzymski zaśmiał się, jak gdyby usłyszał doskonałą anegdotę.

— A jeśli obejdę się bez pańskiej zgody?

— Panie Waławie — Ryszard położył ręce na stoliku. — Po co ta zabawa w chowanego? Obaj doskonale wiemy, jak było. Znamy winowajców. Jeśli oni będą milczeć, jestem gotów i ja przejść do porządku nad pańskim udziałem w tej tragedii.

— Ach tak?

— Tak. Wspólnicy pana...

— Moi wspólnicy? — zadrwił stryj Meli.

— Lokaj Fabian i rybak Labourdet. Pan Narzymski wstał.

— To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? — jego głos drżał ledwie powstrzymanym gniewem.

— O nie, jest jeszcze wiele innych spraw, ale od pana zależy, czy wydobędę je na światło dzienne.

— Zupełnie pan oszalał.

— Panie Waławie, wiem, że z fortuny Meli pozostało tylko to, czego nie mógł pan tknąć, a co brat pański obwarował klauzulami. W jej imieniu zrzeknę się tych pieniędzy, byle tylko zostawił ją pan w spokoju.

— Doprawdy, to przechodzi ludzkie pojęcie! Pan zwiariował, a ja jestem zbyt cierpliwy.

— O nie, to nie cierpliwość każe panu wysłuchać prawdy.

— Prawdy? Jakiej prawdy? Wymyślił pan krwawy melodramat i każe mi grać w nim jakąś ponurą rolę. Ale dość tego. Zaraz napisze pan do żony, żeby Mela przyszła tu natychmiast wraz z oddawcą listu. Proszę, oto papier, pióro i atrament.

Jednym ruchem Ryszard zmiotł z gerydonu ustawione przez Narzymskiego

159

przedmioty, a jednocześnie stryj Meli porwał świecznik i zdmuchnął jedyne w salonie światło. Rozległ się ostry gwizd. Na schodach zatupały kroki.

Ryszard wyszarpnął rewolwer i, roztrącając w ciemnościach meble, dopadł przeciwległych drzwi, prowadzących w głąb domu. Na szczęście w zamku tkwił klucz, mógł więc choć na chwilę odgrodzić się od prześladowców.

Skoczył ku oknu, zdarł zasłonę, do wnętrza przedostało się nieco słabego światła. Targnął dawno nie ruszaną klamkę. Chwilę mocował się z mosiężną rączką, aż udało mu się otworzyć okno. W tym samym momencie drzwi runęły pod naporem czterech silnych ramion.

Ryszard wyskoczył, nadziejąc się nieledwie na ogołoczone z liści, ostre gałęzie dziko teraz rosnących pod oknem krzewów. Biegąc w stronę bramy, słyszał za sobą tupot dwóch par nóg.

Huknął strzał. Zginałby niechybnie, gdyby nie przypadek. Oto poślizgnął się w błotnistej kałuży i upadł nie wypuszczając na szczęście z ręki rewolweru. Strzelił za siebie, na oślep. Krzyk i przekleństwo dowiodły, że strzał był celny.

Zerwał się błyskawicznie, ale nie zdążył zrobić nawet kroku, gdy runął na niego drugi napastnik, całym swoim zwalistym ciałem przygważdżając go do mokrej ziemi. Poczul na gardle ostrze noża. Zebrał wszystkie siły — walczył teraz o życie — by jak najprędzej uwolnić spod ciężaru napastnika rękę z rewolwerem.

Nóż coraz głębiej wgniatał się w szyję i Ryszard wiedział, że jego pozycja była przegrana, leżał bowiem twarzą do ziemi, gdy nagle ktoś zwałił się na plecy przeciwnika.

Nóż zeslizgnął się, znacząc krwawą pręgę na szyi Ryszarda, który nadludzkim wysiłkiem przewrócił się na bok. Napastnik drugą ręką dusił go teraz, wpijając palce w krtań. W pewnej chwili Ryszardowi udało się wyciągnąć spod bandyty rękę z rewolwerem. Strzelił bez namysłu. Ciepła krew trysnęła na jego twarz.

Ktoś pomagał mu podnieść się. Stał na drżących nogach, obrócił się, by podziękować wybawcy.

— Miguel!

— Chodźmy stąd, don Ricardo, prędzej, uciekajmy!

— Drugi raz uratowałeś mi życie. — Ryszard pochylił się nad rozciągniętym na ziemi przeciwnikiem i spojrział w szeroko otwarte, martwe już oczy Pawła Labourdeta.

160

— Ryszard zastrzelił Pawła Labourdeta — tymi słowami Anto powitał księcia wchodzącego właśnie do pokoju nad zakładem fryzjerskim mistrza Dumonta.

— Co mówisz? Gdzie? Kiedy? — Lu otrzepywał się jak pies wylażący z wody, i zrzucał mokry płaszcz.

— Mówię ci, to zupełnie jak rozdział z Rocambole'a! Do licha, Róża ma talent.

— Opowiedz dokładnie — Lu przykucnęła przed kominkiem.

— Stryj Meli wezwał Ryszarda na rozmowę — rozpoczął Anto, wygodnie rozparty w fotelu. — A wiesz dokąd? Do pałacyku w alei Cesarzowej.

— Do tej ruiny?

— Tak. Idealne miejsce na zasadzkę, nie uważasz? Róża była pewna, że imię Narzymski ukrył tam zbirów, i nie myliła się. Ponieważ stryjowi Meli chodziło, jak pisał, o rozmowę w cztery oczy, Ryszard nie zabrał Miguela mimo próśb Róży. Ale Róża i tak zrobiła swoje i Miguel znalazł się w pałacyku. Słyszał wszystko i w odpowiedniej chwili opuścił kulisy i wkroczył na scenę.

— Mów po kolei, jak było — prosił Lu. Anto zaspokoił słuszną ciekawość przyjaciela.

— I co ty na to? — zapytał, gdy skończył ów „epizod z Rocambole'a", jak nazwał dramatyczne spotkanie w alei Cesarzowej.

— Nie do wiary! I mówisz, że Paweł Labourdet nie żyje?

— Nie żyje — przytaknął Anto. — Ryszard jest tego pewien. Jednakże zwłok nie znaleziono. Jeszcze tego samego wieczoru Ryszard pojechał do rotmistrza Brackiego. Obaj panowie odwiedzili znajomego komisarza policji. Udali się do pałacyku T-Jarzymskich. Ani śladu trupa. Deszcz zmył krew na ścieżce. W salonie panował idealny porządek. Wyważone drzwi stały oparte o futrynę, okno zamknięte, zasłony opuszczone. Przeszukali ze świecami cały dom, zeszedli nawet do piwnic. Zwłok nie znaleźli.

— Pewnie złoczyńcy ukryli je gdzieś w ogrodzie.
— Chyba tak. Nazajutrz rano Ryszard i policja raz jeszcze zbadali dom, pokój po pokoju, a także ogród. Na próżno. Narzymyński musiał wywieźć ciało, ziemia teraz zbyt twarda na kopanie grobu.
— Jeżeli po swoim pierwszym strzale pan Żeran usłyszał krzyk, przypuszczalnie ranił Fabiana — zauważył księżę.
— Ryszard też tak sądzi.
— A kiedy zjawił się Miguel?
— Talerz z Napoleonem

161

— Przyszedł zaraz po Ryszardzie i przez otwarte drzwi kuchenne dostał się do głównego westybulu. Ukrył się tam w niszy za posągami i wysłuchał całej rozmowy. Gdy imię Narzymyński zgasił świecę i gwizdnął, z góry zbiegli bandyci. Miguel już wcześniej wiedział, że na piętrze ktoś się ukrywa. Gdy Ryszard wyskoczył przez okno, Miguel wybiegł i okrążył dom. Przycisnął się za krzakami, czekając odpowiedniej chwili do interwencji. No i uratował Ryszarda. Już drugi raz.

— Fantastyczna historia!

— Fantastyczna — przyznał Anto. — Zły tylko jestem, że wszelkie najciekawsze wydarzenia dzieją się beze mnie.

— Nie ma na to rady — zauważył filozoficznie Lu. — Musisz przecież być tutaj.

— Właśnie, tutaj — zirytował się Anto. — Sterczę w Woolwich, podczas gdy tam...

— Przede wszystkim nie sterczysz w Woolwich, a studiujesz — upomniał Lu. — A poza tym tam obesli się doskonale bez ciebie. Grunt, że Mela bezpieczna w Camden Place.

— Często teraz bywasz w domu.

— Bywam — Lu wykręcił się plecami do ognia. — Czy zauważyłeś, że za każdym razem, gdy przyjeżdżam, zjawiają się natychmiast Woodhouse i Slade?

— Zauważyłem.

— I bezustannie kręcą się koło Meli — rzucił wzburzony księżę.

— Dziwisz się im? Ty sam...

— Co ja?

— Ty też „kręcisz się koło Meli”, jak mówisz.

— Ja to co innego. Czuwam nad nią.

— Wszyscy nad nią czuwają. Tylko jeden Bigge...

— Bigge świata nie widzi poza córką lorda Kirkdale'a — Lu wstał. — Zadzwoń, żeby nam podano herbatę. Ziąb jak diabli.

Wraz z zastawą do herbaty zjawił się i sam mistrz Dumont.

— Straszna pogoda — powiedział wstrząsając się. — W taki czas najlepiej siedzieć w domu. Nie radzę Waszej Wysokości...

— Trudno — przerwał Lu. — Dziś ostatni dzień karnawału. Jesteśmy oczekiwani w Camden Place. I nawet trzęsienie ziemi nie powstrzymałoby nas od podróży.

162

O tak. Nic nie zdołałoby im przeszkodzić. Nawet wybuch wulkanu, jak to oświadczył Anto.

W ten ostatni karnawałowy wieczór cesarzowa Eugenia wydała dla młodzieży taneczny wieczorek w Camden Place. Mimo ciasnoty, mimo braku odpowiedniej sali balowej, mimo warunków tak bardzo różnych od dawnego splendoru Tuileriów. Dlatego też nie nazwała tego karnawałowego zebrania balem, lecz wieczorkiem.

— Tylko dla najbliższych — zastrzegła się w liścikach z zaproszeniem. Rzeczywiście, liczba gości nie przekroczyła dwudziestu czterech osób, a razem z domownikami do tańca stanęło zaledwie kilkanaście par.

— Pamiętaj, tańczycie tylko do północy — uprzedziła syna. — Potem podadzą gorącą kolację. Postną, bo to już będzie Popielec.

Na tańce rzeczywiście było mało czasu. Przytykająca do dużego salonu galeria posłużyła za salę balową. Goście zjechali się wcześniej. Lu z iskrzącą się diamentami gwiazdą Legii Honorowej na frakowej kamizelce witał zaproszonych. Nie był rad z tego podkreślenia jego oficjalnego charakteru „pretendenta”, ale tak życzyła

sobie matka, tym bardziej że na bal przybyła córka królowej Wiktorii, księżniczka Beatrycze, ogromnie z Lu zaprzyjaźniona.

— To coś więcej niż przyjaźń — szeptali wtajemniczeni.

Podobne szeptaki rozlegały się za każdym publicznym pojawieniem się księcia. O czym zresztą miały rozprawiać owe stare, wyszłe już z towarzyskiego obiegu wdowy po lordach i parach Anglii? Kojarzenie małżeństw to w ich wieku najmilsza rozrywka, szczególnie, jeśli epuzerem okazać się może tak świetna partia, jak przyszedł cesarz Francuzów. Z kim też nie swatano młodego Ludwika Napoleona! Obok księżniczki Beatrycze kandydatką była i duńska Thyra, i Maria Pilar, córka królowej Izabeli hiszpańskiej, a także parę niemieckich dziedziczek.

Niewielka orkiestra, ukryta za zasłoną z zieleni, zagrała Straussowskiego walca. Lu z księżniczką Beatrycze rozpoczął tańce.

Anto w galowym mundurze Woolwich ledwie docisnął się do Meli.

— Czekam na ciebie — pomachała karnecikiem, gdzie jego imię figurowało przy pierwszym walcu. —

Myślałam już, że do tego walca zaprosisz tę chudą Mary — dodała z dąsem.

— To ideał Bigge'a. — Ręką w białej rękawiczce objął talię dziewczyny. — Te wszystkie księżniczki i lordówny — powiedział gorąco — nie umywają się

163

nawet do ciebie. Wyglądasz prześlicznie, a one przy tobie to jak, jak... — zabrakło mu porównania.

— Nie wysilaj się — rzuciła gniewnie.

— Dlaczego jesteś zła?

Zamiast odpowiedzi odchyliła się do tyłu i spod opuszczonych rzęs popatrzyła na niego, uśmiechając się zagadkowo.

— Woodhouse, Slade, a także Lu, zamiast zabawiać swoje panny w tańcu, ciągle patrzą na ciebie — powiedział ze złością.

— Cóż z tego?

— Jak to co? Stale jesteś obłąkana. Gdy przyjeżdżam, nie masz dla mnie czasu. Albo Slade, albo Woodhouse, albo inny bałwan zawsze jest do ciebie przyklejony.

— Nieprawda. To ty zawsze trzymasz się ode mnie z daleka. Jak gdybyś się bał.

— Melu, dlaczego my się kłócimy? To tak cudownie tańczyć właśnie z tobą... Jesteś najpiękniejszą dziewczyną nie tylko w tym salonie. A ja... Ja...

Nic nie powiedziała, tylko ścisnęła go za rękę.

Wyglądała rzeczywiście-porywająco. Jak nigdy jeszcze.

Od sukni koloru róży herbacianej pięknie odbijały połyskujące ciepłym brązem włosy, puszczone w lokach na ramiona. Z woreczka ze złocistej siatki wychylała się kokieteryjnie chusteczka z fioletowego jedwabiu jako pendant do bukietu fiołków parmeńskich, kwiatów cesarzowej Eugenie, przypiętych do paska, a ofiarowanych na tę okazję przez księcia.

Walc trwał zbyt krótko, urwał się nagle, a wraz z nim pierzchno coś, co nie wypowiedziane drżało na wargach tancerzy, nie wymagające zresztą słów, a wyrażone o wiele lepiej Straussowską muzyką.

Anto w milczeniu odprowadził Melę do kanapki pod wielką taflą zwierciadła, w którym przeglądały się kryształowe pająki zawieszony u sufitu galerii.

Orkiestra preludowała cichutko zza lśniącej zasłony krzewów cytryn i pomarańczy. Ponad zmieszany gwar młodych głosów wybijały się chwilami melodyjne staccata śmiechu, który to wznosił się, to opadał, niczym koloraturowe kadencje popisowej arii.

Księżniczka Beatrycze, owiana białą gazą, ginęła nieledwie za ruchomym parawanem fraków i mundurów. Lu, pamiętający o obowiązkach gospodarza, pilnował, by żadna z panien nie siedziała samotnie pozbawiona męskiego

164

towarzystwa. Co jakiś więc czas kierował pod ściany galerii frakowego lub mundurowego tancerza, odrywając go od grupy otaczającej królewskiego gościa. Mela, gdy weszła, wzbudziła zrozumiętą ciekawość.

— Kto to? — pytali ci wszyscy, którzy rzadko widywali w salonie nowe twarze, zamknięci we własnym kręgu, dokąd niefatwo przedostać się komuś spoza ich towarzystwa.

Widoczna zażyłość, jaka łączyła Melę z księciem, przemówiła na jej korzyść. Wszyscy chcieli ją poznać.

Młodzi ludzie prosili Lu, by ich przedstawił, panny ustąpiły miejsca obok księżniczki Beatrycze.

Mela zresztą wcale nie czuła się tu obco. Na brak wielbicieli także nie potrzebowała narzekać: jej karnecik nie pomieścił tych wszystkich, którzy ubiegali się o taniec.

Anto z daleka śledził te światowe sukcesy dziewczyny.

— Coś taki chmurny? — Lu wsunął rękę pod ramię przyjaciela. — Zaraz będzie kadryl. Z kim tańczysz?

— Nie wiem.

— Partnerem Meli jest teraz młody lord Bellows, a ty... O, widzisz, tam siedzi panna d'Orgy, chodź, przedstawię cię. Błagam, zrób to dla mnie!

Antosiowi było zupełnie obojętne, z kim tańczy, jeśli nie mógł tańczyć z Melą. Na szczęście panna d'Orgy okazała się wyjątkowo sympatyczna, a nawet dowcipna. I kadryl, który pozwalał tancerzom na dłuższe chwile rozmowy, minął nadspodziewanie przyjemnie, mimo że pomylił się w czwartej figurze.

— Kadryl wymaga skupienia — rzuciła ze śmiechem panna d'Orgy. — Zupełnie jak matematyczne zadanie.

A pan jest roztargniony — spojrzała uważnie na partnera.

— Tak pani sądzi? — spytał skonfundowany.

— Tak widzę — odpowiedziała, obracając się wdzięcznie w takt muzyki. Jeśli ona to widzi, to i inni — przestraszył się, ale oto ostatnia figura postawiła go naprzeciw Meli.

— Nie rób takiej grobowej miny — szepnęła po polsku, podając rękę porucznikowi Slade'owi, by okręciwszy się, jak nakazywała piąta figura kadryla, powrócić na miejsce u boku młodego lorda.

Po kadrylu był lansjer, pgiem znowu walc. W kontredansie jako vis-a-vis miał księżniczkę Beatrycze, która uśmiechała się ośmielająco do milczącego kawalera.

165

— Wyglądasz jak mumia — rzucił w przelocie tanecznej figury Woodhouse, szczęśliwy partner Meli. Przed samą północą bal zakończono galopem, słynnym galopem pana Offenbacha z „Orfeusza w piekle”.

Galeria doskonale nadawała się do tego rodzaju tańca. Kilkanaście par pomknęło w posuwistych podskokach, a wielkie kryształowe lustra podwajały i potrajały skromną liczbę tancerzy, rozsuwając, zdawałoby się, ściany galerii w wielki salon Tuileriów.

Punktualnie o północy otwarto podwoje jadalnej sali. Długi stół lśnił bielą adamaszkowych obrusów, srebrem i kryształami. Pęki świec w srebrnych kandelabrach, ustawionych na obu końcach stołu, obrzucały migotliwym blaskiem rozgrzane tańcem policzki pańien. W tym oświetleniu twarze siedzących wydawały się prawie nierzeczywiste, tajemnicze jakies i nieodgadnione, oczy pociągały głębią spojrzenia, usta nieśmiałym uśmiechem przeczuwanego może szczęścia.

Anto siedział przy Meli. Zawdzięczał to oczywiście Lu, który tak kazał rozłożyć bileciki z nazwiskami gości. Z drugiej strony miał pannę d'Orgy, ale to już było sprawą czystego przypadku.

Ryby na zimno, na gorąco, modna „rosyjska sałatka”, majonezy... Cesarzowa Eugenia sama układała menu, przestrzegając pilnie postnego charakteru tej już popielcowej kolacji.

Nastrój biesiadników za to nie opuścił jeszcze karnawałowej nocy.

Po kolacji goście przeszli do dużego salonu, gdzie bawiono się w najrozmaitsze gry towarzyskie. Niestety, wcześniej trzeba było zakończyć ten bardzo udany wieczór — księżę i jego koledzy już w godzinach rannych musieli podjąć służbę w Aldershot, a Lu nie zgadzał się na żadne ustępstwa czy przywileje, jakich chętnie udzieliłyby mu angielskie władze wojskowe.

Anto wracał do Woolwich. Z Melą pożegnał się w małym salonie, już po odjeździe obcych gości.

— Uważaj na siebie — przypomniał. — Pamiętaj, co pisze Róża. Twój stryj nie skapitulował.

— Wiem — westchnęła. — Ale tu jestem zupełnie bezpieczna. Niczego się nie boję. Przyjedziesz w niedzielę?

— Przyjadę. Słuchaj, Melu...

— Co takiego?

— Nie, nic... Już nic.

— Chciałeś mi coś powiedzieć?

166

— Tak, ale już zapomniałem, o co chodziło.

— Masz bardzo krótką pamięć — zauważyła urażona. — Dobranoc. — Odeszła tak szybko, że nie zdążył odpowiedzieć ani jej zatrzymać.

Cesarzowa Eugenia, choć zorganizowała cały ten wieczorek, nie pokazała się gościom ani razu, z ukrycia tylko kierując sprawnym przebiegiem zabawy.

Przed odjazdem Lu wstąpił pożegnać się z matką.

W sypialni było cicho i przytulnie. Na kominku płonęły smolne szczapy, ciężkie szkarłatne zasłony kryły smutny zimowy pejzaż. Zła pogoda nie docierała do tego wnętrza. Tu panował nastrój intymności i ciepła.

— Dziękuję, mam — powiedział całując jej rękę. — Tak wszystko ślicznie urządziłaś...

— Księżniczka Beatrycze bawiła się chyba dobrze?

— O tak, doskonale. Nie przesiedziała ani jednego tańca. Była rozrywana prawie tak jak Mela.

— Jak Mela?

— Wiesz przecież, że ani w połowie nie jest tak ładna i gdyby nie była córką królowej Wiktorii...

— Lubisz ją, prawda?

— Bardzo. Można powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi.

— Czy zawsze myślisz pozostać dla niej tylko przyjacielem?

— Chyba tak... Nie wiem... Trudno mi sobie wyobrazić... Naturalnie, będę kiedyś musiał ożenić się, i to zanim wyłuszę jak doktor Corvisart lub stanę się brzuchaczem jak stary Rouher — zaśmiał się z przymusem.

— A jeżeli księżniczka Beatrycze poczułaby do ciebie coś więcej niż przyjaźń?

— Małżeństwo podcięłoby mi skrzydła — odparł z żywością. — Na to jeszcze o wiele za wcześnie.

— Oczywiście, że za wcześnie — przyznała. — Ale czasem o tym myślę.

— Mam dużo do zrobienia, zanim to nastąpi. Wiem, że nie będzie mi dane pójść, jak to ktoś powiedział, „za głosem serca”. Niemniej postaram się, by ten małżeński zabieg okazał się jak najmniej bolesny.

— Czemu tak mówisz?

— Na tyle znam życie, mam, że nigdy nie zgodzę się, by mnie ożeniono

167

wbrew woli. A w ogóle, po co te przewidywania, to jeszcze bardzo odległa przyszłość.

— Tak. Bardzo odległa. Dopiero tam, we Francji, gdy już będziesz cesarzem...

— Dobranoc, mam — pochylił się i pocałował ją w czoło. — Muszę jechać. Koledzy na mnie czekają. Zaraz zaczną świtać.

— Przyjedź jak najprędzej — prosiła wpatrując się niespokojnie w tak podobne do własnych jasne oczy syna. Słyszała, jak zbiegał ze schodów. Potem zajechał powóz. Trzasnęły zamykane drzwiczki. Konie wyrwane z ciepłej stajni niechętnie podejmowały ciężkie obowiązki w niewdzięcznej służbie człowieka.

Dom powoli pogrążał się w ciszy, dziwnie kontrastującej z niedawnym jeszcze balowym gwarem.

Służba rygowała drzwi wejściowe, gasiła gazowe lampy.

Wszystko znowu zapadało w codzienność. Ciężką, nudną i szarą, jak to niebo za oknem, rozświetlone hen, na horyzoncie, słabym odbłaskiem świtu, który gdzieś tam, na Południu, nazywano tak pięknie Aurorą Jutrzenką.

VIII

— Dobrze, że pan przyjechał — kobieta trzęsła głową, prowadząc gościa przez świeżo bieloną sień. — Pan Fabian bardzo dziś niespokojny.

— Niespokojny?

— Tak. Narzeka na ból w nodze i w ogóle... — zapukała do drzwi w głębi.

Dwa okna dużego kwadratowego pokoju wychodziły na ogród. Wszystko kwitło, drzewa, krzewy, z gęstej murawy wychylały się pęki narcyzów, klomb bielił się od stokrotek.

Wacław Narzyski starannie zamknął za sobą drzwi, jak gdyby chciał odgrodzić się od reszty domu. Mimo ciepłego dnia okna były ledwie uchylone. Pod jednym z nich, w głębokim fotelu siedział Fabian z nogą owiniętą bandażami, spoczywającą na poduszce.

— Wcale się nie goi — wybuchnął ujrzawszy wchodzącego. — Lekarz mówi, że jeżeli wda się gangrena...

— Co tam lekarz — przerwał niecierpliwie Narzyski. — Paskudny postrzał i tyle. Poczekaj, aż zarośnie. Zobaczysz, że i znaku nie zostanie.

— Czekam tak od przeszło trzech miesięcy. — Lokaj z trudem hamował wybuch wściekłości.

— No to co? Myślisz, że wszystkie rany na każdym człowieku goją się jak na psie? Bądź cierpliwy.

— Skończyła się cierpliwość — chory uderzył pięścią w poręcz fotela. — Żeby tego sukinsyna...
— Co ci to pomoże? — Narzymski wzruszył ramionami. — Sam tego chciałeś.
— Nie myślałem, że ten łamaga, Labourdet, nie da sobie rady z tym...
— Uważaj, co gadasz — Waclaw Narzymski zamknął okno. — Po co te nazwiska? Zapomniałeś już o ostrożności?

169

— Gdyby pan tak siedział z tym cholernym bólem...
— Wiem, wiem — łagodził przybysz. — Jutro przywiozę z Paryża słynnego doktora.
— Tu nie pomoże żaden doktor. Jak będzie gangrena, to trzeba nogę obcinać. I co ja? Kaleka... Przez tego...
— Nie wrzeszcz. Nikt nie każe obcinać nogi i nie będzie żadnej gangreny.
— Skąd pan wie?
— Wiem.
— Dość już siedzenia w tej dziurze. Mnie trzeba ratować. A tu co mam?
— Dobrą opiekę, spokój i doskonałą kuchnię. Jeszcze ci mało?
— Do diabła z kuchnią! Nosem mi to wszystko wyłazi. Ja chcę być zdrowy, rozumie pan? Zdrowy!
— Lekarz przyjeżdża co dzień i zmienia opatrunki. A że się nie goi...
— Właśnie. Dlaczego nie chce się goić? Co to za jakaś parszywa kula? Zatruta czy co? Takiego trzeba pod sąd.
— Uspokój się. Zobaczymy, co jutro powie specjalista.
— Ja muszę wyjechać. Pan mnie tu trzyma umyślnie, żebym zdechł. To leży w pana interesie, rozumiem.
— Nic nie rozumiesz, głupcze. Nie sądziłem, że taki bałwan z ciebie. Wiesz dobrze, że sam jesteś sobie winien.
— Chcę wyjechać za granicę.
— Teraz nie.
— Dlaczego?
— Nie mam pieniędzy.
— Nie ma pan pieniędzy? A scheda małej?
— Wiesz, jaka obwarowana. Co było można, wziąłem, i to już poszło. Pochard odmawia pożyczki. Ruiny nikt nie chce kupić. Sam już nie wiem, co robić.
— To z czego mnie pan zapłaci?
— Tobie? Wszystko ci już zapłaciłem.
— Wszystko! Pan żartuje? A ta noga? To niby darmo mam się tak mordować?
— Słuchaj, Fabian, drogo mnie kosztowałaś. Nie dostaniesz więcej ani grosza. Już ci powiedziałem, jestem zrujnowany. Żaden z tych wściekłych lichwiarzy nie rozwiąże dla mnie sakiewki. Żądają gwarancji. A ja co im dam? Rudere, której nikt nie kupi?

170

— Ee, jak pan się postara, to i pieniądze się znajdą. — Usta Fabiana złożyły się w brzydki grymas. — Już nieraz tak bywało.
— Bywało, ale skończyło się. Rozumiesz?
— Proszę to mówić komu innemu, nie mnie. Mnie to nie obchodzi. Ja muszę wyjechać. Radzę panu postarać się o pieniądze.
— Śmiesz mi grozić?
— Ja nie grożę, ja daję dobrą radę.
— Daleko mnie zaprowadziły twoje rady.
— Może źle pan na nich wyszedł, co? — Chory gwałtownie pochylił się do przodu. — Wszystko szło jak w zegarku. Dopiero jak ten idiota spartaczył... Swoją drogą nie rozumiem... Byłem pewien, że zastrzeliłem tego... Widziałem, jak upadł.
— Pokpiłeś całą sprawę — powiedział zimno Narzymski. — To ty spartaczyłeś robotę, a nie to rybackie bydło.
— Co pan? Ja nadstawiałem karku, podczas gdy pan siedział bezpiecznie w salonie.
— Dość tego gadania. — Narzymski wstał. — Mam już wyżej uszu ciebie i twoich wymagań.

— Aha, teraz ma mnie pan wyżej uszu. Nie jestem już potrzebny, co? Pewno. Mała ze mnie pociecha. Kaleka nie nadaje się do brudnej roboty. Tam trzeba siły, zręczności, no i odwagi, tak, szanowny panie, odwagi. Dlaczego, myśli pan, narażałem się na galery? Dlaczego nieraz otarłem się o gilotynę? I to ma być za darmo? Chyba pan rozum postradał.

— Dość, głupcze, nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości. Wiesz, ile ci zapłaciłem. Prawie połowa schedy małej... a potem z tego, co dał Pochard...

— Obiecywał pan złote góry.

— Obiecywałem, obiecywałem — zachnął się Narzymski. — A tobie wszystkiego było mało. Nie jestem dojną krową ani kurą, co znosi złote jajka.

— Chcę wyjechać — Fabian zdawał się nie słyszeć ostatnich słów Narzymskiego. — Niech pan ruszy głową i wy trzaśnie pieniądze choć spod ziemi. Ja muszę wyzdrowieć, słyszy pan?

— Dobrze, dobrze, uspokój się.

— Dość mam spokoju. Tu jak w grobie. Cicho i pusto, tylko ta stara wiedźma...

— Żle ci tu? Ta stara wiedźma, jak widzę, dobrze ci dogadza.

— Dość mam wsi. Ja chcę żyć.

171

Narzymski, znudzony skargami lokaja, podszedł do okna.

— Ładnie tu — skrzywił się. — Ja też nie lubię wsi, ale dla chorego...

— Dla chorego najlepsza dziura w ziemi! — wybuchnął Fabian. — Jeszcze nie wiadomo, co ze mną będzie. Ale jedno panu powiem: jeżeli pójdzie gangrena i obetną mi nogę, to...

— To co? — Wzrok Narzymskiego był zimny i ciał jak szpicruta.

— To koniec ze mną... ale i z panem też — dokończył ciszej.

— Ze mną? — zdziwił się nieszczerze gość. — Mnie nie grozi gangrena.

— Tak, z panem, nawet bez gangreny.

— Znowu grozisz?

— Grozę. Niech pan wie, co się stanie, jeśli nie dostanę pieniędzy na wyjazd.

— A co się ma stać? — w głosie pana sługa dosłyszał ironiczne wyzwanie.

— Zanim zdechnę, pójdzie pan na gilotynę.

— A za cóż to grozisz mi gilotyną?

— Jeszcze się pan pyta?!

— To ty popełniłeś zbrodnię, nie ja. Ja o niczym nie wiem.

— Nie wie pan. — Głos Fabiana drżał drwiną. — Pański przyjaciel, prokurator Republiki, będzie innego zdania. Znam jego adres, nosiłem raz list... Wszystko mu opiszę.

t

— Milcz. Wiesz dobrze, że ja jestem czysty. To ty...

— Ja, ja... ale dlaczego?

— Dla pieniędzy — rzucił sucho Narzymski. — I to nie ja ciebie, ale ty mnie namówiłeś... przekonałeś... Nie chciałem, byłem utracjuszem, hulaką, to prawda, ale stąd do zbrodni... To ty, mój zły duch.

— Widzicie to niewiniątko? — zadrwił Fabian. — Niewiniątko — powtórzył z pogardą. — A kto skamlał: „Fabian, skąd wziąć pieniądze? Wczoraj przegrałem ostatnie sto ludwików”? To Fabian radził. Dobrze radził. A że pan jest beczką bez dna...

— Jeżeli specjalista każe wyjechać — zaczął Narzymski pojednawczo — to wyjedziesz.

— Trzymam pana w garści — mruknął Fabian ściskając pięść. — O tak.

— Tak samo jak ja ciebie — odparował Narzymski.

— Mnie już nic nie zaszkodzi. Ja zdechnę. Za to pan... młody...

— Przestań — przerwał gość biorąc kapelusz. — Idę już. Nie mam czasu na słuchanie bzdur. Do jutra. — Wyszedł nie spojrzawszy na chorego.

172

W sieni zastukał w drzwi kuchni. Kobieta otworzyła natychmiast, patrząc na gościa pytająco.

— Uspokoił go pan?

— Tak. Jutro przywożę z Paryża specjalistę, sławnego doktora.

— To dobrze, bardzo dobrze — pokiwała głową.

Szedł wiejską drogą, nie widząc ani słońca, ani ukwieconej doliny pławiącej się w młodej zieleni. W tyle pozostało miasteczko Rueil, ciasno zabudowane, pocięte wąskimi uliczkami, drzemiące, zdawałoby się, pod błękitną konchą nieba. Właściwie niepotrzebnie odprawił fiakra. Czekał go teraz parokilometrów spacer do Bougival, gdzie złapie pociąg do Paryża.

Polna ścieżka doprowadza go prosto do bramy Malmaison.

O tej porze pałacyk i ogród są puste, nie przyjechał jeszcze żaden zwiedzający, ani jeden poszukiwacz zabytków nie myszkował po śladach Napoleona i Józefiny.

Narzymski objął wzrokiem milczącą fasadę. Od tej sennej ciszy, od pozamykanych szczelnie okien pałacu spływał na niego jakiś szczególny spokój. Spokój rzeczy minionych, miejsc, których przeznaczenie już się wypełniło.

Nic dziwnego, że było to ulubione mieszkanie pierwszego konsula i jego małżonki. Ten różany ogród założyła niegdyś Józefina. I tu umarła, opuszczona. W kościele w Rueil widział jej grobowiec.

Przemierzył parę pachnących różami alejek i usiadł na kamiennej ławce.

Co robić? Skąd wziąć pieniądze dla tego szatana? Szatana... to prawda. Od niego wszystko się zaczęło. On, Wacław Narzymski, nie był przecież zły. I kochał brata. Tak, kochał go. Brat. Co Fabian zrobił bratu, że umarł tak nagle? A on pozwolił... Pozwolił?... „Fortuna brata” — kusił szatan. Brat... Starszy prawie o lat dziesięć. Zawsze dobry, wyrozumiały i opiekuńczy, raz go uratował przed więzieniem. Brat... Boże!

Gruba łza spadła na splecione na kolanach ręce.

Łza? Niemożliwe! On nigdy dotąd nie płakał. Nigdy w życiu. To pierwszy raz. Co się stało?

Nad kiściami świeżo rozkwitłych wiosennych róż uwijają się roje pszczoł, złotych pszczoł, które obsiadły niegdyś koronacyjny płaszcz Napoleona.

173

— Gratuluję, Anto. Z takim dyplomem z Woolwich przyjmą cię we Francji z otwartymi ramionami.

— Mam nadzieję — w głosie Anta zamiast radości pobrzmiwa nuta żalu.

— Conneau wyszedł z Saint-Cyr podporucznikiem — zaśmiał się Lu. — Zdegradowano go. Ty też, angielski porucznik, po Saint-Cyr spadniesz nieco niżej. Czemuś taki markotny?

Przez ten ostatni rok w Woolwich czułem się bardzo osamotniony. Teraz powtórzy się to w Saint-Cyr. Żeby choć Ludwik...

— Ludwik podejmie wkrótce zaszczytną służbę dla Francji — książę spoważniał. — Gdybym to ja...

— Co pisze Conneau? Kiedy wraca?

— Pojutrze. Spędzi tu miesiąc z rodzicami. Ma już przydział do garnizonu w Tours. Tours, rozumiesz? „Ogród Francji”! Co ja bym dał...

Siedzieli w gabinecie Lu w Camden Place. Przez otwarte okna wlewał się potokami słońca ostatni czerwcowy dzień.

— Jest tak pięknie, jak tam, we Francji — szepnął Lu. — Takie lato pozwala zapomnieć o wygnaniu — dodał ciszej.

— Ciągłe o tym myślisz. Nie trzeba. A zresztą wygnanie zwykle kończy się powrotem do domu.

— Albo śmiercią.

— Przestań, Lu. Jak możesz, w taki dzień...

— Przepraszam. Masz rację. To rzeczywiście wielki dzień dla ciebie i dla Ludwika.

— Nie to miałem na myśli.

— Wiem. Ale to jest dzień bardzo ważny również i dla mnie — spojrzał serdecznie na przyjaciela. — Zobacz, co przygotowałem dla Ludwika na jego promocję w Saint-Cyr. — Zerwał się i ujął leżące na komodzie długie wąskie pudło. — Wiesz, co to jest?

— Chyba nie skrzypce — uśmiechnął się Anto.

Lu podnosił już wieko i wydobywał z futerału szpadę o wąskiej klindze. Na jednej stronie ostrza wygrawerowano: „Napoleon — Ludwikowi Conneau”, po drugiej — starodawny francuski okrzyk bojowy: „Wyprzedzaj najlepszego”.

— Podoba ci się?

— Piękna szpada — Anto z szacunkiem dotknął lśniącej stali.

— Za rok dostaniesz ode mnie podobną.

— Ależ, Lu, po co te wydatki?

174

— Po to, żebyś miał po mnie pamiątkę.
— Znowu zaczynasz.
— Nie gderaj, nie zaczynam. Ot tak sobie powiedziałem. To francuska szpada, wiesz? Prosiłem pana Clary, żeby wyszukał w Paryżu najlepszą, jaką znajdzie.
O tak, szpada była rzeczywiście najlepsza, „dla najlepszego”, jak Lu napisał w liście do przyjaciela. Anto pragnął zabawić kilka dni w Camden Place, nacieszyć się towarzystwem Meli i obu przyjaciół. Potem spieszył do Róży, stęsknionej za bratem i wiecznie o niego niespokojnej.
Ludwik Conneau przyjechał do Chislehurst w nowiutkim mundurze z dystynkcjami podporucznika. Trzej przyjaciele, choć na krótko, znowu byli razem.
— Co słysząc we Francji? — pytał księżę.
— We Francji? Stara bieda — skrzywił się Conneau. — Uchwaliliśmy nową konstytucję, no i mieliśmy wybory do obu Izb. Partie polityczne w dalszym ciągu skaczą sobie publicznie do oczu, obrzucając się niewybrednymi inwektywami. Naród jest skłócony, a właściwie ogłupiały. Nie wie, kogo słuchać, kto ma rację, a kto się myli, kto mówi prawdę, a kto kłamie, kto chce dobra Francji, a kto myśli wyłącznie o Burbonach czy Orleanach. W Senacie przeważają monarchiści, Izba Deputowanych jest zdecydowanie republikańska. Pierwsze skrzypce gra tam oczywiście pan Gambetta.
— Gambetta — powtórzył Lu z goryczą. — Największy wróg ojca.
— Może nie tyle wróg, ile przeciwnik polityczny, zresztą doskonały mówca — dodał Conneau.
— A... bonapartyści? — księżę patrzył niespokojnie w oczy przyjaciela.
— Są, a jakże. W Izbie Deputowanych jest ich spora gromada.
— Jeżeli Francuzi mnie nie zechcą — Lu potrząsnął głową — poproszę, by mi pozwolono służyć we francuskiej armii. W którymś z prowincjonalnych garnizonów. Może wówczas znowu będziemy wszyscy trzej razem?
— Co ten Lu taki dziwny? — spytał Conneau, biorąc Anta pod ramię, gdy wyszli z Camden Place.
— Nie wiem. Znowu mówi o śmierci.
— To jakaś obsesja. Ale to minie. Postaram się go rozruszać. Słuchaj — dodał wahająco — naturalnie nie mogę tego powiedzieć Lu, ale Francuzi za bardzo zasmakowali w republice, by pragnąć zmiany. Obawiam się...

— Czego? — głos Anta zdławił lęk.

175
— Straszno rozczarowania dla Lu. Wszystko jest nie tak, jak tu sobie wyobrażaliśmy. Owszem, stronnictwo bonapartystowskie wiele znaczy, ale republikanie i monarchiści robią, co mogą, byle wymazać z pamięci narodu glorię cesarskich orłów, byle zatrzeć ślady tego, co było wielkie i dobre, a na pierwszy plan wysunąć błędy i niedociągnięcia. Przecież nie ma idealnego systemu.

- Francuzi nie wiedzą, co tracą, jeżeli opowiedzą się przeciw Napoleonowi Czwartemu.

- Nie zapominaj, że za wszystkie nieszczęścia Francuzi obwinili właśnie Drugie Cesarstwo. Ono poniosło klęskę. Najlepszym tego dowodem są ruiny Tuileriów. Do dziś dnia sterczą poczerwiałe i osmalone w sercu Paryża, a minęło już pięć lat od pożaru. Nikomu nie spieszo do odbudowy. I nie wiadomo, co Republika postanowi z pałacem. Niektórzy mówią, że zostanie rozebrany. Tuilerie były siedzibą cesarstwa, niech więc tak jak cesarstwo znikną z powierzchni ziemi.

- Mówisz straszne rzeczy.

- Mówię, jak jest. Przez rok żyłem w Saint-Cyr. Większość młodych to republikanie. A to jest przyszłość francuskiej armii, jej potencjalni dowódcy. Słyszałem, co mówili, czasem brałem udział w ich rozmowach. Wiedzieli, że mój ojciec był przyjacielem cesarza, że ja i Lu... Pytali o niego. Byli ciekawi. Ale nic więcej.

— To co będzie?

— Nie wiem. „Mały księżę”, jak go nazywano przed wojną, został zapomniany. Niewiele osób pamięta chłopca, który miał zaledwie czternaście lat, gdy opuścił ojczyznę. Nie ma się właściwie czemu dziwić.

— - Ale co będzie z Lu? Jak on zniesie ten cios, jeśli go naprawdę nie zechcą?

— Lu zrozumie. Nieraz przecież mówił. Myślę, że zaciągnie się do służby we francuskiej armii.

Przypuszczalnie Republika wyrazi zgodę. Ale wyobrażasz sobie, jak to przyjmie cesarzowa Eugenia? Biedny Lu, czeka go wówczas ciężka przeprawa z matką. No, na dziś dość tych lamentów. Do licha, są przecież wakacje!

Ten pierwszy tydzień wakacji, spędzony w Camden Place, był dla Antosia jednym pasmem przyjemności. Cały dom huczał radością, pełen młodych głosów, młodego życia, które jak świeże wino burzyło się w starej beczce.

Mela królowała nad swoimi wielbicielami — tak również nazywał chłopców kochany pan Filon.

176

Wkrótce po zamieszkaniu w Camden Place Mela uprosiła dawnego nauczyciela księcia, by wypełnił olbrzymie luki w jej wykształceniu. Pan Filon z radością podjął się wdzięcznego zadania i, jak stwierdził, nie miał dotąd równie pojętej i pilnej uczennicy.

Sprowadzono z Paryża potrzebne podręczniki i Mela — śmiała się Lu — zamieniała się powoli w prawdziwą sawantkę.

- Prawie już z ciebie „niebieska pończocha”, jak u Moliera — przekomarzał się z dziewczyną młody Conneau.
- - Wkrótce zapomnisz o strojach, a gardząc fatalaszkami i pięknym wyglądem, nie dostarczysz żadnej przyjemności męskiemu oku.

— Czy tak bardzo zbrzydłam? — pytała kokieterycznie. — Powiedz, Anto, tobie jeszcze najbardziej można wierzyć.

— Dlaczego właśnie jemu? - - oburzył się francuski podporucznik.

— Bo znam go najdłużej. - - Mela mrużyła oczy i uśmiechała się zagadkowo. --' Zawsze wiem, kiedy Anto nie mówi prawdy.

— A więc i ten ideał ma skazy — ucieszył się Conneau. — To bardzo pocieszające dla takich niedoskonałych istot jak ja.

Nawet cesarzowa Eugenia zapomniała w te dni o zwykłej melancholii. Zbyt dużo było gwaru, ruchu, co dzień goście, bo i koledzy Lu nie opuszczali prawie Chislehurst.

Anto pierwszy pożegnał przyjaciół. Potem cesarzowa Eugenia z synem wybierali się do Arenenbergu. Lu pragnął znowu odwiedzić dom babki, ojciec w jego wieku mieszkał tam przecież. Wszystko dotąd stało tak, jak zostawili ci, co odeszli stąd na zawsze, rozdzieleni nawet po śmierci. Królowa Hortensja wróciła do domu, leżała w Rueil, przy matce, Józefinie de Beauharnais, jej syn pozostał na wygnaniu w Chislehurst.

- Wiesz, Anto - - powiedział Lu ostatniego wieczoru, który spędzili razem — przypominam sobie teraz, jak ojciec opowiadał, z jakim wzruszeniem wchodził w bramy zamku Wilhelmshoehe, który król pruski przeznaczył mu na więzienie. Z miejscem tym wiązały się wspomnienia dzieciństwa, ojciec jako chłopiec bawił tam niegdyś u stryja Hieronima, ówczesnego króla Westfalii. Gdy więc prowadzono go przez szereg melancholijnych i opuszczonych salonów, z jednej ze ścian spojrzął na niego portret matki. Stanął i patrzył, nie mógł oderwać oczu od tej twarzy pięknej i młodej. Wreszcie poprosił oficerów, którzy go eskortowali, by pozostawiono go chwilę samego. Uszanowali życzenie jeńca. Ofiarowali mu nawet całą godzinę samotności. Siedział i patrzył na matkę, i płakał. Biedny ojciec, tak często myślę o tym, co wówczas

12 Talerz z Napoleonem

177

czuł, sam, opuszczony, w niewoli, bez prawa powrotu do Ojczyzny. I nagle to spotkanie z matką. Bardzo ją kochał. Jestem pewien, że są teraz razem, nareszcie szczęśliwi.

Mela pozostawała w Chislehurst pod opieką hrabiny Clary. Tak było dla niej najbezpieczniej.

— Anto... powiedz Róży — szepnęła podczas pożegnania — jak bardzo za nią tęsknię. Ciebie też będzie mi brak — odwróciła twarz. — Ale jak wrócę do Paryża — dodała prędko — będziemy się często widywali, prawda? Saint-Cyr to bardzo blisko, przyjedziesz do domu na każdą niedzielę. Czy tak?

— Tak — kiwał głową nie znajdując odpowiednich słów, by ją pożegnać. — Bądź bardzo ostrożna — przypomniał. — Teraz, jak mnie tu nie będzie...

— Nie przerywam lekcji z panem Filonem — zauważyła. — A nauka zajmie mi wiele czasu. Właściwie całe dnie będę zajęta.

Lu i Conneau odwieźli go do Londynu. Wychylony z okna wagonu długo patrzył na niknącą wśród dymu z lokomotywy stolicę Anglii.

A więc coś się w jego życiu skończyło. Woolwich. Wysokie okna wykładowych sal. Czerwone mundury kadetów. Ostatnie egzaminy. Dyplom. Jasnowłosi chłopcy o rumianych twarzach. Szczęśliwi. Wolni. U siebie. Mówią swoim własnym językiem, jak wszyscy dokoła nich. Conneau też jest u siebie i też dokoła słyszy swój język. Nawet Lu. Czy koniecznie musi zostać cesarzem, żeby wrócić do Francji? Cesarstwo minęło, jak minął ancien regime, rewolucja, Dyrektoriat, Konsulat i wiele innych systemów. Ale Francja jest zawsze Francją i

Paryż zawsze ten sam. Czegóż więcej potrzeba? O tak, nawet Lu godzien był zazdrości. A on, Anto... On po polsku może rozmawiać wyłącznie w domu. Inaczej nikt go nie zrozumie. I nie jest u siebie. Dziaduś mówił „w pielgrzymstwie”, jak to pięknie napisał Mickiewicz.

A więc czeka go jeszcze rok w Saint-Cyr. A co potem? Potem przydzielą go do jakiegoś garnizonu, może bardzo daleko od Paryża, na drugim końcu Francji. A potem? Z początku będzie podporucznikiem, wreszcie awansuje, zostanie kapitanem, a może osiągnie jeszcze wyższe stopnie w karierze wojskowej? I co z tego? Stale będzie mówił po francusku, bo tak będą mówili wszyscy otaczający go ludzie. Przerzucany z miasta do miasta, z garnizonu do garnizonu, zwiedzi całą Francję.

W tym momencie lokomotywa wydała przeciągły gwizd, raczej jęk, jak gdyby użalała się nad czekającą go przyszłością. Wzdrygnął się. A więc kariera wojskowa?

178

Kariera wojskowa — dudnią koła pociągu — kariera wojskowa... Herbatki u pani kapitanowej, zaszczytne zaproszenia na wieczory do żony pułkownika. Młodzi oficerowie to swojego rodzaju atrakcja w nudnej prowincjonalnej egzystencji. Panny mają na kim wypróbować siłę swoich wdzięków.

Od pędu pociągu wagon dygocze, kołysze się i drży, nieledwie podskakuje na szynach. Niestety, nie oderwie się od „żelaznej drogi” wytyczonej ręką człowieka, a może przeznaczeniem? Musi nią biec do końca, aż osiągnie cel.

I nagle w ramie okna jak w lustrze zobaczył twarz Meli, ponad turkotem pociągu posłyszał jej głos, gdy mówiła: „Całe dnie będę zajęta”, a mówiąc to patrzyła na niego tak dziwnie smutno, jak gdyby i dla niej coś się skończyło.

— Melu — przemawiał w duchu do dziewczyny — Melu, musisz wiedzieć, że ja... Bez ciebie życie nie miałoby sensu. Pewnego dnia wrócisz do Paryża, do Róży i znowu będziemy razem, jak dawniej. Nic nas nie może rozdzielić, słyszysz?... Melu... Słyszysz mnie?

Ocknął się dopiero w Dovrze.

— Taka pogoda, że i psa nie wygnałbyś z domu — Zelia zasunęła firankę i szczerzej otuliła się grubą wełnianą chustką.

Za oknami szalała listopadowa zawierucha, deszcz siekł bezbronne szyby, a obnażone z liści gałęzie rosnącej pod oknami akacji stukwały w żaluzje, dopraszając się zlitowania.

Róża opuściła ręce z robotą i z zadowoleniem objęła wzrokiem przytulny salonik. Ryszard w swoim pokoju pisał jakieś ważne listy, mały Staś bawił się na dywanie przed kominkiem z nowym mieszkańcem pawilonu, dużym czarno-białym kotem.

Znaleziono go przypadkiem, jak błąkał się po dziedzińcu, zziębnięty i wynędzniały, „worek kości” — tak określiła kota Zelia.

Zadomowił się nadspodziewanie szybko, szczęśliwy, że na tak straszną pogodę ma dom i jedzenie — Zelia nie żałowała biedakowi — i od razu wybrał sobie towarzystwo Stasia, uznając w nim widać najbardziej godną kociego zainteresowania osobę.

179

— Jeśli tu, w podwórzu, tak dmie — powiedziała Zelia kręcąc głową — wyobrażasz sobie, co się dzieje na ulicy? Szczęście, że pan Ryszard już w domu.

W tej chwili rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

— Któż to może być? — zdziwiła się Róża. — Nie chciałabym przeszkadzać Ryszardowi... — Ale właśnie wchodził Miguel Toreno z tak dziwnym wyrazem twarzy, że zamilkła. — Co się stało? Kto przyszedł?

— Pan Narzyski. Chce mówić z don Ricardo.

— Zaraz mu powiem. — Wstała i odłożyła haft. — Zelio, zabierz Stasia, a ty poproś tu gościa — rzuciła wychodząc.

— Tego bandytę? — zamruczała Zelia biorąc dziecko na ręce. — Jak można wpuszczać do domu podobnego zbira? Chodź, Stasiu, to nie dla ciebie towarzystwo.

Kot wstał również, przeciągnął się, wygiął grzbiet i z podniesionym wysoko ogonem pomaszerował za wychodzącą.

Gdyby Ryszard nie był uprzedzony o tożsamości przybysza, w tym ociekającym wodą, słaniającym się z wycieńczenia mężczyźnie nigdy nie poznałby Waclawa Narzyskiego.

Świetny panicz, arogancki i pewny siebie, ustąpił miejsca nieledwie nędzarzowi, którego widok budził już tylko litość.

Obłocone obuwie, ochlapane błotem spodnie i dół płaszcza wskazywały na długi marsz podczas jesiennej pluchy. Kapelusz utracił dawny kształt, był już tylko nieforemny kawałek filcu, mokre włosy oblepiały głowę, niesfornymi kosmykami opadając na czoło.

Stan ubrania odpowiadał twarzy gościa, nie golonej co najmniej od trzech dni. Zapadłe policzki miały szarość popiołu, oczy z wyrazem przerażenia czepiały się wzroku Ryszarda niczym rozbitek zbawczej deski. Sinawe wargi bezustannie drżały.

— Panie Ryszardzie — wykrztusił przybysz składając ręce. — Jestem zgubiony. I jeżeli pan mnie nie uratuje...

— Niech pan zdejmie płaszcz — Ryszard podszedł do Narzymskiego i pomógł mu wyswobodzić się z przemoczonego okrycia. — A teraz niech pan usiądzie przed ogniem — ustawił fotel przed kominkiem i zadzwonił. — Przynieś wina i herbaty — rozkazał Miguelowi, który zjawił się natychmiast. — A może jest pan głodny? — zwrócił się do gościa.

Narzymski bez słowa skinął głową, nie podnosząc oczu.

180

Po chwili na stoliku znalazło się zimne mięso, chleb, wino i gorąca herbata. Narzymski jadł łapczywie, z trudem utrzymując nóż i widelec w skostniałych palcach. Ryszard milczał, nie odrywając wzroku od ognia. Z kominka buchało ciepło, zegar tykał kojąco, cisza w saloniku zdawała się zapraszać do odpoczynku, gość powoli odzyskiwał równowagę.

— Panie Ryszardzie — zaczął — wiem, co pan o mnie myśli...

— Zostawmy to — przerwał Ryszard. — Potrzebuje pan pomocy. O co chodzi?

— Fabian — wyjąkał Narzymski i nie mógł mówić dalej, tak trzęsła mu się broda i cały dygotał.

Ryszard nie ponaglał, nie wymagał zwierzeń, czekał.

— Szantażuje mnie — wyrzucił wreszcie przybysz. — Boję się go. To straszny człowiek. Straszny! — powtórzył głośniejszym głosem.

Znowu zapadło milczenie.

— Nie byłem z gruntu zły, tylko zdemoralizowany i zepsuty. — Narzymski oparł łokcie na stoliku. — Młody, bogaty, pragnąłem jedynie uciech i zabawy. Myślałem, że pieniądze nigdy się nie wyczerpią. Byłem przeciwieństwem mojego brata — wstrząsnął się. — I tę moją słabość charakteru wykorzystał ten... ten szatan. Nie mogę nazwać go inaczej. Niech będzie przeklęty dzień, w którym zjawił się przede mną, proponując swoje usługi. Właśnie potrzebowałem lokaja. Wziąłem go. Nie od razu odsłonił prawdziwe oblicze. Z początku udawał skromnisia, zajęty był wyłącznie służbą, bez zarzutu wykonywał swoje obowiązki. Za to jemu wystarczyło paru dni, żeby mnie rozgryźć. Nie było to zresztą trudne. Wcale nie kryłem się z moimi upodobaniami do hulaszczego życia. Grałem. Traciłem wielkie sumy. A on to wszystko widział, pilnie mnie obserwował. Potrafił wykorzystać moje złe skłonności. Opanował mnie zupełnie. Doszło do tego, że to on mną kierował, udzielał mi rad, napominał, wobec innych przybierając maskę oddanego sługi. Mój brat poznał się na nim od razu. Ostrzegł mnie. Niestety, nie posłuchałem go. Wstydiłem się moich słabostek, ukrywałem przed bratem niechlubne postęпки i nie przynoszące zaszczytu znajomości. Obawiałem się utracić jego przywiązanie... Był jedynym człowiekiem... — przerwał nagle i ukrył twarz w dłoniach, a po chwili powiedział prawie szeptem: — To Fabian go zabił, Fabian, a ja... Jestem winien jego śmierci, śmierci mojego brata... Ja, tylko ja! — tak nisko pochylił głowę, że twarzą prawie dotykał stołu.

Dziwnie jakoś zrobiło się w przytulnym dotąd saloniku. Ogień na kominku

182

jak gdyby przygasł, lampa nie dawała już tak jasnego światła, a cisza, dotychczas miękka i kojąca, nabrzmiała nagle grozą.

Narzymski siedział nieporuszony, przygnieciony zbrodnią, która, pierwszy raz wyjawiona głośno, zdawała się ciężarem zbyt wielkim na jego barki.

- Panie Ryszardzie — podniósł udręczoną twarz. — Co robić? Niech mnie pan nie odpycha.

— Nie odpycham pana, a co robić? Jedną jest tylko odpowiedź: zadośćuczynić, jeśli to jeszcze możliwe, i... odpokutować.

— Odpokutować?

- Tak.

— Nie rozumiem.

— W tej chwili jest w panu lęk, boi się pan więzienia, procesu, skazującego wyroku, bo inny być nie może, no i skandalu. Ale co na to wszystko mówi pańskie sumienie? Bo to chyba jest najważniejsze.

— Moje sumienie?... — W głosie gościa zabrzmiała gorycz. — Czy sądzi pan, że gdybym miał wówczas sumienie, byłbym dał Fabianowi carte blanche?

— Więc sumienie wówczas milczało. Ale dziś? Jak jest dzisiaj?

— Dziś?... Narzyski objął głowę rękami. — Dziś wszystko jest inaczej. Patrzę na siebie z przerażeniem i zapytuję, jak to było możliwe. Jak doszło do tego, że ja... Boże! Boże! — zamilkł, a po chwili postawił bolesne pytanie: — Czy to właśnie jest sumienie?

— Tak — odparł Ryszard — to jest sumienie.

Tym razem milczenie trwało dłużej. Ryszard nie patrzył na gościa, który skulił się w fotelu, a dygoczące plecy wskazywały, że płacze.

— Panie Ryszardzie — zaszemrał wreszcie głos nieszczęśnika. — Zrobię wszystko, co pan powie.

— Dobrze. — Ryszard wstał. — A teraz pojedziemy do rotmistrza Brackiego. U mnie zbyt ciasno, a tam jest duży dom. Na początek musi pan uspokoić się i wypocząć. A potem zastanowimy się:

— Do rotmistrza Brackiego? — Narzyski wydawał się przestraszony.

— Niech się pan nie obawia, to człowiek honoru. On nam pomoże załatwić, co trzeba. A co z Fabianem?

— Obcięto mu nogę — Narzyski spuścił głowę. — Doktor Greniet powiedział mi, że nic go już nie uratuje. Gangrena posuwa się, amputacja tylko nieco przedłuży mu życie.

— Gdzie on jest?

183

— W klinice doktora Grenieta w Auteuil. To ten sławny chirurg... -A potem dodał ciszej: — Fabian wysłał list do prokuratora Republiki.

— - I co?

— To jeden z moich przyjaciół. Odwiedził mnie natychmiast. Chciał wiedzieć, co to wszystko znaczy. Co mu pan powiedział?

— Że Fabian jest bardzo chory, że obcięto mu nogę, że z rozpaczony postradał rozum... Cóż miałem mówić innego?

— Uwierzył panu?

— Chyba tak. W każdym razie nie był dotąd u Fabiana w klinice. Fabian napisał ten list dużo wcześniej, jeszcze w Rueil. Teraz nie mógłby tego zrobić. Czekał na odpowiednią chwilę. Gdy mu oznajmiono konieczność amputacji i stracił nadzieję na ratunek, wykonał groźbę.

— Co jeszcze mówił prokurator?

— Pytał, czy nie naraziłem się czymś mojemu lokajowi, który z zemsty wymyślił całą tę nieprawdopodobną historię. Uchwyciłem się jego sugestii i przytaknąłem skwapliwie.

— A czy doktor Greniet nie pytał, w jakich okolicznościach Fabian został postrzelony?

— Owszem, pytał. Powiedziałem, że to wypadek przy czyszczeniu broni. Tak zresztą od początku umówiłem się z Fabianem.

— I Fabian podtrzymał to kłamstwo?

— Tak.

— Co dokładnie napisał prokuratorowi? Czytał pan jego list?

— Czytałem. Napisał, że to ja kazałem mu otruć mojego brata. Rozumie pan? Brat zginął otruty... Otruty przez tego... A ja milczałem zamiast od razu oddać Fabiana w ręce policji i tym samym stałem się jego współnikiem. — Znowu skulił się i objął głowę rękami. — Jak ja będę teraz żyć z tym ciężarem?! — wybuchnął nagle. — Jak ja będę żyć? Zaiste jestem przeklęty. Przeklęty! — krzyknął.

Ryszard zadzwonił.

— Miguelu — powiedział do wchodzącego Hiszpana — sprowadź dorożkę. Pojedziesz ze mną. Trzeba odwiedzić tego człowieka — wskazał Narzyskie-go — na bulwar Montparnasse.

184

— Nigdy więcej nie rozstanę się z tobą! — Mela przytuliła się do ramienia Róży. - - Nie masz pojęcia, jak smutne Boże Narodzenie spędziłam w Camden Place!

— Przesadzasz — zgromiła ją łagodnie Róża. — Jestem pewna, że było całkiem przyjemnie.

- Może i przyjemnie — zgodziła się niechętnie Mela. — Ale to nie były nasze święta, polskie. Ani wigillii, ani oplatka. Tyle smutnych świąt miałam już w życiu, że teraz chcę je zawsze spędzać w domu.

Szły Polami Elizejskimi w stronę Łuku Triumfalnego. Było wczesne popołudnie, w powietrzu pachniało nadchodzącą wiosną.

— Nie miej żalu do Ryszarda, że po ciebie nie przyjechał — westchnęła Róża. - Pogoda była straszna, morze wyjątkowo burzliwe. Wstrzymano nawet żeglugę na Kanale. Nie mogliśmy narażać ciebie na niebezpieczeństwo. Zresztą, jak pisałaś, nie straciłaś czasu nadaremnie.

— O, nie - - zawołała żywo Mela. — Bez przerwy pracowałam z panem Filonem. Jakież to nadzwyczajny człowiek! Wszystko wie! A taki skromny i serdeczny. Dzięki niemu nauczyłam się bardzo wiele, aż sama sobie dziwiłam się, ile ważnych wiadomości weszło do mojej pustej głowy. Pan Filon zrobił mi na koniec egzamin, pisemny i ustny. Lu był w komisji — zaśmiała się na wspomnienie „groźnej” miny księcia. — Najlepiej wypadłam z historii i z francuskiej literatury. Nie będę się już wstydzić w mądrym towarzystwie, potrafię prowadzić rozmowę na interesujące tematy. Ach, jak się cieszę, że jestem znowu w Paryżu — rozejrzała się po nagich jeszcze gałęziach drzew. — Mam nadzieję, że jestem tu na stałe. Ledwie mogę uwierzyć! Nareszcie w domu!

— W domu, dziecinko, w domu — przytaknęła Róża. — Pozostaniesz z nami, jak długo zechcesz, to znaczy, póki nie wyjdiesz za mąż.

— Za mąż? — zdziwiła się Mela, a ciemny rumieniec opłynął jej policzki. - Nie wiem, czy w ogóle wyjdę za mąż.

— Skąd takie myśli? — Róża spojrzała z ukosa na uczeponą jej ramienia dziewczynę.

— Nie ma drugiego wuja Ryszarda — wyznała chytrze Mela, nie odpowiadając bezpośrednio na pytanie.

— O tak - - podchwyciła skwapliwie Róża. — Trudno chyba znaleźć równie fascynującego mężczyznę jak Ryszard.

— - Twój Ryszard — uśmiechnęła się Mela. — Doprawdy masz szczęście.

185

— Mam — Róża poczuła, że rozpiera ją duma. Rzeczywiście była wyjątkowo bogata i szczęśliwa, posiadając „na własność” takiego człowieka.

Mela westchnęła i spojrzała na czysty błękit przedwiosennego nieba.

— Nic się tu nie zmieniło — zauważyła z podziwem. — Wszystko jest jak dawniej. O, widzisz? — zawołała nagle. — Ten sam kataryniarz z małpką. Chodź, kupimy jej cukru.

— Rzeczywiście, wszystko jest jak dawniej — Róża popatrzyła na wyniosłe fasady pałaców. — A jednak kilka lat temu maszerowała tędy zwycięska niemiecka armia w takt wojskowego marsza Schuberta.

— Grałam tego marsza na cztery ręce z Miss Alicją — wspomniała Mela. — Kto mógł wówczas przypuszczać?

— - Tak, nikomu się nawet nie śniły pruskie pikielhauby pod napoleońskim Łukiem Triumfalnym. Na szczęście i to minęło.

— - Jak już będzie prawdziwa wiosna — Mela wskazała pączki na drzewach — pójdziemy do Ogrodu Botanicznego, dobrze? I znowu zwiedzimy Menażerię, jak niegdyś.

— Z przyjemnością. Do Menażerii zaczęto już sprowadzać nowe zwierzęta z egzotycznych krajów. Poprzednie zostały zjedzone podczas oblężenia. Pamiętam, jak Anto chwalił się, że spróbował kotleta ze słonia. Ja, niestety, nie mogłam przełknąć nawet końskiego mięsa. Owej strasznej zimy, gdy brakło opału do ogrzewania ciepłarni, wyginęły też rośliny tropikalne. Nieraz w tym chłdzie myślałam o biednych zwierzętach z Menażerii. Żyły przecież w ciepłych krajach, przywykłe do słońca i do opału. Dla nich pewnie lepiej, że je zabito.

— Nam z mamusią było dobrze na Południu — szepnęła Mela. — Gdybym jednak wiedziała, co się stanie...

— Cicho, dziecko, cicho. Nie trzeba przypominać.

— Nie mówiłam o tym, bo nawet sama myśl sprawiała ból tak straszny... — Mela przystanęła. — Ale teraz, gdy znowu jestem szczęśliwa... Wiesz, zastanawiam się czasem, jak do tego doszło. Wyjechałyśmy na spacer. Mamusia wybrała inną drogę, tę bezpieczniejszą, ale woźnica nie posłuchał. Jechaliśmy nad samą przepaścią, w dole migotało morze. Wychyliłam się z powozu i wtedy właśnie zobaczyłam, jak oderwało się przednie prawe koło i spadło do morza. Dzisiaj wiem, że to nie był przypadek. Nie zdążyłam nawet krzyknąć, a już lecieliśmy w dół. Słyszałam tylko rozpaczliwe rzenie koni i wrzask woźnicy. Wstrząs, wywołany uderzeniem spadającego powozu

186

O skały, widocznie wyrzucił mnie daleko w morze. To mnie chyba uratowało. Musiałam stracić przytomność, ale ocuciła mnie woda. Na szczęście doskonale pływam. Długo chodziłam po brzegu, kilkakrotnie rzucałam się do morza. Szukałam mamusi, wołałam. Nie było śladu ani powozu, ani koni. Płakałam i krzyczałam. A potem szłam coraz dalej i dalej, aż upadłam na piasek. Tak mnie znaleźli jacyś ludzie. Dobrzy ludzie, Anglicy. Byłam tak przerażona, że długo nie mogłam wydobyć głosu. A potem zrozumiałam, że mamusi już nie ma, i że ja...

— Musisz o tym zapomnieć.

— Nigdy mu nie daruję, nigdy! — Mela w bezsilnej złości ścisnęła ramię Róży.

— Nie trzeba tak mówić, Melu, w tej akurat sprawie on nie był winien. To Fabian... Samowolnie podjął tę straszną decyzję. Twój stryj przechorował tę tragedię, gdy się dowiedział... Ryszard widział go... Z pewnością był wtedy szczery.

— Nie nazywaj go moim stryjem. To potwór!

— Jest bratem twojego ojca i nic na to nie poradzisz. Nosi twoje nazwisko.

— Cóż z tego? Powinien pójść do więzienia. A co zrobił z mamusią po śmierci ojca? Nienawidzę go.

— Pamiętaj, że był we władzy Fabiana. Już wówczas lokaj szantażował go, wręcz groził. Popułnił przecież morderstwo i pragnął zrzucić winę na swojego pana. Ponadto stale żądał pieniędzy. Wacław Narzymiski to tylko słaby człowiek, o złych skłonnościach, wosk w rękę takiego szatana jak Fabian.

— Teraz go bronisz... Przedtem mówiłaś inaczej.

— Bo przedtem było inaczej. Twój stryj zmienił się, to już nie ten człowiek. Ryszard powiada...

— Wuj Ryszarda też przekabacił.

— Fe, Melu, jak możesz tak mówić? — rozgniewała się Róża. — Ryszard współczuje mu, współczuje, bo wie, jak te straszne zbrodnie ciążyą na jego sumieniu. A on musi z tym żyć. I jest chory, bardzo chory. Czy zdajesz sobie sprawę, co czuje taki człowiek, gdy w nim przemówi sumienie? Ani na chwilę nie może zapomnieć, zaznać minuty wytchnienia. Spokój opuścił go na zawsze. Ani spać, ani jeść... Życie utraciło wszelkie powaby, jest już tylko udręką. O, wierz mi, nie ma gorszego piekła niż wyrzuty sumienia.

— Dobrze mu tak — powiedziała Mela mściwie. — Wcale go nie żałuję

1 gdyby ode mnie zależało...

187

— Melu, Melu, nie poznaję ciebie! Co te lata zrobiły z twoim dobrym sercem?

— Gdybyś przeżyła to co ja...

— Wiem, wiem — przytaknęła z żywością Róża. — Jesteś bohaterką. Ale nie zapominaj, że ja też utraciłam ojca w tragicznych okolicznościach. Zginął w zamachu na Napoleona Trzeciego. Był niewinną ofiarą morderców, którzy z zimną krwią, żeby osiągnąć cesarza, poświęcili życie wielu osób. Po jego śmierci mama nie uśmiechnęła się ani razu. Wkrótce umarła.

— Wybacz, Różyczko, nie chciałam cię dotknąć, ale naprawdę nigdy nie zapomnę, jaką krzywdę wyrządził nam ten człowiek. I dlatego nie mogę mu przebaczyć.

Szły chwilę w milczeniu. Przed nimi na jasnym niebie czerniała masywna sylweta napoleońskiego Łuku.

— Dokąd teraz pójdziemy? — Róża zerknęła ukradkiem na zarumieniony policzek Meli.

Dziewczyna miała zaciśnięte usta, spuszczone oczy nie patrzyły na uroki Paryża.

— - W aleję Cesarzowej — oświadczyła po krótkim wahaniu. — Zgadzasz się?

— Po co tam iść? — zaprotestowała Róża.

— - Muszę. Zrób to dla mnie, Różyczko, chcę po raz ostatni...

— Zupełnie niepotrzebnie. To teraz straszne miejsce.

— Byłam tam szczęśliwa.

— Wiem, i dlatego nie radzę.

— Proszę cię, po raz ostatni.

— Jeżeli chcesz koniecznie...

— Tak, koniecznie, po prostu muszę. Ciągnie mnie tam od powrotu do Paryża. Przedtem była zima, ale teraz...

Aleja Cesarzowej świeciła pustką, a gdy stanęły przed sztachetami oddzielającymi biały pałacyk od ulicy, z bramy jednego z dala stojących domów wyszedł pies — musiał być stary — i powoli posuwał się chodnikiem — widać był to jego codzienny spacer.

— Jaka ruina! — Mela uchwyciła się żelaznych prętów ogrodzenia. — Nie przypuszczałam, że aż tak... Mój Boże! — łzy powoli spływały po przybladłych policzkach.

— Niestety — pokiwała głową Róża — czas robi swoje.

188

— Więc to tu zginął Paweł Labourdet? — Mela głęboko wciągnęła powietrze.

— Tu zastrzelił go Ryszard, na tej ścieżce z lewej strony domu. -* Obaj wspólnicy nie żyją — wzdrygnęła się Mela. — Tylko on...

— Fabian miał straszną śmierć, jak opowiadał Ryszardowi lekarz szpitalny. Dwa razy musiano dokonywać amputacji. Gangrena posuwała się coraz wyżej. Gnił za życia, a w tych okrutnych cierpieniach podtrzymywała go jedynie nienawiść. Umarł, jak żył. Ostatnie jego słowa były bluźnierstwem.

— Chodźmy — Mela wyjęła chusteczkę i wytarła zalaną łzami twarz. Przystanąły przed głównym wejściem. Dziewczyna długo wpatrywała się w odrapane teraz, zabite na głucho drzwi pałacyku.

— To mój dom — powiedziała wreszcie głośno. — Mój dom — powtórzyła z naciskiem. — Chcę tu mieszkać!

— Melu — Róża objęła ją zaniepokojona tym wybuchem, ale Mela lekko wyswobodziła się z jej ramion.

— Zamieszkamy tu wszyscy razem — oznajmiła stanowczo. — Zobaczysz, jak nam będzie dobrze.

— Przecież to ruina — jęknęła Róża. — Czy wiesz, ile trzeba pieniędzy, żeby to wyremontować?

— Będę miała pieniądze — powiedziała Mela z przekonaniem. — Chodźmy prędzej zobaczyć, co ocalało z tego zniszczenia.

Okrzyły dom. Drzwi do kuchennej sieni były szeroko otwarte.

— Boję się — szepnęła Róża, chwytając Melę za rękę. — Tu każdy może wejść. A nuż znowu kryje się tam jakiś złoczyńca?

— Zapominasz, że to mój dom — powtórzyła z uporem Mela. — W moim domu nie spotka nas nic złego.

— Przyjdziemy tu jutro z Ryszardem lub z Miguelem — poradziła Róża. — A teraz wracajmy.

— O nie — Mela zdecydowanie przestąpiła próg i weszła do kuchennej sieni. — Jestem tu u siebie.

Róży nie pozostało nic innego, jak pójść za nią.

Kuchnia i pokój kredensowy przedstawiały o wiele większe zniszczenie niż podczas ostatniej wizyty Róży.

Mela szła pewnie, jak prawdziwa pani tego domu. Zatrzymała się dopiero w głównym westybulu.

189

— Zacznijmy od góry — powiedziała — a potem obejdziemy cały dom, wszystkie pokoje. Muszę zobaczyć, zbadać każdy kąt — i skierowała się ku schodom.

— Nie mów tak głośno — szepnęła przerażona Róża. — Wciąż mi się wydaje, że tu ktoś jest.

— Tu nie ma nikogo, tylko my — uspokoiła ją Mela. — Chodź śmiało, to przecież mój dom. Schody są na szczęście nietknięte i znowu przykryje się je czerwonym chodnikiem. Jak dawniej.

Podest pierwszego piętra tonął w mroku. Mela szeroko otworzyła jedno z bocznych drzwi. Dalej w obu ramionach korytarza było prawie ciemno.

— To mój gabinecik — oznajmiła i zamilkła na widok dokonanej w tym miejscu dewastacji.

— Tu wisiał talerz — wskazała ścianę. — Mój Boże, kto to wszystko zrobił i dlaczego?

Potem otwierała pozostałe drzwi po kolei. Za każdymi czekało ją to samo straszne wrażenie.

— Najazd barbarzyńców — westchnęła wreszcie, zaciskając ręce. — Nic się tu nie da uratować. Nie ma nic całego. Wszystko połamane i rozbite. Nawet fotel mamusi — przyklekła przy sterczących z kłębowiska szmat, drewna i włosia sprężynach. Kawałki seledynowego adamaszku w girlandy różyczek wskazywały, że było to niegdyś pokrycie stylowego fotela.

— Nie ma nic, nic — powtarzała, brodząc wśród odłamków mebli i wydartych z okładek książek.

Przez cały ten czas Róża przeżywała męki przerażenia. Z dołu dochodziły ją jakieś niepokojące szmery i szelesty. Nasłuchiwała z bijącym mocno sercem kroków niewidzialnego wroga, skradającego się schodami. Ale nikt nie nadchodził. W opuszczonym domu były chyba jedynymi żywymi istotami.

Mela zamknęła żaluzje, które przedtem uchylała, by wpuścić do pokoju nieco światła. Na dworze był jeszcze jasny dzień.

— Nie pójdziemy teraz na drugie piętro — oznajmiła ku wielkiej uldze Róży. — Były tam pokoje dla służby. — Przypuszczalnie są tak samo zdewastowane.

Powoli schodziły na parter. Oswojone z mrokiem oczy wyraźnie dostrzegały stopnie, równie jak podłoga zasłane odłamkami rozbitej porcelany i papierem.

Mela skierowała się prosto do drzwi jadalni.

Na wielkim stole stały brudne talerze z resztkami jedzenia, kilka szklanek i odkorkowana, zaledwie napoczęta butelka czerwonego wina.

190

W ciężkim powietrzu czuć jeszcze było zapach marnego tytoniu. W kącie piętrzyło się legowisko nieporządnie zasłane długo widać używaną pościelą.

Mela gwałtownym ruchem zmiotła na podłogę brudne szmaty. Pod nimi ukazał się kosztowny wschodni dywan, którym kiedyś pokryto otomanę.

— Patrz - zawołała z radosnym zdziwieniem. — Wszystko tu ocalało. Stół i krzesła, i ta otomana. Już widzę, jaką wspaniałą urządzimy jadalnię. Będziemy przyjmować gości, wydawać prośzone obiady. Zobaczysz. A za tymi drzwiami jest żółty salonik — dodała i nacisnęła pięknie cyzelowaną klamkę wysokich, dwuskrzydłowych drzwi.

Żółty salonik — niestety — nie uchwalił się przed wandalami, choć ocalało kilka sztuk stylowych mebli. Z rozbitego lustra nad marmurowym kominkiem sterczały niebezpiecznie długie ostre drzazgi, reszta szklanej tafli zaścierała podłogę.

- Tapicer odnowi meble, zmieni obicia — mówiła z ożywieniem Mela. — Braki uzupełni urządzenie domu z ulicy Catinat, a co jeszcze będzie potrzeba, dokupimy. Ciekawam dużego salonu — dodała. — Wiesz, było to miejsce, które mnie w dzieciństwie fascynowało. Wielki, tajemniczy salon, na meblach białe pokrowce, zdejmowano je, gdy rodzice przyjmowali gości. Do codziennego użytku oprócz żółtego saloniku był jeszcze mały salon. Zaraz tam pójdziemy.

Przez mały salon przeszło chyba trzęsienie ziemi. Ogołocono go ze wszystkiego, co można było wynieść. Większe meble zniszczono.

— - Szukano ukrytych pieniędzy — zauważyła Róża, wskazując porozpruwane i podziurawione siedzenia i oparcia foteli i kanapek. — To przypuszczalnie Prusacy. Mówiono, że buszowali po opuszczonych domach w poszukiwaniu kosztowności.

Przed drzwiami dużego salonu Melę opuściły nagle podtrzymujące ją dotąd energia i odwaga. Wydawało się, że nie ma siły poruszyć klamką, słabo połyskującą w półmroku westybulu.

— Jeżeli wszystko jest tam równie zniszczone — wyszeptwała — chyba serce pęknie mi z żalu.

Ale duży salon — o dziwo — wyglądał zupełnie zwyczajnie, ominęła go jakimś cudem wojenna zawierucha, co przewaliła się nad pałacym Narzymskich. Nie był jednak pusty. Wciśnięty w róg kanapki przed gerydonem, na którym stał ciężki świecznik z wypalonymi prawie do końca świecami, siedział jakiś człowiek.

191

Róża krzyknęła i uciekła do westybulu, Mela stała w progu jak przyrośnięta.

— Kim pan jest i co pan robi w moim domu? — spytała wreszcie zdławionym przez lęk głosem.

Człowiek nie poruszył się, nie podniósł nawet głowy. Po prostu siedział nieruchomo, jak gdyby nie słyszał pytania.

— Uciekajmy — Róża pociągnęła Melę za rękę.

— Nie, trzeba się dowiedzieć...

— Czego chcesz się dowiedzieć?

— Kto to taki i po co tu przyszedł. Chyba śpi — dodała zniżając głos. — Wcale się nie rusza.

Stały w progu niezdecydowane, nie wiedząc co począć, w końcu Mela, obchodząc z daleka nieznanego, podeszła na palcach do okna i odsunęła zasłonę. Człowiek nie drgnął. Siedział z opuszczoną głową, z rękami na kolanach, pogrążony jak gdyby w głębokim śnie.

Przed nim na gerydonie oparta o świecznik białała koperta.

— Tam jest jakiś list — Róża wskazała stolik.

Mela zdobyła się na odwagę i podeszła do siedzącego. Gdy oczy jej padły na adres wypisany na kopercie, nie zdołała powstrzymać się od okrzyku.

— Patrz, Rózo, to do mnie! List do mnie!

Na białej kopercie czerniały duże proste litery: „Do mojej bratanicy Melanii Narzymskiej, ulica Catinat...”

W jednej chwili z Róży opadł lęk. Podeszła do siedzącego nieruchomo człowieka, pochyliła się i zajrzała w szeroko otwarte oczy, w okoloną zarostem wymizerowaną twarz Wacława Narzymskiego.

W prawej skroni, w otoku zakrzepłej krwi, czerniał niewielki otwór. Czerwona strużka zaschła na policzku. Koło nóg siedzącego leżał rewolwer.

— To twój stryj — powiedziała spokojnie. — Chyba nie żyje. Zastrzelił się.

— Nie żyje? I zostawił do mnie list?

— Tak, list do ciebie. Sam skazał się na śmierć i przyszedł wykonać wyrok w domu brata. Niczego mu już nie potrzeba. Pragnie jednej tylko rzeczy.

— Czego?

— Twojego przebaczenia.

Mela ostrożnie ujęła białą kopertę. Co miał jej do powiedzenia ten, który ich zniszczył, spowodował przedwczesną śmierć jej rodziców, a ją pozbawił szczęśliwego dzieciństwa? A oto teraz umarł, a więc wymknął się ziemskiej

192

sprawiedliwości, karze, która słusznie mu się należała. Tyle zła przez niego, tyle wylanych łez! Czy mogła przebaczyć? Zapomnieć? Nie, po stokroć nie! - On czeka — przypomniała Róza. — Stoi przed trybunałem boskim i czeka na twoje przebaczenie. Spójrz na niego.

— Nie, nie! — krzyknęła Mela. — Nie chcę patrzeć! Nie mogę! — I wybiegła z salonu.

IX

— Dobra szpada, tolekańska stal — Ryszard ujął misternie cyzelowaną rękojeść broni, którą Tristan Lambert przywiózł właśnie z Anglii, prezent od Lu, na promocję Anta w Saint-Cyr. — „Polskiemu przyjacielowi” — odczytał głośno wygrawerowany napis, a odwróciwszy klingę dodał: — „Zawsze razem”. To piękne.

— Drogi, kochany Lu — Anto na próżno usiłował ukryć wzruszenie. — Napisał taki smutny list... Tristan mówi, że bardzo przeżył śmierć doktora Conneau.

— Wielki to cios dla młodego Ludwika.

— O tak, ale i dla Lu... Znał go przecież od urodzenia. Doktor był domowym lekarzem jeszcze królowej Hortensji, zanim cesarz przydzielił go do swojej osoby. Zaprzyjaźnili się, doktor i „pretendent”. Odtąd nigdy się nie rozstawali. Doktor dzielił z Napoleonem III więzienie w zamku Ham. Lu to wszystko wspomina w liście, pisze, że był to jedyny przyjaciel, na którego cesarz mógł absolutnie liczyć. Absolutnie, specjalnie to podkreśla. Przy tym doskonały specjalista, członek Akademii Medycyny, senator, a teraz nie żyje.

— Umarł, jak słyszałem, na Korsyce — zauważył Ryszard.

— Tak. Ludwik już tam pojechał. Biedny Ludwik. Tak kochał ojca. Ale i Lu... Chciałbym być teraz przy nim.

— Dlaczego nie jedziesz do Anglii? Masz przecież miesiąc wakacji. A czy już coś postanowiłeś?

— O tak, i pragnę usłyszeć twoje zdanie. Widzisz, wydaje mi się, że za mało umiem. W Woolwich studiowałem artylerię i liznąłem nieco inżynierii wojskowej. W Saint-Cyr pogłębiłem te wiadomości, zapoznając się jednocześnie z wymogami francuskiej sztuki wojennej. Po klęsce 1870 roku Francja reorganizuje armię, powiększa swoje siły zbrojne, ulepsza arsenały. I wiesz, do

194

jakiego doszedłem wniosku? Oto teraz w wojsku szczególnie potrzebna jest inżynieria. Zamierzam pójść w tym kierunku. Co o tym sądzisz?

— Bardzo słuszna decyzja. Uważam, że masz całkowitą rację. Doskonaląc się w tej dziedzinie, zyskujesz umiejętność cenną zarówno w czasie wojny, jak i pokoju, a nawet bardziej jeszcze w czasie pokoju. O ile pamiętam, przed paru laty otwarto specjalną szkołę inżynierii wojskowej w Fontainebleau.

— Tak, w tym samym budynku, gdzie mieściła się niegdyś obecna szkoła wojenna z Saint-Cyr. To Napoleon, gdy był jeszcze pierwszym konsulem, przeniósł ją z Fontainebleau w 1803 roku.

— No a teraz z powrotem w Fontainebleau otwarto szkołę w sam raz dla ciebie.

- Ogromnie się cieszę, choć to nieco dalej od Paryża. Myślę, że wiele skorzystam, uzupełniając tam moje wojskowe wykształcenie. Wszystko to-naturalnie z myślą o wolnej Ojczyźnie. Przecież kiedyś doczekamy

się... Tacy jak ja będą wówczas potrzebni. Zaborcy utrzymują kraj w zacofaniu, nie pozwalają na jego rozwój, gdy więc wywalczymy wreszcie niepodległość...

— Bardzo to chwalebny zamiar, Anto.

— Nie wiem, czy taki chwalebny. W każdym razie wspomniałeś, że gdy Polska powstanie, wrócimy tam wszyscy. Pamiętam też to, co mówił Dzia-duś.

— - A co mówił?

— - Mówił, że możemy zastać zgliszcza i ruiny. Nie wiedział, co się stało z jego rodzinnym domem na wsi. Może powstania zmiotły go z powierzchni ziemi? Ty też masz tam dom twoich przodków. I pan Hutorowicz... Trzej przyjaciele z lat dziecińczych... Właściwie było ich czterech, bo i Damian Dobrocki... Słuchaj, czy wiesz, co się z nim stało?

- Wiem. - Ryszard nie objawiał chęci rozwijania tego tematu. — Nie żyje.

— Czy... umarł własną śmiercią?

— Ludzie pokroju Damiana Dobrockiego rzadko umierają śmiercią naturalną.

— Ryszardzie — Anto spojrzał badawczo w błyszczące „hiszpańskie” oczy szwagra. — Chciałbym wiedzieć...

— Po co ci to?

— Ze względu na Melę.

— Mela nic nie wie o Damianie.

— Ale to przecież dziadek jej matki.

195

--- Cóż z tego? Nigdy go nie widziała. Damian Dobrocki nie utrzymywał stosunków z wnuczką.

- Dlaczego?

- On i ojciec Meli stali na przeciwnych biegunach. Narzymski był patriotą, a Damian... Wróćmy jednak do twoich spraw, to o wiele ważniejsze. Ryszard uśmiechnął się i poklepał Anta po ramieniu. Wiesz, kto najbardziej ucieszy się z twojego projektu?

~r KtO?

- Róża.

— Róża...

— Tak. Zamartwia się już zawczasu, że pošłą cię do jakiegoś garnizonu na drugim końcu Francji. Naturalnie, jako inżynier wojskowy będziesz wykorzystany przy budowie dróg, mostów i fortyfikacji i może pojedziesz znacznie dalej niż najdalszy kąt Francji. Taki Lesseps przekopał Kanał Sueski, a teraz, jak słyszę, zamyśla o podobnej imprezie w Panamie. Zobacysz, otworzą się przed tobą nieprzewidziane możliwości. Tymczasem jednak odpoczywaj przez lato.

— Przedtem pojadę do Chislehurst. Lu znowu wybiera się do Szwajcarii, do zamku Arenenberg, mówi, że tam odnajduje młodość ojca. Chcę go zobaczyć, zanim wyjedzie.

Projekt Anta został entuzjastycznie przyjęty przez Różę i Zelię, Mela nawet, ostatnio nieco chmurna, uznała, że to znakomity pomysł.

— Niedziele będziesz spędzać w domu, jak dotąd — zdecydowała. Podczas obiadu Ryszard wniósł toast za spełnienie życzeń podporucznika

Antoniego Ordęgi, a chwilowo przyszłego elewa Wojskowej Szkoły Inżynierskiej w Fontainebleau.

— Może poszlibyśmy na spacer? — zaproponował Anto, zbliżając się do Meli, która wstała od stołu i teraz poprawiała kwiaty wazonie na kominku.

— Chętnie, włożę tylko kapelusz.

Ocienione słomkową budką oczy Meli miały nieodgadniony wyraz. Kremowa batystowa suknia z trzema wolantami u dołu spódnicy z powiewnym wdziękiem opływała zręczną postać dziewczyny. Rozpięta nad nią żółta jedwabna parasolka chwiała się niczym wielki kwiat na wiotkiej łodydze.

— Jestem zbyt mała — podniosła wzrok na idącego obok Anta. — Sięgam ci równo do ramienia. A może to ty zbyt wybujałeś?

Tak być powinno — odparł z przekonaniem chłopiec, dla którego

196

wszystko było w Meli doskonałe. — Nie potrzebujesz być wyższa. I tak jesteś najpiękniejszą dziewczyną — dodał z zarem.

— Tak uważasz? — spytała kręcąc porcelanową rączką parasolki.

— Nie wierzysz mi?
— Wierzę, wierzę — odpowiedziała prędko. — Ale wierzę dlatego, że chcę, żeby tak było.
Tak jest — zapewnił gorąco. — Czyż potrzebuję ci to mówić?
— Nigdy nie mówisz mi nic miłego — wydeła usta.
— Melu!
— Porucznik Slade czy Woodhouse, a nawet i Ludwik Conneau są zupełnie inni.
— Milsi ode mnie, tak? To chciałaś powiedzieć.
— Owszem, milsi od ciebie. Ja lubię słuchać przyjemnych słów. Inaczej wydaje mi się, że nic nie jestem warta.
— Czyż o wartości człowieka decyduje liczba pięknych słówek, które słyszy? — oburzył się.
— Nie tylko, ale niekiedy...
Okrążyli Ogród Palais-Royal i skręcili na plac Komedii Francuskiej. Przed teatrem grupka ludzi czytała afisz z programem przedstawień.
— Dokąd pójdziemy? — Anto zająknął pod żółtą parasolkę.
— Do naszego dawnego domu — ożywiła się. — Tam było nam dobrze — westchnęła.
— Bardzo dobrze — przytaknął — ale i teraz...
— Teraz jest inaczej — przerwała.
— Inaczej — zgodził się. — My też jesteśmy inni. Wyrośliśmy.
— Szkoda — szepnęła. — Wielka szkoda.
— Dlaczego? Tak jest o wiele lepiej. Wcale nie chcę, abyśmy znowu byli dziećmi.
— Nie chcesz? — uchyliła parasolkę i spojrzała uważnie na towarzysza spaceru.
— Nie — rzucił lekko poirytowany. — W ogóle nie rozumiem...
— Tak — przyznała. — Widzę, że mało co rozumiesz.
— Melu — zaczął prosząco.
— Czy to nie dziwne? — powiedziała ze smutkiem. — Dawniej nigdy nie kłóciliśmy się, a dzisiaj...
— Czy to moja wina?

197

— Nie — przyznała szczerze. — Chyba moja. — Wsunęła mu rękę pod ramię. — Czy lubisz mnie tak samo jak dawniej? — Usiłowała nadać głosowi obojętne brzmienie.
— Nie pytaj o to — powiedział ochryple. — Nigdy o to nie pytaj. Proszę cię... Poczowała, jak zeszytniało nagle ramię, na którym się opierała.
Stara kochana ulica Świętego Rocha była taka, jaka pozostała w ich pamięci. Rozłożysta fasada kościoła zachowała ślady bratobójczej walki z czasów rewolucji. Na stopniach siedzieli tacy sami żebracy, a stragan kwiaciarki przycupnął pod murem jak niegdyś.
Dom także mało się zmienił. Owszem, odmłodniał, właściciel bowiem wyremontował kamienicę po wojennych zniszczeniach.
Nowa konsjerżka wpuściła ich z uśmiechem, gdy Mela wymieniła nazwisko państwa Pommier.
— Chodźmy ich odwiedzić — odwróciła się do Anta, wstępując na tak dobrze znane schody. — Pani Pommier częstowała mnie zawsze pysznym plackiem.
W ich dawnym mieszkaniu żyli teraz inni ludzie. Anto powiódł palcami po deskach drzwi, poruszył klamką, która zachowała może dotyk ręki Dziadusia.
Pani Pommier przywitała ich z wylewną serdecznością. Opowiedziała o losach lokatorów domu, z których niewielu tylko pozostało na miejscu.
A potem znaleźli się znowu na rozpalonej ulicy.
— A teraz dokąd? — Anto pochylił się nad dziewczyną.
— Do mojego domu — odpowiedziała cicho. — Musimy wziąć fiakra, to zbyt daleko.
— Och, nie — zachnął się. — Nie trzeba tam chodzić. Taki piękny dzień, pojedźmy lepiej do Lasku.
— Nie, pojedziemy do mojego domu — powtórzyła z uporem. — Zobaczymy, jak teraz wygląda.
— Wiem, jak wygląda — mruknął wspominając owe wakacje spędzone na bezskutecznym poszukiwaniu talerza.
— Może się zmienił? — rzuciła zagadkowo, sadowiąc się w dorożce.

O tak, pałacyk w alei Cesarzowej zmienił się rzeczywiście. Był co prawda jak dawniej opuszczony i pusty, ale naprawiona brama i zamknięta furtka, a przede wszystkim biały pióropusz dymu stojący nad domkiem odzwiernego wskazywały na troskliwą rękę, usiłującą jako tako zaradzić zniszczeniu.

— Zadzwoń — rozkazała Mela.

Anto z niedowierzaniem pociągnął rączkę dzwonka. Jego dźwięk, nieco

198

schrypiły, równie zardzewiały jak rączka, wywołał z domku starszego mężczyznę, który utykając pospieszył do bramy.

— To Jakub Bonnot — wyjaśniła Mela — nasz dawny dozorca. Spotkaliśmy go tu z wujem Ryszardem któregoś dnia. Był bez pracy i nie miał gdzie mieszkać.

— Dzień dobry panience — Jakub Bonnot uśmiechał się szeroko do swojej młodej chlebodawczyni. — I pan porucznik...

— Chcę pokazać dom panu porucznikowi.

— Zaraz przyniosę klucze. Wszystko teraz pozamykane. Uprzątnąłem, co się dało — prowadził gości do kuchennego wejścia. — Tam gdzie było potrzeba, wstawiłem szyby, nie wdrze się tu już żaden włóczęga. Nowe drzwi lśniły świeżym drewnem, a nowe zamki skutecznie broniły domu przed intruzem. Z kuchni i z pokoju kredensowego znikły sterty śmieci i potłuczonej porcelany. Podłoga wszędzie była czysto zamieciona, nie nadające się do użytku meble usunięte. Dom przestał straszyć atmosferą niebezpieczeństwa i tajemnicy. Był już znowu zwykłym domem, oczekującym na prawowitych mieszkańców.

— Dziękuję, Jakubie — odprawiła dozorcę Mela. — Zabawimy tu niedługo. — I poszła prosto do dużego salonu.

W półmroku pokrowce na meblach białeły jak śmiertelne całuny. Szczelnie zasłonięte żaluzje, niczym nieprzenikniony mur, odcinały ten salon od zewnętrznego świata.

— Tu siedział — wskazała kanapkę. — Róża mówiła, że czeka na moje przebaczenie, a ja nie chciałam... uciekłam...

— Przecież mu wybaczyłaś — zauważył łagodnie.

— Wybaczyłam... ale dopiero potem, gdy przeczytałam list, który do mnie napisał. A on tu umarł... przyszedł, żeby tu umrzeć. Czy mnie teraz słyszysz? — podniosła głos. — Stryju Waclawie! Słyszysz mnie? Wybaczam ci wszystko, tak jak chcę, żeby kiedyś Bóg wybaczył i mnie moje winy.

— Ładnie to powiedziałaś, Melu. Ryszard mówił, że on bardzo cierpiał, żałował i że zastrzelił się, gdyż nie mógł unieść ciężaru zbrodni. No i teraz ty jesteś bogata.

— Wszyscy będziemy bogaci, gdy odnajdzie się ten bankier.

— Może się wcale nie odnajdzie i ja na zawsze pozostanę biedakiem. Nic przecież nie mam.

— Cóż z tego? Ja też mam niewiele. Tego, jak mówisz, „bogactwa" nie wystarczy nawet, żeby doprowadzić dom do dawnego stanu.

— To nic — westchnął. — I tak między nami jest przepaść.

199

— Jaka przepaść? O czym ty mówisz?

— Niestety o pieniądzech. Wiem, że to bardzo przykry temat. Czasem jednak należy poruszyć i najprzykryjsze tematy.

— Nie chcę poruszać żadnego przykrego tematu — nadąsała się. — Nie po to tu przyszliśmy, żeby mówić o pieniądzech.

— Nie po to — zgodził się. — Ale ja o tym stale myślę.

— Dlaczego, Anto? Dlaczego?

— Tak trzeba. W każdym razie dzięki twojemu stryjowi dowiedzieliśmy się nareszcie prawdy o naszych talerzach. Są one kluczem do skarbcza, a my, choć mamy ten klucz, nie wiemy, gdzie znajduje się skarbiec. Tak mniej więcej wygląda sytuacja.

— Stryj wyznał w liście, że po to poszukiwał mojego talerza. Miał nadzieję odnaleźć owego bankiera, a wówczas...

— Wówczas wszedłby w posiadanie należnych tobie pieniędzy.

— Nie mnie, Anto, nie mnie. Zapominasz, że talerz był własnością Zygmunta Żerana, a więc pieniądze należą do wuja Ryszarda.

— Po co dzielić skórę na niedźwiedziu, gdy niedźwiedź jeszcze żyje? Twój stryj i tak oddał nam wielką przysługę. Cóż jednak z tego, skoro i on nie potrafił rozwiązać zagadki? Nie trzeba się martwić. Przecież twój dziadek znał bankiera. To on razem z Zygmuntem Żeranem, dziadkiem wuja Ryszarda, złożyli u niego pieniądze i wymyślili całą tę historię z talerzami. Nie mamy się więc o co kłopotać.

— Róża na próżno szukała — odparł smutnie. — Znalazła różne zapiski Dziadusia, ale żadnej wzmianki o bankierze. Zresztą Dziaduś nie odebrał tych pieniędzy.

— Trzeba dalej szukać. Róża musi znaleźć taką notatkę. A ta notatka z pewnością istnieje.

— Skąd twój stryj dowiedział się o talerzach i o ich znaczeniu?

— Nie wiem, tego nie napisał. Pisał natomiast, że słyszał, jakoby dwóch posiadaczy jednakowych talerzy z Napoleonem, dwóch przyjaciół z dawnych lat, złożyło u jakiegoś paryskiego bankiera pewną sumę w depozyt, którą można podjąć jedynie za okazaniem jednego z talerzy. Stryj dodawał, że jeżeli bankier użył tych pieniędzy do zyskowych giełdowych operacji, to kwota ta dziś jest co najmniej dziesięciokrotnie wyższa. Nie znał, niestety, nazwiska bankiera. Pytał już niektórych, bardziej znanych w Paryżu bankierów. Nie wszyscy byli skłonni udzielać mu informacji, zasłaniaли się tajemnicą, którą przyrzekają swoim klientom. Stryj do niczego nie doszedł. Ale twój dziadek...

200

— Powiedziałem ci już, że Róża szukała.

— Jestem pewna, że odnajdziemy tego bankiera, tak jak niespodziewanie odnalazłam mój talerz. Przecież po to go odnalazłam, by posłużył nam za klucz do „skarbcy”.

— Może masz rację — uśmiechnął się bez przekonania. — Ja również szukałem talerza z silną wiarą, ale to ty go znalazłaś. Melu... — zawahał się...

Podniosła na niego oczy.

— Czy Slade'a i Woodhouse'a bardziej lubisz ode mnie? — głos mu drżał,

— Nie — powiedziała tak cicho, że raczej odgadł to słowo z ruchu jej warg.

— Nie mógłbym żyć, gdybyś... kogo innego... — urwał i gwałtownie podniósł się z fotela. — Chodźmy stąd

— dodał nieco spokojniej. — W tych murach jest coś... Zbyt wiele tu przeżyłem... niepokoju o ciebie... rozpaczy...

— Wiem, Anto — powiedziała miękko i podeszła do niego blisko. W mroku jej oczy lśniły jak dwa szafiry.

— Ja też... Przez te wszystkie lata... Stale myślałam o tobie... Zawsze... Nie wiedziałam tylko — dodała jakby z lekkim zakłopotaniem — że tak bardzo wyrosłaś...

— Herbatę podaj tutaj.

— Tak jest, Wasza Wysokość. — Lokaj wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

— A więc znowu jesteśmy razem. — Księżę obrócił ku przyjaciółom smutną twarz, zatrzymując spojrzenie na czarnej krepie opasującej ramię Ludwika Conneau. — Tak mi z wami dobrze... — dodał po chwili.

— Zawsze nam było dobrze razem — zauważył Anto.

Siedzieli jak dawniej w gabinecie księcia na pierwszym piętrze domu w Chislehurst.

Z okien widać było zielone trawniki, grabowy szpaler, a tuż, blisko, wysoką niegdyś wierzbę, teraz w połowie strzaskaną, którą zasadził jeszcze pan Strode, właściciel Camden Place. Będąc na Wyspie Świętej Heleny, pan Strode odciął jeden z pędów wierzby ocieniającej grób Napoleona i przywiózł sadzonkę do Anglii. Drzewo przyjęło się i wybujało wysokie i rozłożyste. Niestety, w dniu śmierci Napoleona III rozszczepiła je jakaś niewytłumaczalna siła. Ocalała połowa żyła, co roku pokrywała się listowiem i wyciągała wiotkie gałęzie w stronę okien księcia.

201

— Po takim ciosie dobrze jest znaleźć się wśród przyjaciół — powiedział cicho Ludwik Conneau. — My z tobą, Lu, prawie nigdy nie rozstawaliśmy się, jedynie podczas wojny, no i teraz...

— Wydaje mi się, że drugi raz utraciłem ojca — Lu posłał wzrok ku chwiejącej gałązkami wierzbie. — I tak samo jak wówczas, tak i teraz zjawiał się Anto.

— Pamiętam — skinął głową Ludwik. — Byłem wówczas na dole i natknąłem się na niego. Właśnie przyjechał.

— Wszyscy trzej urodziliśmy się w jednym roku, my z Anto nawet w tym samym dniu i miesiącu. Ja jednak jestem z nas najstarszy, pierwszy przyszedłem na ten świat i pierwszy chyba stąd odejdę.

— Lu!

— Czego się tak oburzacie? To byłoby całkiem sprawiedliwe. No, rozchmurzcie się, mam nadzieję na długi żywot. Gdy się urodziłeś, Ludwiku, na życzenie mojego ojca dano ci moje imiona. Od kolebki byliśmy sobie przeznaczeni na przyjaciół, a potem doszedł do nas Anto. To też przeznaczenie.

Drzwi uchyliły się bezszelestnie, lokaj wniósł tacę z zastawą /do herbaty. Krzątał się chwilę, nakrył okrągły stolik pod oknem, ustawił filiżanki, po czym znikł równie cicho, jak przyszedł.

— Choć nie ma ojca, mój dom zawsze będzie w Chislehurst — oznajmił nagle Ludwik. — Zawsze tu będę powracać, gdziekolwiek bym się znajdował.

— Cieszy mnie, że tak myślisz — książę spojrział serdecznie na przyjaciela. — Camden Place jest twoim domem. Przystanie nim być dopiero wówczas, gdy wrócę do Francji. Jeżeli wrócę — dokończy ciszej.

— Naturalnie, że wrócisz. — Anto poprawił się w fotelu. — Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

— Słusznie — książę potrząsnął głową. — Nawet jeśli mnie nie zechcą, to i tak wrócę. Armia francuska potrzebuje oficerów. I wiesz, Anto, bardzo mi się podoba twój projekt, owa szkoła w Fontainebleau. Co ty na to, Ludwiku?

— Też uważam, że to mądre posunięcie. Anto zawsze miał zdolności do matematyki, lepiej od nas umiał obchodzić się z różnymi przyrządami, posługiwać się odpowiednim narzędziem, znał się na maszynach. To urodzony inżynier.

— Wszyscy w jakimś stopniu będziemy służyć Francji — książę podsunął Ludwikowi cukiernicę. — A ty, Anto, nie daj się zapraszać. Te briosze są naprawdę wyśmienite.

— Wiecie, czego najbardziej brakowało mi we Francji? — Ludwik Conneau dolał śmietanki do herbaty. — Tego oto angielskiego podwieczorku o piątej

202

z różnymi dobrymi rzeczami. Przywykłem przez te wszystkie lata... Ojciec też to lubił - zamilkł nagle.

— Wszyscyśmy przywykli i lubimy herbatę — powiedział miękko Lu. — To bardzo piękny zwyczaj. Herbata o piątej zbliża ludzi. Nawet niezbyt sobie mili, gromadząc się wokół imbryka, zapominają o animozjach.

Wszyscy stają się sobie równi. Każdy z filiżanką w ręku... I to ich łączy. Przy stoliku z zastawą do herbaty wytwarza się jakaś atmosfera życzliwości. Zawsze mnie to uderzało, gdy bywałem w angielskich domach.

Szczególnie na wsi. Zarówno we wspaniałych rezydencjach, jak i w skromniejszych dworach. Wszędzie panowało to samo zbliżenie między ludźmi, często między osobami zupełnie sobie obcymi.

— Tak, to piękny zwyczaj - przytaknął Anto, zatapiając zęby w pulchnej brioszy.

— Jak się ma Mela? - Widać było, że Ludwik Conneau pragnie oderwać myśl od smutnych wspomnień. - Dawno jej nie widziałem.

- Właśnie, co z Melą - podchwycił Lu, wpatrując się w nagle spochmurniałą twarz Anta. - - Slade i Woodhouse nie przestają mnie molestować... Ale co ty? Czy stało się co?

— Kocham ją — głos Anta był niski i zdławiony. — Tak bardzo ją kocham, że... Wybaczenie - - zawstydzil się nagle wybuchu, którego nie był w stanie opanować.

- A czy Mela... — zaczął książę.

- Nie wiem - zawołał z rozpaczą Anto. — Nic nie wiem. Czasem wydaje mi się, że jest mi przychylna, ale są chwile, kiedy myślę, że mną gardzi - dokończył nieledwie szeptem.

Bzdura -!- zaoponował Lu. — Od początku byliście sobie przeznaczeni. Od razu to wyczułem. Jestem pewien, że i ona...

- Nie wiem, nie wiem — Anto ukrył twarz w dłoniach. — Ale gdyby nawet i ona... to i tak nie mam prawa. Dlaczego?

- Ona jest bogata, a ja...

- Ty masz przed sobą przyszłość.

- Jestem żebrakiem. Mogę liczyć wyłącznie na mój przyszły żołądek, a sami wiecie, jakie to są grosze.

- Więc jednak stryj nie wszystko przepuścił - stwierdził ze zdziwieniem Ludwik.

*~ Wszystko, co mógł. Na szczęście ojciec Meli obwarował testament licznymi klauzulami, i to uratowało niezłą sumkę.

203

\\
\\

— Znał widać brata.
— Ludwiku, nie mów o nim źle. Nie żyje. Żałował za winy. I jeszcze przed śmiercią zdążył oddać nam wielką przysługę.
- Jaką przysługę?
— - Nareszcie poznaliśmy prawdę o talerzu.
O talerzu?
— Tak. •>— Anto odsunął filiżankę i oparł łokcie na stoliku. - Wyobraźcie sobie, że takie talerze były trzy.
— Zawsze wspominałeś o dwóch jednakowych.
— Nie wiedziałem wówczas. Nikt z nas nie wiedział. Dopiero stryj Meli otworzył nam oczy w liście, który do niej napisał.
— - Mówże wreszcie - zniecierpliwił się książę. - - Siedzę jak na rozżarzonych węglach, a ty nas dręczysz. Nuże, wyrzuć z siebie te rewelacje.
— Słusznie mówisz o rewelacjach — zauważył poważnie Anto. — Bo to prawdziwe rewelacje. Okazuje się, że mój dziadek i dziadek Ryszarda kupili nie dwa, ale trzy jednakowe talerze, specjalnie wyprodukowane w manufakturze w Sevres. I jednocześnie złożyli u paryskiego bankiera pewne sumy przewidując, w związku z pogarszającą się sytuacją polityczną w okupowanym przez zaborców kraju, konieczność ucieczki. Otóż trzeci taki talerz zostawili wraz z pieniędzmi u bankiera. To miał być znak rozpoznawczy.
— Rozumiem — pokiwał głową Ludwik. Talerz zamiast hasła. Wielce oryginalny pomysł, ale chyba niepraktyczny.
— Wręcz idiotyczny — wzruszył ramionami Anto. —* Ale byli bardzo młodzi, i to ich widać bawiło.
— - Czegóż więc desperujesz? Bierz talerz i pędź do bankiera.
— Dawno bym to uczynił, gdyby...
— - Bankier robi trudności? — przerwał Lu.
— Żeby odzyskać Dziadusiowe pieniądze, trzeba znać nazwisko bankiera.
— Nazwisko bankiera? - - powtórzył Ludwik Conneau ze zdumieniem. — Jak to, więc twój dziadek nie podjął swoich pieniędzy? Nie powiedział twojej siostrze?...
— Nie podjął i nie powiedział. Byliśmy zawsze bardzo biedni. Dziadek szukał zaginionego przyjaciela, mówił, że gdy go odnajdzie, wszystko się zmieni, skończą się nasze finansowe kłopoty. Nie wiem, co miał na myśli.
— To wprost nieprawdopodobne! — wybuchnął Ludwik.
— I ja tak sądzę — potwierdził Lu. — Sprawa jest wysoce podejrzana. Wygląda, że ktoś pragnie wprowadzić was w błąd.
204
— Nie — potrząsnął głową Anto. — Nikt inny nie skorzystałby przecież z tych pieniędzy bez okazania talerza. Ani Róża, ani Ryszard nie wiedzieli o ich istnieniu. Dla Ryszarda talerz był zwykłą rodzinną pamiątką, własnością zaginionego podczas powstania dziada, niczym więcej. Najlepszy dowód, że pozbył się go ofiarowując Meli. Dla Róży i dla mnie przedstawiał jakiś tajemniczy znak, z którym Dziaduś wiązał nie sprecyzowane bliżej nadzieje, zawsze odnoszące się do owego przyjaciela.
— A skąd stryj Meli dowiedział się o złożonych w banku pieniądzech? — Ludwik Conneau zawsze zadawał właściwe pytanie.
— Dowiedział się - - jak napisał w liście do Meli — od jednego z naszych rodaków. — Anto za żadne skarby nie wywlekłby na światło dzienne haniebną postać Damiana.
— Czy to aby pewne źródło?
— Jeśli chodzi o te sprawy, to jak najpewniejsze.
— No cóż — powiedział spokojnie Lu — nie należy składać broni, a szukać dalej... Te pieniądze muszą przecież gdzieś być.
«— Minęło bardzo wiele lat - - stwierdził rzeczowo Anto. — Może już nie żyją ci, co znali sekret związany z talerzem? Może ten bank już nie istnieje? Nad Paryżem przewaliła się wojna, rewolucje. Pieniądze te złożono ponad pięćdziesiąt lat temu.
— Dobrze, ale twój dziadek zgłosił się po nie o wiele wcześniej, zapewne wkrótce po przyjeździe do Paryża.
— Przepuszczalnie tak było. Dlatego ta sprawa jest tak zagadkowa.

— Według mnie — zawyrokował Ludwik — nieuczciwy bankier przywłaszczył sobie pozostawiony mu przez cudzoziemców depozyt, w nadziei, że klienci nigdy się po niego nie zgłoszą. A jeżeli prawdą jest, że „pieniądz robi pieniądz”, to ten sprytny oszust, grając szczęśliwie na giełdzie, mógł podwoić

1 potroić przekazany mu kapitał. Poczekaj, Anto, jeszcze będziesz krezusem, złote suwereny potrafią zdmuchnąć niejedno zmartwienie.

— Ryszard próbował -- zaczął Anto. — Odwiedził parę banków.

— Słuchaj — przerwał Ludwik. — Jestem pewien, że twój dziadek zostawił wiadomość. Nie mógł umrzeć, nie powiadomiwszy was, mam na myśli twoją siostrę, bo ty byłeś wówczas dzieckiem. Może pani Róża zapomniała?

— Przeszukaliśmy wszystko — Anto kręcił przecząco głową. — Sekretarzyk Dziadusia, jego rzeczy, książki, papiery, listy...

I co? I nic.

206

— Nie — potrząsnął głową Anto. — Nikt inny nie skorzystałby przecież z tych pieniędzy bez okazania talerza. Ani Róża, ani Ryszard nie wiedzieli

o ich istnieniu. Dla Ryszarda talerz był zwykłą rodzinną pamiątką, własnością zaginionego podczas powstania dziada, niczym więcej. Najlepszy dowód, że pozbył się go ofiarowując Meli. Dla Róży i dla mnie przedstawiał jakiś tajemniczy znak, z którym Dziaduś wiązał nie sprecyzowane bliżej nadzieje, zawsze odnoszące się do owego przyjaciela.

— A skąd stryj Meli dowiedział się o złożonych w banku pieniądzech? — Ludwik Conneau zawsze zadawał właściwe pytanie.

— Dowiedział się — jak napisał w liście do Meli — od jednego z naszych rodaków. — Anto za żadne skarby nie wywleklby na światło dzienne haniebnej postaci Damiana.

— Czy to aby pewne źródło?

— Jeśli chodzi o te sprawy, to jak najpewniejsze.

— No cóż — powiedział spokojnie Lu — nie należy składać broni, a szukać dalej... Te pieniądze muszą przecież gdzieś być.

— Minęło bardzo wiele lat — stwierdził rzeczowo Anto. — Może już nie żyją ci, co znali sekret związany z talerzem? Może ten bank już nie istnieje? Nad Paryżem przewaliła się wojna, rewolucje. Pieniądze te złożono ponad pięćdziesiąt lat temu.

— Dobrze, ale twój dziadek zgłosił się po nie o wiele wcześniej, zapewne wkrótce po przyjeździe do Paryża.

— Przypuszczalnie tak było. Dlatego ta sprawa jest tak zagadkowa.

— Według mnie — zawyrokował Ludwik — nieuczciwy bankier przywłaszczył sobie pozostawiony mu przez cudzoziemców depozyt, w nadziei, że klienci nigdy się po niego nie zgłoszą. A jeżeli prawdą jest, że „pieniądz robi pieniądz”, to ten sprytny oszust, grając szczęśliwie na giełdzie, mógł podwoić

1 potroić przekazany mu kapitał. Poczekaj, Anto, jeszcze będziesz krezusem. złote suwereny potrafią zdmuchnąć niejedno zmartwienie.

— Ryszard próbował - zaczął Anto. — Odwiedził parę banków.

— Słuchaj — przerwał Ludwik. — Jestem pewien, że twój dziadek zostawił wiadomość. Nie mógł umrzeć, nie powiadomiwszy was, mam na myśli twoją siostrę, bo ty byłeś wówczas dzieckiem. Może pani Róża zapomniała?

— Przeszukaliśmy wszystko — Anto kręcił przecząco głową. — Sekretarzyk Dziadusia, jego rzeczy, książki, papiery, listy...

— I co?

— I nic.

206

— Źle szukaliście — denerwował się Ludwik. — To niemożliwe. Przypomnij sobie rozmowy z dziadkiem. Może coś mówił o jakimś banku, o ludzkiej nieuczciwości, no wiesz, o różnych takich rzeczach.

— Rozmawialiśmy o wszystkim, o wielu sprawach naszych własnych i narodowych. Dziaduś chodził z nami na długie spacerunki, pokazywał zabytki, objaśniał. Znał doskonale Paryż, historię Francji. Tak ciekawie umiał opowiadać.

— Żał mi twojego dziadka, Anto — wzruszył się Lu. — Z jakiegoś nie znanego nam powodu nie mógł wejść w posiadanie swoich własnych pieniędzy. O, jak dobrze go rozumiem! Biedny. Wyobrażam sobie, jak musiał się tym gryźć. Naturalnie, ze względu na was — dodał po chwili.

— Tak, biedny Dziaduś. Teraz wiem, dlaczego był smutny i niespokojny. Do końca wspominał zaginionego przyjaciela. Może wierzył w cud? Mówiąc o nim stale dodawał: „Gdy odnajdę Zygmunta, wszystko się odmieni, całe nasze życie”. Nie wiedziałem wówczas, o co mu chodziło, ale też wierzyłem... Wiem od Róży, jak Dziaduś martwił się naszą przyszłością. Byliśmy sierotami, nie mieliśmy nikogo, tylko on...

— Jest jeszcze jeden sposób na odnalezienie owego bankiera lub jego sukcesorów — zauważył Lu. — Nie można pozwolić, żeby was bezkarnie okradziono. W bankach wszystko jest zapisane, najdrobniejsza wiadomość. Jestem pewien, że talerz z Napoleonem, dobrze strzeżony, spoczywa bezpiecznie na dnie zamczystego kufra. Głowę dam, że do podziemi banku takiego na przykład Rothschilda lub Laffitte'a nie dotarty nawet echa wojny czy rewolucji. To są niezdołbane fortece. Należy tylko zręcznie zabrać się do rzeczy. — Ani Rothschild, ani Laffitte nie dopuściliby się podobnej malwersacji. To stare i szanowane firmy. Musiał to być jakiś pomniejszy bank.

— I na to jest sposób. Nasz bankier w Londynie to Baring. Mama ma do niego bezgraniczne zaufanie. Można by poprosić... Tak, sam pomówię ze starym Baringiem. Niech przeprowadzi dyskretny wywiad wśród paryskich kolegów. Łączą ich przecież wspólne interesy.

— Doskonały pomysł! — zawołał z entuzjazmem Ludwik. — To rzeczywiście jedyna droga do wykrycia prawdy. No, Anto, rozchmurz się, przyjacielu.

— Gdybym był pewien, że Mela mi sprzyja...

— Do licha, komu miałaby sprzyjać, jak nie tobie? — zirytował się Lu. — Zresztą czy nie warto walczyć?

— Nie poznaję ciebie — dodał Ludwik.

— Ja sam siebie nie poznaję — Anto zacisnął pięści. — Czy sądzicie, że można kogoś zmusić do miłości?

207

— „Miłość rodzi miłość” — zacytował Lu.

— „Za miłość płaci się wyłącznie miłością” — dorzucił Ludwik. — Weź się w garść, bracie, i walcz.

Wszystko zależy od ciebie.

— Cóż tu pomoże walka?

— Doprawdy, Anto, co się z tobą stało? — książę popatrzył uważnie na przyjaciela. — Gdy szukałeś talerza, pamiętasz, jaką miałeś wiarę i pewność, że go znajdziesz? Wiązałeś z nim nadzieję na odnalezienie Meli. Nieraz to mówiłeś. Imponowałeś mi. A teraz wątpisz? Co to znaczy?

— Nie pytaj, bo i tak nie potrafię odpowiedzieć. Wówczas płonęło we mnie jakieś światło, prowadziło mnie, kazało nie ustawać. A teraz...

— Co teraz? — podchwycił Lu. — Teraz jest to samo. Nie wolno ci upadać na duchu. Wówczas wierzyłeś, że bez talerza nie odnajdziesz Meli. Teraz musisz ją zdobyć. Chodzi o twoje szczęście. I nie tylko o twoje.

Pomyśl o niej. Jeżeli cię

kocha...

— Gdyby mnie kochała!... — wybuchnął Anto. — Wówczas mógłbym...

— Możesz wszystko — rozgniewał się Ludwik. — Weź się w garść.

— Dziś jeszcze pomówię z mamą — obiecał Lu. — A jutro wybiorę się do Londynu. Głowa do góry, przyjacielu.

Anto wracał do Paryża w nieco lepszym nastroju. Przyszłość nie wydawała się już tak ponura. Słabe to co prawda były nadzieje, niemniej dzięki nim wydzwignął się z dna poprzedniej desperacji.

Na statku podczas podróży przez Kanał nie opuszczała go natrętna myśl o Waławie Narzymskim. Obraz nieszczęsnego stryja Meli czepiał się uparcie pamięci, ożywiony relacją Ryszarda. Bo przed Ryszardem Narzymski obnażył duszę.

Anto był pewny, że szwagier nie powtórzył wszystkiego, co usłyszał, nie odkrył tych najtajniejszych zakamarków, w których lęgnie się wszelkie zło. Właściwie to, co powiedział, można było uznać za swego rodzaju „mowę obrończą”. Przede wszystkim, jako Polak, Narzymski przedstawiał się nienagannie. Jeżeli

nawet nie oparł się fatalnemu urokowi, jaki emanował z fascynującej bądź co bądź osoby starego Damiana, to jednak nie dał się wciągnąć w żadną polityczną działalność wrogą Ojczyźnie czy Francji. Nigdy nie zdradził. Podczas wojny spełnił swój obowiązek, służył rzeczywiście w Armii Loary. Brał udział w zwycięskiej bitwie pod Coulmiers, w przegranej pod Le Mans, potem wraz z generałem Bourbaki

208

przeszedł szwajcarską granicę. Kampanię tę odbył jako prosty żołnierz, a pod obszarpanym mundurem i nie ogolonym od dawna zarostem trudno było poznać wytwornego bywalca Cafe de la Paix.

— Co więc znaczy ów rewers na sto tysięcy franków podpisany jego nazwiskiem? — zapytała wówczas Róża. — Sama go znalazłam w ruinach Tuileriów, pieczołowicie ukryty w aluminiowym pudełeczku. Ryszard i na to miał odpowiedź.

Narzynski przegrał wielką sumę w karty, a ponieważ dług honorowy płaci się w ciągu dwudziestu czterech godzin, znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Znikąd nie dostał ani grosza. Żaden lichwiarz nie chciał ryzykować pożyczki takiemu jak on dłużnikowi. Zнали go zbyt dobrze. Narzynski przyparty do muru zniżył się nawet do próby szukania ratunku u własnego lokaja. Ale Fabian nie był skory do wysupłania z takim trudem zdobytych sum.

— Pan i tak wszystko przegra — powiedział krzywiąc usta. — A ja co? Zostanę na lodzie? Bo przecież nie będzie pan miał z czego oddać.

Narzynski, nie wiedząc już do kogo się zwrócić, pomyślał o Damianie. Była to ostateczność, gdyż do północy dług karciany musiał być spłacony. Inaczej pozostałaby mu jedynie kula w łeb.

Damiana znalazł dopiero wieczorem. Stary wysłuchał jego chaotycznych wynurzeń — gość był tak wzburzony, że ledwie mógł sklecić jakie takie zdanie — i zgodził się, o dziwo, dość skwapliwie. Od razu wyjął z sekretarzyka plik banknotów i złoto, wyglądało, że pieniądze te czekają na potrzebującego, odliczył sto tysięcy i położył przed Narzynskim.

— A teraz proszę o pokwitowanie — powiedział patrząc bladymi jak zamarzła woda oczami w płonąca twarz przybysza.

Stryj Meli podpisał, nie domyślając się, że podpisuje pewnego rodzaju cyrograf.

— Postaram się oddać jak najprędzej — wybełkotał, trzęsącymi się rękami wpychając banknoty do portfela, a złoto do sakiewki.

— Nie trzeba — uciał Damian. — Może pan te pieniądze zatrzymać.

— Jak to zatrzymać? — nie zrozumiał Narzynski.

— Odda pan dług w innej formie. — Przez piękną twarz „upadłego anioła” przebiegł dziwny uśmiech. — Potrzebujemy informacji... różnych informacji... Pan bywa w świecie, obraca się w dobrym towarzystwie... Bardzo nam się przydadzą pańskie znajomości.

— Nam? Moje znajomości? — Narzynski dopiero teraz zdał sobie sprawę

14 Talerz z Napoleonem

209

z tego, co kryła ta na pozór niewinna i dobrodusza propozycja. — Czy... chce pan, abym został donosicielem? — zapytał blednąc.

— Po co to brzydkie słowo? Wśród ludzi z naszej sfery... A zresztą czyny pańskie nie zawsze były zgodne z tak zwaną moralnością.

— Nie rozumiem.

— Wystarczy, by pan wyteżył nieco pamięć.

— W takim razie... — Narzynski otworzył portfel.

— O nie — powstrzymał go gestem i lodowatym wzrokiem Dobrocki. — Już za późno. Mam pański podpis na rewersie.

— Oddam panu pieniądze, a pan mnie rewers — oświadczył gość. — To prosta transakcja.

— O nie — powtórzył Dobrocki. — Transakcja wcale nie jest taka prosta. Została dokonana, warunki omówione, pański podpis złożony.

— Ale ja nie wyraziłem zgody na te warunki — usiłował protestować Narzynski.

— Od tego wyroku nie ma odwołania. — Dobrocki wypowiedział to w formie niby żartu, ale w jego głosie dzwięczała groźba.

Wacław Narzymski oddał dług karciany przed północą i z determinacją w duszy oraz z garścią pożyczonego złota zasiadł przy zielonym stoliku. Szczęście mu dopisało jak nigdy. Nie tylko oddał sumę, która pozwoliła mu wziąć karty do ręki, ale prawie podwoił to, co był winien Damianowi.

Świtało, gdy odsunął krzesło i wstał. W sali było szaro od dymu z cygar. Zmęczone twarze graczy, ich zaczerwienione powieki i wymięte kołnierzyki frakowych koszul świadczyły o pracowicie spędzonej nocy. Narzymski wrócił do domu i w ubraniu rzucił się na łóżko. Po paru godzinach gorączkowych majaczeń, które nie były krzepiącym snem i nie przyniosły wytchnienia, udał się do mieszkania Dobrockiego.

— Oto dług — położył na stole sto tysięcy. — Proszę o zwrot mojego rewersu.

— Może pan zabrać te pieniądze — burknął Dobrocki. — Powiedziałem, że zawarta transakcja obowiązuje.

— Ale ja nie zawierałem z panem żadnej transakcji — krzyknął Narzymski. — Nie potrzebuję pańskich pieniędzy. Jeżeli żąda pan procentu, to chętnie...

— Młody człowieku — przerwał wyniośle Damian. — Wczoraj byłem panu potrzebny. Nie ja do pana, ale pan przyszedł do mnie. Rewersu nie oddam, a pieniądze...

— Może pan nie oddawać — upór gospodarza wyprowadził Narzymskiego

210

z równowagi. — A pieniądze i tak zostawiam. Wierzę, że pan zniszczy rewers, a gdyby pan zapomniał...

— Niczego nie zapominam. — Spojrzenie przezroczyстых oczu przejmowało dreszczem. — Pamięć służy mi jeszcze znakomicie.

Na tym się rozstali — opowiadał Ryszard. Ale nie był to koniec. Dobrocki nie zniszczył rewersu, nad Narzymskim zawisła groźba nowego szantażu.

— Przecież Narzymski zwrócił mu pieniądze — zauważyła Róża. — Czegóż więc Damian chciał? Czy miał nadzieję zmusić go do posłuszeństwa?

- Oczywiście. Narzymski nie byłby pierwszym ani ostatnim, którego Damian nagiął do swojej woli. Pieniądzy, jak widzisz, nie brakowało mu, dostawał, ile chciał, a właściwie ile potrzebował, kupował bowiem ludzi. Obok cara miał teraz drugiego mocodawcę, księcia Bismarcka. W czasie wojny oddał Prusom nieocenione usługi.

— I co Narzymski? — dopytywała się Róża.

— Nic. Cóż mógł zrobić? Póki Damian milczał, nie miał powodu do niepokoju, choć wiedział, że nad jego głową zawisło groźne niebezpieczeństwo. Dopiero jak Damian zażądał współpracy...

— - Więc jednak zażądał.

— Naturalnie, to przecież było celem całej tej intrygi. Wówczas Narzymski został zmuszony do działania.

— Co więc postanowił?

— Spotkali się na dziedzińcu Tuileriów w biały dzień. Ludzie zazwyczaj omijają te ruiny, siedlisko przestępców w mniemaniu większości. Było to idealne miejsce na załatwienie takiej właśnie sprawy. Damian zagroził publicznym wyjawieniem „nieuczciwej postawy Narzymskiego — jak się wyraził — który odmawia spłacenia udzielonej mu pożyczki i wręcz zaprzecza, jakoby ją otrzymał”. Dowodem miał być rewers z podpisem dłużnika. Damian postawił ultimatum: albo Narzymski ugnie się i spełni, czego od niego zażądają, albo odpowiednie oświadczenie wraz z rewersem ukaże się w paryskiej prasie.

— Łotr! - - wybuchnęła Róża. — Zaczynam współczuć Narzymskiemu.

— Stryj Meli poprosił o zwłokę, powiedział, że potrzebuje dwóch dni do namysłu. Gdy po tym terminie przyszedł na to samo miejsce, Damiana nie zastał. Czekał godzinę, potem wszedł w ruiny tam właśnie, gdzie był niegdyś gabinet cesarza.

— Tam znalazłam pudełeczko — przypomniała Róża.

— Tak, pamiętam. Narzymski zauważył, że coś palono w kominku, były też obok ślady krwi. Tak się przestraszył, że uciekł.

211

— Boże, a co to było?

— Tam przypuszczalnie zginął Damian Dobrocki, bo od tego czasu nikt go więcej nie widział. Zabił go ktoś, kto równie jak Narzymski był jego ofiarą. Nazajutrz stryj Meli znowu wybrał się do ruin. Żadnych oznak zbrodni już nie było. Ślady krwi zmyto, palenisko przysypano gruzem. Gdyby wówczas uważniej szukał, znalazłby swój rewers. Widać pudełeczko wypadło z kieszeni Damiana podczas walki czy szamotania się i nie zauważone leżało w kominku. Dopiero ty...

— Powiedziałaś mu o tym?

- Tak i oddałem reweres. Mówił, że cały czas lękał się, że ktoś zrobi z niego użytek.

- Biedny - - westchnęła Róża. — A jednocześnie taki podły.

— Podły, bo słaby — dodał Ryszard — a przede wszystkim zdeprawowany. Był od lat pod wpływem Fabiana. Po śmierci brata musiał pozbyć się z domu jego żony, tego żądał lokaj. Umieszczając ją w klinice doktora Lariviere'a, właściwie uratował jej życie. Prosił lekarza, by nie traktował bratowej jak pacjentki, „dom zdrowia” miał być jedynie jej chwilowym schronieniem. Doktor Lariviere zgodził się na wszystko, jak wiadomo, za dobrą zapłatę gotów był udzielać nie tylko schronienia.

- A Mela? Jak mógł zostawić ją na cmentarzu i nie zainteresować się, co się z dzieckiem stało?

- Mela — jak mi powiedział — była na pogrzebie pod opieką pokojówki. Żadna serdeczność nie łączyła go z bratanicą, w ogóle ledwie ją zauważał. Wiele osób brało udział w żałobnej ceremonii, wszyscy podchodzili do niego z kondolencjami, trudno mu było uważać na dziewczynkę. Pokojówka nie dopilnowała małej, która wymknęła się niepostrzeżenie i musiała zabłądzić wśród grobów. Zniknięcie bratanicy Narzyski przypisał Fabianowi. W domu zrobił mu nawet straszną scenę. Lokaj z trudem przekonał pana, że tym razem nie był winien. Cieszył się jednak po cichu, zniknięcie dziewczynki chwilowo odpowiadało jego planom.

— Wiesz co, Ryszardzie — powiedziała wtedy Róża — zagładanie w głąb podobnej duszy przyprawia mnie o dreszcz zgrozy.

Ryszard bez słowa pokiwał głową. Wówczas to Anto pomyślał, że szwagier zna o wiele więcej tajemnic, wiążących pana i lokaja wspólnym łańcuchem występku.

Dalej Fabian działał już samodzielnie. Tragiczny wypadek u Czerwonych

212

Skał był wyłącznie jego pomysłem. Tak samo, jak zamach na Ryszarda. Odtąd lokaj coraz więcej żądał i coraz pewniej wydawał rozkazy, ciągle przy tym potrzebował pieniędzy.

— Wiecie, jakie wyznanie Narzyskiego zrobiło na mnie największe wrażenie? — Ryszard oparł czoło na splecionych dłoniach i zamilkł.

— Jakie? — przynagliła Róża.

— Było to porażenie jednej z moich ostatnich u niego wizyt na bulwarze Mon-parnasse. Czuł się już bardzo źle, gorączka nie opuszczała go, a jednocześnie dygotał z zimna. Lekarz rokował słabe nadzieje na utrzymanie go przy życiu. Wiedział o tym i bał się śmierci, choć często rozmawiał o niej z księdzem Hłuśniewiczem. Otóż owego dnia, gdy przyszedłem, powiedział mi tak:

— Chcę panu wyznać, co stało się punktem zwrotnym w moim życiu. — A gdy patrzyłem na niego pytająco, wyjaśnił: — Pewna przypadkowa wizyta w Malmaison. Wracalem od Fabiana, szedłem pieszo na stację kolei żelaznej. Było tak pięknie, cicho i pusto, a we mnie szalała burza. Usiadłem na ławce w różanym ogrodzie cesarzowej Józefiny i nagle sam nie wiem, co się ze mną stało. Zapłakałem. Ta pierwsza w moim życiu łza była czymś niepojętym, to wzruszenie nie pasowało do człowieka, jakim byłem. Ale nie zawsze byłem taki. Kiedyś... Tak, kiedyś brat i ja... gdy żyli nasi rodzice... Kto mógł wiedzieć, że ja... potwór wyzbyty ludzkich uczuć, szatan, który podeptał wszystko to, co w człowieku dobre i piękne... Pierwszy raz zdałem sobie sprawę... Pierwszy raz zastanowiłem się nad tym, co zrobiłem ze swoim życiem. Moim życiem... Takim, jakie sobie ułożyłem. Ja sam. Bo przecież mój brat... Rozumie pan, prawda?

— Rozumiem — skinął głową Ryszard.

— Gdy przyjechałem wówczas do Paryża, byłem już innym człowiekiem.

Od pogrzebu stryja Mela snuła się po domu cicha i zamyślona. Raz, gdy Zelia siedziała akurat z szyciem na kolanach, dziewczyna wyjęła jej z palców igłę, siadła obok i przytuliła się do służącej.

— Z najbliższych mam tylko wuja Ryszarda — oznajmiła. Ale ze wszystkich najbardziej kocham Różę. Wy teraz jesteście moją jedyną rodziną. Dzięki Warn nie czuję się sierotą.

— Zawsze byłaś naszym najdroższym dzieckiem — mruknęła Zelia, odkładając szycie. — Dziś, gdy mogę być o ciebie zupełnie spokojna, mam już tylko jedno zmartwienie.

213

— Zmartwienie? — Mela odsunęła się od ramienia Zelii i popatrzyła w surową twarz służącej. — Jakie zmartwienie?

— Anto — burknęła Zelia chwiejąc głową.

— Anto? A dlaczego miałabyś się nim martwić?

— Bardzo się nim martwię. — Zelia westchnęła głośno. — Czy nie widzisz, co się z nim dzieje?

— O czym ty mówisz, Zelio?
— Mówię o Antosiu. On nie jest szczęśliwy.
— Co ty wygadujesz? Tak nam tu dobrze razem. W tym domu wszyscy muszą być szczęśliwi.
— Znam go od urodzenia — powiedziała Zelia poważnie. — I boli mnie, że on...
— Doprawdy, nie rozumiem...
— Dobrze rozumiesz — przerwała Zelia twardo. — Ale w tych sprawach niczego nie można nakazać. Wszystko musi wypływać z wolnej woli. A jeżeli ty nie masz tej woli...
— Nie wiem, Zelio, o czym ty mówisz. — Mela wstała. — Anto traktuje mnie jak siostrę. Znamy się przecież od dziecka i zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi.
— A... czy ty chcesz mieć w nim brata?
— To zależy od niego, kim chciałby dla mnie być. A w ogóle widzę, że jesteś przeciwko mnie.
— Głupstwa gadasz. Ja przeciwko tobie? W głowie ci się pomieszało. — Lekko drżącymi rękami Zelia składała białe płótno. — Nie mam czasu siedzieć beczynnie. Idę przygotować Stasiowi podwieczorek. Do kolacji Mela nie mogła sobie znaleźć miejsca. Niedawny pogrzeb stryja i wizyta na cmentarzu ciągle przywodziły na pamięć straszne wspomnienia. Straciła wszystkich, jest ostatnią osobą noszącą nazwisko Narzymskich.
Nie wiedziała, czym się zająć, nie interesowała jej ani książka, ani haft. Posiedziała trochę z Różą, chwilę pobawiła się z małym Stasiem. Kot nie odstępował dziecka, widać przyjął na siebie obowiązki opiekuna. Wypełniał je zresztą niezwykle sumiennie, wodząc zielonymi oczami za każdym, kto zbliżał się do małego.
— Pilnuje Stasia — powtarzała Zelia z zadowoleniem, kładąc do kocięj miseczki drobno pokrajane mięso. Anto wrócił późno i od razu poszedł do „pokoju Dziadusia”, który obecnie zajmował. Ryszard był u rotmistrza Brackiego.

214

Na bulwarze Montparnasse zbierała się teraz grupka Polaków. Prowadzono długie rozmowy, pisano listy, wysyłano jakieś pieniądze i paczki, przyjmowano ludzi, którym należało wyszukać mieszkanie i pracę.
— Zawołaj Anta na kolację — powiedziała Róża, stawiając na stole dwie pastelowe róże w kryształowym wazonie. — Już późno, najwyższy czas, żebyśmy jedli.
Mela powoli szła na górę zastanawiając się, co Anto robi sam w swoim pokoju. Zapukała lekko i nie czekając odpowiedzi nacisnęła kławkę.
Anto stał w otwartym oknie, a usłyszawszy skrzyp drzwi, odwrócił się gwałtownie.
— Chodź na kolację — powiedziała Mela, rozglądając się po pokoju.
Stały tu jakże znajome sprzęty, sypialnia Dziadusia była żywcem przeniesiona z ulicy Świętego Rocha. Nad sekretarzykiem wisiał talerz z Napoleonem, pod nim miniatury z czasów Dziadusiowej młodości. Pamiętała wszystko. Każda książka na półce, drobiazgi na stoliku to byli dobrzy starzy przyjaciele z dawnych lat.
Anto wyglądał, jak gdyby przerwano mu jakieś bardzo ważne zajęcie.
— Co tu robisz sam? — spytała przysiadając na poręczu fotela. — Dlaczego do nas nie zszedłeś?
— Pisałem listy — nie patrząc na nią wskazał sekretarzyk z opuszczonym blatem i otwartą teczkę do korespondencji.
— Chodź prędko — przynagliła. — Róża jest bardzo głodna — dodała ze śmiechem. — Wuj Ryszard tylko co wrócił.
Schodził za nią po schodach, nie mogąc oderwać oczu od kształtnej głowy, opasanej lśniąco koroną warkocza.
— Siadajcie — niecierpliwiła się Róża. — Wszystko tak prędko stygnie. — Zelio, możesz podawać — zawołała w stronę kuchni.
Kolacja minęła w nastroju raczej niewesołym, co nieczęsto zdarzało się w domu państwa Żeranów. Ryszard wspomniął o wizycie na bulwarze Montparnasse i o ważnej depeszy otrzymanej z kraju. Róża poświęciła parę słów zmarłym, których groby odwiedziła na cmentarzu. Anto jadł niewiele, a na niespokojne zapytanie siostry odparł krótko: „Nie mam apetytu”. Mela nie podnosiła oczu znad talerza, choć czuła na sobie wzrok siedzącego naprzeciw chłopca.
Wszyscy z ulgą wstali od stołu.
— Wybaczysz, Rózycko — Anto pocałował siostrę — pójdę już na górę.

215

Róża pospieszyła za wychodzącym.

— Jutro musimy być u notariusza — mówił Ryszard, gdy został sam z Melą. — Jest pewna klauzula w testamencie twojego ojca...
Róża dopadła brata przed drzwiami jego pokoju.
— Przepraszam, Anto — powiedziała zdyszana, — ale tak dziwnie wyglądasz...
Anto stał na środku pokoju, wodząc wzrokiem po Dziadusiowych meblach.
— To jest gdzieś tu — wyciągnął ręce — gdzieś tu kryje się tajemnica. Jak odnaleźć? Powiedz...
— Nie wiem. — Różę przeraziła gwałtowność jego gestu. — Chyba nic się tu nie kryje. Dziaduś by uprzedził.
— Widać stracił nadzieję na odzyskanie pieniędzy — Anto uderzył w blat sekretarzyka. — Może jest tu jeszcze jaka skrytka?
— Wszystko przecież przeszukaliśmy — odpowiedziała z westchnieniem. — Żadna szufladka nie ma podwójnego dna, jest tylko ta jedna skrytka, którą wam pokazałam.
— Dziaduś musiał ci coś wspominać.
— O banku i o pieniądzach nic nigdy nie mówił — w głosie jej dźwięczał smutek.
— Rózo, przypomnij sobie — błagał. — Ja byłem wówczas smarkaczem, ale ty...
-> Naprawdę nic takiego nie mówił.
— Mnie by tego nie powiedział — upierał się Anto. — Ale tobie...
— Mnie też nie powiedział. — Róża zniechęcona usiadła w Dziadusiowym fotelu. — Nie traćmy jednak nadziei — podjęła po chwili. — Zdarzają się różne rzeczy, i Bóg da... Proszę cię, nie dręcz się tym nadaremnie.
— O niczym innym nie mogę myśleć — szepnęła z bólem.
— Och, Anto. — Wstała i podeszła do brata. — Zawsze pamiętaj, jak bardzo cię Kocham. — Przytuliła się do niego. — Pójdę już.
Gdy wyszła, znowu stanął w otwartym oknie i zapatrzył się w usiane gwiazdami niebo.
— Czy stryj mój zostawił jakieś długi? — postężyła na dole głos Meli.
— Owszem — odpowiedział spokojnie Ryszard. — Wierzyście zlecieli się jak sępy, nie wiem nawet, skąd dowiedzieli się o śmierci dłużnika. Wszystko przecież przeprowadziliśmy z największą dyskrecją.
— I co, wuju Ryszardzie? — dopytywała się Mela. — Skąd wziąć na to pieniądze?
216
— Już wszystko załatwiłem — uspokoił ją Ryszard. — W mieszkaniu Fabiana znalazłem blisko pół miliona. Pieniądze te pochodzą z szantażu, ponadto lokaj wyłudzał od swojego pana wielkie sumy jako zapłatę za nieczne usługi. A ponieważ nie zostawił żadnej rodziny, uznałem za słuszną, by użyć tych kilkuset tysięcy franków na pokrycie długów twojego stryja..
— Wuj Ryszard zdjął mi kamień z serca — zawołała Mela do wchodzącej Róży. — I wiesz, jutro idziemy do notariusza, tam będą dla mnie jakieś pieniądze... od tatusia — dodała ciszej.
Wkrótce potem Anto wyjechał do Anglii.
— Stara Europa umarła wraz z klęską Napoleona pod Waterloo — rotmistrz Bracki pogładził siwą teraz zupełnie bródkę i spojrzał po siedzących dookoła stołu rodakach.
— Racja — pokiwał głową pan Manczewski, który porzucił cynamonowe ubrania, zmieniając ich kokieterijny nieco kolor na bardziej stosowną do jego wieku szarość. — Powiedziałbym ściślej, że pod Waterloo umarła Europa naznaczona odwieczną francusko-angielską rywalizacją.
— Słusznie pan to ujął — odezwał się młody jeszcze jegomość, którego Anto widział tu po raz pierwszy. — Waterloo zmieniło całkowicie układ sił w Europie. Na szczęście, wkrótce udało się Francji wziąć odwet za tę bezprzykładną klęskę.
— Myśli pan o roku trzydziestym drugim? — spytał wnuk rotmistrza, od niedawna osiadły na stałe w Paryżu.
— Tak, o trzydziestym drugim. Pamiętajmy, że Waterloo było nie tyle klęską Napoleona, ile klęską Francji.
— Otóż to, klęską Francji — przytaknął najstarszy z grona. — Ale i Anglia dobrze wykrawiała się w tej bitwie. Było to dla niej nieledwie pirrusowe zwycięstwo. Armia Wellingtona została prawie starta na proch. Jedynie Prusacy mieli dość siły, by rozgromić cesarskie niedobitki. Dla Wellingtona Francja przestawała być

wrogiem. To Napoleon zagrażał Anglii. Z jego upadkiem zniknęło niebezpieczeństwo. I zauważcie, panowie, nazajutrz po bitwie Wellington spieszy co tchu do Paryża, by uchronić stolicę Francji przed niszczycielską brutalnością Prusaków.

— Jak dziwnie potoczyła się dziś nasza rozmowa — ksiądz w wyszarzałej sutannie, którego Anto pamiętał z czasów wojny, zanurzył palce w drewnianej tabakierce. — Wyszliśmy z chwili obecnej, a droga zawiodła nas wstecz, do samego sedna spraw. Oto dwaj odwieczni wrogowie, których krwawe konflikty rozdzierały do niedawna Europę, zostali sojusznikami, na nowego zaś przeciw-

218

nika Francji wysunęły się Niemcy. I mamy już nową rywalizację i nowe konflikty. A co z tego jeszcze wyniknie? Bogu jednemu wiadomo.

— Wynikła kapitulacja, pięć miliardów kontrybucji oraz utrata Alzacji i Lotaryngii — mruknął chudy młodzieniec z ostrzyżoną, widać po tyfusie, głową.

— Jakże inaczej ułożyły się nasze losy! — westchnął pan Manczewski. — Wojska koalicji tylko przez pięć lat okupowały Francję, nie dopuszczono do żadnych rozbiorów. A my? Co z nami zrobiono?

— Zapomina pan o francuskiej granicy na północy kraju.

— - Pamiętam, a jakże. Wówczas to obalono tam wszelkie umocnienia i fortyfikacje. Ale cóż to znaczy? Świeżo utworzone Królestwo Niderlandów stanęło na straży, dom Orański i tak wyszedł na tym najlepiej. Holendrzy położyli łapę na belgijskich prowincjach, na Księstwie Luksemburg, rozciągnęli się aż po lewy brzeg Renu.

- A przecież były to ziemie, które od tysiąca lat stanowiły jak gdyby naturalną granicę Francji — chudy młodzieniec ponownie włączył się do rozmowy.

— Chyba pierwszy raz w historii wszystkie partie polityczne połączyły się w zgodnym działaniu — zaśmiał się pan Manczewski. — Francuzi nie wyrzekli się tego, co uważali od wieków za swoje terytorium.

— O tak — zgodził się rotmistrz Bracki. — Monarchiści, bonapartyści, republikanie podali sobie ręce, odkładając na potem wszelkie swary i animozje.

— Rewolucja lipcowa dała hasło i uciemnione ludy upomniały się o należne im prawa. - Młodzieniec z ostrzyżoną głową zapalał się coraz bardziej. — Tak samo jak my powstałi także Belgowie, walcząc o wyzwolenie narodowe. To Francja pomogła im oderwać się od Holandii i uzyskać niepodległość.

— Nie poszło to tak łatwo — zauważył pan Manczewski. — Holandia nie miała zamiaru wrzec się części Belgii. Popierały ją Rosja, Austria i Prusy. Wówczas to Francja po raz pierwszy sprzymierzyła się z Anglią i stanęła w obronie Belgów.

— Holendrom nakazano ewakuację Antwerpii — pokiwał głową rotmistrz. - Omal wówczas nie doszło do nowej wojny w Europie.

- Pamiętam — westchnął ksiądz. — Akurat tu przyjechałem. Na murach Antwerpii niejeden połamał sobie zęby. A Francuzom udało się i zdobyli nie zdobytą dotąd twierdzę. Oblężenie cytadeli i zmuszenie holenderskiej załogi do kapitulacji to dzieło marszałka Soulta, szefa sztabu Napoleona pod Waterloo. Pierwsze wielkie zwycięstwo Francji po druzgocącej klęsce.

219

— Ksiądz tak mówi, jakby to widział — zauważył nieśmiało Anto.

— Byłem tam i widziałem — odparł krótko ksiądz i czym prędzej zajrzał do tabakierki.

— Wróćmy jednak do początku naszej rozmowy — zaproponował pan domu. — Sytuacja Francji...

— Jakakolwiek by była ta sytuacja — przerwał gwałtownie pan Manczewski — Francuzi powinni Bogu dziękować. Rewolucja dała im prawa godne człowieka, Napoleon ukrócił zwyrodniałe ekscesy rewolucji, uporządkował finanse, uratował kraj od głodu i samozniszczenia. Z jego upadku Francja też wyszła obronna ręką. Można powiedzieć, że naród ten, strącony z jakiegokolwiek piedestału historii, zawsze potrafi spaść na cztery łapy i nigdy nie skreśli sobie karku. Nie to, co my.

— A ta ostatnia wojna? — zamruczał ostrzyżony.

— Ostatnia wojna, ostatnia wojna! — pan Manczewski zamachał rękami. — Po takiej klęsce inni długie lata lizaliby rany, a Francuzi co? Otrząsnęli się, jak pies wychodzący z wody, i wrócili do dawnego dobrego życia. Jakby nigdy nic, cesarstwo zastąpili republiką i tyle. I gdyby nie ruiny Tuileriów, w Paryżu nie dojrzałbyś

śladów klęski, wojny czy oblężenia. Gdy na to patrzę i dowiaduję się, co się dzieje w kraju... — zamilkł i wielką białą chustką otarł spoconą nagłe twarz.

— Co tu mówić? — wzruszył ramionami ksiądz. — Są wolni i rządzą się, jak chcą. Przed Prusakami jedynie Anglicy deptali francuską ziemię, ale to było bardzo dawno temu. Francja jest zbyt wielką potęgą, by ot, tak sobie, po jednej tylko klęsce miała zniknąć z mapy Europy. Nic jej nie zmogło, ani wojna stuletnia, ani dżuma, która niegdyś spustoszyła cały niemal kontynent. I dobrze. Bo we Francji cała nasza nadzieja. Gdzież byśmy się podzieli, gdyby nje Francja?

— Słusznie, słusznie — kiwali głowami zebrani. — Dokąd byśmy poszli i co by z nami było?

— Ameryka — burknął ostrzyżony młodzieniec. — Oto, co by nam pozostało.

— Co pan? — oburzył się ksiądz. — Tak oddalić się od Ojczyzny, to skazać się na zerwanie wszelkich z nią więzów. Nie, nie, to niemożliwe.

— Niemożliwe — przytaknął rotmistrz Bracki. — Przyszłym pokoleniom groziłoby już całkowite wynarodowienie.

Rozmawiano jeszcze o sprawach polskich i o negatywnych stronach emigracji, po czym goście powoli podnosili się z krzesel. W westybulu, po pożegnaniu, pan domu przekazywał ich w ręce starego służącego.

220

— Zostań — szepnął w pewnej chwili, mijając Anta.

Znowu, jak przed rokiem, było lato. Lekki powiew poruszał białe firanki, w wysokich oknach salonu paliły się gorące ognie zachodu.

— Cieszę się, chłopcze, że przyszedłeś — rotmistrz Bracki starannie zamknął za sobą drzwi do westybulu. — Słyszałem, że dyplom masz już w kieszeni, no i nominację. Szczerze ci gratuluję.

— Dziękuję panu. Pozostaje mi jedynie sprawdzić w praktyce nabyte wiadomości. Tak, nominację już dostałem i wkrótce wyjeżdżam.

- Daleko?

— Daleko. W Pireneje.

— Aż w Pireneje!

- Tak. Buduje się tam most nad górską rzeczką, a właściwie nad przepaścią. Zasięgano nawet rady pana Lessepsa, chodzi bowiem o zniwelowanie części przyległego terenu, by jak najlepiej połączyć oba brzegi. Nada się temu kształt starożytnego akweduktu.

— - Będzie to zapewne ciężka praca. Biedna pani Róża długo cię nie zobaczy.

— Niestety, nie będę mógł wpadać do domu na niedziele, jak to było dotąd możliwe — uśmiechnął się Anto.

— Róża już z góry zamartwia się, jak gdybym wyruszał co najmniej na antypody.

— Nie dziwię się jej — pokiwał głową rotmistrz. — No cóż, wypada mi więc tylko życzyć ci szczęścia.

— Dziękuję, panie rotmistrzu, za wszystko dziękuję.

— Aha, a cóż tam Ludwik Napoleon?

— Podróżuje po Skandynawii.

— Po Skandynawii?

- Tak, ksiądz przyjął zaproszenie króla Oskara i wyruszył do Szwecji. Po drodze zatrzymał się w Kopenhadze, zwiedził zabytki, muzea, królewskie rezydencje.

— Pisuje do ciebie?

— Co parę dni. Mam szczegółowe relacje z tej podróży. Rzeczywiście, co parę dni przychodził dowcipny liścik z zabawnymi rysunkami, jako komentarz do opisywanych wrażeń. Lu zachwycił się wszystkim. Były to doprawdy niezapomniane wakacje, może najpiękniejsze w jego życiu.

W tej podróży towarzyszyli księciu hrabia Murat i sekretarz nieżyjącego cesarza, wypróbowany przyjaciel pan Pietri.

Lu był w doskonałym nastroju, od dawna nie przeżywał tak beztroskich dni,

221

tym bardziej że ich pogody nie zaćmiewała żadna chmurka. Cesarzowa Eugenia na ten czas otworzyła synowi nieograniczony kredyt, można więc było — nie oglądając się na wydatki — godnie reprezentować Francję oraz dynastię

Bonapartych.

Z Kopenhagi podróżni udali się prosto do Sztokholmu, a król Oskar i następca tronu ułożyli bardzo atrakcyjny program pobytu francuskiego gościa, pokazując mu nie znane dotąd uroki Północy. Książę zwiedził również Norwegię, podziwiał fiordy, doznając wszędzie niezwykle serdecznego przyjęcia od zimnych przecież mieszkańców tych dalekich ziem.

Liściki od Lu były dla Anta ogromną pociechą. Sprawa talerza bowiem i Dziadusiowych pieniędzy pozostawała dotąd nie wyjaśniona.

Dyskretne śledztwo, jakie londyński bankier przeprowadził wśród paryskich kolegów, nie dało żadnego rezultatu. Wielkie banki nic nie słyszały o talerzu, oświadczyły wręcz, że nigdy nie przyjęłyby depozytu złożonego pod tak dziwnym warunkiem. Mniejsze domy bankowe, równie godne zaufania, jak te wielkie stare firmy, sprawdzwszy wkłady od 1820 roku, nie znalazły śladu ani wzmianki o talerzach, stwierdzając jednocześnie, że takiego talerza u siebie nie posiadają.

— Trudno — powiedziała Róża, gdy Anto odczytał list księcia. — Widocznie tak było sądzone. Nie myślmy o tym więcej, pieniądze Dziadusia są dla nas stracone.

— Wcale nie są stracone! — krzyknęła Mela. — Tak nie może być! One przecież gdzieś są, ktoś je ma i z nich korzysta. Jakiś złodziej.

— Mało to złodziei na świecie? — mruknęła Zelia, która właśnie weszła do saloniku, żeby zabrać Stasia. Dla Anta był to cios godzący w jego szczęście, tym bardziej że okrucy fortuny, uratowane dzięki klauzulom ojcowskiego testamentu, zapewniły Meli dostatek, a nawet więcej niż dostatek.

— Notariusz doskonale rozrządził tymi pieniędzmi — opowiadał Ryszard. — Część ulokował w akcjach kolei żelaznej, a to bardzo korzystna lokata i można z czasem podwoić kapitał. Reszta jest złożona w banku. Przeprowadziliśmy już postępowanie spadkowe i gdy Mela skończy dwadzieścia jeden lat, będzie mogła dysponować swoim majątkiem. — Spojrzał z uśmiechem na zarumienioną dziewczynę. — Do tego jednak czasu potrzebna ci jest moja zgoda, stryj, jak wiesz, przed śmiercią mnie ustanowił twoim prawnym opiekunem.

- Rób, wuju Ryszardzie, co chcesz z moimi pieniędzmi — powiedziała

222

Mela obojętnie — ja pragnę tylko jednego: wyremontować dom w alei Cesarzowej. Na nic innego nie potrzebuję grosza.

— Obawiam się, że po odnowieniu domu niewiele ci zostanie — zauważył Ryszard. — Pałacyk jest bardzo zniszczony i jego renowacja pochłonie krocie.

— Niech pochłonie — zawołała Mela z determinacją. — Chcę, żeby był znowu żywy, jak dawniej, i żebyśmy wszyscy tam mieszkali. Wszyscy — powtórzyła z naciskiem. — Proszę cię, wuju Ryszardzie, nie odmawiaj mi.

— Nie odmawiam, choć powinienem. Ale uprzedzam, że utopisz w tym domu prawie wszystko, co posiadasz.

— To utopię! — Twarz Meli miała zacięty wyraz. — Ale dom odżyje. Wiem, że tatuś i mamusia będą szczęśliwi i może czasem przyjdą tam do mnie. — Głos jej zadrżał.

— Przykro uchodzić w oczach notariusza za wariata — westchnął Ryszard. — Pan Talbot dziwi się, że pozwałam na taką rozrzutność.

— O, to jeszcze nie wszystko. — Mela potrząsnęła głową. — Gdy dom będzie gotów, kupimy konie i powóz. Jest przecież stajnia. Po co ma stać pusta? Będziemy też mieli własnego stangreta.

— Melu, Melu — mitygowała dziewczynę Róża. — Czy nie za bardzo wybiegasz w przyszłość?

— Muszę wybiegać w przyszłość — oświadczyła poważnie Mela. — Przeszłość jest zbyt straszna, żeby do niej powracać choćby wspomnieniem. A teraźniejszość... — zawiesiła głos.

— Cóż tam z tą teraźniejszością? — zainteresował się Ryszard.

— Nie wiem — szepnęła zasłaniając chusteczką spłonioną nagle twarz. — Doprawdy nie wiem...

Tego dnia niewiele osób zwiedzało Wersal. Ranek był pochmurny i, jak oznajmiła Zelia wyjrawszy oknem, „pachniało deszczem”. Mimo tej niezbyt zachęcającej do wycieczki pogody Anto poprosił Melę, by pojechała z nim do Wersalu. Nazajutrz opuszczał Paryż i zależało mu na spędzeniu paru godzin sam na sam z dziewczyną.

— Weź parasolkę od deszczu — poradziła Róża — a ty, Anto, uważaj, żeby Mela nie przeziębila się.

223

— Jest zupełnie ciepło — zaprotestował chłopiec. — W razie deszczu skryjemy się w którymś z pawilonów. Nad parkiem wisiały chmury. Na niebie nie było ani skrawka błękitu. Woda w basenach i sadzawkach wydawała się czarna i matowa, powietrze utraciło chyba właściwą mu lekkość i przejrzystość. Nawet drzewa stały sztywne, sztuczne jakies i martwe. Jakże inaczej było tu, gdy świeciło słońce! To ono ożywiało park, błyskając raz światłem, raz cieniem, sączyło się przez listowie, oplatało pnie, słało długie, jasne smugi w aleje, a wzrok biegł za nimi aż hen, po skraj horyzontu. Wszystko wówczas było w ruchu, powietrze nawet drgało śmiechem, a woda skrzyła się, jak gdyby tuż pod powierzchnią pływały diamenty. Teraz było tu ciemno i smutno, a basen Latony, który właśnie mijali, przywiódł na pamięć opuszczony staw pełen stojącej wody.

— Nie poznaję dziś Wersalu — wzdrygnęła się Mela. — Doprawdy, po co tu przyjechaliśmy?

— Przyjechaliśmy, gdyż chciałem być z tobą sam. — Anto patrzył prosto przed siebie. — Nie pamiętasz? Jutro wyjeżdżam.

— Nie będziesz chyba wiecznie sterczał w tych obrzydłych górach. — Mela uderzała końcem parasolki o kamienne obramienie trawnika. — W okolicy Paryża też można coś budować.

— Z pewnością można. Mnie jednak posyłają w Pireneje. I na to nie ma rady.

— Gdybyś chciał...

— Co, gdybym chciał?

— Jak mogłeś zgodzić się na podobne warunki?

— A cóż miałem do powiedzenia? Muszę wykonywać rozkazy, nic więcej.

Zapominasz, że jestem w wojsku.

— Inni też są w wojsku, ale nie muszą skazywać się na wygnanie gdzieś na koniec świata. Nawet nie pamiętam, jak się nazywa ta miejscowość.

— Peyrehorade.

— Peyrehorade! Cóż za barbarzyńska nazwa!

— Nie widzę w niej nic barbarzyńskiego.

— Ty, naturalnie, nic nie widzisz. I może rad jesteś z wyjazdu?

— Owszem, jestem rad. Nareszcie zacznę pracować i stanę na własnych nogach. Jestem za stary, by pozostawać dłużej na utrzymaniu Ryszarda.

— I w tym... Peyrehorade będziesz budował jakiś most?

— Tak.

— I przez cały rok nie przyjedziesz do domu?

— Chyba nie. Przyjadę dopiero latem, gdy dostanę urlop.

224

— Piękna perspektywa. A jeżeli zechcesz przyjechać wcześniej?

— Słuchaj, Melu, widzę, że nie masz absolutnie pojęcia, co to jest wojsko. Słade'a, Bigge'a i Woodhouse'a widywałeś w galowych mundurach i białych rękawiczkach, gdy obtańcowywali panny w Chislehurst lub bywali tam jako goście Lu. Na co dzień wszystko wygląda zupełnie inaczej. Służba w wojsku jest ciężka, wymaga poświęcenia, wyrzeczenia się własnej woli. Ale jest szlachetna. Żołnierz musi zapomnieć o sobie, ślepo wykonywać rozkazy. Podobnie jak zakonnik.

— I ty zamierzasz tak całe życie...?

— Całe życie. Taka jest droga przede mną. Widzę, że tobie to nie odpowiada.

— Wcale mi nie odpowiada.

— Szkoda. Łączyłem z tą drogą wielkie nadzieje.

— Jakie nadzieje?

— Niezależności. Mówię o materialnej niezależności.

— I cóż miała ci dać owa niezależność?

— Owa, jak mówisz, niezależność miała mi pozwolić stanąć przed dziewczyną, którą kocham, i poprosić ją, by zechciała pójść tą drogą razem ze mną. Ale skoro tobie to nie odpowiada...

— A co ja tu mam do powiedzenia?

— Czemu tak mówisz? Czy nie widzisz, że mnie to boli?

— Nienawidzę wojska! — krzyknęła Mela. — Nienawidzę Pirenejów! Nienawidzę tego... tego Peyrehorade!
— wstrząsana szlochom zaczęła biec przed siebie.

Jacyś starsi państwo, widać cudzoziemcy, przystanęli i oddzieleni całą szerokością alei spojrzeli na Anta z naganą, gotowi do interwencji w obronie płaczącej dziewczyny.

Dogonił ją pod posągiem Cerery.

— Melu — usiłował spojrzeć pod rondo kapelusza, ale uparcie odwracała twarz. — Melu, czy naprawdę...?

— Nie wiem, jak z tobą — powiedziała Mela nagle uspokojona. — Nie wiem, ilu pannom złamałeś serce, ale dla mnie nie było nigdy nikogo innego prócz ciebie.

Kamienna Cerera wyciągała nad nimi ręce z pękami ziół i kłosów, pochylała wdzięcznym ruchem głowę w stronę uśmiechniętej dziewczyny, choć na jej policzkach nie zdążyły jeszcze obeschnąć niedawne łzy.

15 — Talerz z Napoleonem

225

— Co ci jest, Ludwiku? — cesarzowa Eugenia przerwała układanie ulubionego pasjansa i nie wypuszczając kart z ręki spozrzała niespokojnie na syna.

— Jego Wysokość nie może dziś znaleźć sobie miejsca — pani Lebreton posłała księciu uśmiech pełen pobłażania dla wybryków młodości.

Gdybym ci powiedział, mamu — zaśmiał się Lu — przez całą noc nie zmrużyłabyś oka.

Pani Lebreton wstała i złożony rewerans wycofała się dyskretnie z salonu. Podejrzewała, że matka i syn mają sobie do powiedzenia rzeczy tylko ich obchodzące.

— Czy myślisz, że potrafię zasnąć po tym, co mi powiedziałeś? — cesarzowa Eugenia wrzuciła karty do pudełka. — Będę sobie wyobrażała nie wiadomo co, po twojej minie wszystkiego mogę się spodziewać, nawet tego, że zechcesz wziąć udział w wyprawie przeciw Zulusom.

Po tych gwałtownie wyrzuconych słowach w salonie zapadła cisza. Serce Eugenie prawie przestało bić.

— Zgadłaś. — Księżę nie ukrywał zdumienia. — Ale jak się domyśliłaś, mamu?

Nie była zdelna do odpowiedzi, nie była zdolna do najmniejszego ruchu czy gestu. Siedziała w fotelu sztywno wyprostowana, czując, że uchodzi z niej życie.

—! Mamu — przestraszył się. — Tak dziwnie wyglądasz... Czemu się przejmujesz? Przecież nie mogę wiecznie tkwić pod twoim skrzydłem w Camden

Place.

— Nie możesz... — powtórzyła głucho.

— Zrozum, mamu, duszę się, tu nie ma dla mnie żadnej przyszłości, a ja mam zadanie do spełnienia.

Najwyższy czas, żebym wyruszył na podbój Francji, bo Francja czeka na mnie, odda się dobrowolnie tylko żołnierzowi, i to zwycięskiemu żołnierzowi. A ja muszę zdobyć Francję!

— Francja, zawsze Francja. A co ze mną? — Twarz jej nagle się postarzała. — I ty, Bonaparte, chcesz ukryć Napoleona pod angielskim mundurem? Ty, syn bohatera spod Magenty i Solferino?

— Mamu, droga mamu — księżę przypadł do jej kolan. — Odłóżmy tę rozmowę do jutra, proszę cię. Jutro rano powiemy sobie wszystko, oboje przedstawimy nasze argumenty. Jestem pewien, że uznasz moje racje za słuszne.

— Nigdy! — podniosła głowę. Oczy jej płonęły. — Nigdy! — powtórzyła ze zwykłą energią. — Nie puszczę cię, nie pozwolę ci wyjechać z Anglii. Co na to powiedziała Francja?

226

Francja czeka, żebym wreszcie wydorósł — odparł porywczo — żebym wreszcie przestał być „małym księciem”.

— Gdyby stało się jakieś nieszczęście, nikt ciebie nie będzie żałował, słyszysz? Nikt. Przeciwnie, wszyscy obrócą się przeciwko tobie, oskarżą cię... Pomyśl tylko!

— Nie mógłbym dłużej tak żyć. — Szybkim krokiem przemierzył salon. — Umarłbym z nudów i z bezczynności, podobnie jak mój kuzyn Reichstadt.

Tej nocy nawet się nie położyła. Wsłuchana w ciszę i we własne serce przebiegła pamięcią całe życie. Zegar na kościelnej wieży wydzwaniał kolejne godziny, zdając się odmierzać czas pozostawiony jej do wypełnienia.

Więc przestał się już z nią liczyć. Jej zdanie nie miało już dla niego żadnego znaczenia. Nie potrzebował jej rady, wiedział, co miał czynić. Lulu, jej Lulu. Pierwszy raz sam, bez pytania, podjął tak ważną decyzję. Postawił ją przed faktem dokonanym, jak gdyby ten straszny zamiar dotyczył wyłącznie jego osoby, nikogo więcej. A przecież on nie należy do siebie, nie ma prawa narażać życia dla obcej zupełnie sprawy. Cóż z tego, że Anglia udziela im schronienia, że tu, na tej ziemi, znaleźli dom. Anglia ma tysiące młodych ludzi, których obowiązkiem jest walczyć pod jej sztandarami. Ale on, Ludwik Napoleon? Co jemu do tego, że jacyś biedni, uciemiężeni Murzyni wymordowali angielski garnizon gdzieś hen w Afryce? To wyłącznie sprawa Anglików, oni sami potrafią ją załatwić. Jej synowi nie wolno dobywać szpady za obce mu ideały.

Niestety, znała go zbyt dobrze, znała jego upór, był przecież do niej podobny nie tylko z rysów twarzy. Wiedziała, że nic nie odwiedzie go od szaleńczego zamysłu.

Boże, Boże, co robić? Jak nie dopuścić do kroku, który może okazać się nieodwracalny? On, taki młody, a więc nieświadomy niebezpieczeństw, na jakie się narazi, nieświadomy czyhających na niego wrogich sił. Czym go wzruszyć? Jak uprosić, ubłagać, by nie zabijał jej tym postanowieniem?

Wiedziała, że wszystko będzie daremne, daremne jej łzy i jej rozpacz. Nic go nie ugnie, nie skruszy jego woli, skoro raz postanowił.

227

Spotkali się na śniadaniu, oboje zmęczeni nocną walką z najdroższym przecież przeciwnikiem.

Wobec domowników nie poruszyli tematu, który palił im wargi. Dopiero gdy wstawszy od stołu cesarzowa Eugenia przeszła do długiej galerii, książę pospieszył za matką i przypuścił szturm.

— Dopóki choć jeden oficer z mojej baterii pozostawał w Anglii — spojrzał jej błagalnie w oczy — mogłem siedzieć spokojnie w domu. Ale skoro wszyscy oprócz mnie wyruszyli do Afryki, honor nie pozwala mi wahać się dłużej. Inaczej nie śmiałbym pokazać się w Aldershot.

— Rozumiesz jak angielski oficer — przerwała. — A Francja? Pomyśl o Francji.

— Przecież wiesz, że z myślą o Francji podjąłem tę decyzję. Chcę, żeby w ojczyźnie poznano, kim jestem. Moje imię to jedynie symbol, nie dla wszystkich czytelny, a ja sam — istota nieznana. Oprócz niewielkiego grona przyjaciół dla przeciętnego Francuza jestem cieniem wywołanym z historii. Przywódcy naszego stronnictwa traktują mnie jak dziecko, nikt mnie nie słucha, nie wolno mi mieć własnego zdania. Gdy ułożę przemówienie czy proklamację, stary Rouher przerabia mój tekst na swoje kopyto, nie pytając mnie nawet o zgodę. Jestem dla nich kukłą, którą obracają na wszystkie strony według ich widzimisie.

— Jesteś niesprawiedliwy — zaprotestowała. — Zapominasz o niebezpieczeństwie, na jakie się narazisz.

— Mężczyzna nie może stronić od niebezpieczeństw — rzucił z pasją. — Mamo, przypomnij sobie ojca. On też musiał podbić Francję, a zanim to uczynił, życie jego było jednym pasmem niebezpieczeństw i ryzykownych posunięć.

Nie mogła nie przyznać racji jego rozumowaniu. Czyż sama nie powiedziała kiedyś, że w jego żyłach płynie krew Napoleona zmieszana z krwią Don Kichota? Na jego miejscu może i ona postąpiłaby tak samo, zresztą nie wszystko jeszcze było stracone. Uprosi królową Wiktorię, by nie pozwolono mu popłynąć do Afryki.

Lu jednak i tu poczynił już pewne kroki. Owszem, lord Cambridge, minister wojny, do którego skierował odpowiednie pismo, odmówił jego prośbie. Książę, nie zrażony, użył wówczas wpływów swoich dawnych zwierzchników z Woolwich oraz autorytetu księcia Walii. I lord Cambridge musiał ustąpić.

Tymczasem wezwani przez cesarzową Eugenię stawili się w Chislehurst pan Rouher, generał Fleury, Tristan Lambert i ruszyli do ataku. Książę pozostał

228

głuchy na ich perswazje, mimo że stary Rouher nie zawahał się ukłęknąć przed młodym człowiekiem, a jego pobrużdżona twarz i wyblakłe oczy błagały o litość.

Ludwika Conneau i Anta książę zawiadomił osobiście o swoim zamiarze, a cesarzowa Eugenia w rozpaczliwym liście do Róży zaklinała na wszystkie świętości, by brat wpłynął na jej syna i odwiódł go od szaleńczej decyzji.

List przyjaciela zastał Anta w Orthez, niewielkim miasteczku niezbyt odległym od Peyrehorade. Delegowano tam młodego podporucznika, by poczynił pewne pomiary nad średniowiecznym mostem, którego kamienny łuk ze strażniczą wieżą pośrodku wtapiał się malowniczo w górski krajobraz, wyrastając jak gdyby z okolicznych skał, upodobniony do nich barwą i konsystencją granitu.

Choć był jeszcze luty i na szczytach białiał śnieg, powietrze pachniało już zapowiedzią wiosny. Choć mroźny podmuch raz po raz przelatował górkim wąwozem, przycupnięte w skalnych szczelinach krzewy wyciągały do słońca kruche gałązki w oczekiwaniu na odnowę życia.

Anto zabrał ze sobą list księcia i odczytał go, siedząc na powalonym głazie, otoczony pustką i ciszą. I nagle na tle mostowego filaru zobaczył Lu tak wyraźnie, jak gdyby przyjaciel stał rzeczywiście oparty o kamienny pilaster. Anto wpatrzył się w zjawę wywołaną jego wyobraźnią i z przerażeniem ujrzał, że księżę broczy krwią, a w jego piersi tkwi długi dziur. Widzenie było tak realne, czerwona krew zdawała się spływać na zalegające podnóże -filaru kamyki, że Anto zerwał się drżący i obłany potem.

— Nie! — krzyknął wyciągając ręce. — Nie! Nie! — I opadły z siłą, kompletnie wyczerpany, runął na kamienistą ziemię czując, że dzieje się z nim coś strasznego, podobnie jak w owym dniu, gdy obchodzono pełnoletniość księcia.

Nie wiedział, jak długo leżał. Gdy ocknął się, był jak gdyby pusty wewnątrz, zupełnie jak ciało pozbawione duszy. Wstał z trudem i z trudem zawlókł się do swojej kwatery.

— Konia! — rzucił żołnierzowi, który z ciekawością przyglądał się panu porucznikowi. — Prędzej! Co tak stoisz?

— Bo pan porucznik... zaczął żołnierz.

— Osiodłaj konia! — krzyknął ostatnim wysiłkiem dobywając głosu. Nie wiedział, jak dotarł do Peyrehorade, chyba koń sam dostawił jeźdźca na miejsce. Na szczęście kapitan Merle był w tak zwanej kancelarii.

— Panie kapitanie — usiłował sprężyć się słuźbiście. — Proszę o urlop.

229

- O urlop? — zdziwił się kapitan. — Co się stało?

- Otrzymałem wiadomość — dotknął kieszeni, gdzie spoczywał fatalny list. - Sprawa najwyższej dla mnie wagi.

— Sprawa najwyższej wagi — powtórzył kapitan Merle, zagorzały zwolennik żelaznej dyscypliny. — I cóż to za sprawa? — nie spuszczał oczu z bladej twarzy młodego człowieka.

- Osobista... — Anto oddychał z trudem. — Proszę, panie kapitanie, bardzo proszę. Jeżeli pan mi odmówi, jestem gotów na wszystko. Nawet... na dezercję! - wyrzucił w nagłym porywie rozpacz.

— Na dezercję? — Kapitan Merle podniósł się z krzesła. — Poruczniku

Ordega, co się panu stało?

— Nie wiem. Ale stanie się coś strasznego, jeśli natychmiast nie wyjadę. Kapitan Merle przyjrzał się uważnie swojemu podwładnemu. Chwilę milczał.

— - Z uwagi na pańską dotychczasową służbę bez zarzutu — powiedział wreszcie z namaszczeniem — z uwagi na sumienność w wykonywaniu obowiązków — zawiesił głos — udzielam panu dwutygodniowego urlopu.

Nie pamiętał, jak dojechał do Bordeaux. Nie czuł ani głodu, ani zmęczenia. W Bordeaux wsiadł do paryskiego pociągu.

Gdy zjawił się w domu, Zelia, która mu otworzyła, ujrawszy jego wymizerowaną twarz i nieprzytomne oczy, przeżegnała się głośno.

— Nieszczęście — wydyszał w odpowiedzi na jej przerażone spojrzenie. —

Nieszczęście!

— Jakie nieszczęście? — Róża wbiegła do westybulu i na widok brata zatrzymała się jak wryta. — Anto? O czym ty mówisz? Anto?

- Lu — zdołał tylko wykrztusić. — Nieszczęście! — Co z Lu? — chwyciła brata za ramiona. — Mów!

— Widziałem go we krwi... tak samo jak wówczas w Chislehurst... Cały we krwi... On nie może tam jechać, nie może, to śmierć!

— Nie może — powtórzyła z lękiem. — Otrzymałam właśnie list od cesarzowej Eugenii. Rozpaczliwy list. Prosi, abyś na niego wpłynął.

— Zaraz jadę.

— Chodź, umyj się, odpocznij chwilę. Zelia już podaje śniadanie.

— Mam tu świeżą koszulę — wskazał torbę podróżną. — Może Zelia trochę oczyści mundur. Muszę zdążyć na pociąg do Calais.

— Wyjaśnij mi, co się właściwie dzieje w tym Zululandzie — Róża siadła przy stole naprzeciw brata, patrząc jak je, podsuwając smakołyki przygotowane przez Zelię.

230

— Wiesz chyba, że mieszkańcy południowo-wschodniej Afryki powstali przeciw Anglikom.

— Wiem. Po co Anglicy pchają się do Afryki?

— Tam jest złoto. — Anto posmarował masłem nową kromkę chleba. — A w ogóle ci Zulusi, bo o nich mowa, byli najpotężniejszym plemieniem w tej części Natalu. Stworzyli własne państwo. Podbijali sąsiednie ludy i prowadzili ciągle wojny. To niezwykle bitny naród. Napadali nie tylko na Murzynów, ale i na białych, którzy zagarnęli ich ziemie. Na holenderskich kolonistów. Wreszcie podnieśli rękę na Anglików. Niejaki Cettiwayo stanął na czele rebelii. Zulusi wycięli w pień garnizon stacjonujący w Izanduli. Anglia, naturalnie, nie może tego puścić płazem. Gdy więc nadeszła do Londynu wiadomość o klęsce, rząd królowej Wiktorii postanowił wysłać tam specjalny korpus ekspedycyjny. To wszystko.

— To straszne — westchnęła.

— Tak, teraz toczy się tam krwawa wojna. Najgorsze, że Lu postanowił zaciągnąć się do ochotniczych oddziałów. Napisał mi o tym. Slade i Bigge już odpłynęli. A gdy Woodhouse przed odjazdem zjawił się w Camden Place, żeby się z nim pożegnać, Lu poczuł, że nie może zostać w Anglii, skoro koledzy z Woolwich wyruszyli do Zululandu. Powiedział mu więc, że uczyni wszystko, by i jemu pozwolono wziąć udział w ekspedycji. Ale to czyste szaleństwo! On nie ma prawa! Ja na to nie pozwolę!

— Jak zdołasz przeszkodzić, jeżeli cesarzowa Eugenia, pan Rouher, generał Fleury i inni nie nie wskórali?

— Ale ja widziałem! — wzdrygnął się. — Widziałem — powtórzył szeptem. — To śmierć.

— Mój Boże! — Róża złożyła ręce. — Żeby Lu jechał ujarzmić nieszczęsnych Murzynów! To wcale do niego nie pasuje. Taki szlachetny chłopiec!

— Nie dopuszczę do tego. — Anto odsunął talerz i wstał. — Na mnie czas. Obym tylko zaraz miał statek do Dovru.

— Mela będzie niepokieszona. Gdyby wiedziała, że przyjedziesz, nie poszłaby do pani Pommier. Nasza dawna sąsiadka przyszła po nią, chce jej pokazać jakieś stare koronki.

— Uściskaj ją ode mnie i pozdrów Ryszarda. Żegnaj, Różyczko.

W Calais mgła spowiła morze. W takich warunkach przeprawa przez Kanał była wielce utrudniona. Anto z ulgą pożegnał białe skały francuskiego wybrzeża, ledwie widoczne

231

w mlecznym tumanie. Syrena wyła bez przerwy. Jednak im bliżej byli Dovru, tym widoczność stawała się lepsza. W Londynie, o dziwo, świeciło słońce.

— Wiedziałem, że przyjedziesz — tymi słowami Lu przywitał przyjaciela. Twarz miał rozradowaną, oczy błyszczące. — Chodźmy do mnie.

— Słuchaj, Lu, to niemożliwe.

— Co jest niemożliwe? — Lu udawał, że nie rozumie, o co chodzi.

— Twój udział w poskramianiu buntu Zulusów.

— Mama zdążyła już zawiadomić panią Różę — uśmiechnął się z rezygnacją.

— Owszem, zawiadomiła ją, aleja nie dlatego... Ja jeszcze przedtem... Nie możesz tam jechać. — Był blady i oddychał ciężko.

— Anto, co tobie?

— Posłuchaj mnie choć raz, ten jeden raz. I uwierz moim słowom. Nie wolno ci tam jechać!

— Już za późno.

— Nigdy nie jest za późno na rozsądną decyzję. Nie bój się, nikt nie oskarży ciebie o tchórzostwo. Co tobie do Zulusów? Niech się Anglicy sami z nimi biją, jeśli chcą. Co tobie do tego? Pamiętasz, jak przyrzekaliśmy sobie, że dobedziemy szpady wyłącznie dla obrony Ojczyzny, dla wyzwolenia uciśnionych. A tu co? Anglicy krwawo stłumią powstanie, słuszność nie leży po ich stronie. W tym konflikcie oni są agresorami. Zulusi żyją u siebie, na swojej ziemi. Lu, pomyśl o tym. Przecież i ty czujesz tak samo!

— Tak samo — Lu pochylił głowę. — Zawsze czuję tak samo. Ale w tej sytuacji nie mogę zostać. Zrozum, zgłosili się wszyscy dawni koledzy z Woolwich. Na wieść, że i ja udaję się do Zululandu, czterdziestu młodych Francuzów postanowiło popłynąć wraz ze mną, jako moja „przyboczna gwardia”. Czy to nie piękne?

Ale im nie pozwolono. Nie będzie przy mnie żadnego rodaka. — Wyraz rozradowania na jego twarzy ustąpił miejsca zwykłemu smutkowi. — Będę sam. Może to i lepiej.

— Nie zgadzam się! Nie pozwalam! — krzyknął Anto. — To śmierć. Ja wiem! Śmierć!

— Jeżeli śmierć jest mi pisana... — Lu spojrzął w okno ponad głową przyjaciela. — Cóż, nie uniknę jej, nawet gdybym ukrył się w skarbcu Banku Angielskiego.

— Czy moje słowo nic dla ciebie nie znaczy?

— Wiesz dobrze, że znaczy bardzo wiele, ale w tym wypadku honor nie pozwala mi usłuchać twoich rad.

232

Dwudziestego siódmego lutego odpływał z Southampton do Natalu „Dunaj” z nowym „ładunkiem” ochotników.

W wigilię tego dnia księżę zaprosił Anta do swojego gabinetu.

— Zanim przyjdzie Ludwik Conneau — spojrzął prosto w oczy przyjacielowi — pragnąłbym prosić cię o pewną przysługę.

Anto ledwie trzymał się na nogach. Całą noc nękały go koszmarnie wizje, rozpacz ścisła gardło, rozsadzała, zdawałoby się, serce. I był bezsilny. Wola Lu oparła się wszelkim jego perswazjom.

— Ja zrobię wszystko, co zechcesz — powiedział z goryczą. — To ty odmawiasz mi tej jednej rzeczy.

— Wybacz, Anto, wybacz, bracie. Nie chowaj do mnie urazy. Tak być musi. Widocznie to moje przeznaczenie. Posłuchaj, proszę, i obiecaj, że spełnisz moją prośbę. Widzisz... jest w moim życiu ktoś, o kim nikt nie wie... To Charlotta... Charlotta Watkyns... Ona nie wie, kim jestem. W razie czego... Będzie mi lżej odjeżdżać, jeżeli mi obiecasz, że podasz jej rękę, gdy... Nasz poczciwy Dumont da ci adres... Uczynisz to dla mnie?

Gabinet zawirował w oczach Anta.

— Lu... — jęknął. — Lu!

— Idź już. Mam jeszcze wiele do zrobienia. Zobaczymy się jutro rano. Anto wyszedł, chwytając się ścian, żeby nie upaść.

Potem w galerii zebrała się cała służba Camden Place.

— Chciałem wam wszystkim serdecznie podziękować — zaczął księżę, spoglądając kolejno po obróconych ku niemu twarzach, które tak dobrze znał. — Wybieram się w długą i niebezpieczną podróż. Pozwólcie, że każdemu z was uścisknę rękę na pożegnanie.

Ludzie płakali, a on był pogodny jak nigdy.

Czekała go teraz pracowita noc. Spędził ją przy biurku na porządkowaniu papierów.

Oto listy od najbliższych przyjaciół, wśród nich błękitne koperty od Anta, te ostatnie z Peyrehorade. Księżę bierze drobno zapisany arkusik, jeden z pierwszych, jakie otrzymał z Pirenejów.

„...objeżdżam okolice. Co to za cudowne miejscowości, zagubione w górach, pełne skarbów, o których nikt nawet nie słyszał! Takie na przykład miasteczko Orthez... gotycki kościół i most z zamierzonych czasów, jakiego dziś nie powstydziliby się najlepszy inżynier... Największa niespodzianka oczekiwała

233

mnie w Luz Saint-Sauveur. Jest tam wspaniały most zawieszony łąką sześćdziesiąt pięć metrów nad płynącą w głębokim wąwozie rzeką Gave. Na filarze u wejścia na most wryto napis: »Ich Cesarzom Napoleonowi Trzeciemu i Cesarzowej Eugenii — wdzięczni mieszkańcy Luz Saint-Sauveur«. Na szczycie kolumny rozpina skrzydła orzeł cesarski, a most nazywa się mostem Napoleona. Wzniesiono go jedenaście lat temu. Wyobraź sobie moje wzruszenie, gdy to przeczytałem...”

O tak, doskonale sobie wyobrażał, bo i jego wzruszyło to spotkanie z przeszłością. Jedenaście lat temu, a więc w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku... Boże, jaki był wówczas szczęśliwy.

Listy znikły w szufladzie sekretery. Księżę wyjął czysty arkusz papieru i napisał u góry: „Mój testament”.

Rano padał śnieg. O wpół do ósmej Lu spotkał się z przyjaciółmi w kościele w Chislehurst na mszy, którą ksiądz Goddard odprawił specjalnie w intencji odjeżdżającego. Po spowiedzi wszyscy przystąpili do komunii. Ksiądz Goddard spoglądał z trwogą na pogodną twarz księcia. Dręczył go niepokój.

Cesarzowa Eugenia jak zwykle nie okazała słabości, tylko serce jej łomotało bólem i rozpaczą. Bezgłośnie powtarzała sobie: „Odjeżdża, zostawia mnie, wychodzi spod mojego wpływu i opieki. I już nigdy nie będzie tak, jak dawniej. Nigdy!”

Wraz z przyjaciółmi księcia odprowadzała syna do Southampton. Gdy Lu wstąpił na pokład „Dunaju”, na główny maszt, oprócz angielskiej flagi, wciągnięto sztandar trójkolorowy. Był to zaszczyt, który spotykał wyłącznie koronowane głowy. Księżę docenił gest angielskiego rządu, jakim wygnańca zegnała gościnna Wyspa.

Oparta o drewnianą balustradę mola, cesarzowa Eugenia nie spuszczała oczu ze szczupłej postaci syna. Czerwień munduru odcinała się barwną plamą od szarzysty zimowego dnia.

Księżę stał na pokładzie, przywarty wzrokiem do twarzy matki. Jakże była smutna! A jaka dzielna! Wiedział, z jakim trudem powstrzymywała łzy. Ale jak zawsze potrafiła zdobyć się na bohaterstwo. Żałował, że sprawia jej ból, ale decyzji swojej nie żałował. Czuł się wolny, nareszcie wolny i szczęśliwy. A matka... Ma silny charakter, był pewien, że przezwycięży przygnębienie i będzie czekała w tymże samym porcie, by go powitać zwyciężcą.

234

Cesarzowa Eugenia wróciła do Camden Place tak przybita, że domownicy zlekli się o jej zdrowie. Od razu poszła do pokoi syna. Dotykała książek, które ostatnio czytał, przestawiała drobiazgi na biurku i na komodzie, otworzyła szafy, przeglądała ubrania i bieliznę. Wyjęła następnie francuskie mundury, które zamówił w oczekiwaniu na swój „powrót z Elby”, obejrzała skromne, złotem haftowane dystynkcje porucznika na błękitnym suknie. W pozostawionej w sypialni książce do nabożeństwa znalazła kartkę z modlitwą wypisaną jego ręką.

„Błagam Cię, Boże, spraw, żeby nie było dla mnie szczęścia na tej ziemi. Nie chcę go. Racz usunąć je z mojej drogi”.

Co to znaczy? Przestraszona, wpatrywała się w tak dobrze znane pismo, wyrażające tak zaskakującą prośbę. Jak to? Dlaczego uciekał od szczęścia? Czego się bał? Człowiek tak młody, a już tak zgorzkniały? Nie, to nie gorycz, to tęsknota serca. Ale za czym tęskniło serce Ludwika Napoleona? Więc aż tak mało go znała? Tak mu było z nią źle, że wołał oddzielić się od niej szerokością oceanów?

Długo siedziała w fotelu przy łóżku, spoglądając w okno. Na czuby topoli wstrząsane wichurą. Długo obracała w palcach kartkę z modlitwą godną pustelnika czy anachorety, który dobrowolnie wyrzekł się uciech tego świata.

Nazajutrz przyjęła Anta i Ludwika Conneau. Przyjaciele Lu przybyli pożegnać się i złożyć jej uszanowanie.

— Jesteś bardzo mizerny, Anto — zauważyła z cieniem dawnego uśmiechu. — Uściskaj ode mnie moją najdroższą Różę. Wiele bym dała, by mieć ją tu blisko.

W pociągu zdążającym do Dovru chłopcy prawie z sobą nie rozmawiali. Dopiero gdy wsiedli na statek, Ludwik Conneau popatrzył z troską na przyjaciela.

— Rzeczywiście, Anto, bardzo źle wyglądasz. Nie wolno tak się przejmować. Przecież Anglicy będą nad nim czuwać, nie pozwolą mu wystawić się na niebezpieczeństwo. Jest ich gościem.

— Ich gościem — powtórzył Anto z goryczą. — Jak mogli zgodzić się? Nie mieli prawa pozwolić! — Trząsł się w bezsilnej pasji. — Mówiłem mu, prosiłem, nie słuchał mnie nawet.

— Lu wiezie list od ministra wojny do lorda Chelmsforda, głównodowodzącego siłami angielskimi w Natalu. Lu ma być przydzielony do jego sztabu.

235

Podobno minister napisał tam, polecając księcia uwadze lorda Chelmsforda: „Obawiam się jedynie, by nie okazał się zbyt odważny”.

— Wiesz, o czym myślę? — Anto zdawał się nie słyszeć słów przyjaciela, wpatrzony w ciemne wody Atlantyku. — Lu płynie do Przylądka Dobrej Nadziei, niegdyś holenderskiej kolonii. Jego dziadek, Ludwik Bonaparte, był wówczas królem Holandii. To Anglicy odebrali Holendrom te ziemie. A oto wnuk króla Ludwika w angielskim mundurze spieszy, by ogniem i mieczem poskromić bunt i skłonić do posłuszeństwa wobec Anglii tych Zulusów, którzy przez jakiś czas byli pod władzą jego przodka. Czy to nie dziwne?

— Wręcz zastanawiające! — wykrzyknął Conneau. — Skąd ci to przyszło do głowy?

Stojąc na molo w Southampton, zanim „Dunaj” podniósł kotwicę, słyszałem, jak rozmawiali o tym jacyś Anglicy i jeden z nich tak zakończył: „Such is fate” — taki jest los.

— Taki jest los — powtórzył Ludwik Conneau szeptem. — Mój Boże! Po co Lu to zrobił? Po co?

— Dawno tu nie byłam. — Róża powiodła spojrzeniem po wąskich fasadach starych kamienic, pamiętających zamierzchłe chyba czasy. Cudem jakimś ocalały spod niszczycielskiego kilofa barona Haussmanna — ów prefekt Paryża kazał burzyć najstarszą zabudowę średniowiecznego jeszcze miasta.

— Jesteśmy w sercu stolicy, a tak tu cicho i spokojnie, jak w prowincjonalnym miasteczku — zauważył Ryszard. — Choćby ten plac przed kościołem.

— Bywaliśmy tu niegdyś z Dziadusiem — westchnęła. — Różne ciekawe rzeczy opowiadał o tej dzielnicy.

— To dzielnica rzemieślników, nasz mistrz Odilon też ma tu warsztat.

— Popatrz na nazwy ulic, o, na przykład ta: ulica Szklarzy — odczytała głośno. — A tabliczka na tamtym rogu, widzisz? Ulica Lombardów. Dziaduś mówił, że to byli włoscy bankierzy, z Lombardii, którzy tu mieli niegdyś swoje kantory. Pamiętam także, że jest tu gdzieś ulica Nożowników.

— Straszna nazwa! — zaśmiał się Ryszard.

— O, to właśnie ta za kościołem, ale nie bój się, nikt nas tu nie zarżnie. Dawniej nazywano tak rzemieślników wyrabiających noże.

236

— Szukajmy domu mistrza Odilona — przypomniał. — Po to tu przyszliśmy.

— Nie tylko po to — uśmiechnęła się. — Dla mnie to cudowna wycieczka w przeszłość. Zaraz znajdziemy twojego mistrza Odilona. Wiem, gdzie to jest. Ten mały zaułek. Spójrz, jaki malowniczy.

— Pasaż Ślusarzy — odczytał Ryszard. — Tak, to tu. Pójdę teraz do warsztatu, a ty zostań chwilę. Obejrzę klamki i powiem, że jutro czekam na niego w alei Cesarzowej. Trzeba tam dokończyć roboty. — Ryszard zagłębił się w ciemną i wąską gardziel pasażu, który w blasku wiosennego słońca utracił wszelką tajemniczość.

Róża została sama ze wspomnieniem dawnych spacerów i Dziadusiowych opowieści. Poszła w stronę kościoła Świętego Merri, jak ówcześni mieszkańcy tej dzielnicy zdrobnili imię patrona, świętego Mederyka. Późny płomienisty gotyk strzelał w niebo ścietą wieżą, w malowanych szklach witraży kolorową tęczę odbijało się słońce. Wspomniała obraz w jednym z bocznych ołtarzy, Dziaduś kazał im podziwiać to dzieło, święty Merri uwalniał na nim więźniów, był bowiem patronem jeńców i niewolników, proszono go o wstawiennictwo w oswobodzeniu uwięzionych.

Ryszard zabawił nieco dłużej, niż przypuszczała, ale nie żałowała tej chwili samotności. Zdawało jej się, że słyszy głos Zmarłego, gdy mówił: „Jak ja ciebie zostawię? Nie mamy nikogo”. A oto nie była już sama, Dziaduś od dawna nie potrzebował się o nią martwić. I nic by jej nie brakowało do szczęścia, gdyby nie Anto. Od wyjazdu Lu Anto nie miał chwili spokoju. W listach dzielił się z siostrą całym swoim udęczeniem. I po co? Przecież Anglicy dobrze dbają o bezpieczeństwo księcia, Anto nie może tak się przejmować i żyć pod ciągłym wrażeniem złudnej wizji.

W tej chwili z pasażu wyłoniła się wysoka postać Ryszarda. Zanim pójda do domu, Róża chce jeszcze trochę podeptać te stare bruki i odświeżyć wspomnienia.

— Bardzo ładne stylowe klamki mistrz Odilon dorobił do tych drzwi na pierwszym piętrze. — Ryszard wziął Różę pod ramię. — Wracajmy.

— Poczekaj chwilę. Pójdźmy jeszcze ulicą Lombardów w tamtą stronę, na róg ulicy Quincampoix. To właśnie tam słynny Law założył swój bank. W ciągu paru dni wyrosły tu milionowe fortuny. Dziaduś mówił...

Zamilkła nagle.

237

Na rogu, zwrócony frontem w ulicę Quincampoix, odbijał od starych tynków, pokrytych patyną szarości, dom nowego stylu, choć również jak sąsiednie poszarzały. Wydawało się nawet, że czas z większą zajadłością pastwił się nad tym budynkiem za jego względną nowość.

— Co się stało? — Ryszard pochylił się nad żoną. — Źle się czujesz?

— To tu — głos miała zdławiony. — To tu, słyszysz, Ryszardzie? Już wiem. Przypomniałam sobie. Wszystko sobie przypomniałam.

— Co sobie przypomniałaś? — Ryszard był wyraźnie zaniepokojony.

— Wszystko. Ten bank... Bank, gdzie Dziaduś i Zygmunt Żeran złożyli pieniądze... To tu.

— Ale to nie jest bank. Na domu nie ma tabliczki ani szyldu.

— To nic. Wiem, że to tu. Chodźmy.

— Zaczekaj. Z pewnością mylisz się. To zwykły dom mieszkalny.

— Może. Ale tu był bank.

— Skąd ta pewność?
— Dziaduś mówił — aż drżała z niecierpliwości. — Chodźmy prędzej, proszę cię, Ryszardzie.
— Rózo' — powstrzymał ją łagodnie. — Co mówił Dziaduś?
— Opowiadał o systemie Lawa i o krachu finansowym, który spowodował 0 ażyotażu i różnych giełdowych spekulacjach. Właśnie przechodziliśmy wówczas obok tego domu. Dziaduś zatrzymał się i powiedział: „Parudniowi milionerzy za czasów Lawa tracili wszystko w ciągu jednej minuty. Tak samo I ja. Law zrujnował wielu Francuzów. Ja też nie mam nic. Wszystko tu poszło z dymem”. I wskazał ten dom. Myślałam, że mówi o Ojczyźnie, o Powstaniu, a on jeszcze dodał: „Ta ulica jest przeklęta”. Zapytaj Anta, on też to musi pamiętać. Chodź, wejdźmy do tego domu, porozmawiamy z dozorczy- nią.
Akurat do drzwi zbliżył się listonosz. Stojąc na chodniku poczekali, aż zostawi konsjerżce pocztę dla lokatorów, po czym i oni weszli do sieni.
— Kogo państwo szukają? — Dozorczyńni wychyliła się z okna łoży. Była młoda i ładna. Przed nią leżały listy, które miała roznieść po mieszkaniach.
— Chcemy się dowiedzieć — zaczęła Róza i urwała. Coś ją dławiło w gardle.
— Czy w tym domu był kiedyś bank — dokończył Ryszard.
— Ten dom zbudowano na miejscu, gdzie był bank — wyjaśniła dozorczyńni. — Już dawno temu. „Edmund Mourier i syn”, tak nazywał się ten bank, ale spłonął.
— Spłonął?
238

X

— Tak. Był wielki pożar. Właściwie tam chyba wybuchła bomba, bo wszystko wyleciało w powietrze i spaliło się. Cały budynek.
— Nie wie pani, kiedy to się stało? — dopytywał się Ryszard.
— Za rewolucji lipcowej, w tysiąc osiemset trzydziestym roku — odpowiedziała trzęsąc głową. — Wszędzie tu wzniesiono barykady. Ludzie bili się. Wielu zginęło. Gdy w banku wybuchła bomba, w całej ulicy powypadały szyby z okien. Wiem o tym od moich rodziców, mnie nie było jeszcze na świecie — zaśmiała się kokieteryjnie. — Moi rodzice wszystko to widzieli na własne oczy. Ojciec był dozorcą w banku. Cudem uniknęli śmierci.
— A... bankier, pan Mourier?
— Został zrujnowany. Wkrótce potem umarł. Mówiono, że ze zgryzoty. To był bardzo uczciwy człowiek. Nie mógł przeżyć tego nieszczęścia. Przepadły wszystkie pieniądze, jakie ludzie złożyli w banku. Dla jego klientów to była ruina.
— Rzeczywiście, straszne nieszczęście.
— O tak. I wie pani — zwróciła do Ryszarda posmutniałą nagle twarz — tylko jedną rzecz ojciec mój wygrzebał z pogorzeliska. Chcą państwo zobaczyć?
— Prosimy — przytaknęła skwapliwie Róza.
— Niech państwo wejdą — otworzyła szeroko drzwi do schludnej kuchni. W rogu stał stół i dwa krzesła. Nad nim wisiał talerz. Talerz z Napoleonem.
— Trzeci talerz — szepnęła Róza przejęta zabobnym nieledwie lękiem.
— Trzeci talerz — potwierdził Ryszard. — Pani pozwoli? — zdjął talerz ze ściany. — Spójrz, znać jeszcze na nim skutki pożaru, ma osmalone brzegi i w dwóch miejscach jest sklejonny. Ale to ten sam.
— Ten sam — powtórzyła bezgłośnie.
— Znają państwo ten talerz? — zainteresowała się dozorczyńni.
— Tak. Mamy dwa identyczne. Były tylko trzy.
— Chcielibyśmy odkupić od pani tę pamiątkę — wyznała nieśmiało

Róża.

— Słusznie nazwała to pani pamiętką. — Kobieta wydawała się niezdecydowana. — Ale dlaczego tak państwu zależy?...

— Bardzo nam zależy. — Ryszard nie wypuszczał talerza z ręki. — Zaraz pani wyjaśnię. Nasi dziadowie złożyli w tym banku pewne sumy oraz ten talerz. Odebrać pieniądze można było wyłącznie za okazaniem podobnego talerza, a jak pani mówiłem, były takie trzy. Trochę to dziwaczny warunek,

240

ale byli wówczas bardzo młodzi. Pieniądzy nie odzyskali, wiemy teraz dlaczego, a ten talerz... Rozumie pani, czemu pragniemy mieć tę pamiętkę?

— Rozumiem — przytaknęła i biorąc talerz z rąk Ryszarda, wytarła go starannie fartuchem. — Proszę — podała talerz Róży. — Pieniądzy nie ma, niech więc choć talerz... Jest trochę krzywo sklejonny, popękany od ognia... Dziw, że ocalał.

— Dziw — powtórzyła Róża.

— I proszę nie myśleć źle o panu Mourierze — dodała prędko dozorczy-ni. — To był naprawdę porządny człowiek. Ojciec nie miał dla niego słów. Nie jego wina, że wszystko spłonęło i ludzie potracili swe pieniądze. On też... Była przecież rewolucja.

— Co za przygoda! — Mela obracała talerz na wszystkie strony. — Rzeczywiście, jest identyczny. Że też musieliście akurat tam pójść! I że ty, Różyczko, skojarzyłaś Lawa i jego bank...

— Zrządzenie losu — oświadczyła Zelia. — Nareszcie będzie spokój. Zawsze mówiłam, że nie ma co liczyć na te pieniądze.

— Zaraz napiszę do Anta — Róża własnoręcznie zawiesiła trzeci talerz w „pokoju Dziadusia”. — Owszem, odpadło nam jedno zmartwienie — przyznała. — Niestety, nadal trapi mnie Anto.

— Zupełnie zapomniałam o liście od pana Filona — powiedziała nagle Mela. — Niepokoi się o cesarzową Eugenię, jest ona w złym nastroju. Łączyła wielkie nadzieje z upadkiem Mac-Mahona. Sądziła, że gdy wybuchną zamieszki, bonapartyści dojdą do głosu i jej syna obwołają cesarzem. Tymczasem wszystko odbyło się spokojnie i oto zamiast cesarza jest nowy prezydent, pan Grevy. „Czyżby więc — pyta cesarzowa Eugenia — republika na dobre przyjęła się we Francji?” Bardzo jest tym zalterowana, pisze pan Filon.

— Republika już nie ustąpi miejsca cesarstwu — zauważył Ryszard. — Z tym cesarzowa Eugenia musi się pogodzić.

— Napiszę do niej — obiecała Róża. — Biedna kobieta, trzeba ją podtrzymać na duchu. Oby Lu wrócił jak najprędzej!

16 — Talerz z Napoleonem

241

W niedzielę, pierwszego czerwca, nad Chislehurst rozszalała się burza, jakiej dawno nie pamiętano. Iście huraganowy wicher zrywał dachy, łamał gałęzie. Piorun trafił prosto w poraniony pień wierzby, przywieszionej niegdyś z Wyspy Świętej Heleny, w ową okaleczała połowę drzewa, które tajemnicza jakaś moc rozszczępiła w dniu śmierci Napoleona Trzeciego

* * *

Wiadomość dotarła do Londynu dopiero w dwadzieścia dni później. Przez ten czas cesarzowa Eugenia, Anto, Ludwik Conneau, Tristan Lambert oraz inni przyjaciele księcia otrzymywali z Natalu entuzjastyczne listy, pełne szkiców i zabawnych rysunków, którymi Lu ilustrował opisy miejsc, wydarzeń i osób. I nikt nie wiedział, nikt nie przypuszczał, tylko Anto czuł się coraz gorzej, coraz bardziej niespokojny o przyjaciela. Gdy królowej Wiktorii oznajmiono tragiczną wieść, nie chciała wierzyć. Przekonała ją księżniczka Beatrycze, która we łzach z telegramem w rękę wbiegła do pokoju matki.

— Nie żyje! — zawołała. — Ludwik Napoleon nie żyje!

— Nie żyje? — powtórzyła głucho królowa Wiktoria. — Jak to nie żyje? — I zamykając oczy osunęła się na oparcie fotela. — Mój Boże, jak ja jej to powiem? Ktoś musi natychmiast jechać do Chislehurst, uprzedzić, by nie dowiedziała się o tym z gazet.

Tej smutnej misji podjął się, na prośbę królowej, wielki szambelan dworu lord Sydney. Przyjął go bawiący wówczas w Camden Place stary książę Bassano, wypróbowany przyjaciel rodziny cesarskiej.

Był letni ranek. Eugenia ubierała się właśnie. Siedząc przed toaletą, spoglądała na swoje odbicie, ale zmarszczki czy siwiejące włosy nie zwróciły jej uwagi, nie były teraz ważne. Wszystko to zniknie, gdy wróci

Ludwik. Znowu będzie młoda jak dawniej. Kulę z łabędziego puchu ujętą w rączkę ze słoniowej kości zanurza w pudełku z ryżowym pudrem i delikatnie otrzepuje nią czoło i policzki.

Jaki piękny dzień! Dawno nie czuła się tak rześka i pełna nadziei. Raptem zapukano do drzwi. Któż mógł niepokoić ją o tak wczesnej porze?

Twarz starego księcia Bassano była biała jak jego włosy.

— Mój syn! — krzyknęła. — Co z Ludwikiem? Chory? Ranny?

242

Księżę Bassano milczał.

— Natychmiast wyruszam do Afryki. Słyszysz pan?. Natychmiast. Księżę Bassano zakrył twarz rękami.

Zrozumiała. Wiedziała, że skończyło się wszystko.

Podłoga usunęła się jej spod nóg... Nieprzytomna upadła na ręce starego przyjaciela.

Całą dobę przeleżała jak martwa. Doktorowi Corvisartowi z trudem udało się przywrócić ją do przytomności.

— Lepiej, żeby straciła rozum — szeptała służba. — Mniej by cierpiała. Niestety, cesarzowa Eugenia nie straciła rozumu, a ból z każdą godziną

stawał się wprost nie do zniesienia.

W Londynie Izba Gmin zebrała się na specjalnej sesji. W Izbie Lordów mówcy sławili odwagę i wojskowe przymioty młodego księcia. W obu Izbach wyrażono żal z powodu tej przedwczesnej śmierci. Osieroconej matce przekazano wyrazy współczucia.

Dwudziestego pierwszego czerwca, z drugiego popołudniowego wydania dziennika „Sztafeta”, Francuzi dowiedzieli się, że nie ma już „małego księcia” na tym świecie. W komentarzu dziennik dodawał, że ziemia angielska okazała się fatalna dla członków rodziny Bonapartych. Porównywano „cesarskiego księcia” z Orlątkiem dodając, że historia rozwiąże kiedyś zagadkę śmierci obu młodzieńców. Jako przyczynę zgonu księcia Reichstadtu wysuwano truciznę, Ludwik Napoleon w opinii dziennika padł ofiarą zdrady.

Dopiero nazajutrz po Paryżu lokalna gazeta z Bordeaux zapoznała swoich czytelników z żalobnym ewenementem. Nim jej egzemplarz trafił do rąk Anta, młody podporucznik wiedział już, co przynosi.

Właściwie spodziewał się tej wieści od dawna, od pierwszego listu Lu, opisującego przyjęcie, jakiego księżę doznał w Capetown, gdzie witano go okrzykami „Niech żyje Napoleon”, „Niech żyje Francja”, oraz w Durbanie, gdzie powitalną salwą grzmiały działa cytadeli.

Anto i Ludwik Conneau spotkali się w Paryżu u Tristana Lamberta.

— Zdążymy jeszcze na nocny pociąg do Calais — oznajmił Ludwik.

— Boję się o nim myśleć — wyznał Tristan. — Boję się myśleć o tym, jak zginął. Myślę teraz wyłącznie o niej, o matce.

Żeranowie, poleciwszy małego Stasia opiece Zelii, a dom — Miguelowi Toreno, wraz z Melą przyłączyli się do trójki przyjaciół. Podczas przeprawy przez Kanał Róża nie odstępowała brata. Anto był wdzięczny za tę troskę, było mu lżej, gdy czuł przy sobie obecność najbliższych.

243

— Jak się to stało? Jak mogli dopuścić? — powtarzał przez zaciśnięte zęby Ludwik Conneau, patrząc na niknące w oddali francuskie wybrzeże.

W Londynie dowiedzieli się wszystkiego, najdrobniejszych szczegółów okrutnej śmierci. Nic z jej potworności nie zostało księciu oszczędzone. Tristan Lambert przyniósł najświeższe gazety.

— Wolę tego nie słyszeć — Mela wysunęła przed siebie ręce, jak gdyby w obronie przed atakiem zła.

— Poczekaj, musimy znać prawdę — Anto przytrzymał jej ramię, gdy usiłowała podnieść się z kanapy. — Jeśli Anglicy są winni...

— Są winni. Nie ulega wątpliwości, że są winni — rzucił się gwałtownie Ludwik. — Nie mieli prawa wysyłać go na tak niebezpieczny rekonesans. Przecież, jak piszą gazety, dokoła obozu czuło się cały czas niewidzialną obecność Zulusów.

— Znasz jednak Lu — zaczął Tristan. — Jego odwaga...

— Nienawidzą nas — Ludwik zacisnął pięści. — Wiesz o tym równie dobrze, jak ja, że Anglicy nas nienawidzą. Od wieków, od początku historii. Nic na to nie poradzą, to widać tkwi w ich podświadomości.

Taki

atawizm.

—t Przecież nie wysłali go na śmierć umyślnie — zaprotestowała Róża.

— Umyślnie nie wysłali — potrząsnął głową Tristan — ale to na jedno wychodzi. „Daily Telegraph” zamieszcza relację swojego korespondenta z Maritzburga.

— Nie chcę słyszeć — Mela zakryła sobie uszy.

— Mów — rzucił krótko Anto.

— Wyznaczono oddziałek złożony z sześciu ludzi pod dowództwem porucznika Careya z zadaniem wyszukania odpowiedniego miejsca na obóz, dziesięć mil w głąb Zululandu. Zaprzyjaźniony Murzyn służył im za przewodnika. Z tymi ludźmi wyruszył Lu.

— Dlaczego Lu? Po co? — zapytała Róża.

— Otrzymał taki rozkaz, choć miał nie brać czynnego udziału w operacjach wojskowych.

Ryszard, który wychodził na miasto, stanął właśnie w drzwiach.

— Spotkałem znajomego — powiedział przyglądając włosy — to niejaki Montjoyeux, wysłannik dziennika „Le Gaulois”. Czytał raport Careya. Pełno tam nieścisłości i niedomówień. Z tego, co powiada, wywnioskowałem, że ten Carey, to nieodpowiedzialny tchórz.

— Z tego, co pisze „Daily Telegraph”, wynika to samo — przytaknął

244

Tristan. — Według tej gazety oddziałek posuwał się wśród tak wysokich traw, że wróg łatwo mógł się w nich ukryć. Po południu rozłożyli się obozem w opuszczonej tubylczej wiosce. Ludzie odpoczywali, gotowali kawę. Nagle przewodnik zauważył, że trawy kołyszają się podejrzanie. W tej samej chwili padł strzał. Porucznik Carey błyskawicznie znalazł się na siodle i rzucił się do ucieczki, żołnierze poszli za jego przykładem. Lu nie zdążył pochwycić swojego wierzchowca. Konie oszalałe ze strachu puściły się galopem, za nimi pomknął koń księcia.

— Lu był wspaniałym jeźdźcem — zaprotestował Ludwik. — Mało kto mógł mu dorównać w tej sztuce. Istny cyrkowy wołytyżer! W biegu wskakiwał na konia bez żadnego trudu. Jak więc...?

— Koń był przestraszony, pędził na oślep za innymi, Lu biegł za nim. Jeden z żołnierzy, mijając księcia, krzyknął: „Prędej, Wasza Wysokość”. Lu dopadł konia, pochwycił popręg, ale rzemień pękł mu w rękę. Koń wyrwał się, a księżę runął na ziemię. Gdy podniósł się, był sam wobec wroga, otaczało go kilkudziesięciu Zulusów, uzbrojonych w dziryty. Zrozumiał, że nie ma dla niego ratunku. Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Anglicy pozostawili go, a sami uciekli jak tchórze. Wyobrażacie sobie, co wówczas czuł? Wiedział przecież, że to koniec, jego koniec.

— Kiedy go znaleźli? — w głosie Róży drżały łzy.

— Nazajutrz. Dowództwo wysłało specjalny oddział na poszukiwanie ciała. Leżał w niewielkim zagłębieniu terenu, zupełnie nagi, odarty z ubrania. Pozostawiono mu tylko medalion, który nosił na szyi. Pokłuty był dzirydami, otrzymał siedemnaście ran, wszystkie z przodu, a więc walczył, nie póbował nawet ucieczki, tak zresztą później zeznali Zulusi. Dzirypy okaleczyły także jego twarz, wargi były pocięte, policzek prawie wyrwany, lewe oko wylupione, prawe, szeroko otwarte, spoglądało w bezchmurne niebo.

— Dość tego, dość! — Mela zerwała się z kanapy. — Lu! Boże, Boże! — wybiegła z pokoju, podnosząc wysoko ręce.

Róża pospieszyła za nią.

— Mów dalej — Anto skinął na Tristana.

— Ze skrzynek po herbacie żołnierze zbili prowizoryczną trumnę — Tristan unikał wzroku przyjaciół, patrzył w okno, na pasemka angielskiej mgły, snujące się nad ulicą. — I tak przewieziono zabalsamowane zwłoki Lu do Durbanu.

— Zwłoki Lu — powtórzył ochryple Ludwik — Jak my to zniesiemy? — zwrócił się do przyjaciół. — Powiedzcie, jak my zniesiemy?

245

Cesarzowa Eugenia nie przyjmowała nikogo. Wyjątek uczyniła jedynie dla królowej Wiktorii. Podobnie jak po śmierci męża, tak samo i teraz, hiszpańskim zwyczajem, pozostawała zamknięta w mroku sypialni. Grube zasłony odcinały ją od czerwcowego słońca, w dwóch kandelabrach dzień i noc paliły się świece. Codziennie też odczytywała ostatnią kartkę, jaką syn nagryzmolił tuż przed wyruszeniem na fatalną wyprawę.

„Kochana Mamusiu, wyjeżdżam za parę minut, nie wiem, kiedy będę miał znowu okazję przesłać Ci parę słów. Chcę Cię tylko najserdeczniej ucałować”. I to wszystko. To był jej testament Ludwika.

Otwarcie oficjalnego testamentu księcia, dwudziestego siódmego czerwca, zgromadziło w Camden Place oprócz bliskich, domowników i służby, również przyjaciół przybyłych z Francji.

Cesarzowa Eugenia, nieporuszona jak posąg, wysłuchała ostatniej woli syna, którą odczytał pan Pietri. Jemu to Lu, przed odjazdem, wręczył pp kryjomu grubą kopertę prosząc, by nic nie mówił o tym matce.

Ludwik, Anto i Tristan skryli się w najdalszym kącie salonu. Antosiowi wydawało się, że w głosie czytającego słyszy echo głosu przyjaciela.

„Spisany w Camden Place — Chislehurst — 26 lutego 1879 roku — zaczął pan Pietri. — To jest mój testament”.

W ciszę salonu wdarło się głuche westchnienie, podobne do jęku. „Pragnę, aby moje ciało spoczęło obok ojca, zanim nasze prochy zostaną przewiezione tam, gdzie spoczywa założyciel naszego Domu, wśród narodu francuskiego, który równie jak on ukochaliśmy[...]

Mam nadzieję, że moja matka zachowa mnie w serdecznej pamięci, jak ja do końca będę myślał przy niej...

Wdzięczność wobec przyjaciół, służby, zwolenników sprawy, którą reprezentuję, nie opuści mnie do ostatniego tchnienia.

Również do końca zachowam wdzięczność dla Jej Królewskiej Mości Królowej Anglii i całej królewskiej rodziny oraz kraju, w którym przez osiem lat doznawałem serdecznej gościny.

Wszystko, co posiadam, zapisuję mojej matce prosząc, by spełniła moją ostatnią wolę”.

Następowała długa lista osób, którym zmarły zostawiał legat czy pamiątkę.

Panu Pietri, doktorowi Corvisartowi, panu Filonowi zapisał po sto tysięcy franków, dziękując za przyjaźń, za dobroć i za oddane usługi.

246

Również po sto tysięcy franków pozostawił swoim „najstarszym i najbliższym przyjaciółom”, czyli porucznikowi Conneau, porucznikowi Ordędze i Tristanowi Lambertowi. „Najstarsi przyjaciele” otrzymali jeszcze po szpilce do krawata z perłą i parę sztuk pięknej broni.

Nie zapomniał książe i o panu Bachonie, dawnym koniuszym, który chciał ofiarować mu konia godnego jego pozycji. Zapisał mu dożywotnią pensję pięciu tysięcy franków.

Pani Lebreton dostała zegarek ozdobiony emalią z brylantowym monogramem księcia.

Dla pana Rouhera, księcia Bassano, księdza Goddarda, proboszcza z Chislehurst, oraz dla pana Strode'a, właściciela Camden Place, zostawiał na pamiątkę drobne kosztowności.

Broń i uniformy przekazywał generałowi Fleury. Długa była lista obdarowanych, o nikim nie zapomniał.

Pragnął też, by cała służba do końca życia otrzymywała obecną pensję.

Po testamentem następował kodycył:

„Proszę, by moja matka pamiętała, że dopóki są na świecie członkowie rodziny Bonapartych, dopóty żyje sprawa cesarstwa. Obowiązki naszego Domu wobec kraju nie wygasną wraz ze mną. Po mojej śmierci przejmie je najstarszy syn księcia Napoleona, by kontynuować dzieło Napoleonów Pierwszego i Trzeciego. Mam nadzieję, że moja matka udzieli mi wszelkiego poparcia, dając mi w ten sposób najwyższy dowód miłości.

Napisane własnoręcznie Napoleon”

Pana Pietri i pana Rouhera książe ustanawiał wykonawcami swojego testamentu.

Nikt nie przerwał ciszy, jaka zapadła po ostatnim słowie zmarłego. Pierwsza podniosła się cesarzowa Eugenia.

— Nie mogę dłużej — powiedziała półgłosem, pochylając głowę. — Muszę zachować siły na jego powrót.

Na ten powrót szykowała się cała Anglia. Najbardziej czynni w przygotowaniach byli kadeci Królewskiej

Wojskowej Akademii w Woolwich. Należało opracować najdrobniejsze szczegóły pogrzebowego

ceremoniału. Drugą sprawą, jaka poruszała opinię publiczną, był tchórzowski postępek porucznika Careya.

Jego raport przedstawiony władzom wojskowym, a ogłoszony publicznie przez Ministerstwo Wojny, wywołał powszechne oburzenie. Widać było wyraźnie, że Carey pragnie zrzucić z siebie odpowiedzialność za to, co się

247

stało, przeinacza fakty, daje niejasną lub wręcz kłamliwą interpretację wypadków, wykrętnie odpowiada przed sądem.

Takie pisma, jak francuski „Globe” czy angielskie „Daily News”, pytały na przykład, jak to możliwe, aby siedmiu ludzi uciekało w takim popłochu, że żaden z nich nie obejrzał się nawet, nie zainteresował losem towarzysza? Ponadto siedmiu dobrze uzbrojonych Europejczyków mogło śmiało stawić czoło gromadzie

Zulusów, uzbrojonych co prawda w straszliwą broń, jaką jest dziur w ich rękach, lecz źle sobie radzących z karabinem. „Dziwną zaiste rolę odegrali aktorzy tej tragedii” — pisał „Globe”, przypominając ponadto, że książę miał być jedynie przydzielony do sztabu lorda Chelmsforda, tymczasem, nie wiadomo z jakiego tytułu, pozostawał w lotnej kolumnie generała Wooda, wysyłanej na najbardziej eksponowane posterunki. Wyszło przy tym na jaw, że książę już raz znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie i tylko cudem uniknął śmierci. I oto znowu szef sztabu, pułkownik Harrisson, wydaje mu rozkaz wyruszenia na rekonesans! Żebyż jeszcze przydzielono mu eskortę lub chociażby dodano specjalnego oficera do ochrony! Przecież są pod ręką tak wyborowe pułki, jak 1 Dragonów Gwardii i 17 Lansjerów. Jak wynikało ze śledztwa, porucznik Carey „przypadkowo” ofiarował swoje usługi na tę wyprawę. Jakże łatwo można było uratować księcia, jakże łatwo siedmiu uzbrojonych ludzi na rącznych koniach mogło rozpedzić Zulusów i nie dopuścić do tragedii! Książę może” spodziewał się odsieczy, walczył przecież Jak lew”, czekał, że towarzysze pospieszą mu z pomocą.

„We Francji — dodawał „Globe” — nie opuścilibyśmy tak nikczemnie zwykłego trębacza. Żołnierz zawsze musi liczyć na braterstwo broni, taki jest kodeks wojskowy”.

„Splamił honor angielskiego oficera — grzmiała londyńska prasa. — Jakże wygląda taki Carey wobec tylu żołnierzy, którzy woleli śmierć niż hańbę! Na szczęście jest on wyjątkiem. Angielscy oficerowie wszędzie dawali przykład bohaterstwa, poświęcenia i odwagi”.

Sąd wojenny w Durbanie zdegradował Careya, który po powrocie do Anglii złożył apelację od tego wyroku.

Wszyscy jednak, zarówno prasa, jak i opinia publiczna, byli przeciwko niemu. Dopiero cesarzowa Eugenia położyła kres tym atakom. W krótkiej notatce prosiła, by nie hańbiono dłużej munduru, który nosił jej syn.

„Nie chcę, by z powodu jego śmierci ucierpiała czyjakolwiek reputacja” — pisała.

Carey, ulaskawiony, wysłany został do garnizonu w Indiach. Cesarzowa Eugenia uratowała go od kary. Ale nie od ludzkiej pogardy.

248

Wracał na pokładzie „Orontesa”.

Od początku lipca zlewają Anglię potoki deszczu, gwałtowny wiatr łopocze w żałobnych draperiach.

Wszystkie flagi opuszczone do połowy masztu. W sklepowych witrynach fotografie księcia otoczone krepe. I wszędzie tłumy. Inwazja Francuzów na londyńskie hotele.

Dziesiątego lipca o wpół do ósmej rano „Orontes” zarzuca kotwicę w Portsmouth. Na nabrzeżu liczne zgromadzenie: członkowie rodziny Bonapartych, książę Walii, przyjaciele zmarłego, angielscy oficerowie, korpus dyplomatyczny. Wszyscy rozmawiają szeptem, jak w kościele.

Do statku podpływa „Enchantress”, jacht admiralicji, który dalej powiezie trumnę do Woolwich. Grzmia działa. W tym momencie deszcz ustaje, wiatr rozpedza chmury, błyska dawno nie widziane słońce.

Późnym wieczorem „Enchantress” zawija do Woolwich. Całe miasto wylega na ulice. Nad królewskim Arsenalem zwinięta flaga, jedną z jego sal zamieniono na żałobną kaplicę.

Na obitych kirem ścianach pyszni się znak napoleońskiej obecności: złote „N” w laurowym wieńcu. Otwartą trumnę otaczają najbliżsi: księżęta Bonaparte, pan Rouher, pan Pietri, generał Fleury, doktor Corvisart, Tristan Lambert, Ludwik Conneau, Anto. Następuje identyfikacja zwłok.

Ludwik Conneau osuwa się na kolana wstrząsany szlochem, którego nie może opanować. Anto klęka obok przyjaciela. Nie płacze, czuje tylko, że wraz z Lu odchodzi z jego życia coś bardzo pięknego — echo dzieciństwa, uniesienia pierwszej młodości? — coś, co się już nigdy nie powtórzy. Wieko tej trumny zatrzaśnie się za wszystkimi marzeniami o wielkości, o sławie, nie pozostanie z nich nic, jedynie ta śmierć okrutna i niepotrzebna, ofiara życia złożona obcej sprawie, w obcym mundurze i pod obcym sztandarem, śmierć niesławna, z zasadzki, w wojnie bez ideałów, w której można jedynie utracić prestiż, nie zyskując najbledszego choćby promyka chwały.

Nazajutrz rano po obu stronach drogi do Chislehurst — głowa przy głowie. Trumnę na lawecie armaty otaczają kadeci z Woolwich w galowych mundurach. Biją wszystkie dzwony.

W Camden Place, jak niegdyś dla Napoleona III, tak i teraz przygotowano drugą żałobną kaplicę. Na powrót Ludwika Napoleona. Kir i biel, srebro i fiolet odziały westybul. I kwiaty. Z dworca Charing Cross w Londynie dodatkowe pociągi co chwila wyrzucają na stacji w Chislehurst gromady

249

żałobników. Największe dzienniki z całego niemal świata przysłały swoich korespondentów. Łatwo ich rozpoznać: z notatnikiem w rękę i bystrym okiem, na próżno starają się ukryć wzruszenie.

Sztachety Camden Place okrywają białe draperie z monogramem księcia. Wszystkie te wspaniałości na powrót Lu do domu.

Gdy trumnę ustawiono na katafalku wśród powodzi kwiatów i świateł, otoczyli ją francuscy oficerowie i domownicy. Wówczas to, pierwszy raz, cesarzowa Eugenia opuściła sypialnię. Zeszła ze schodów pochylona, oślepiąca blaskiem świec i padła na trumnę, ogarniając ją ramionami.

Całą noc trwało bolesne czuwanie, jak przed sześciu laty. Tristan Lambert, Ludwik Conneau i Anto nie dali się zluzować, nie czuli zmęczenia. Trudno im było oderwać się od przyjaciela.

Dopiero o świcie cesarzowa Eugenia pozwoliła zaprowadzić się na górę.

O dziesiątej przybyła królowa Wiktoria z córkami. Księżniczka Beatrycze nie wstydziła się łez. Być może opłakiwała straconą nadzieję szczęścia?

Władczynią Anglii cesarzowa Eugenia przyjęła w ciemnej sypialni.

Salwy armatnie obwieściły zebranym, że książę wyrusza w ostatnią drogę. Tym razem Lu opuszczał dom na zawsze. Trumnę okrytą francuską i angielską flagą ustawiono na lawecie. Ciągnęło ją osiem koni w żałobnych czapach z pękami piór na głowie. Kadeci z Woolwich znowu otoczyli dawnego kolegę.

1 tak wśród bicia dzwonów i huku dział Lu udawał się do małego kościółka w Chislehurst. Po raz ostatni.

Wśród nieprzebranych tłumów — oceniano liczbę przybyłych na prawie ćwierć miliona — orszak pogrzebowy posuwał się krok za krokiem. Nad głowami powiewały sztandary i chorągwie. Ludzie głośno czytali napisy: „Liceum Bonaparte”. „Studenci z Paryża”. „Młodzież Francji”. „Arenen-berg”. „Korsyka”. „Wersal”. „Saint-Cloud”. „Lilie”.

Wśród tysięcy Francuzów brakowało tylko jednego: ambasadora Republiki w Londynie.

Kościółek w Chislehurst pomieścił zaledwie najbliższych. Kardynał Manning wygłosił kazanie. Podczas nabożeństwa śpiewały najsłynniejsze sopran. A potem Lu został sam. Z ojcem.

Camden Place opustoszało. Na dom osunęła się cisza. Gwarne niegdyś pokoje wsłuchiwały się teraz w milczenie śmierci.

W kilka dni po pogrzebie cesarzowa Eugenia zaprosiła Żeranów, Melę i trzech przyjaciół na mszę, którą ksiądz Goddard odprawiał co dzień w pokoju zmarłego. Wydawała się na pozór spokojna. W rzeczywistości była

250

obojętna na wszystko, co nie dotyczyło jej syna. Musiała o nim mówić, a z kim mogła mówić najszczerzej, jak nie z jego najbliższymi przyjaciółmi?

Przy pożegnaniu, gdy Mela pochyliła się do jej ręki, przytuliła do siebie dziewczynę i wpięła w jej suknię czterolistną koniczynę ze szmaragdów, prezent zaręczynowy od cesarza.

— Weź to — powiedziała cicho. — Niech ten klejnocik będzie dla ciebie zadatkiem szczęścia. Mnie już nie jest potrzebne.

(6* 3

Tragiczną rocznicę zapragnęła spędzić na tym miejscu, gdzie padł.

W podróży do Natalu towarzyszyli jej dawni koledzy syna, kapitanowie Bigge i Slade.

Jak on, wylądowała w Durbanie, przemierzyła cały szlak, który prowadził go ku śmierci.

Pierwszego czerwca przypadła do tej ziemi, na której poległ. Czyż jej rąk nie zwilżyła jego krew? Spędziła tam cały dzień i część nocy, modląc się i płacząc. Zza wysokich traw śledziły ją zaciekawione oczy Zulusów.

„Litowali się chyba nad nieszczęśliwą matką” — napisała w liście do pana Pietri.

252

— Nie wytrzymam, muszę wyjechać. — Anto spojrział błagalnie na Me-lę. — Pan Lesseps szykuje się do nowego przedsięwzięcia, równie wielkiego, jak Suez. Zamyśla o przekopaniu kanału w Panamie. Potrzebuje inżynierów. Kapitan Mourier mówi, że nie występując z wojska mógłbym uzyskać urlop i zostać

oddelegowany do pracy z panem Lessepsem. Zrozumcie, nie mogę tak dłużej! — Zacisnął ręce. — Melu, czy pojechałabyś ze mną? Weźmiemy ślub i...

— Ależ, Anto! — zgorszyła się Róża. — Chcesz narazić Melę na prymitywne warunki i niezdrowy klimat...

— Pojadę — przerwała jej Mela. — Z wielką radością, Anto. — Weźmiemy ślub i popłyniemy do Ameryki. Musisz dokonać czegoś wspaniałego, zanim Polska powstanie i wrócimy do domu.

253

W trzy lata po śmierci „cesarskiego księcia”, czyli w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku, Izba Deputowanych zdecydowaną większością głosów uchwaliła całkowite zburzenie Tuileriów.

Pałac stał na pierwszy rzut oka nietknięty. Patrzył co prawda na Paryż pustymi oczodołami okien, ale renesansowe rzeźby i fryzy, żłobione w marmurze kolumny, posągi greckich bogów, popiersia imperatorów nadal uosabiały piękno, zachwycały oczy. Jak niegdyś.

Tuilerie były przecież częścią Francji, żyły jej życiem. Wzniosła je monarchia, uświetniło cesarstwo, niszczyły rewolucje. Aż republika położyła kres ich istnieniu.

Po takich artystach, jak architekt Philibert Delorme czy rzeźbiarz Jean Goujon, za Tuilerie zabrał się niejaki pan Picart, przedsiębiorca specjalizujący się w rozbiórce nieużytecznych ruin. Za cenę trzydziestu trzech tysięcy franków nabył Tuilerie na własność. W niecały rok nie pozostało po nich śladu. Kto chciał, mógł teraz kupować kamienie z królewskiej rezydencji. Nie zabrakło też amatorów tak świetnego budulca.

Chociażby ów książę Pozzo di Borgo, który wzniósł sobie niewielki pałacyk na Korsyce, w La Punta koło Ajaccio. Istny klejnocik. Błady cień minionej wielkości.

Książę Pozzo di Borgo był potomkiem owego dyplomaty, który z nienawiści do Napoleona przeszedł na służbę cara Aleksandra.

Pan Picart otrzymał również zamówienie z dalekiego Swierklańca na Śląsku. Księżna von Donnersmarck mogła nareszcie deptać posadzki pałacu, którego bramy pozostały niegdyś przed nią zamknięte.

Zemsta Paivy dosięgła Tuileriów.

Printed in Poland

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1988 r.

Wydanie I. Nakład 49 700 + 300 egz. Ark. wyd. 16,3. Ark.

druk. 16. Papier offset, kl. III, 70 g, 61 cm (rola). Lubelskie

Zakłady Graficzne. Zam. nr 82/87 U-52

MBP Zabrze

nr inw.: K20 - 8691

F 20 IIIp/H